

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXII.

ROK VI.

TOM II.—ZESZYT III.

Czerwiec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1881.

SPIS RZECZY.

OD REDAKCYI.

Pierwsze cztery zeszyty Ateneum r. b. są już wyczerpane. PP. Prenumeratorowie, którzy z przedpłatą na pierwsze półrocze zgłosili się w kwietniu i później, zamiast wyczerpanych, odbiorą cztery zeszyty drugiego półrocza, a za dopłatą dwóch rubli, mogą odbierać pismo nasze do końca roku.

Druk ukończono 31 Maja 1881 r.

SAMOPOMOC NARODOWA.

Każdego niemal tygodnia spotykać można w dziennikach korespondencye z rozmaitych stron kraju, pełne narzekań na samowolę pisarzy gminnych, opowiadające coraz to nowe a zawsze gorszące fakta rozlicznych nadużyć. W wyobraźni czytelników pisarz gminny wyrasta na jakąś złowrogą potęgę, zagrażającą samorządowi, marnującą fundusze publiczne, przykładającą się czynnie do ruiny pojedyńczych gospodarzy, ba—nawet gmin całych. Jakkolwiek rozumiemy oburzenie, które szanownym korespondentom dyktuje te wszystkie narzekania, jakkolwiek wiemy, że pisarz gminny jest drobniutkim wprawdzie, ale zawsze ogniwem, wiążącym żywy organizm gminy z całym aparatem biurokratycznéj machiny i przeto może on czerpać siłę oporu, a nawet siłę ruchu, w tym potężnym przyrządzie; nie możemy jednak zdać sobie sprawy z tego, jak, przy dobréj woli i umiejętności obywateli składających gminę, nadużycia podobnego rodzaju mogą trwać długo i powtarzać się tu i owdzie w sposób tak bardzo jaskrawy. W pismach rosyjskich spotykaliśmy nieraz użalania się na to, że wołost' w Cesarstwie nie jest żywym organizmem, ale raczéj lalką w ręku policyi; słyszeliśmy skargi, że gmina w Galicyi, pomimo autonomiczne całego kraju urządzenie, nie może rozwinąć się do znaczenia gospodarskiéj jednostki; ale w Cesarstwie i w Galicyi, wołost' i gmina składają się jedynie i wyłącznie z samych włościan. U nas przeciwnie, w skład gminy wchodzą wszyscy posiadacze ziemi na jéj terytoryum zamieszkali, a na każdém niemal z takich terytoryów znajduje się kilku właścicieli większych obszarów, tych ludzi, których wziętych *in corpore*, weszło u nas we zwyczaj nazywać inteligencyą wiejską. Jakimże więc sposobem dziać się może powszechnie w całym kraju, a chociażby w znacznéj części jego, że ci właściciele, stanowiący inteligencyą, mający w swém rozporządzeniu środki materyalne i idący zatém koniecznie pewien wpływ wśród społeczności ich otaczającéj, mając, o czem nie wątpimy, do-

bre chęci służenia sprawie ogólnéj, nie mogą poradzić sobie ze złą wolą pisarzy, którzy ostatecznie, wedle litery prawa, mają być tylko najemnymi oficyalistami gminy, służącymi do prowadzenia korespondencyi i rachunków. Podobnego rodzaju anomalie mogą się zdarzać gdzieniegdzie, w skutek szczególniejszego zbiegu okoliczności wyjątkowych, ale, zwłaszcza po szesnastu latach funkcyonowania samorządu gminnego, nie powinnyby one mieć znaczenia faktu ogólnego, któremu zaradzić nikt prawie nie jest w stanie. Rady na tę biedę zdajemy się oczekiwać zkądś, od kogoś, coby wejrzawszy w stosunki miejscowe, jednym przepisem lub rozkazem potężnego *fiat* administracyjnego postawił każdego z obywateli gminy na właściwém mu stanowisku.

Oczekiwanie podobne wydaje nam się próżném i daremném, bo rzeczy na świecie inaczéj dziać się zwykły. Władza prawodawcza, pewnéj grupie ludzi przyznaje prawo rozporządzenia własnemi sprawami, wedle swego rozumienia, i określa stosunek władzy administracyjnéj do téj grupy ludzi; daléj to prawo już się samo w życie wcielać będzie, żywemi siłami ludzi, którym ma posługiwać.

Ale obok prawa rządzą jeszcze światem zwyczaje i obyczaje; częstokroć proste nawyknienia téj lub owéj jednostce wydają się czemś świętszém i bardziej nietykalném aniżeli same prawa. Przewodzić, wedle przysłowia, jak szara gęś—dla nie jednego bywa takiém właśnie nawyknieniem. Samorząd przyznany gminie zwykle nie bywa mile widziany przez organa administracyjne, musi on bowiem do pewnego stopnia ścieśniać i utrudniać dowolne ich rozporządzenia; więc każdy organ władzy administracyjnéj, jeżeli nie koniecznie już nieprzyjaźnie, to przynajmniéj lekceważąco i z góry spoglądać będzie na mrówczy ruch interesów gminnych i nie łatwo wyrzecze się tego co uważa za swoje prawo, wypływające już z saméj kilkunastoletniéj tradycyi biurokratycznéj, a mianowicie wtrącania się do tych interesów, przepisywania i narzucania porządków przez siebie wymyślonych, nie wypuszczania ich ze swéj, według swego rozumienia, dobroczynnéj opieki. Obywatele składający gminę, jeżeli ze swéj strony widzą, że opieka nie jest dla nich korzystną, że porządki narzucone im nie prowadzą do celu, powinni wyjść z nieméj bierności; mają oni prawo, nie stosować się do czyichś fantazyj i nie ustępując z tego co im przyznał prawodawca, szukać dla siebie usprawiedliwienia przed władzami wyższemi, używając do tego wszelkich środków, któremi prawnie mogą rozporządzać: więc wyjaśniać jak swe prawa rozumieją, nie zaniedbując tych wpływów, które im stanowisko ich społeczne zapewnić może, dołożyć ze swéj strony wszelkich usiłowań, ażeby prawo im przyznane z martwéj li-

tery stało się żywém słowem, ażeby weszło w życie, nabrało ciała, i nawyknienia dawniejsze przekształciło na nowy zwyczaj z przepisami prawa zgodniejszy, zwyczaj któryby się stał niezaprzeczonym nabytkiem społeczeństwa, nowym szczeblem do jego rozwoju.

U nas trudniéj niż gdzieindziéj rzeczy tych dokonywać. Prawo samorządu przyznane było gminom wiejskim w czasach uważanych za nie dość spokojne, pierwsi wykonawcy widzieli w niém przedewszystkiém podatny oręż do zwalczenia wpływów dworu na wioskę, które wtenczas było w modzie podawać za szkodliwe politycznie. Żeby więc mniemanéj szkodzie zapobiedz, nie wahano się zrządzić szkody rzeczywistéj, niwecząc zasadniczą myśl prawa o samorządzie. Do tego potrzebną była najprzód choćby kropla fermentu, któryby stosunki między gromadą a dziedzicem zaprawił goryczą; skoro by to się udało, reszta musiałaby pójść jak z płatka. „Dopóki wioska i dwór nie dojdą do harmonijnego i zgodnego zapatrywania się na interesa gminy (a żeby nie doszły—zawsze się znajdą środki), dopóty reprezentant administracyi będzie miał tam głos decydujący i nakaz jego spełniać się tam będzie z takim poszanowaniem jakby wola władzy najwyższéj.“ Rozumowanie to nie zawiodło, bo gdzie się trzy słowa: *chciéć*, *wiedziéć* i *módz* jednoczą, tam zawód jest niemożliwy. Owoż jednocześnie z urządzeniem gmin przeprowadzała się olbrzymia operacya uwłaszczenia; reforma ta niezbędna i przez kraj zdawna upragniona, musiała jednak podraźnić interesa ekonomiczne wioski i dworu, które czasowo przynajmniéj znalazły się w sprzeczności. Regulowanie ich, doprowadzenie do punktu, na którymby pogodzić się mogły, w skutek okoliczności ówczesnych i względów politycznych, powierzone było ludziom dla kraju obcym, nieznającym zgoła stosunków miejscowych, zwyczajów i nawyknień ludu, a ze sprawami społecznemi i administracyą wogóle mało obeznanym; nieraz więc zamiast łagodzić, jednać, do zgody doprowadzać, jątrzyli i zaogniali te stosunki; rodzące się kwestye sporne, mogły być rozwiązywane dopiéro w wyższych sferach administracyjnych i tam decydowały się one wedle litery prawa, wedle dokumentów starych, niejasnych i niepełnych, o których zwaśnione strony same nie zawsze miały dokładne wyobrażenie. Dwór i wioska stawały więc przeciw sobie jako niechętne żywioły i nie dziw, że sprawy samorządu gminnego nie mogły odrazu iść dobrze. Rzadko gdzie wójtem gminy mógł być wybrany, jaki wyjątkowo przykładny obywatel, który nie lękał się narazić na tysiączne kłopoty i nieprzyjemności, nie żałował swego spokoju i kilka lat życia gotów był poświęcić na to, ażeby założyć trwałe podwaliny spokoju społecznego, na których dopiéro mogą się rozwijać dobrobyt i oświata.

Jednakże od tego czasu minęło już lat szesnaście, w ciągu których panowała w kraju niczém nieprzerywana cisza. Straszenie niepokojami politycznemi stało się tedy dziś trudniejszém i łatwowiernych uszu chyba nie znajdzie. Z tego względu położenie obecne jest dziś o wiele łatwiejszém. O polepszeniu pozycyi pod innemi względami także wątpić nie można: zachwiany przed laty byt materyalny wytrwałą pracą polepszony, rany zabliźniają się, nieufność między warstwami społecznemi prawie wszędzie słabnie w wielu miejscach przechodzi w harmonią, w innych—przynajmniéj słabnie i słabnąć daléj musi, bo nie ma już ona dzisiaj dostatecznych pobudek. Powaśnione interesa ekonomiczne już tylko echem służebności niepokoją ogół właścicieli, a i te na drodze dobrowolnych układów coraz częściéj załatwiać się dają; zdaje się więc zbliżać początek nowéj ery prawidłowego rozwoju, w któréj coraz mniéj rosterków, coraz więcéj harmonii czuć będziemy mogli, a niepogodzone jeszcze interesa mają nawet szanse przejścia na drogę łagodzącą sądowych decyzyj i prawnego rozwiązywania nieporozumień.

Pomimo to jednak, lat szesnaście praktykowana hegemonia administracyjna nad gminą wiejską, zrodziła nawyknienia i zwyczaje, z których otrząść się nam zbyt trudno, nie bierzemy się do dzieła ani raźnie ani ochoczo, a jakby związane mając ręce, jakby nie mając możności zabrać się do pracy, folgujemy sobie zbyt pospolitemi skargami i narzekaniami, ciesząc się z tego, że skargi, dawniéj po cichu, poufnie tylko powtarzane, dzisiaj mogą być w dziennikach drukowane i przez to słyszéć je i powtarzać może szersza publiczność. Albo może zdaje się nam, że owe narzekania, mniéj lub więcéj wymownie sformułowane, dojdą do tych, w których ręku, jak sądzimy, nasze losy się znajdują, może ci ludzie wejrzą na nas i rozkażą: pisarzom prowadzić rachunki ściśle i porządnie, wójtom dbać o to, aby nikomu krzywda się nie działa, zgromadzeniom gminnym iść za radą inteligencyi, a wtedy wejdziemy w przedsionek jakiegoś edenu społecznego, gdzie już pracować dla dobra ogólnego będziemy mogli spokojnie. Tymczasem zaś po co się mamy napróżno kłopotać, wszak głosu naszego nikt w zgromadzeniu gminném słuchać nie chce, na wybór wójta wpłynąć nie możemy, od nadużyć pisarza obronić się nie mamy siły ani możności.

Czy tak obojętnie usposobionym jest ogół ziemian naszych? Czy nie chcą oni pamiętać o tém, że interesów swoich własnych każdy sam pilnować musi, bo inni pewno o nich nie pomyślą, że ten komu służy prawo, sam musi spełniać z prawem tym nierozłączne obowiązki, sam bronić go musi, boć taka już natura stosunków ludzkich, że kto nie strzeże swego prawa ten go pozbawionym będzie. Z wielu faktów możnaby wnosić, że tak jest w istocie.

Pozycya wójta gminy, zależnego w wysokim stopniu od władz policyjnych, nie jest wcale dogodną ani pożądaną, nie dziwimy się więc, że mało właścicieli folwarków ubiega się o to stanowisko. Że jednak wójt włościanin, najczęściéj niepiśmienny, nawykły do obracania się w ciasnym kółku interesów swego drobnego gospodarstwa, najczęściéj nie jest w stanie skutecznie kontrolować pisarza, jego rachunków i korespondencyj; więc władza prawodawcza, chcąc w tém zapewne przyjść w pomoc gminom i dać samorządowi gminnemu praktyczniejsze podstawy, w rozwinięciu jednego z artykułów ustawy, Ukazem z dnia 22 grudnia r. 1879 nadaje zebraniom gminnym prawo wybierania pełnomocników do: rozkładania podatków, kontrolowania funduszów, spisywania protokółów, pomagania wójtowi w sprawach pożytku ogólnego lub gospodarstwa gminy, a nawet mianowania pisarza. Ukaz ten publikowany z Senatu w styczniu r. 1880, niedawno dopiéro doszedł do wiadomości ogółu; publiczność dowiedziała się o nim w lutym roku bieżącego, a dowiedziała z listu Józefa hr. Skarbka wydrukowanego w „Wieku" (Nr. 35). Że redakcye pism warszawskich dowiedziały się o tym ukazie z listu hr. Skarbka, nic w tém zadziwiającego, gdyż obyczaje administracyjne widać nie wymagają publikowania Ukazów Najwyższych w pismach krajowych, ale w każdym razie ukaz ten nie mógł być nieznanym zarządom gminnym. Dla czego więc nie wiedzieli o nim ci, do których się on wprost stosował? których interesom dogadzał dając im właśnie możność bronienia się od nadużyć pisarzów. Dla czego w gminie Łosk powiatu Pniewskiego pisarz odmówił spisania protokółu o wyborze pełnomocników i uszło mu to bezkarnie? A gdzież byli wtedy ludzie inteligentni i wpływowi, którzyby przecie mogli znaleść środek ukrócenia nadużyć pisarza, sami spisać protokół, zanieść skargę do naczelnika powiatu i daléj do naczelnika gubernii i generał-gubernatora. Dlaczego dnia 29 kwietnia w Nr. 94 „Wieku" czytamy jak korespondent z Płońskiego z gminy K. uskarża się iż: „dziewięć miesięcy wyczekuję, jako jeden z wybranych pełnomocników, na jaki udział w czynnościach dotyczących spraw gminnych i dzięki taktyce miejscowych urzędników gminnych, czekam napróżno." Czyż szanowny korespondent sądzi, że mu pisarz gminny sam przyjdzie opowiedzieć jakich dopuścił się nadużyć, albo sam go zaprosi do przejrzenia rachunków, jeżeli one nie są w porządku? Wątpimy, aby kiedykolwiek się tego doczekał. Kto mając do tego prawo, chce sprawdzać, kontrolować, bronić od nadużyć, powinienby, według naszego zdania, sam dobić się do przejrzenia ksiąg, do sprawdzenia protokółów, do obliczenia rozłożonych podatków, bo inaczéj niczego nie sprawdzi, niczemu zapobiedz ani zaradzić nie

potrafi. Gubernator Warszawski wydaje rozporządzenie, żeby protokóły postanowień na zebraniach gminnych, rozkłady gminnych i gromadzkich powinności i wszelkie piśmienne akta, dotyczące ogólnych interesów gminy, były sporządzane po polsku, tymczasem korespondenci narzekają, że włościanie nie rozumieją tego co w protokółach pisarz odczytuje im po rosyjsku. Któż tutaj winien? Gdzież się wtedy znajdują, czém zabawiają ludzie inteligentni i wpływowi, kiedy te rosyjskie protokóła bywają w gminach czytane i podpisywane.

Od lat pięciu czy sześciu powtarzają się po gazetach, nieraz dość wymownie pisane, odezwy zachęcające ludzi wpływowych i inteligentnych do brania czynniejszego udziału w sprawach gmin, jednakże odezwy takie przemawiające w imię dobra publicznego, wzywające do poświęcenia obywatelskiego, mało widać dotąd bywały skuteczne. Niedawno dopiéro zdarzyło się nam spotkać, bodaj po raz pierwszy traktowanie téj sprawy z innego, oby skuteczniejszego, punktu widzenia. W NN. 60, 72 i 85 Wieku wydrukowano szczegółową analizę rękopiśmiennéj pracy p. Reklewskiego zatytułowanéj „Bez programu". Autor zdaje się trafił na właściwy ton przemawiania w téj kwestyi; mielibyśmy do zarzucenia mu nie jeden błędny pogląd na interesa ekonomiczne i finansowe, ale błędy te okupują się dla nas nutą prawdy rozbrzmiewającą w końcowych ustępach, kiedy autor przychodzi do wyrażenia swego głębokiego przekonania: że praca około spraw dobra ogólnego, na dzisiaj jedyna możebna dla nas praca u podstaw społeczeństwa, dbałość o interesa gminy, jest nietylko obowiązkiem, ale najżywotniejszym interesem właścicieli większych posiadłości. „Przodownictwo, wskazywanie obowiązków, rozwijanie myśli, kształcenie serca są przecież powołaniem inteligencyi wiejskiéj... Pięknie to zostawić dzieciom majątek, ale trzeba obok tego dać możność spokojnego zeń korzystania, a droga ku temu to praca u fundamentów."

Spokój i harmonia społeczna zależą na tém, ażeby ludzie składający społeczeństwo, a różniący się między sobą powołaniem, wykształceniem, majątkiem i stanowiskiem, mogli żyć obok siebie spokojnie, nie naruszali prawa jedni drugich, a każdy w swoim zawodzie mógł pracować bezpieczny o to że żadnego gwałtu, żadnéj krzywdy nie doświadczy od swych sąsiadów, ażeby pomiędzy nimi panowała ufność, iż sobie nawzajem w skutek różnicy pozycyi szkodzić nie będą. Jeżeli zaś zła wola jednostek, albo złe pojmowanie własnych praw i interesów, doprowadzi do zajść nie mogących się pojednaniem załatwić, ażeby wówczas z pełném zaufaniem odwoływano się do sądu po uznanie czyje prawo lepsze, albo komu krzywda się

dzieje. Społeczeństwa które dojdą to takiego ogólnego usposobienia, uważać dopiéro należy za rozwijające się prawidłowo, stoją one na pewnym gruncie i szybkim krokiem mogą zdążać do wyższych szczebló w cywilizacyi. Czy więc uspołecznienie pod tym względem ludu wiejskiego, wprowadzenie go w sferę jasnych pojęć prawa i obowiązku, oświecenie jego umysłu, wskazanie mu na czém polega prawdziwy jego interes w zakresie spraw gminnych, nie stanowią inteteresu istotnego a najżywotniejszego właścicieli większych. Wszelkie zawichrzenie pojęć, wszelki nieporządek materyalny, kogóż na większe straty narazić może, jeżeli nie tych, którzy posiadają więcéj.

Kiedy zaś ludzie zamożni i wykształceni, znający swe prawa, pojmujący swoje obowiązki, zechcą usuwać się, od drobnych wprawdzie, ale za to codziennie ich dotykających spraw w zarządzie gminy, u kogoż wtedy będzie musiał szukać gospodarz z wioski czy parobek rozjaśnienia tych spraw i interesów? Pisarz gminny będzie mn objaśniał jego prawa, nauczyciel wiejski będzie tłómaczył co ludzie na świecie robili i robią ażeby sobie poradzić, pokątny doradca obałamuci go tysiącém obietnic, rozbudzi nadzieje nigdy nie uiszczalne, obedrze go z tego co ma, przyrzekając wyjednać mu daleko więcéj; a kiedy sędzia odsądzi go od praw urojonych, pójdzie on szukać opieki władz administracyjnych, narzekając głośno na swą krzywdę, rozbudzi w nich nieufność ku podejrzywanym ludziom pochodzenia szlacheckiego, narazi je na nieskończone badania i poszukiwania, samo przeciąganie się tego procesu będzie go coraz mocniéj przekonywało, że ma słuszność, niezechce może potém usłuchać już niczyjéj decyzyi, zacznie opierać się rozkazom władzy i doprowadzi rzecz nakoniec do wojennéj ekzekucyi i procesu kryminalnego.

Być może, iż w ostatecznym rezultacie i na téj drodze prawo właściciela będzie salwowaném, jednakże było ono już czas dłuższy poniewieranem, a samo zabezpieczenie tryumfu prawa siłą materyalną, jakkolwiek może być czasem koniecznem, nie może być jednak środkiem pożądanym. Owóż, wszystkiemu temu zapobiegać mogą bliższe stosunki pomiędzy właścicielami folwarków a mieszkańcami wiosek, że zaś takowego zbliżania nie można oczekiwać od rozwijania się przyjacielskich uczuć i sympatyj, więc szukać go należy na drodze najnaturalniejszych stosunków, na tych zebraniach gminnych gdzie roztrząsając interesa wspólne, radząc o tém jak rzeczy pożyteczne z najmniejszym porobić kosztem, jak same koszta sprawiedliwie pomiędzy siebie rozdzielić, najłatwiéj dojść do znajomości, do zaufania opartego na szacunku wzajemnym.

Często zarzucano publicystom, że ludu nie znają, że w sielankowych zachwytach, malują go jako istotę zbiorową, idealną, w któréj prostota serca i łatwość pojmowania prawdy góruje nadewszystkiém.

Wiemy że lud—to wiele milionów ludzi, że pomiędzy nimi są nie tylko ciemni i prawie dzicy, ale są źli i zbrodniarze nawet, nieprzeszkadza to jednak samym ziemianom opowiadać o tradycyjnych cnotach ludu. Bo rzeczywiście jest pomiędzy ludem dużo serc prostych, a nawet dużo ludzi o sumieniu drażliwém; zarówno cnót jak występków doszukać się wśród ludu łatwo, tak samo jak wśród wszystkich klas czy warstw społeczeństwa. Nie chodzi też nam o to, kto lepszy lub cnotliwszy, ale oto kto lepiéj potrafi rozpoznać położenie swoje własne wśród otaczających go ludzi, kto jest wstanie lepiéj objąć interesa gminy, kto jaśniéj widzi jéj potrzeby, skuteczniéj odszukać może środki na ich zadośćuczynienie, kto nakoniec łatwiéj dopatrzy czy nagromadzone środki nie są marnowane, czy nie dzieją się z nimi jakie nadużycia. Bez wahania więc twierdzimy, że właściciel większego obszaru ziemi powinien lepiéj znać i rozumieć te rzeczy, bo bywa zwykle więcéj oświecony, wyżéj wykształcony, do wszelkiéj inicyatywy zdolniejszy, bo mając zabiespieczony chleb powszedni obfitszy i pożywniejszy, aniżeli włościanin, ma więcéj czasu do myślenia, rozważania i kombinowania przyczyn i skutków, a widnokrąg jego umysłowy musi być szerszy, aniżeli chłopka codziennie pracą fizyczną zmęczonego, nie znającego pono długich chwil wytchnienia od trosk o wyżywienie i przyodzianie rodziny swojéj, przywykłego do drobnych tylko obrotów gospodarskich, i starań około uprawy i zbioru na kilku czy kilkunastu morgach ziemi.

Musimy więc za p. Reklewskim odzywać się do właścicieli większych, że powołaniem ich jest: „przodownictwo, wskazywanie obowiązków, rozwijanie myśli itd.“ że spełnienie sumienne tego powołania jest ich najbliższym najpilniejszym interesem, bo od niego zależy ostatecznie stanowisko ich, nie tylko w gminie ale i wśród społeczeństwa kraju całego. Kto tego spełniać nie zechce, ten się znajdzie po za społeczeństwem, majątek swój może potrafi przechować, ale sam dobrowolnie wyklucza się z liczby czynników narodowych, ustępuje miejsca pisarzom gminnym, pokątnym doradcom i innym przybłędom.

Patrzcie na Czechy. Na początku bieżącego stulecia kraj ten wydawał się trupem pod względem narodowości, a dziś życie w nim pulsuje wszystkiemi tętnami, nie o śmierci już w nim mowa, nie o przedłużeniu chwil konania, ale o koronie św. Wacława. A cała ta cudowna zmiana da się streścić w jedném słowie *oświata* tj. oświecenie i uzacnienie wieśniaka, rozbudzenie w nim uczuć obywatelskich.

Patrzcie oto na Serbów Łużyckich. Nie ma ich dwuchkroć sta tysięcy, a tę gromadkę dzielą nadto dwa państwa—Prusy i Saksonia, dwie religie—katolicyzm i protestantyzm, dwa języki—górno i dolno łużycki. Chcąc w dziejach zaczerpnąć otuchę musieliby się zwrócić aż do epoki Chrobrego, późniejsze wspomnienia mogłyby ich tylko pchnąć do rozpaczy. A jednak ta gromada nie straciła nadziei w jutro, bo nie opuściła rąk. W oświacie ludu widzi zbawienie i na tym niezachwianym gruncie wznosi budowę przyszłości.

A u nas? Niestety u nas mało pracuje się w tym kierunku! Gdyby każdy, co latem upuszcza mury Warszawy szukając wytchnienia na wsi, za świeże powietrze, jakiém tam oddycha, chciał zapłacić elementarzem; gdyby za pokrzepienie sił fizycznych, które mu wioska daje, wywzajemnił się podsyceniem jéj życia duchowego, ten drobny akt dobréj woli nie pozostałby bez skutku.

P. Reklewski uznając całą ważność pracy indywidualnéj u podstaw, skarzy się na to, że ludzie chętni ku temu muszą pracować każdy na swoję rękę, bez ogólnego programu; że takie usiłowania rozstrzelone, marnują sił dużo i nie doprowadzają do pożądanego celu. „Trzeba solidarności w działaniu z pewnym określonym programem, bliższe porozumienie się ziemian powinno być gruntem na którym oprzéć się musi podobna działalność.“ Niewątpliwie taki program byłby rzeczą najpożądańszą, o ile działalność w tym rodzaju może być skuteczną, jeżeli, co téż jest warunkiem nieodzownym, czas długi wytrwale się prowadzi, dowodzą tego kółka włościańskie w poznańskiém, o których zawiązywaniu się i działaniu obszerne studyum teraz właśnie zamieszczamy. Ale porozumienie się i program są dla nas, na dzisiaj przynajmniéj, pobożném życzeniem tylko, możemy do nich wzdychać, platoniczną miłością je ukochać, ale dla przeprowadzenia ich w praktyce, dużo jeszcze musimy łożyć starań i usiłowań, bo wszelkiego rodzaju stowarzyszenia jeszcze nie są nam dozwolone. Niepowinnoby to jednak przeszkadzać ziemianom zamieszkałym w jednéj, a chociażby w kilku sąsiednich gminach, porozumiewać się między sobą co do sposobów i środków ułatwiających wprowadzenie spraw gminnych na drogę prawidłową, boć do tego niepotrzeba stowarzyszeń, a wystarczą zupełnie zwykłe sąsiedzkie stosunki. Zawsze jednak rozmowa sąsiedzka nie będzie mogła wystarczyć za program rozumnie ułożony, bo ten wymaga kierunku, celu wytkniętego wyraźnie, środków porządnie obmyślanych i uorganizowanych.

Do takiéj organizacyi obecnie dójść nam zbyt trudno. W ostatnich dniach kwietnia telegraf przyniósł nam wiadomość, że Minister dóbr państwa zawiadomił Generał-gubernatora Warszawskiego,

o odmownéj rezolucyi komitetu do spraw Królestwa Polskiego, w sprawie zatwierdzenia ustawy Towarzystwa ubezpieczeń od gradobicia w Kr. Pol. Pomiędzy komentarzami do téj odmowy, jakie pierwéj jeszcze podawały pisma nasze, jedynie prawdziwą zdaje się być opowieść, „Przeglądu Tygodniowego“ (N. 14 d. 3 kwietnia) o istniejącym od roku 1874 czy 1875 Najwyżéj zatwierdzoném postanowieniu komitetu do spraw Kr. Pol., aby sankcyonowanie nowo powstających stowarzyszeń, zostało do czasu późniejszego wstrzymaném. Dopóki więc postanowienie to odmienioném nie zostanie, dodaje słusznie „Przegląd Tygodniowy,“ los taki czeka wszelkie przedstawianie w tym kierunku.

Nieznając motywów rzeczonego postanowienia, trudno jest pewne wyprowadzać z niego wnioski; nie wiemy nawet do jakiego gatunku stowarzyszeń ono się odnosi, czy brzmi o stowarzyszeniach w ogóle, czy specyalnie o mających cele finansowe, gospodarskie lub społeczne; wiemy jednakże, iż około roku 1875 czy 1876 w wyższych sferach rządowych w Petersburgu panowały obawy oto, iż zanadto już zakładano banków, kompanij na akcyach, a nawet że budowanie dróg żelaznych nadto szybko się rozwijało, że ta przedsiębiorczość gorączkowa, zagrażała przerzuceniem się na pole czystéj spekulacyi, i że dla tego należało jéj położyć pewne tamy, ażeby nie wywołać przesilenia, i nie narazić publiczności na znaczne straty. Prawdopodobnie więc i komitet do spraw Kr. Pol. podzielał ówczesne opinie i dla tego uważał za słuszne powstrzymać wszelkie nowe stowarzyszenia. Czy tak się rzeczy miały, czy się z tém łączyły względy inne, specyalniéj nas dotyczące, tego przesądzać nie możemy; w każdym jednak razie postanowienie to było czasowe, więc na drodze prawnéj nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby starać się o jego zmodyfikowanie a nawet zupełne cofnięcie. Od tego czasu minęło już lat kilka, nowe potrzeby rozwinęły się już do poważnego znaczenia, a lata te widziały wojnę długą i nużącą, przyniosły z sobą wiele niepokojów w Cesarstwie, u nas zaś nie oderwały nikogo od pracy spokojnéj około najpraktyczniejszych interesów gospodarskich i społecznych.

Chodzi tu jednak o rzecz niezmiernie ważną, o zmianę postanowienia Najwyżéj zatwierdzonego, wymaga to starań umiejętnych, zwalczenia trudności bardzo poważnych; trzeba uzyskać poparcie władzy miejscowéj, i oprócz tego w Petersburgu na miejscu wyjaśnić stan kraju i jego potrzeby, wpłynąć na zmodyfikowanie opinii członków komitetu, i uzyskać sankcyą Najwyższą. Nam, trudno zdobyć się na to, ażeby pełnomocnicy w gminie umieli dobić się do spełnienia owego mandatu, czy możemy więc liczyć na to, że się znajdzie wielu

takich, którzyby bez pełnomocnictwa ani mandatu, bo tak jedno jak drugie nigdy udzielonêm nie będzie i być nawet nie może, poczuli się do obowiązku rozpoczęcia i przeprowadzenia starań tak delikatnéj natury, podjęli się przemawiania do wysokich dygnitarzy o interesach narodu i kraju naszego?

Od czasu administracyjnego połączenia królestwa z Cesarstwem, pozycya kraju względem Petersburga znacznie się zmieniła, spuszczać tego z uwagi nie można, i owszem, potrzeba się dobrze w zmienionych okolicznościach rozpatrzéć. Generał gubernator w hierarchii rządowéj nie ma takiéj władzy, ani takiego znaczenia, jakie miał dawniéj Namiestnik; interesa zarówno prywatne jak i publiczne dawniéj koncentrowały się w biurze Namiestnika, dzisiaj przechodzą one do Petersburga i tam dopiéro we właściwych ministeryach są decydowane; wszelkie zaś sprawy ogólniejszego znaczenia podlegają jeszcze opinii komitetu do spraw Kr. Pol. Dawniéj decyzya lub przychylne przedstawienie Namiestnika rzecz rozstrzygały; wszelkie starania o interes mogły kończyć się na miejscu w Warszawie; dzisiaj to nie wystarcza: kto ma interes zależący od decyzyi władz administracyjnych, musi go pilnować i popierać w Petersburgu. Kto więc chce zająć się sprawą, mającą szersze jakie dla ogółu znaczenie, sprawą, którą nazywamy zwykle interesem ogólnym czy publicznym, tak samo musi ją popierać w Petersburgu. Rzecz to nie łatwa, sama podróż daleka i kosztowna, pobyt nad Newą musi trwać długo, koniecznie téż do tego potrzebne są stosunki na miejscu, znajomość ludzi, porządków, panujących tam przekonań i poglądów, a wszystko to wymaga nie małych środków pieniężnych i stanowiska społecznego wiadomego i uznanego. Prawo publiczne państwa nie daje nam możności mieć swoich reprezentantów czy mandataryuszów w Petersburgu, cała więc czynność musi pozostać w sferze działania prywatnego, udzielania objaśnień, dobijania się tego, aby objaśnień zarządano, zanoszenia instancyi, proszenia i przypominania. Rola to, jak widzimy, nie zbyt pocieszająca lubo i to dodać należy, że ochotnemu spełnianiu téj roli zawdzięczają, prowincye tak zwane ostzejskie, swój kwitnący pod wielu względami stan obecny. Nie wielu może znaleść się ludzi odpowiadających wymaganym warunkom, a to têm bardziéj, że każdy kto miewał interesa w wielkich stolicach, wie bardzo dobrze, ile w wyższych sferach rządowych wszystkich krajów, znaczy stanowisko społeczne człowieka, przemawiającego w interesie swoim własnym czy cudzym, prywatnym czy publicznym, i ile z drugiéj strony ludzie o wybitnêm stanowisku społecznêm są mało skłonni do zanoszenia prośb i instancyj, jeżeli ich do tego nie pobudza własny interes.

Wszystkie te względy wskazują, jak wielkie i liczne trudności mamy do przezwyciężenia, jak mało może być osób, które podołać trudnemu zadaniu byłyby w możności. A jednak przezwyciężenie tych przeszkód jest nieodbitą koniecznością, jeżeli chcemy istotnie wyrwać kraj ze szkodliwéj wielce stagnacyi. Jeżeliby więc ktokolwiek podjął się na téj drodze starań, poświęcił swój czas, umysł, środki i zabiegi, aby wskazywać w stolicy czego nam najnagléj potrzeba, aby torować krajowi ścieżki jeśli nie gościńce do dalszego rozwoju—zasługa jego będzie istotną i prędzéj czy późniéj uznaną przez społeczeństwo zostanie.

Dzisiaj stowarzyszenie stało się główną dźwignią wszelkich robót społecznych; w obec prac przemysłowych, obrotów handlowych, udoskonaleń technicznych, które wszystkie przybierają rozmiary olbrzymie przez łączenie się kapitałów w wielkie masy, czynność pojedyńczych ludzi na polu społecznego postępu staje się zbyt mało doniosłą, siły rozumu i woli ludzkiéj muszą koniecznie zlewać się w grupy, ażeby działanie ich mogło być skuteczném, dla tego téż wzbronienie wszelkich stowarzyszeń, równoznaczném będzie zahamowaniu postępu. Wieleż to pożytku przynieśćby mogły stowarzyszenia dla popierania rozwoju przemysłu, dla usuwania przeszkód w stosunkach handlowych, dla opieki nad uczącą się młodzieżą, dla popierania oświaty, dla szerzenia zdrowych pojęć ekonomicznych, wzajemnych ubezpieczeń od ognia, od gradobicia, od zarazy na bydło, stowarzyszenia nauczycieli, literatów, artystów, uczonych i wszelkie inne któreby każdéj jednostce robiły dostępnemi korzyści, wypływające z dyskusyi, ze wzajemnego wspierania się zdrową radą, jasną myślą i prawdziwym pojęciem o rzeczach.

Powtarzamy więc: jeżeli znajdzie się ktokolwiek, ktoby wszystkie te pożytki ogółu, wszystkie pożądane dla kraju ulepszenia wziął szczerze do serca, a nie żałował poświęcić im pewnéj części swego żywota, czy to będzie człowiek z arystokratycznym czy z demokratycznym nazwiskiem, byle potrafił to zrobić, co zrobić przedsięweźmie, zjedna sobie uznanie powszechne, a chociażby między opiniami jego osobistemi a opinią kraju zachodziła jaka różnica, nikt zapewne nie będzie się wahał uznać w nim człowieka zacnego i rozumnego, który dobrze się krajowi zasłużył.

KÓŁKA ROLNICZO-WŁOŚCIAŃSKIE

I ROZWÓJ PRACY OKOŁO ROLNICZÉJ OŚWIATY LUDOWÉJ

w W. Ks Poznańskiém i Prusach Zachodnich.

II.

Część powiatu starogardzkiego, położona nad Wisłą pod Gniewem i Nowem, aż mniéj więcéj pod Starogard, nosi odwieczne słowiańskie miano: *Kociewie*. Rola tam ciepła, gliniasta, bez sapów, wdzięczne, obfite plony wydaje. Wsie czysto polskie osiadłe gburami, a gburstwa, w czasie o którym piszemy, wynosiły po 120—140 mórg magdeb. (1) i z powodu urodzajności gleby cieszyły się względnym dobrobytem. Gospodarstwo jednak wszędzie było starodawne trzypolowe, zabudowania ściśnięte we wsi nie pozwalały odległych pól na tyłach należycie obrabiać i spożytkować.

Czy towarzystwo rolnicze powiatu starogardzkiego, zawiązane w kwietniu r. 1862, jakikolwiek wpływ wywarło na Kociewiaków, nie umiem powiedzieć. Tyle pewne, że już na jesień tegoż roku, w październiku, ułożyli oni z poręki i pod przewodnictwem Juliana Kraziewicza, pierwsze *czysto włościańskie towarzystwo rolnicze w Piasecznie*, które uważać należy odtąd jako *macierz* wszystkich dzisiejszych *kółek włościańskich*.

Julian Kraziewicz urodził się r. 1829 w Lidzbargu. Rodzice rychło go odumarli. Wychowywał się w domu dziadusiów. Do szkół uczęszczał w Chełmnie do sekundy a następnie w Elblągu. Tu w bardzo młodym wieku, bo zaledwie lat 20 licząc, ożenił się z Niemką. W r. 1857 przybył w okolice Gniewu i w Tymawie objął dzierżawę

(1) Dziś powstają tam liczne wśród pól odbudowane folwarczki obejmujące od 300—600 mórg.

plebanki. Pobyt w Elblągu i ożenek w tém mieście, obcowanie z Niemcami, używanie języka niemieckiego przy domowém ognisku, wszystko to zupełnie go zobojętniło względem swéj narodowości. Dopiéro w r. 1861 rodzinna atmosfera znów nań oddziaływać zaczęła orzeźwiająco. W czasie tym jako młody, nauki pragnący rolnik, dla wykształcenia własnego czytywał: „Die Annalen der Landwirthschaft in den Koenigl. Preuss. Staaten.“ W tychże, w roczniku r. 1862, w zeszycie lipcowym na str. 65 wyczytał z sprawozdania radzcy ministeryalnego Dulo te wyrazy: In Westpreussen ist die Bevoelkerung groesstentheils polnischer Nationalitaet, *welch, letzere aber schon auf dem Aussterbeetat steht.*“ (W Prusach Zachodnich ludność jest po większéj części narodowości polskiéj, ale narodowość ta *przeznaczona jest na wymarcie.*)

Orzeczenie to głęboki wpływ wywarło na Kraziewiczu i obudziło w nim naturalne poczucie potrzeby odporu. Przemyśliwał nad środkami. Żale, obawy i pomysły swoje w poufnych rozmowach objawił Jksks. proboszczom Franzkyemu w Gniewie i Schaeferowi w Piasecznie. Ci, jakkolwiek obydwaj pochodzenia niemieckiego, ale po pastersku miłujący lud, nad którym opieka duchowna im była oddana, pochwalili uczciwe zamiary Kraziewicza, a on w październiku r. 1862, zebrał wszystkich sąsiadów swoich na pierwsze zebranie w Piasecznie i wyłożył im, że jeśli nie chcą być *wskazani na wymarcie*, muszą przedewszystkiém pracę swą i zawód życia poddać działaniu nauki i oświaty. W tym celu zalecał zawiązanie *Towarzystwa Rolniczego*: Głos mówcy trafił do przekonania słuchających. Kraziewicz sam z rodu małomieszczan rolniczych, pracujący na dzierżawie probostwa, łatwiéj znalazł zaufanie u sąsiadów z Tymawy i Piaseczna, niżliby je był uzyskał ktokolwiek inny, prowadzący po za chwilami spędzonemi na zebraniach, życie zupełnie odmienne od sposobu życia i pracy tych, z którymi się łączyć, których pouczać miał. Nieufnéj natury Kociewiak, już od kilku lat patrząc z blizka na pracę rolniczą Kraziewicza i widząc jéj owoce, łatwiéj mu uwierzył. Ztąd poszło, że po wszystkich wsiach na Kociewiu gospodarze przyłączyli się do towarzystwa i do Kraziewicza. „Zapał niesłychany“, pisze nam ks. Morawski, proboszcz Klonówki, któremu te szczegóły zawdzięczamy, „ogarnął wszystkich, aby poprawne u siebie zaprowadzić gospodarstwa. Bywałem i ja na walnych zgromadzeniach w Piasecznie i przysłuchiwałem się radośném sercem tym obradom prostym i referatom gburów niewykształconych. Nie masz tu ani jednego gburstwa, na któremby nie przeprowadzono wielopolowego gospodarstwa i racyonalnego chowu inwentarza. Emulacya pochwały godna opanowała wszystkich w uprawie roli i chowie do-

bytku. Skutki dobroczynne wnet się objawiać zaczęły. Nowe, kamienne zabudowania wznosiły się wśród pól. Lud widząc, że i kapłani biorą się do łączności, gromadnie przystępował do towarzystwa. Czwarte zebranie w lutym r. 1863 liczyło już przeszło 180 członków. Komisya z łona towarzystwa wybrana, na której czele stał Kraziewicz, ciągle była w ruchu, aby gospodarstwa na pólka mniejsze stosownie dzielić, aby wedle gleby i położenia płodozmiany ustanawiać. W przeciągu dwóch lat w trzech większych siołach: w Tymawie, Piasecznie, Gogolewie uregulewano wszystkie gopspodarstwa. Inne wsie także się przyłączać zaczęły. Liczba członków w trzecim roku przenosiła 400. Okazała się potrzeba podzielenia się na mniejsze towarzystwa. Powstały one po parafiach w Skurczu, Ponczewie, Bobowie, Pelplinie. Wszystkich duszą i kierownikiem był Kraziewicz, wszystkie też w Piasecznickiem towarzystwie upatrywały swą macierz i do Piaseczna spieszyły na roczne zebranie rolne, z którém zawsze połączone było nabożeństwo kościelne, wystawa bydła, narzędzi rolniczych i zabawa ludowa, przedstawienia teatralne amatorskie itp.“

Towarzystwo rolnicze na Kociewiu dało nadto pochop do założenia innych instytucyj i urządzeń. Początkowo wydawało nawet czasopismo rolnicze p. t. *Piast*, którego głównym kierownikiem był Kraziewicz. Założyło *spółkę pożyczkową*, która do dziś dnia istnieje i miewa po 400.000 marek rocznego obrotu. Spółka konsumpcyjna, po kilku latach dla braku rzetelnego a doświadczonego w kupiectwie gospodarza, rozwiązała się. Było tam i *towarzystwo gospodyń*, rodzaj *szkółki rolniczéj*, była *giełda włościańska* w Gniewie. Działaniu Kraziewicza i towarzystw zawdzięcza cała okolica, że się tam upowszechnił obyczaj *zabezpieczenia życia*. A i dziś kiedy lokalne towarzystwa okręgowe już nie istnieją, a główne piaseczyńskie straciło dawny rozgłos, ono właśnie za pobudką Kraziewicza dało popęd do założenia cukrowni w Gniewie, na którą niemal połowę akcyj polscy gospodarze, Kociewiacy rozebrali.

Jeżeli działanie Kraziewicza i towarzystwa piaseczyńskiego błogosławione wywarło skutki na samém Kociewie a więc w najbliższéj okolicy, to daleko znaczniejszym jeszcze był ten wpływ na całą prowincyą i po za jéj granice na W. ks. Poznańskie. Sprawozdania z zebrań na Kociewiu zamieszczał nie tylko *Piast*, *Przyjaciel Ludu* i Gazeta *Toruńska* w Prusach, ale też skrzętnie je podawał poznański *Ziemianin.* Sława towarzystw tych rozeszła się po całym kraju. Obywatele poważni stanowiskiem i zaufaniem w społeczeństwie, zjeżdżali z dalekich okolic na zebrania piaseczyńskie, ażeby z bliska poznać sposób i system Kraziewicza. On sam nareszcie nie zasklepił

się w działaniu na najbliższą okolicę, lecz już w r. 1864 umieścił w *Przyjacielu Ludu* chełmińskim (N. 4) rozprawę, która była niejako odezwą do braci rolników wszystkich części kraju, żeby dzieci swe kształcili w szkole, młodzież wyprawiali na wędrówkę gospodarczą, a dorośli, aby się gromadzili w *towarzystwach rolniczych*. W odezwie téj powiada Kraziewicz:

„Czemuż tak znaczna część ziemi, na któréj pracowali i dobrze się mieli i chwalili Boga ojcowie wasi lat setki, już wyszła z rąk waszych i coraz więcéj w inne przechodzi? Czemuż ta sama ziemia więcéj dziś wydaje innym posiedzicielom a wam przedtém tak skąpo rodziła?...

„Czas więc najwyższy przebudzić się nam i wziąść się szczerze do pracy, aby z powszechnym postępem na świecie, obok obcych i nasze postępowały gospodarstwa i ze wzrostem wydatków naszych pomnażały się i nasze dochody... Na płacz zbiera się człowiekowi, gdy słyszy o waszych przesądach i zabobonach i gusłach, w które bodaj silniéj niż w Boga wierzycie. Ponieważ np. śp. ojcowie trzypolowego trzymali się gospodarstwa, dla tego niejeden nie odstępuje od trzypolowego gospodarstwa, choć widzi na polu sąsiedniém oczywiste korzyści, odkąd tam trzypolowe zamieniono na sześć, siedm lub więcéj-polowe gospodarstwo! Innemu zdaje się, że bez wspólnego pastwiska wnet zginąć będzie musiał, lubo zdrowy rozum sam przekonaćby go już powinien, że zniesienie wspólnego paśnika przyczynić się mu koniecznie musi do wzrostu gospodarstwa. Znowu inni uważają się za dobrych gospodarzy, jeźli jak najwięcéj pola posieją zbożem i bynajmniéj już nie zważają na to, że mają rolę zaperzoną, bydełko zabiedzone, gnój zwietrzały, a gnojowisko zamiast ich pole, oblewa oborę i wieś; alboż można się tu dziwić, iż tacy z wielkiego wysiewu zwykle tak mało zbierają! A są i tacy nawet, co zamiast pracować próżnują, zamiast pilnować gospodarstwa, włóczą się po szynkowniach, targach, jarmarkach i zamiast trzymać się starodawnéj poczciwości i rzetelności ojców naszych, chwytają się kłamstwa, oszustwa...

„Zapytacie teraz może, gdzież zatém mamy się wyzuwać z tych przesądów, zabobonów i guseł tyle dla nas szkodliwych? gdzie szukać i nabierać tego rozumu, obrachunku i umiejętności, aby się raz przecie rozwidniło w głowach naszych i aby się podniosło rolnictwo nasze tak, iżby nie szyderczo, jak dotąd, ale z uszanowaniem mówiono o gospodarstwie naszém polskiém? Otóż na to zapytanie: gdzie? odpowiem w krótkości tak, że dzieci wasze *w szkole*—że młodzież na *wędrówce gospodarczéj*, a dorośli i starzy w *towarzystwie rolniczém*“...

O towarzystwach rolniczych zaś tak się autor wyraża:

„Na cóż się tworzą? Do czegóż to dążą towarzystwa rolnicze? Chcą otóż właśnie rozszerzyć pomiędzy ludem ogólną oświatę, a w szczególności pouczać was, jak gospodarzyć macie, żebyście się mogli obok tylu współzawodników—dybiących na zniszczenie wasze—utrzymać na ojczystych zagrodach waszych. Wiecie téż sami, którzy już należycie do tego towarzystwa, jak ono szlachetnym, bezinteresownym i przyjemnym sposobem usiłuje dopiąć celu swego. Mężowie z głową i poświęceniem, miłujący was i szczerze litujący się nad smutnym stanem wielu braci—tacy to wymyślili i gdzie tylko mogą zawiązują towarzystwa rolnicze, pragnąc podać wam sposobność, ażebyście przez wzajemne towarzyskie rozmowy, narady i doświadczenia, jako téż przez uważne przysłuchiwanie się rozprawom głów celniejszych, i czytanie książek religijnych, narodowych i gospodarczych—prócz ogólnéj oświaty—co raz jaśniéj pojmując postępowe gospodarstwo, odstępowali od dawnych przesądów, z polepszeniem gospodarstwa polepszali i byt swój majątkowy i tak raz na zawsze położyli tamę obczyznie i własnéj zgubie.

Siedzisz niekiedy kilka tygodni gdzie na pustkowiu swojém i prócz swoich nie widzisz może tam żywéj duszy innéj, przychodzą na cię dnie i stosunki, gdzie sobie w żaden sposób sam poradzić nie możesz—co? nie byłożby to korzystniéj dla was zamiast w karczmie w takim razie zabawić się i rozerwać i zaciągnąć porady w towarzystwie rolniczém, od rozumnych i uczciwych sąsiadów i mężów najszczerzéj wam życzących, gdzie już tak łatwo, jak w karczmie, nie znajdziecie kpa, ani szalbierza, bo ci, jak djabeł od święconéj wody, stronią od towarzystwa rolniczego!

Jeźli zatém bracia rólnicy! pragniecie dobra własnego i nie życzycie sobie,—jak się to już stało z niejednym—wycierać obce kąty i u ludzi obcych zarabiać na wyżywienie, o! korzystajcież z *towarzystwa rolniczego, gdzie ono istnieje i doń przystępujcie*, *a gdzie nie*, *sami poproście męża, do którego macie zaufanie*, aby się zajął wami i utworzył między wami tyle błogie towarzystwo rolnicze.“

Odezwa ta powtarzana w kalendarzach i pismach, wywarła na lud i inteligencyą ogromne wrażenie. Obywatelstwo zachodnio-pruskie radzić zaczęło, jakby tak chwalebnie rozpoczęty na Kociewiu ruch, dla kultury krajowéj niesłychane obiecujący korzyści, rozpowszechnić na całą prowincyą, a zatrzymując kierownictwo sprawy u siebie, ochronić ją od możliwego wejścia na bezdroże. Skutkiem tych narad w r. 1866 ukazał się w *Ziemianinie* artykuł zapowiadający. że nowy *Bank Kredytowy w Toruniu* zamierza utworzyć wielką kasę oszczędności i wzywa towarzystwa rolnicze ziemiańskie, ażeby pro-

pagowały oszczędność i w celu energiczniejszego działania potworzyły towarzystwa czyli *Kółka parafialne.* Artykuł ten był niejako pierwszą racą oświetlającą plac działania. Zaraz następnego roku zwołali mężowie stojący wtedy (jak i dziś jeszcze) na straży interesów ogólnych w Prusach Zachodnich, w styczniu (16) do Torunia pierwszy t. n. *Sejmik Gospodarski* i postawili między innemi na porządku dziennym rzecz *O gospodarstwach włościańskich*, w której referował T. Donimirski, były dyrektor ziemstwa kredytowego a po dziś dzień nestor obywatelstwa zachodnio-pruskiego.

Sz. referent przedstawiwszy historyą włościan i prawodawstwa agraryjnego w różnych częściach kraju, postawił dwa postulata dla podniesienia rolnictwa włościańskiego: a) aby towarzystwa nasze, jak to robiły i robią niemieckie, wpływały na rozpowszechnienie płodozmianu, dawały włościanom zapomogi lub pożyczki na nasiona roślin pastewnych; b) aby zakładały *towarzystwa pożyczkowe*, z którychby włościanin czerpać mógł kapitał obrotowy dla gospodarstwa i wyzwolił się z pod ucisku lichwy.

Dyskusya w tym przedmiocie toczyła się tylko około sposobu działania w myśl referenta. Mianowicie rozchodziły się zdania w dwu kierunkach: czy tworzyć i utrzymywać towarzystwa *wspólne* dla większych właścicieli i włościan, czy też dla każdéj klasy rolników *osobne* zakładać towarzystwa. Ostatecznie uchwalone rezolucye brzmiały:

1. Każdy oświeceńszy gospodarz ma prawo i obowiązek zakładać miejscowe czytelnie i *towarzystwa rolnicze miejscowe*;

2. Należenie do czytelni i towarzystw rolniczych miejscowych nie przeszkadza bynajmniéj należeniu do towarzystw rolniczych powiatowych;

3. Towarzystwa rolnicze powiatowe mają obowiązek przychodzić w pomoc radą i zakładać czytelnie i *towarzystwa rolnicze miejscowe.*

Sprawa kółek rolniczych włościańskich, otrzymawszy tym sposobem niejako urzędowe *placet* i opiekę przewodniczącéj w społeczeństwie inteligencyi, straciła i dla najoględniejszych nawet, stronę drażliwą, którą upatrywano w samorodności ruchu, przypuszczając iż z czasem mógłby uledz postronnym wpływom niewłaściwym. Zaraz po sejmiku rozpoczyna się po wszystkich towarzystwach i powiatach ruch nadzwyczajny. Zakładają się kółka w Chełmży, Grzywnie, Lissewie, Bruchnowie, Rzęczkowie, Łasinie, Radzynie, Wąbrzeźnie, Kowalewie, Pułkowie, Czersku, Grucznie, Tucholi, Sliwicach, Lubiejewie, Drzycimiu, Pierzchowicach, Starym Targu itd., a Towarzystwo rolniczo-przemysłowe toruńskie, mianuje Kraziewicza członkiem honorowym. Na przyszły sejmik toruński zaproszono go do

Torunia z referatem: O obecnym stanie gospodarstw i towarzystw włościańskich. Z referatu tego dowiedziano się że kółka zachodnio-pruskie objęły już 1647 członków włościańskich.

Na sejmiku toruńskim r. 1867, była także z W. Ks. Poznańskiego deputacya z Centralnego Towarzystwa Rolniczego, złożona z pp. Stanisława Chłapowskiego i Maksymiliana Jackowskiego z Pomarzanowic, późniejszego patrona kółek rolniczo-włościańskich. Żegnając braci zachodnio-pruskich, p. M. Jackowski w te odezwał się słowa: „Budujemy się gruntownością i specyalnością rozpraw i narad waszych, szanujemy i cenimy wysoko pożyteczne acz *odległe* ich cele. Rozstajemy się z wami z rozjaśnionemi pod nie jednym względem pojęciami i rozgrzaném sercem. *Zawieziemy te wrażenia ziomkom naszym* i opowiadać będziemy o pracach waszych, w których oby Bóg wam błogosławić raczył..‘

Wątpić nie można, że delegaci wielkopolscy i że sprawy towarzystw włościańskich zarządowi poznańskiego Towarzystwa Centralnego szczegółowo zdali sprawę. Pan M. Jackowski nie tylko w *Ziemianinie* dał obszerne sprawozdanie z całego sejmiku, ale nawet rozpowszechnił je w osobnéj odbitce. Mimo to, kiedy na zebraniu zarządu centralnego z delegowanymi towarzystw filialnych (27 czerwca r. 1867) postawiono pod obrady kwestyą: czy i o ile byłoby na czasie zakładać *towarzystwa rolniczo-włościańskie* w naszych stronach? tj. w Księstwie, uchwała zapadła, *żeby nic nie tworzyć sztucznie i rozwój sprawy téj pozostawić czasowi.*

Uchwała ta nie świadczy bynajmniéj o zasadniczéj niechęci; była ona w danéj chwili rzeczywiście najodpowiedniejszą. Całe wykształcone społeczeństwo rolnicze zajęte było właśnie przygotowaniami do *Szkoły Rolniczéj w Żabikowie*, już się agitowała sprawa *teatru polskiego*, założenie Towarzystwa Ubezpieczeń i umysły tak były zajęte utrzymaniem luźnych instytucyj dawnych i luźniejszemi jeszcze projektami nowemi, środki materyalne tak były wyczerpane, że wedle słuszności dziwić się nie można, jeśli ziemianie wielkopolscy pragnęli uzyskać trochę wytchnienia, zanim nową a tak ważną sprawę wezmą na swe barki. Nie ufano téż, żeby włościanin wielkopolski należycie już był dojrzałym do zbiorowéj pracy w towarzystwach. Postanowiono tedy nie przyspieszać rzeczy, żeby nie doznać zawodu.

Nic to zupełnie sprawie nie zaszkodziło zresztą, że ją poruczono czasowi i czekać postanowiono, czy w Księstwie znajdą się jak w Prusach Zachodnich odpowiednie żywioły i siły, bo sprawa ta istotnie szła już naprzód o własnéj sile.

Już *przed* sejmikiem, bo w r. 1866 powstały były w W. ks. Poznańskiém pierwsze kółka włościańskie, na co wtedy jeszcze mało zwracano uwagi. Powstały one nie sztucznie, ale wykwitły z dołu naturalnym biegiem rzeczy. Jak zapowiedział Kraziewicz w odezwie swéj: „poproście męża do którego macie zaufanie, aby się zajął wami i utworzył między wami tyle błogie towarzystwo rolnicze“ — tak się téż stało. Włościanin z pod Dolska w powiecie śremskim, był pierwszym, który dał pochop (1) do założenia pierwszego kółka rolniczego w księstwie. Posłuchajmy jak zdarzenie to opisuje współtowarzysz jego a dotychczasowy sekretarz kółka dolskiego, Antoni Banaszczyk, w liście pisanym do patrona: „Gospodarz Dyonizy Stasiak z Księginek, *czytując czasopisma*, dowiedział się, że w Prusach Zachodnich zawiązują się kółka rolnicze. W téj myśli udał się do proboszcza swego, ks. Wiśniewskiego i prosił go, aby on raczył się porozumieć w parafii z najbliższymi obywatelami i *Kółko* założył. Tak téż ksiądz Wiśniewski postarał się o potrzebne do tego statuta, uwiadomiwszy parafian i zarazem najbliższych obywateli na dzień 22 kwietnia r. 1866, w tym dniu kółko nasze założył. Lecz na nieszczęście w tym dniu zaledwieśmy my dwaj ze Stasiakiem z włościan statuta podpisali. Wnet jednak stopniały lody, wielu się zaczęło wpisywać a gdy nam za długo było czekać na miesięczne zebranie, co niedziela zgromadzaliśmy się na posiedzenia.“ Pierwsze (2) to *kółko włościańskie* założył J. Ks. Wiśniewski za pomocą Konstantego Szczanieckiego z Miedzychoda i Juliana Bukowieckiego z Mszczyczyna.

Rok 1866 nie sprzyjał zresztą rozwojowi spraw społecznych. Był to rok wojny niemieckiéj.

Ale w r. 1867 uchwały sejmiku toruńskiego, jak na całe Prusy tak też najsilniéj oddziałały najprzód na sąsiednie Kujawy, gdzie cztery założono kółka. W innych stronach Księstwa stosunkowo również chętnie wzięto się do dzieła. Jeden z pierwszych przyłożył rękę do dzieła sędziwy Libelt, zakładając kółko w Czeszewie (14 kwietnia). Pospieszyli za nim ks. Gałdyński w Dłużynie (23 kwietnia), Węclewski w Nielęgowie (5 maja), hr. Cieszkowski w Wierzenicy (26 maja), Pluciński w Konojedzie (2 czerwca), T. Chłapowski

(1) Drugi to znany mi z tych czasów wypadek w Księstwie, że włościanin z własnej inicyatywy starał się wpłynąć na rozwój oświaty ludowéj. W r. 1864 do stowarz. rolniczego wschowskiego wystósował włościanin Franciszek z Bukowca pod Wschową petycyą o wydawanie *rolniczego pisma ludowego*.

(2) W *Ziemianinie* z 24 lutego r. 1866 w artykule omawiającym kasę oszczędności, jest wzmianka, że *pierwsze* kółko rolnicze w Księstwie założył w Miłosławiu ks. proboszcz Tułodziecki, przetwarzając jedno bractwo kościelne na kółko rolnicze.

w Rąbiniu. Prócz tych założono jeszcze w r. 1867 kółka w Boguszynie, Kolniczkach i w Górczynie pod samym Poznaniem.

Fakta te tak oddziałały na opinią, że zarząd centralny nie mógł jéj już puszczać mimochodem. Na posiedzeniu swem z 3 grudnia r. 1868 na walném zebraniu r. 1869 sam postawił wniosek: „aby walne zebranie poleciło Towarzystwom Filialnym zakładanie kółek rolniczo-włościańskich, stosownie do miejscowych środków i potrzeb włościan i ażeby towarzystwa filialne wyznaczyły do téj czynności komisye, któreby po upłynionym roku *zdały sprawę z osiągniętych rezultatów*. To postanowienie swe potwierdza zarząd w kwietniu r. 1869 dodając, że *nie może puszczać z rąk* téj sprawy.

Na walném zebraniu (29 czerwca r. 1869) dyskusya nad sprawą kółek przybrała szerokie rozmiary. Żądano praktycznych wskazówek, jak się wziąść do rzeczy. J. Bukowiecki, jako prezes kółka dolskiego, referować musiał, jak to kółko powstało, w jaki sposób odbywa zebrania i czém się zajmuje. Rezolucya zapadła, „że bez inicyatywy z góry“ zakładać kółek niepodobna, że wpływ duchownych pożądany, że dla przynęty i istotnéj potrzeby, zakładać należy obok kółek rolniczych *towarzystwa pożyczkowe* a co najważniejsza, że bardzo pożądane są *osobistości apostołujące* jak Kraziewicz w Prusach Zachodnich.

W wyrażeniu tem: *apostołujące osobistości*, poraz pierwszy i mglisto jeszcze wykluwa się i objawia idea dzisiejszego *patronatu*. Instytucya, tak niesłychanie zbawiennie działająca, zwolna, organicznie wykwitła z potrzeby, samorodnie wyłoniła się z rzeczy samćj. Zobaczymy zaraz, jak się to stało i jak stopniowo rzecz dojrzewała.

Walne zebranie centralnego towarzystwa popierając całą powagą swą sprawy kółek, żądało téż corocznie sprawozdań z postępów. Od r. 1869 począwszy zdawał w téj mierze sprawę na walnych zebr niach, członek zarządu M. Jackowski z Pomarzanowic. W r. 1871 podczas dyskusyi nad sprawozdaniem takiem, ubolewającém nad słabym wzrostem kółek, Mieczysław Łyskowski wniósł, iżby walne zebranie poleciło zarządowi: „aby celem uorganizowania i poparcia wszelkich spraw ekonomiczno-społecznych, mających styczność z oświatą i dobrobytem klasy rolniczéj, mianowicie téż włościańskiéj, przybrał stałego, ile możności *płatnego pracownika*.“

Wniosek ten przeszedł a nadmienić tu musimy, że w czasie tym głośno było u nas o tem, jak wielkie korzyści sprawa rozpowszechnienia oświaty między ludem, odnosi w Westfalii i nad Renem, przez instytucyą *nauczycieli wędrujących*. To téż zarząd pragnąc stosownie wykonać ogólnikową uchwałę, postanowił (22 maja) téj właśnie użyć formy i na rok jeden, dla próby ustanowić *wędrującego*

nauczyciela. Z powodu jednak nieuniknionych kosztów, w czasie gdy Szkoła Żabikowska pochłaniała całą uwagę i zbiorowe fundusze Towarzystwa, sprawa nauczyciela poszła w odwłokę. W r. 1872 wprawdzie rozpisano konkurs, na który się zgłosiło 9 kandydatów, ale funduszów nie było. W tém położeniu rzeczy, na walném zebraniu z d. 28 lutego r. 1873, po wysłuchaniu referatu o kółkach włościańskich i wśród wynikłéj stąd dyskusyi, w szczęśliwéj snać chwili, J. Bukowiecki, prezes kółka dolskiego, postawił wniosek, aby Centralne Towarzystwo *uprosiło referenta* M. Jackowskiego *do przyjęcia patronatu* nad kółkami włościańskiemi na wzór *patronatu* (1) w roku 1871 ustanowionego nad spółkami pożyczkowemi i zarobkowemi.

M. Jackowski nie przyjął „patronatu,“ ale chętnie się podjął *pośrednictwa* między kółkami a zarządem Towarzystwa Centralnego. Tak stanęła rzecz formalnie. W istocie już odtąd Jackowski pozostał *patronem kółek rolniczo-włościańskich* i wprowadził sprawę na właściwy tór, którym postępując, stanęła na dzisiejszym stopniu wspaniałego rozwoju, przynoszącym zarówno chlubę społeczeństwu jako mocodawcy, jak niemniéj chlubę i sławę M. Jackowskiemu, jako umocowanemu.

Maksymilian Jackowski urodził się 12 października r. 1816 w Słupi w powiecie pleszewskim z rodziców Józefa i Józefy z Brzezińskich, którzy Słupię dzierżawili. Nauki pobierał w poznańskiém gimnazyum Maryi Magdaleny. Skończywszy nauki a pragnąc pozostać wiernym glebie rodzinnéj, wyuczył się gospodarstwa w Turwi pod okiem generała Dezyderego Chłapowskiego, gdzie w przeciągu jednego roku tyle skorzystał i tyle potrafił sobie zaskarbić zaufania, że odtąd przez czas niejaki prowadził samodzielnie administracyą kilku większych majątków, bądź w Księstwie, bądź w Królestwie. Przeznaczenie zawiodło chciwego wiedzy i poznania świata młodzieńca aż na Podole, nad Dniestr, gdzie o 15 mil od Odessy, wziął w dzierżawę od Teodora Mańkowskiego, Jahorlik i Cybulówkę. Ośm lat przebywszy tamże w najszczęśliwszych warunkach i z widokami najponętniejszemi zrobienia wielkiéj fortuny, uległ w r. 1850 tęsknocie za rodzinnemi stronami i stosunkami. Nie zostanę tu,

(1) Naśladując przykład związku spółek zarobkowych *niemieckich,* których naczelnym kierownikiem, opiekunem, orędownikiem, kontrolerem jest tu *Anwalt,* znany Schultze z Delitsch, ustanowiono i u nas w r. 1871 urząd *patrona* tychże spółek. Patronem spółek jest obecnie ks. Samarzewski z Środy od r. 1872. Z początku urząd ten piastowali krótki czas K. Kantak i K. dr. Szulc. Instytucya ta powiodła się. Zastosowano ją zatém i do kółek włościańskich również z najlepszym skutkiem.

powtarzał podolskim przyjaciołom, choćby mi ziemia wasza *złote kłosy rodzić miała.* Wróciwszy do księstwa, kupił dobra Pomarzanowice, w których dotąd mieszka. Ledwo się rozgospodarowawszy, bo już w r. 1851 wszedł w upragnione życie publiczne, naprzód w powiecie, gdzie należał do założycieli towarzystwa rolniczego powiatów: średzkiego, gnieźnieńskiego i wrzesińskiego; potém w r. 1862 powołany został na członka zarządu Centralnego Towarzystwa Rolniczego, którego został sekretarzem. Od r. 1869 wspólnie z W. Wolniewiczem objął redakcyą *Ziemianina.* Po założeniu Szkoły Rolniczéj w Żabikowie, był członkiem komisyi szkolnéj. W jaki sposób się zajmował sprawami włościańskiemi i jak został patronem kółek już powyżéj wyszczególniliśmy. Dla uzupełnienia wielostronnéj czynności męża tego, dodamy tylko jeszcze, że jako współpracownik a następnie redaktor *Ziemianina*, zasilał pismo to pracami z dziedziny rolnictwa. Prócz tego w r. 1869 wydał broszurę p. t.: „Wskazówki dla kupujących i sprzedających posiadłości ziemskie;“ w r. 1870 wydał: „Rzut oka na nasze zasady, sprawy i potrzeby“ a w r. 1871 obszerniejsze dzieło p. t. „Ułomności nasze narodowe i społeczne.“

Główną służbę społeczną rozpoczął i główną zasługę zjednał sobie Jackowski dopiéro od czasu jak został patronem. Co na tém polu zdziałał—właśnie teraz jeszcze przedstawimy—a wszystko co się tu stało, jest jego dziełem.

Wybór osobistości téj na patrona kółek, był najszczęśliwszym nietylko z powodu, że on jeden w całém społeczeństwie od kilku lat studyował i opracowywał sprawę tę jako referent, ale daleko więcéj jeszcze dla przymiotów osobistych. Rolnik zawołany, sam osobiście zawsze gospodarstwu swemu przodujący, do ludu zbliżony, poznał dokładnie jego charakter, jego przywary i cnoty, wie doskonale, z któréj strony trafić do nieufnéj duszy włościanina, jak go ująć, porwać za sobą. To téż dziś tysiące włościan, należących do kółek, nie inaczéj go nazywają jak *ojcem* i po synowsku rady jego i wskazówki przyjmują.

Otóż co znaczy zamiłowanie, dobra a nieugięta wola *jednostki*, jeśli ją jakaś sprawa dla siebie pozyska. Czego jednostka nie zrobi, tego dokaże zorganizowana gromada czyli towarzystwo. To hasło dzisiejszego czasu. Ale są rzeczy, których najmędrsze, najsubtelniejsze teorye nie stworzą zbiorowemi siłami, jeśli nie będzie jednostki, która sprawę *pokocha* i która w sercach gromady pobudzi *miłość* i *zaufanie.* Przez ileż to lat mozoliło się społeczeństwo, jakby nad jakim większym problematem ewolucyi politycznéj, żeby *zbiorowemi siłami* wynaleść sposób i kształt odpowiedni dla skutecznego roz-

powszechnienia rolniczéj oświaty ludowéj. Daremnie! Przyszło dwóch ludzi światłych a z wielkiém, kochającém sercem—i stanęło—jaje Kolumba!

Pierwszym czynem nowego Patrona było, że sprowadził rzecz z drogi urzędowéj. Dotąd centralny zarząd pisał odezwy, orędzia, rozporządzenia do Towarzystw Filialnych, towarzystwa te wybierały komisye, a w komisyach rzecz tonęła i marła. Patron zaniechał téj drogi. W pierwszym rzędzie użył swych rozlicznych stosunków osobistych. Przyjaciół i znajomych zachęcał osobiście do zakładania kółek, za ich pomocą wyszukiwał inne odpowiednie osobistości, któreby się utworzeniem i prowadzeniem kółek zająć mogły; docierał osobiście w najodleglejsze strony Księstwa, osobiście przewodniczył pierwszym konstytuującym się zebraniom, rocznicom— i otóż takiéj robocie pan Bóg pobłogosławił.

Załączona tu tabliczka wykazuje przyrost roczny kółek od czasu ustanowienia patronatu.

Rok	Liczba kółek	Liczba członków	Ile kółek nie podało liczby członków
1873	32	—	—
1874	43	1192	11
1875	61	2377	8
1876	104	4083	25
1877	110	4494	15
1878	120	3394	22
1879	127	3925	34
1880	130	4300	12

Najliczniejsze kółko w roku 1880 miało członków **144**, najsłabsze **13**.

Statystyka ta wykazuje ciągły przyrost kółek. A jeśli liczba członków w ostatnich latach chwiać się zaczęła, pochodzi to stąd, że dane nie są zupełnie ścisłe, bo dużo kółek nie nadesłało dokładnych liczb, a powtóre stąd, że kółka zaczęły się oczyszczać z obojętnych żywiołów, z członków. którzy niby przystąpili z widoków jakiegoś zysku chwilowego, a następnie przestali pełnić obowiązki.

Statystyka ta sporządzona jest na podstawie sprawozdań, które zarządy kółek corocznie nadsyłają patronowi. Z sprawozdań tych układa się od r. 1874 począwszy *Rocznik*. Obecnie już wyszedł

rocznik siódmy. Rocznik ten jest obrazem dokładnym czynności kółek wszystkich i każdego z osobna. Służy on do kontroli patrona nad kółkami, do kontroli opinii publicznéj nad całym ruchem i do pobudzenia współzawodnictwa między kółkami.

Urządzenie wewnętrzne i obraz działalności kółek poznał już łaskawy czytelnik z programu, zamieszczonego na czele niniejszéj rozprawy. Wypełnia on się ściśle wedle wskazówek i dopełnień patrona. Niepodobna nam jednak zakończyć rzeczy niniejszéj, nie podawszy szkicu, wziętego z życia, jakie się przedstawia w sprawozdaniach rocznikowych.

Ogólnie jeszcze nie ustaje ubolewanie, że obywatele zamożniejsi i światli, za mało czasu i osobistego udziału kółkom poświęcają. Potrzeba rzeczywiście gorącego zamiłowania i niekiedy zaprzania, żeby w tym względzie sprostać wymaganiom. Kto się raz zbliżył do wspólnych obrad z włościanami, od tego oni wymagają, żeby im dotrzymywał placu i regularnie na zebrania przybywał. Niejednokrotnie się zdarza, że prezesi i zastępcy ich, porzucać muszą własne interesa i zabawy, żeby tylko nieobecnością swą nie zrażać włościan. To wielu odstręcza od udziału w kółkach, ale wielu też nie przykłada ręki przez brak zrozumienia ważności téj sprawy i przez prostą niewiadomość, jakby się wziąść do rzeczy, co i jak robić. W ostatnim czasie jednak już i młodsza generacya najzamożniejszych rodzin naszych (1), daje z siebie piękny przykład poczucia obywatelskiego, a przykład ten najlepiéj oddziała na wielu obojętnych.

Wielu też duchownych z gospodarstwem rolném lepiéj obeznanych, czynny bierze udział w kółkach. Ci z dzierżawcami i oficyalistami dworskimi, tworzą główny sztab opiekunów kółek. Obecnie już nawet około 20 włościan piastuje w kółkach urzędy prezesów i sekretarzy. Administracya kółek, mianowicie kasowość, biblioteki i urzędy ławników, prawie wyłącznie są w ręku samych włościan.

Posiedzenia odbywają się co najmniéj raz na miesiąc, dość regularnie, w różnych na ten cel pozyskanych lokalach. Petycya o pozwolenie, żeby się zebrania odbywać mogły w szkołach elementarnych, nie znalazła posłuchu. Wzbroniono nawet nauczycielom wstępować do kółek, chociaż takowe najsumienniéj przestrzegają, żeby się *niczem* nie zajmowano na zebraniach, jak tylko sprawami rolniczemi i ekonomicznemi.

---

(1) Czartoryscy, Czarneccy, Żółtowscy, Mukułowscy, Zakrzewscy, Turnowie, Szułdrzyńscy i wielu innych.

Tak od osobistości prowadzącéj kółko, jak niemniéj i od stosowności miejsca i czasu, w których się posiedzenia odbywają, zależy niesłychanie powodzenie kółka. Kmieć nasz lubi, żeby mu to urządzać najwygodniéj np. w niedzielę po nabożeństwie lub po nieszporach; choć z drugiéj strony nie brak przykładów, że ani słota, ani mrozy, ani śnieżne zamiecie, ani oddalenie, nie powstrzymują gorliwych członków od regularnego przybywania na zebrania.

Na posiedzeniu kółka, bywa referat ustny lub piśmienny z jakiegoś przedmiotu rolniczego lub ekonomicznego, przegląd pism fachowych i pogadanka o robotach polnych i domowych na czasie będących. Referentami bywają najczęściéj członkowie z inteligencyi. Włościanie żywy udział biorą w dyskusyach, a trafnością uwag i spostrzeżeń zadziwiają nieraz inteligentniejszych przewodników. Coraz częściéj się już zdarza, że włościanie sami występują z referatami i odczytami. Lepsze drukują się nawet w organie kółek, toruńskim *Gospodarzu* (od r. 1872), redagowanym przez E. Donimirskiego z Łysomic pod Toruniem.

Bardzo skutecznym okazał się następujący sposób zaciekawienia i ściągania włościan na zebrania. Z funduszów uzbieranych przez składki, które płacą dość regularnie, a pozostałych po opędzeniu kosztów abonamentu pism i niekiedy zakupna machin rolniczych lub rozpłodników do wspólnego użytku, zakupuje się jak najwięcéj drobnych narzędzi, przedmiotów użytecznych, nasion warzywnych i pastewnych i t. p. Wszystko to wylosowuje się na zebraniach między obecnych, tak żeby każdy jakąś drobnostkę wygrał. Chęć zysku i korzyść namacalna, pochwytna, wpływa na udział włościan skuteczniéj nad najwymowniejsze zachęty i nawoływania.

Nie mniéj skutecznym sposobem zachęty do udziału w kółkach są *wystawy rolnicze włościańskie* z nagrodami. Takich wystaw odbyło się już kilka: w r. 1876 w Łojewie (powiat inowrocławski); w r. 1877 w Kostrzynie i Krotoszynie; w r. 1878 w Śremie i Raszkowie.

Od czasu do czasu powiatami i okolicami odbywają się walne zebrania kilku lub kilkunastu kółek. Na dzień taki wybiera się zwykle rocznica założenia kółka, w którego stolicy zebranie się odbywa. Dzień rozpoczyna się uroczyście nabożeństwem, potém odczyt, pogadanka, zabawa ludowa. Na zebrania takie zwykle zjeżdża patron i doznaje od zgromadzonych kmieci najczulszych oznak wdzięczności wierszem i prozą od serca wypowiadanych.

Raz do roku zbiera patron w Poznaniu delegatów ze wszystkich kółek. Wtedy to gromadzi się w murach Poznania drużyna kilkuset włościan na wielkiéj sali bazarowéj. Przybytek ten tradycyjny wszelkich zebrań publicznych i zabaw świetnych, osobliwszą

wtedy przybiera fizyonomią. Patron otoczony sztabem swych najdzielniejszych pracowników, delegatami z zarządu Centralnego Towarzystwa, z towarzystw i kółek pruskich, przewodniczy zebraniu. Sala cała zalana siermięgami, sukmanami, z pośród których gdzieniegdzie tylko wynurza się czamara lub surdutowy przyjaciel ludu. Na loże nawet spieszy już płeć piękna przyjrzéć się zgromadzeniu, które się niczém nie różni od zebrań innych, tylko że bywa liczniejsze, siermięgowe i że na seryo traktuje swą sprawę. Bywa zwykle kilka odczytów, patron załatwia ważniejsze sprawy administracyjne lub wprowadza tu nowe zasady, pomysły, wydaje ogólne rozporządzenia na mocy uchwał zebrania.

Ostatnie walne zebranie w miesiącu marcu r. b. odbyte, szczególny miało urok z powodu, że pierwszy raz na sali bazarowéj przemawiał z mównicy włościanin młody Melchior Ciepielucha z Konarskiego, a z kółka Kórnickiego (1). Młodzieniec ten włościański mówił bez najmniejszego zająknięcia 38 minut „O potrzebach wychowania młodzieży włościańskiéj (2).“ Rozprawa opracowana przez Ciepieluchę *bez obcéj pomocy*, odznaczała się trzeźwym układem i trafnemi uwagami; trafiła też wprost do przekonania włościańskich słuchaczy. Ale głównie imponował mówca całemu zebraniu pewnością, spokojem, miarą w użyciu głosu i nacisku. Włościanie ze łzami radości w oczach słuchali *swego* i rośli w dumę, że z pomiędzy nich taki powstał mówca, którego rozumu i sposobu mówienia, nie jeden pan by się nie powstydził; a przecież wiedzą oni, że Ciepielucha nie jest nauczały ze szkół, że, co umie, zawdzięcza wszystko sam sobie, pilności swéj w czytaniu książek i pism, oraz bywaniu na zebraniach kółek włościańskich.

Patron bowiem a za nim wszystkie zarządy kółek nieustannie nad tém pracują, żeby gospodarze na zebrania ze sobą przyprowadzali synów niedorostków i dorastających. Przez kilka lat agitacya w tym punkcie była prawie zupełnie daremną; dopiéro sprawozdania z ubiegłego roku, zaczęły pod tym względem wykazywać lepszy rezultat. Przykład Ciepieluchy, w roku bieżącym zapewne daleko świetniejsze wykaże owoce.

Teraz już chyba pozostaje nam tylko jeszcze pod względem rolniczym i ekonomicznym zaznaczyć rezultaty działania kółek i postępy w kulturze.

---

(1) Prezesem kółka jest dr. Celichowski z Kórnika.
(2) Rekopis wzięto na pamiątkę do archiwum Tow. Przyjaciół Nauk.

Sporządzić statystykę ludności i własności włościańskiéj, jest zwłaszcza dla człowieka prywatnego rzeczą niepodobną. Podobno nawet wykazy ziemstwa są pod tym względem niedokładne, bo własność włościańska znajduje się nieustannie w ruchu bardzo ożywionym. Tu większe obszary się parcelują i zmieniają na włościańskie, tam mniejsze posiadłości zlewają się w folwarki lub wcielają się do dominiów. Niepodobna zatém wydobyć stosunku liczby ogólnéj gospodarzy włościańskich (zwłaszcza polskich) do liczby uczestników kółek. Liczba ostatnich przedstawia oczywiście jeszcze bardzo drobny ułamek w stosunku do nieznanéj całości, ale bądź co bądź, jeśli zważymy, że skutkiem działania kółek, dziś już w Księstwie jest przeszło 4.000 poprawnych gospodarstw włościańskich, niepodobna przypuszczać, żeby fakt taki nie miał wpływać znamienicie na podniesienie kultury krajowéj. Liczba ta już sama przez się jest poważną, a przecież sam przykład dobry i zachęcający tych gospodarstw poprawnych, oddziaływa znów daléj na sąsiadów i sąsiednie wsie. Siew kółek rozplenia się daleko po za ich granice.

Szczególnie rozpowszechniły się za pośrednictwem kółek płodozmienne gospodarstwa, lepsza uprawa roli, chów poprawnego inwentarza, idący za upowszechnieniem okopowizn i traw. Włościanie pracują dziś poprawnemi narzędziami, sprowadzają sobie na koszt własny lub wspólny drobniejsze machiny rolnicze, jak siewniki, sieczkarnię, młockarnie itp. Chętnie zmieniają siew, biorąc czyste ziarno z dominiów, albo sprowadzając z zagranicy żyta zelandzkie, proboszczowskie, hiszpańskie, pszenicę kostromkę, sędomirkę, frankensteinską lub angielską itp. Niedostatek mierzwy zwierzęcéj zastępują mierzwami sztucznemi. W r. 1875 jedno kółko krotoszyńskie użyło pod oziminę 1000 cetn. kości. W r. 1878 oblicza patron, że kółka sztucznego nawozu sprowadziły 4.000 cetn. w r. zaś 1880 już 6.000 ctn. przez co wedle obliczenia jego, czystego zysku do kieszeni włościan wpłynęło około 90.000 marek—tylko z tego jednego ulepszenia, podnoszącego urodzajność gleby.

Szczególną uwagę zwracają zarządy kółek na poboczne a łatwy dochód przynoszące gałęzie gospodarstwa, mianowicie na sadownictwo i pszczolnictwo. Pierwsze idzie jeszcze oporem, ale za to pszczelnictwo robi bardzo znaczne postępy. Kraina Piastów wraca do dawnych tradycyj. Patron osobliwą troskliwością otacza właśnie tę gałąź domowéj zarobkowości. Na własny koszt posela on młodych a chętnych włościan na naukę do uczonego i doświadczonego bartnika, Kremera w Środzie, gdzie kurs przebywszy, wracają do zagród ojczystych urządzać pasieki. W r. 1880 wykształciło się tym sposo-

bem 16 młodych bartników. Towarzystw pszczelarskich jest już na księztwo aż dziewięć:

Czynność i wpływ kółek nieograniczają się na samym łanie włościańskim i jego zagrodzie. Potrafiły one wywrzéć nacisk już i na stosunki z innemi warstwami ludności rolniczéj i na same władze. Wskutek głośnych życzeń objawianych w kółkach, i stąd spowodowanych starań stanów powiatowych, zmienioną została ordynacya drogowa w W. ks. Poznańskiem, a z kmieci spadł ciężar darmoch w poprawianiu dróg na obcych gruntach. Głośne domaganie się włościan o odpowiedni kredyt hypoteczny, spowodowały ziemian do starań u władz odnośnych. Ostatecznym wynikiem tych starań jest, że dziś już nowe ziemstwo kredytowe poznańskie wydaje listy zastawne i na posiadłości włościańskie. Jak słyszę, włościańscy dłużnicy ziemstwa należą do najpunktualniejszych płatników rat prowizyjnych.

W wielu miejscach obok kółek rolniczych pozakładano *spółki pożyczkowe.* Kraziewicz uważa zakładanie spółek pożyczkowych jako najskuteczniejszą ponętę do utrzymania towarzystw rolniczych włościańskich w należytéj żywotności. Ułatwienie kredytu obrotowego dla włościan, uważa T. Donimirski (Sejmik Tor. 1867) za kwestyą równie żywotną, jak zaprowadzenie płodozmianu. Pod tym względem dużo jeszcze pozostaje do zrobienia.

Oporem idzie też w kółkach praca około rozpowszechnienia zabezpieczenia *od ognia i gradu.* W każdém kółku, na każdém nieledwie zebraniu, miejscowém, powiatowém i walném, zarządy i referenci i patron przekładają, zapewniają, wyświecają korzyści zabezpieczenia. Patron z jedném z towarzystw zabezpieczających zawarł umowę korzystną dla członków kółek, żeby ułatwić, uprościć procedurę a obniżyć premie, a mimo to zwolna tylko nakłaniają się włościanie do zabezpieczenia. Wydać pieniądz na coś na razie niepochwytnego, niejako na przepadłe, jest dla włościanina naszego jeszcze rzeczą trudno do jego pojęć wnikającą. Klęska niekiedy spadająca na nieusłuchanych, lub korzyść doświadczona ze strony poszkodowanych a wynagrodzonych, skuteczniéj działa. Z czasem lody i tu się przełamią.

Jako wielką moralną zdobycz cywilizacyjnéj idei kółek zapisać należy, że odwodzą włościan od marnotrawienia czasu na zbytkach i zabawach karczemnych. Co więcéj, zdarzył się taki wypadek, że członkowie kółka żnińskiego, ze wsi Sarbinowa i Jaroszewa, ażeby położyć tamę pijaństwu, *zamknęli* z własnego popędu *karczmy*, z wielkim dla własnych dochodów gminnych uszczerbkiem.

Jak żnińskie kółko zwycięzko wystąpiło przeciwko *pijaństwu*, tak kółko w Jankowie Zaleśném, pod przewodem J. Andersza i ks. Jastrzębskiego, rozpoczęło walkę z *lichwą*, plądrującą po tamtéj okolicy. Lichwiarze, wywłaszczający włościan, zwykli tam byli gospodarstwa puszczać innym gospodarzom w dzierżawę lub odprzedawać takowe z wielkim zyskiem, wywołując między gospodarzami formalne licytacye. Kółko związało wszystkich członków, a za ich pośrednictwem wszystkie wsie okoliczne, że ceny dzierżaw i kupna normują się w takich razach przez naznaczone komisye, a nikomu nie wolno sąsiada podbijać. Dotąd nikt się z pod tego prawa nie wyłamał.

Naturalnym wynikiem ruchu kółek jest i to, że około nich zaczyna się grupować osobna gałęź literatury. Wspomnieliśmy już, że wyszło siedm *Roczników* (1), zawierających sprawozdania roczne, protokóły posiedzeń walnych i sprawozdanie patrona. *Gospodarz*, pisemko rolnicze tygodniowe, wychodzące w Toruniu, jest organem kółek. Zamieszcza on nietylko sprawozdania z powiatowych zebrań, lepsze odczyty włościan i niewłościan, na posiedzeniach kółek miewane, ale także protokóły z lustracyi gospodarstw, jakie kółka u swoich członków odbywają.

Odczyty wychodzą także w osobnych odbitkach. Z tych wymienimy następujące:

1. Riwoli: O wychowaniu młodzieży włościańskiéj 1875.
2. Ks. Antoniewicz z Bnina. O zacności stanu włościańskiego jako stanu rolniczego 1878. O obowiązkach włościanina gospodarza, jako głowy rodziny 1879.
3. Ksiądz z Pawłowa (ks. Wartemberg). Brak obrachunku największą przyczyną upadku majątków ziemskich 1880.
4. F. Chojnacki, O bogactwie krajowém i sposobach podniesienia takowego 1878.
5. E. Brudzewski, O Pszczelnictwie 1879.
6. Patron, O Majoratach chłopskich 1880.

Stanęliśmy u kresu. Staraliśmy się pokrótce przedstawić cały półwiekowy ruch umysłowy, odbywający się w Wielkopolsce i Prusach Zachodnich w zamiarze podniesienia rolniczéj oświaty ludu, którego to ruchu ostatecznym owocem są *kółka rolniczo-włościańskie*. Praca to nie łatwa. Nie dla tego, żeby sama przez się była trudną,

(1) Wychodzą nakładem drukarni J. I. Kraszewskiego w Poznaniu.

lecz że dziś już bardzo trudno zebrać pod jedną rękę wszelkie materyały, choćby tylko gazety i pisma, spraw tych dotykające. Przyznaję, że tylko urywkami z materyału tego korzystać mogłem i wiem, że może pominąłem niejeden szczegół, któryby rzecz lepiéj rozświecił. Przyznając to, prosić muszę o pobłażliwość. Zadawalniam się tém może nie zupełnie płonném przypuszczeniem, że dla kogoś, co lepiéj zna lub rozpoznać będzie mógł stosunki, zwłaszcza osobiste z owych czasów, przynajmniéj przygotowałem pierwszy tór i drogę.

Dr. Władysław Łebiński.

KOMETA.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

XIV.

Wieczór u pani Euzebii już się rozpoczął. Na kanapach zasiadły stateczne matrony i milczą z należytą powagą. Po rogach salonu przy małych stolikach ugrupowało się młodsze towarzystwo, które wesoło szczebiocze i głośno się śmieje. Jest tu różnokolorowy bukiet pięknych kwiatów. Każdy nowy przychodzień w czarnym fraku i białéj chustce pod szyją sprawia pewne poruszenie w tym bukiecie. Kwiaty zwracają się do siebie i mówią coś półgłosem i śmieją się.

Pod piecem i bliżéj drzwi ulokował się luźny zastęp młodych mężczyzn. Jest on ruchomy i miesza się co chwila. Jedni cofają się w tył, drudzy występują naprzód. Jeszcze się akcya wieczoru nie rozpoczęła, dopiéro stroją się instrumenta. Jeden drugiemu podaje akord—na uwerturę wszyscy czekają. Nie wiedzą, kto ma jeszcze przyjść, a kto już nie przyjdzie. A przecież wiedza taka jest konieczną.

Towarzystwo zebrało się dzisiaj nadspodziewanie licznie, dzięki zabiegom pana Filemona i pani Euzebii. Użyto wszelkich wpływów, aby różnorakie sfery i wyznania i przekonania połączyły się pod jednym sufitem. I dokazano wielkiego dzieła zaiste. Ludzie, którzy w zwykłych stosunkach swoich do pewnego tylko przywykli towarzystwa, ujrzeli się nagle obok takich, których albo nigdy nie znali, albo bliżéj nie widzieli. Uprzejma gospodyni zbliżyła ich wprawdzie do siebie, wymieniła nazwisko jednego i drugiego i tém skończyło się. Nowi znajomi przymówili do siebie słów kilka i—zamilkli. *Quis scit*, co za górą? Ztąd też poszło, że w napełnionym

już salonie zapanowała wkrótce cisza uroczysta, jaka zwykła panować na rekolekcyach w wielki piątek.

Przewiduje to jednak każda gospodyni domu podobna do pani Euzebii. W takim razie urządza się koncert, deklamacya lub w najgorszym razie odczyt jaki lub teatr amatorski. Nikt wtedy nie potrzebuje mówić do sąsiada—a dla tych, co mają coś do mówienia, jest to właśnie pora najlepsza. Pyszne akordy Erarda lub tryl na wysokiém C mają to do siebie, że pobudzają do rozmowy w naszych salonach nawet tych, którzy wcale mówić nie lubią. Jest więc wygodnie dla jednych i drugich. A dla starszych, którzy już z innych rozkoszy świata tego abdykują, jest zielony stolik, francuskie lub węgierskie i dobre cygara.

Oficyalny program wieczorku był już wiadomy. Nadworny pani Euzebii poeta miał odczytać wiersz swój ostatni na cześć zadżumionéj Wetlanki, która dla poezyi stworzyć miała nowych bohaterów. Za nim miał deklamować asystent magistratu, w którym pani Euzebia odkryła nowego Talmę. Potém nastąpiła kolej na pannę Eufemią, siostrę żony dyrektora, która miała odśpiewać „Adieu" Schuberta, w końcu miała zagrać na fortepianie pewna nieznana dotąd w towarzystwie znakomitość.

Weszła właśnie w téj chwili do salonu — a weszła z niemałym efektem. Jakby dla niéj naumyślnie zapanowała właśnie głęboka cisza. Usłyszano najprzód turkot powozu, potém głośny dźwięk dzwonka, a za chwilę, zaszeleściło w przedpokoju, jakby legion skrzydlatych aniołów z nieba na ziemię się spuścił. Wystarczyło to do sprawienia ciszy i powszechnego oczekiwania. Turkot powozu, głośne dzwonienie, które zdradza rękę lokaja, i szelest jedwabiu francuskiego. Włoski nie tak szeleści. Do tego jeszcze między szelestem a wejściem do salonu nastąpiła zbyt długa pauza, co jeszcze wyżéj nastroiło ciekawość zgromadzonych w salonie...

Wstrzymano oddech, oczy zwrócono na drzwi...

Wreszcie otworzyły się. Z ciemnych ram wypłynęła nagle uderzająca postać kobiéty. Wzrost miała wysoki, kibić wysmukłą i wiotką jak trzcina. Zdawało się, że się ugnie i złamie za pierwszym krokiem..

Czarna, jedwabna suknia wlokła się za nią jak cień tajemniczy w nocy miesięcznéj... Suknia miała białe koronki i białemi była ubrana kwiatami. Byłoby w tém coś żałobnego, coś tragicznego, gdyby nie było — modném. Najświeższy żurnal podawał taki strój wieczorowy.

Strój można dobrać do twarzy, ale twarzy innéj trudno było do tego stroju znaleść. Twarz ta była blada, pociągła—usta miały

uśmiech melancholijny, a oczy podłużne i z pewną utajoną boleścią zmróżone, patrzały z obojętnością zachwycającą przed siebie tak jak patrzy lunatyczka, gdy po rynnie wysokiego domu schodzi, lub nieboszczka, która dopiéro co skonała i jeszcze oczu nie zamknęła!...

Powszechny szmer dał się słyszéć w salonie...

Gospodyni pospieszyła do czarnéj damy, podała jéj rękę i przyprowadziła do najwspanialszéj kanapy, gdzie siedziały najokazalsze matrony.

— Pani Laurencya! — rzekła na lewo i na prawo, a przybyłéj damie powiedziała w zamian kilka innych nazwisk.

Nastąpiły ukłony i milczenie, poczém zajęła pani Laurencya jeden z próżnych foteli przy framudze okna.

Teraz rozpoczęły się komentarze. Kto jest pani Laurencya? Taka piękna, tak wytwornie ubrana, a dlaczego ma taki smutny wyraz na twarzy? Dlaczego weszła na wieczór bez owego towarzyskiego uśmiechu, który przecież należy się tak wyborowemu zgromadzeniu? Czy to aktorka, która dopiéro co złożyła kostium Judyty i głowę Holofernesa schowała do teatralnéj szkatuły?...

— Czy nie zna pani bliżéj téj pani Laurencyi — pytała zielona atłasowa suknia, swojéj kanapowej sąsiadki w pancerzu dziewicy Orleańskiéj.

— I owszem — odparł pancerz *a la Jeanne d'Arc*—jest to ta sama, która mieszka w willi hrabiego X.

— Proszę! Po raz pierwszy ją widzę! Tyle mówią o niéj... Hrabia Izydor... czy ona mężatka?

— Rozwiodła się z mężem!

Na kanapie daje się spostrzegać pewien szmer nieukontentowania. Ciekawe przed chwilą spojrzenia zaczynają się odwracać od rozwódki, a te, które się jeszcze jéj dostają, oznaczają pewne lekceważenie lub... litość chrześciańską.

— Coś niepewnego, już sam rozwód ukrywa jakiś skandal— odzywa się daléj Jeanne d'Arc—a jakie imię dziwaczne! Któraż kobiéta wybiera sobie za patrona św. Wawrzyńca?... Kto ona z domu?

— Ma być z dobrego domu. Ciotka jéj pani Hortensya jest stryjeczną siostrą hrabiego Mieczysława, a jéj babka jest bliską krewną kniaziów...

— A! Proszę!

Damy kanapowe zwracają się w połowie do czarnéj damy. Nasrożone przed chwilą twarze łagodnieją...

— Zapewne należy do tych rodzin podupadłych — sonduje po chwili zielona suknia.

— Przeciwnie—odpowiada pancerz—jest bardzo bogatą. Ma mieć okrągły milion!

— Milion! Milion!

I całe towarzystwo kanapowe porusza się z pewném uczuciem bardzo przyjemném!

Nastąpiła cisza. Była-to cicha adoracya miliona. Serca biły podwójnie pod jedwabiem i koronkami.

Po chwili ozwała się rycerska Jeanne d'Arc.

— Różnie to bywa na świecie. I majątek nie chroni od nieszczęścia. Ciągnie się ono za człowiekiem jakby fatum!

— Co pani mówisz! — odparła z zapałem zielona suknia— a gdzież szukać prawdziwego nieszczęścia jeżeli nie u nas? Biedni nie mają czasu być nieszczęśliwymi. Pracują przez cały dzień na kawałek chleba, a jeżeli licho jakie do ich drzwi zakołata, nie słyszą tego, a licho jak odprawiony biedny podróżny, idzie daléj! Jest to jedyne ich szczęście, którego im zazdrościć można.

— Najprawdziwsza prawda! Dlatego różne nieszczęścia, jakie nawiedzają ludzi w dostatkach urodzonych, nie wszyscy rozumieją. Rzucają zaraz kamieniem, tworzą różne historyjki, mówią o skandalach, a tymczasem są to w najgorszym razie tylko tragedye, dla których spektator z parteru powinien mieć uszanowanie! Ale parter i galerya nigdy tego nie pojmą!

— W saméj rzeczy, stosunki ludzkie są często tak komplikowanéj natury, że trudno być sędzią!

— Dlatego stoi napisano: nie sądźcie!

— Ja zawsze w takim razie jestem skłonną do rozgrzeszenia, w pewnym stopniu—rozumie się...

— Naturalnie... rozumie się... ale gdzie o to rozumienie tak trudno, to nie trzeba rzucać kamieniem...

— Tysiące tajemnic kryje się przed okiem świata w takich wypadkach, a kto ich odgadnąć nie umie, nie powinien sądzić.

Zapanowało milczenie. Spojrzenia na czarną damę były już bardzo łagodne, a nawet okazywały pewien stopień sympatyi.

— Z jakim gustem suknia zrobiona — mówiono daléj na kanapie—ani za wiele, ani za mało—w samę miarę. Kobiéta która tak się ubrać potrafi, nie może być posądzoną o żadną ekstrawagancyą. Patrz pani ta gęsta berta sięgająca pod szyję...

— Koronki brabanckie! Żadnych precyozów, na kolcach wiszą tylko jakby na pajęczynie dwa brylanty! Ale jakie brylanty!...

— Nieszczęśliwa kobiéta—smutek wieje z jéj twarzy!

— Jeszcze w tak fałszywéj pozycyi towarzyskiéj!

— Ręczę pani, że może być godniejszą kanapy od niejednéj z naszych matron znakomitych!...

— Nie przeczę temu!

— Trzeba się do niéj zbliżyć... ośmielić ją!

XV.

Podczas gdy na kanapie taki nagły przewrót odbywał się na korzyść czarno-białéj damy, stał Teodor między piecem a drzwiami i patrzał w lewy kąt salonu, gdzie był ruchomy bukiet kwiatów, a między któremi uderzała biała lilijka z niebieską szarfą.

Młody astronom wyglądał wcale pokaźnie. Frak miał przyzwoity, biały krawat odbijał bardzo dobrze od czarnego zarostu. Lewa ręka trzymała szapoklak z czerwoną podszewką, a prawa zatrudnioną była przy lornetce, któréj nie z próżności, ale rzeczywiście z powodu krótkiego wzroku używał. Bujne jego włosy, choć nie widziały dzisiaj fryzyera, uznały jednak za rzecz konieczną zastosować się do innych i w tym celu rozdzieliły się same na dwie połowy z taką symetryą, jakby je najwprawniejsza ręka dzieliła. Tylko twarz młodego Kopernika nie chciała się ułożyć na wzór innych. Była ona podłużna i miała wyraz pewnego ukrytego cierpienia. Oczy były także owiane pewnym smutkiem i nie miały bynajmniej owego wyzywającego wyrazu, jaki się malował w oczach otaczających towarzyszy. Można-by go było posądzić, że przyszedł na wieczór z jakąś myślą niedokończoną, z jakiemś marzeniem przerwaném, z żalem po jakiejś zgubie, któréj jeszcze nie odszukał. Właśnie szuka jéj w głębi duszy swojéj...

Tak mówiła twarz Teodora, ale nie mówiła zupełnéj prawdy. Drżała jeszcze na niéj boleść zmylonego rachunku — jeszcze linia nieodgadnionéj elipsy nie zupełnie się zatarła, a ogon szalonéj komety jeszcze migotał w kącie źrenicy—ale mimo to wszystko uwaga jego zwróconą była na białą lilię z błękitną szarfą, która właśnie stała do niego profilem i tak samo otworzyła spragnione usta jak wtedy, gdy ją widział śpiewającą.

Jeden tylko przedmiot pociągał czasem oczy jego na siebie. Było-to oblicze zacnego dyrektora, które dzisiaj zamiast zwykłego uśmiechu, miało na wysokiém czole dwa zmarszczki pionowe a trzy poziome. Zmarszczki te uwydatniały się jeszcze bardziéj, gdy na Teodora się zwróciły. Nie mogąc sobie wytłómaczyć ich znaczenia, zapytywał Teodor dyrektora niewinnym rumieńcem, który zawsze twarz jego oblewał, chociaż sam o tém nie wiedział.

I tak wędrowały jego oczy z białéj lilii na pomarszczone czoło zacnego dygnitarza i z dygnitarza na lilię, z tą jednak różnicą, że z oczami białéj lilii nigdy się nie spotkały a z oczami dyrektora zawsze.

Nie umiał sobie wytłómaczyć téj zagadki. Miałżeby dyrektor być Argusem téj niewinnéj a przybladłéj mocno lilijki? Czy ma dla niéj już coś upatrzonego? Może proteguje właśnie jakiego kandydata do katedry języków starożytnych?

Teodor rozśmiał się z ironią.

— Gdyby tak było rzeczywiście—pomyślał sobie—gdybym miał zamiar zbliżyć się do panny Eufemii w widokach matrymonialnych, jakież porównanie może być między mną a pierwszym lepszym kandydatem, choćby nawet do katedry języków starożytnych?...

I z dumą podgarnął włosy do góry.

— To śmiesznie ze strony tego człowieka—myślał daléj—mnie, mnie porównywać z takim kandydatem—mnie, dla którego stoi otworem cały świat ze swemi laurami, zaszczytami z nekrologiem...

Urwał nagle, bo nekrolog był jeszcze niepotrzebny.

— A z resztą — myślał po chwili — przecież biorąc rzeczy na seryo... nie można tak zaraz być posądzonym o rzymskie względem Sabinki zachcianki?

Podgarnął jeszcze raz włosy i spojrzał groźnie na dyrektora w poczuciu swojéj obrażonéj wyższości nad kandydatem lingwistyki. Dyrektor niezrozumiał tego spojrzenia i wziął je za wypowiedzenie otwartéj wojny. Twarz jego posmutniała lecz czoło okryło się jeszcze grubszemi zmarszczkami. Miał to być dowód niezbitéj jego energii, jeżeli tego okaże się potrzeba.

W téj chwili spojrzała Eufemia na Teodora. To spojrzenie złamało nagle całą jego butę. Była w niem jakaś niema prośba, było żądanie, aby się hamował, aby miał nadzieje, że mimo oporu dyrektora i uporu kandydata lingwistycznego wszystko może się dobrze zakończyć!...

Coś podobnego było w spojrzeniu Eufemii, a jéj sympatyczny profil, co się w téj chwili zwrócił do niego, dopowiedział resztę. Młody astronom darował dyrektorowi jego groźne zmarszczki, darował mu owo lekceważące wydęcie ust, z jakiem patrzał na niego— i powziął myśl sam z oliwną gałązką zbliżyć się do niego i skromnie obok kandydata lingwistyki przy bladéj Eufemii stanąć. I właśnie w tym celu szukał oczyma gospodarza lub gospodyni, aby groźnemu dygnitarzowi dać się przedstawić... gdy nagle zaszeleściła koło niego suknia jedwabnna, a przed nim stanęła pani Euzebia.

— Właśnie szukam oczyma pani — ozwał się młody człowiek.

— Bardzo wierzę—przerwała mówiącemu pani Euzebia, że pan memi oczyma w téj chwili patrzałeś!

Teodor zarumienił się. Myślał właśnie o profilu.

— Chciałem właśnie prosić—ozwał się nieśmiało, patrząc z ukosa na dyrektora.

— Przeczułam to i sama przychodzę do pana.

— Zbyt wiele łaski, na którą niezasłużyłem!

— Ludzie podobni panu zasługują na wszelkie łaski...

— Byłbym bardzo szczęśliwy...

— To już rzecz nie moja!... Dziwny sprawia urok, nieprawdaż?... Właśnie mówiłam z nią o panu...

— O mnie?

— Przecież pan na to zasłużyłeś! Kto w nocy bezsenne po niebie lata i tam gwiazdy śledzi... kto tak trafnie o błędnych drogach komet pisać umie, ten przecież zasłużył na to, aby jedna z gwiazd dzisiejszego wieczoru o niego się zapytała!..

— O mnie się zapytała? Czyż to być może?

— Tak jest—i bardzo rada poznać pana bliżéj. Ludzie wyższego poziomu, jak artyści, poeci, uczeni sprawiają na bolejących duszach szczególne wrażenie. A ona cierpiała, wiele cierpiała!

— Wiele cierpiała?

— Była w krótkiem pożyciu z mężem bardzo nieszczęśliwa.

— W pożyciu z mężem?

— Chodź pan! Przedstawię pana!

I zanim młody astronom mógł się po ziemi dobrze obejrzéć, zanim mógł w głowie swojéj to wszystko uporządkować, co w téj chwili od pani Euzebii usłyszał—już stał przed czarną damą, która osamotniona siedziała na fotelu we framudze okna. Kanapowe damy jeszcze się do niéj nie zbliżyły.

— Otóż przedstawiam pani naszego młodego astronoma—ozwała się pani Euzebia, o którym przed chwilą mówiłyśmy.

Pani Laurencya uśmiechnęła się wdzięcznie i wskazała ręką na próżny fotel koło siebie.

Teodor usiadł, bo rozkazu takiego musiał usłuchać. Duże czarne oczy przeszyły go wskróś, drobna rączka zdawała się trzymać berło królewskie (a był to tylko wachlarz) a na różowych ustach zaświtał tak czarujący uśmiech, że młody astronom nagle o niebie i jego gwiazdach zapomniał!

— Pan wybrałeś sobie astronomią?—rzekła do niego głosem przypominającym legendę o muzyce sferycznéj—piękna, prawdziwie boska nauka!... My kobiéty lubimy często marzyć o niebie... patrzymy na gwiazdy, gdy nam smutno na ziemi... wybieramy nawet sobie

jedne w tych gwiazd i jak astrolog chcemy z jéj światła odczytać przyszłe losy marzeń naszych... ale od tych fantazyj kobiecych do prawdziwéj nauki jeszcze bardzo daleko!... Nieprawdaż? Czyż niemam słuszności?

Tu błysły jéj oczy jakiemś światłem czerwoném jak światło Marsa. Teodor widział to światło i uczuł nawet, że było gorące. Ozwał się po chwili:

— Między fantazyą kobiecą a samą nauką o niebie nie ma tak wielkiéj różnicy jak pani sobie wyobrażasz. W astronomii dzisiejszéj jest jeszcze bardzo wiele fantazyi, chociaż z drugiéj strony nie można zaprzeczyć, że zapomocą ścisłych nauk przyszliśmy do wielkich rezultatów!... Wszystko jednak razem wziąwszy—kto wie czy nie lepiéj jest patrzyć na niebo okiem kobiéty niżeli zimném szkłem astronoma, które mu więcéj tajemnic okazuje w tych bezbrzeżnych i niezgłębionych przestrzeniach niżeli fantazya kobiéty wymarzyć zdolna!...

— Powiedziałeś pan bardzo pięknie i grzecznie!

— Mówiłem bez żadnéj myśli ubocznéj.

— Słyszałam, że pan obserwujesz dzisiejszą kometę.

— Kometa jest zawsze zjawiskiem bardzo ciekawém.

— Powiedz mi pan najprzód, jakiego rodzaju u pana jest kometa? Pod tym względem różnią się zdania.

— Właściwie wnosząc z greckiego pochodzenia téj nazwy, powinien tu być rodzaj męzki.

— Nieprzeczę—ale opinia publiczna chce koniecznie w téj błądzącéj czy raczéj błędnéj gwiazdzie widziéć... kobiétę! Czy ma słuszność ta opinia publiczna?

Teodor uśmiechnął się.

— Nec Hercules contra plures—odparł po łacinie zapomniawszy do kogo mówi, bo w téj chwili jakoś lepiéj wydawała mu się kometa w szacie kobiecéj...

— Więc pan nic niemasz przeciw temu—zauważyła pani Laurencya—aby kometa była kobiétą? Bardzo mi wiele na tém zależy!

— Używasz pani tylko przywileju większości.

— Więc dobrze—o takiéj komecie chcę z panem dłużéj pomówić!... Ach deklamują „Ojca zadżumionych“... mimowolnie przypomina mi się Wetlanka... trzeba jednak posłuchać.

Nastało milczenie. Asystent magistratu dobył właśnie czerwony fular i odchrząknął po raz wtóry, aby dla „Ojca zadżumionych“ sprawić należytą ciszę.

Rozpoczął. Teodor miał teraz sposobność zebrać nieco myśli, które śród rozmowy o astronomii pod marsowem światłem ciemnych

oczu trochę się pogmatwały. Jeszcze nie mógł się dobrze rozpatrzyć w nowém swojém położeniu. Dążył do czegoś innego, a tu nagle zastąpiło mu coś drogę, czego tak prędko ominąć nie mógł.

Spojrzał nieznacznie na swoję sąsiadkę. Była bardzo piękną, a co więcéj, miała w każdym ruchu, w każdém spojrzeniu i uśmiechu tyle wdzięku, że patrząc na nią doznawało się jakiejś dziwnéj rozkoszy.

Teodor patrzał przez czas niejaki. Mimo objawionéj początkowo pewnéj niechęci sprawił na nią wygłoszony poemat silne wrażenie. Twarz jéj zmieniała wyraz stosownie do obrazu—usta drżały boleścią, a w oczach jak przepaść głębokich, migotały światła jak ognie bengalskie... Była to widocznie dusza wrażliwa.

Teodor zamyślił się i w zamyśleniu powiódł okiem po zgromadzeniu. Oko jego zatrzymało się nagle na białéj sukni z niebieską szarfą. Była to Eufemia. Patrzała na niego i bawiła się wachlarzem rozkładając go i zamykając. Na nią z rzewnym zagadkowym uśmiechem patrzała siostra.

Hiszpan byłby może z ewolucyi tego wachlarza bardzo wiele wyczytał, ale Teodor nie znał mowy wachlarzowéj. Prędzéj może potrafiłby rozmawiać z gwiazdami.

I stało się zadość jego chęci. Poemat skończył się nie śmiercią tragiczną zadżumionych, ale rzęsistemi oklaskami i radosnym uśmiechem na spoconéj twarzy asystenta magistratu, który kłaniał się na wszystkie strony.

Pani Laurencya nie klaskała, ale siedziała czas niejaki w głębokiem milczeniu. Potém zwróciła się do Teodora.

— Powiedz mi pan—ozwała się, co pan sądzisz o kometach?

Teodor rozśmiał się.

— Pani jesteś okrutną dla nauki—odrzekł—zadałaś pani bez namysłu takie pytanie, na które sama nauka, a cóż dopiero nieudolny jéj adept, tak prędko i krótko odpowiedzićć nie może!

— Wszak to kobiéta tylko pyta—zastosuj pan do niéj odpowiedź.

Po krótkim namyśle zaczął Teodor.

— Przypuszczamy że ruch ustalonych ciał niebieskich odbywa się po ściśle określonych liniach. Mają one swoje centra, koło których regularnie krążą. Kometa zaś wyłamuje się z tego porządku i biega sobie kapryśnie. Dlaczego to robi, co ją do tego zmusza, to jest tajemnicą niedocieczoną!

Pani Laurencya spojrzała z uśmiechem przed siebie.

— Powiedziałeś pan—ozwała się po chwili—że kometa wyłamuje się z przepisanego porządku i zamiast kręcić się w kółko jak

inne, biegnie gdzie ją oczy poniosą. Astronomowie nie wiedzą, gdzie biegnie, a i ona sama o tém nie wie! Jest więc ona poprostu awanturnicą niebieską, która porządek świata wywraca i jeszcze po drodze Jowisza lub Marsa z poważnego toru zepchnąć może! Czy tak?

Rozśmiał się serdecznie Teodor.

— Wybornie skreślasz pani charakter komety!

Na twarzy pani Laurencyi drgał uśmiech zmieszany z pewną rzewną boleścią. Mówiła daléj:

— Jednéj jednak rzeczy nieuwzględnia astronomia. Wydawszy wyrok na biedną kometę, że się wyłamuje z pod praw porządku, że tworząc sobie odrębną egzystencyą leci niebaczna w przepaść i drugim jeszcze spokojnym lokatorom nieba śmiercią zagraża... że jest poprostu samowolną awanturnicą, nieuwzględnia jednak tego niebieska nauka, że ta biedna błędna gwiazda zapewne *musi* taki bieg odbywać, że już z góry jest na to skazana i że temu wyrokowi *tylko się poddaje*!... Któż bowiem może zgadnąć, co ją właściwie do téj nieszczęsnéj drogi zmusza, podczas gdy inne porządne gwiazdy w kółko się kręcą.., któż może dojrzyć, co ją tam w przestrzeniach niewidzianych przyciąga i odpycha, z czém walczyć a co omijać musi, co jéj każe tak niebezpieczną linią żywota przebiegać—i dlaczego wzniecono w jéj łonie taki olbrzymi pożar, o jakiém ani Juno ani Wenera nie marzy?... A jeżeli na to nauka niebios nie odpowie, to trzeba w biednéj wykolejonéj komecie widziéć raczéj nieszczęśliwą ofiarę niedostatecznych lub przynajmniéj tajemniczych urządzeń niebieskich, niżeli niesforną, prawa boskie depcącą awanturnicę!... Trzeba na nią patrzéć okiem trochę miłościwszém niżeli na owe spokojne gosposie niebieskie, które od rana do nocy w kółko się kręcą!... Ten żar własny nie pali ich, pożyczają sobie ognia i światła od tego, któremu za ten serwitut dozgonnie służą!...

Pani Laurencya westchnęła tutaj i przyłożyła batystową chustkę do ust, bo twarz zadrzała w téj chwili owém drżeniem nerwowém, które jakiś ból wewnętrzny zdradzało.

Teodor patrzał zamyślony przed siebie. Roztaczał się przed nim obraz błędnéj komety. Biegła ona jak wicher pomiędzy spokojne matrony niebieskie, zostawiając za sobą długie szmaty światła i ognia, który jéj własne życie trawił...

Spojrzał na sąsiadkę. Milczała w téj chwili i była spokojną jak posąg z marmuru, a jednak zdawało mu się, że na jéj czole świeci dyadem owéj błędnéj gwiazdy, a falisty z białemi koronkami ogon jéj sukni, tworzy ów snop światła, który się rozsypuje za bieżącą tułaczką nieba!...

Ożywiła się nagle twarz posągu.

— Trzeba czemś zakończyć tę rozprawę astronomiczną—ozwała się jakby z jakiego przebudzenia, trzeba dla niéj wynaleść pewną analogią!... Czy sądzisz pan że te same wypadki czyli prawa niebieskie nie powtarzają się na ziemi? Czy naprzykład kobiéta nie może być czasem podobną do owéj gwiazdy błędnéj, którą kometą zowiemy?... Czyż nie ma takich kobiét, które zamiast iść biegiem normalnym, w kółko się kręcić, zdążają gdzieś, wydłużoną drogą, depcą na pozór jak kometa porządek świata, grożą nieszczęściem tym, których w drodze spotkają i na koniec we własnych giną płomieniach?...

Przyłożyła znowu chustkę do ust. Po chwili mówiła daléj głosem, w którym czuć było wzruszenie:

— I taką kobiétę zwą czasem awanturnicą, ale nikt nie wie, co ją do tego nieprawidłowego biegu zmusiło, co ją wykoleiło z owego regularnego kółka zacnych matron, co ją w tym szalonym pędzie przyciąga i odpycha i co każe jéj ginąć śmiercią prawie... samobójczą?... O tém nie wiedzą ludzie, a nawet się o to nie pytają!...

Pani Laurencya mówiła z wielkiem ożywieniem, jéj gesta były żywe, wyraz oczu i twarzy dopowiadał często to, czego słowo niedopowiedziało, a blade usta poruszały się z takim urokiem, że można było godzinami na nie patrzyć, chociażby nawet słów nieusłyszéć.

Zdaje się, że téj rozkoszy używali goście więcéj od niéj oddaleni. Wszystkich oczy zwrócone były na nią, a na wszystkich twarzach malowało się przyjemne wrażenie. Każdy zwrót mowy, każdy gest nowy i dołączony do niego uśmiech i wyraz twarzy, każde spojrzenie zastosowane do zapytania czy odpowiedzi, wszystko to odsłaniało dla patrzących nowy urok i nowe wdzięki téj niezwykłéj kobiéty. Jakżeby inaczéj wyglądała z swoją twarzą posępną, gdyby siedziała w milczeniu jak posąg zaklęty? Wszystkie te nieujęte wdzięki, które tylko w ruchu twarzy i umysłu objawić się mogą, byłyby stracone!...

Teodor nie myślał w téj chwili o tém. Doznawał przyjemnego wzruszenia i niém się rozkoszował. Czuł przy sobie kobiétę niepospolitą, która go mimowolnie pociągała. Rozmowa z nią, jéj trafne zużytkowanie astronomii dla rzeczy ludzkich, jéj łagodny dowcip zaprawiony nieco goryczą... zresztą niepospolite jéj wdzięki i pewna niejasna, a dla tego tém ciekawsza perspektywa osobistych jéj stosunków i dziejów... wszystko to złożyło się razem, aby młodemu astronomowi wiele rzeczy zasłonić, a samego w głęboką acz słodką pogrążyć zadumę!

Siedział czas niejaki w téj zadumie jak Turek po zażyciu opium i było mu jakoś bardzo dobrze. Sąsiadka nieprzerywała téj zadumy, poprawiała tymczasem bransoletkę i przypatrywała się jaskółce malowanéj misternie na wachlarzu. Długie rzęsy jéj oczu kierowały się czasem ku sąsiadowi, ale wracały ztamtąd prędko do wachlarza.

Teodor nie wiedział, co podczas jego zadumy w salonie się działo. Dopiéro kroki szeleszczące pani Euzebii zbudziły go.

— Teraz przychodzę z prośbą do pani—ozwała się do pani Laurencyi, będziesz pani tak dobra...

— Ależ ja dawno nie grałam! odpowiedziała zagadnięta zresztą miał być śpiew jeszcze...

— Miał być śpiew—odparła gospodyni, ale amatorka nie jest w téj chwili dobrze jakoś usposobioną do produkcyi...

— Może i ja jestem w tém położeniu, odpowiedziała pani Laurencya bawiąc się wachlarzem z jaskółką.

— Sprawisz pani zawód nie mnie jednéj...

Pani Laurencya spojrzała na sąsiada.

— Całe zgromadzenie dozna zawodu, zauważył Teodor a z tém zgromadzeniem i moja mała osobistość!

— Nie lubię bukietów —odrzekła z uśmiechem Laurencya, przenoszę nad nie... pojedyńcze kwiatki.

Wstała, uporządkowała draperye sukni, a pani Euzebia podała jéj rękę. W salonie zapanowała cisza. Nawet pan Michał, nieustający kandydat na posła miasta, który podczas deklamacyi zawzięcie rozprawiał, wyprostował teraz swoje szabliste nogi na znak, że dłużéj na jedném miejscu stać zamyśla.

Pochód do fortepianu pani Laurencyi równał się tryumfalnemu pochodowi ulubionéj znakomitéj artystki. Nawet pod piecem jakieś gorące ręce złożyły się do przedwczesnego oklasku, co na usta amatorki wywołało uśmiech wesołéj ironii.

Rozpoczęła się gra, była to jakaś improwizacya. Wszyscy słuchali jéj z uwagą, i wszystkich serca stosownie do pragnień swoich lub obaw starały się odczytywać te tony nieujęte, te wibracye strun stalowych z wibracyą posłusznego drzewa...

Pan Michał, nieustający kandydat na posła miejskiego, widział w tym muzycznym chaosie tłumy wyborców, mowy kandydatów i ostatecznie głosowanie, które przyjemną sprawia gorączkę...

Zacny dyrektor rozpoznawał w tych akordach różnych swoich znajomych, którzy jego dom odwiedzają i pilnie przypominał sobie wszystkie ich gesta i rozmowy, czy nieznajdzie czegoś, coby jego powadze i spokojowi domowemu ujmę przynieść mogło. W trelach na wyższych tonach słyszał odpowiedzi Elżbietki swojéj, pod-

czas gdy w basie przymawiał do niéj kandydat historyi powszechnéj. A mały dysonans, kunsztownie przez kompozytora użyty, wydawał mu się podobny do otworzenia okna w przeciwległéj kamienicy i pojawienia się w tém oknie kędzierzawéj czarnéj głowy, która do jego okna wprost się zwracała...

Blada Eufemia o czemś także myślała—ale gra była jéj w téj chwili obojętną. Patrzała na grającą pilnie i w duchu oceniała jéj wdzięki, toaletę i prawdopodobną pozycyą materyalną...

Rezultatem tych badań było ciche, ledwie od szarfy błękitnéj dosłyszane... westchnienie.

Najdziwniejsze wrażenie sprawiła ta muzyka na Teodorze. Zdawało mu się, że patrzy w niebo gwiazdziste, że na tém niebie roztrącając wszystko co w drodze, pędzi od wschodu olbrzymia kometa... że czuje szum jéj szaty ognistéj... czuje nawet sam ogień który go piecze i pali... a któremu z drogi zejść nie może!... Nawet to całopalenie sprawia mu jakąś wielką niewymowną rozkosz...

Akordy zamarły cicho jakby zasnęły. Dyrektor, przy łagodném finale przyszedł właśnie do przekonania, że Elżbietka jego jest zacną i poczciwą kobiétą, że wszystko, coby na nią kto mógł powiedziéć, byłoby plotką wierutną... gdy nagle usłyszał za sobą głos młodego blondyna, który go mocno zaciekawił.

— Czy widzisz? mówił blondynek do towarzysza, idzie wprost na ten sam fotel!

— Teodor, choćby na jeden dzień tylko, sprzeniewierzy się swojéj... komecie! odparł towarzysz.

— Znam go dobrze—replikował pierwszy, jak tylko przyjdzie do swego pokoju, zaraz... otworzy okno!

— Być może—*on revient toujours a ses premiers amours!*

Dyrektor obrócił się, jakby go gadzina z tyłu ukąsiła. Zamiast gadziny ujrzał tylko dwóch młodzieńców, którzy bynajmniéj do gadziny nie byli podobni.

— Sprzeniewierzył się swojéj... komecie! szumiało ciągle w poważnych uszach zacnego dyrektora.

XVI.

Północ minęła. Goście rozeszli się. Dyrektor odprowadził Eufemią, która się na ból głowy skarżyła, do domu, podał żonie rękę i oboje ruszyli ku św. Floryanowi.

Wszędzie panowała głęboka cisza. Kroki poważne dyrektora odzywały się regularnym, mocno miarkowanym taktem, podczas gdy drobne nóżki Elżbietki dorabiały kunsztowną do tych kroków waryacyą. Próbowała i głosu, szczebiotała do męża publicznego to o tém

to o owém, ale mąż publiczny milczał, jakby czuł w kieszeni tekę ministra spraw zewnętrznych. Od czasu do czasu patrzał na niebo, jakby tam czegoś szukał, ale niebo było zakryte chmurami. Wzrok jego spuszczał się z pewnym smutkiem na bruk kostkowy.

— Czego nic do mnie nie mówisz? zapytała przyciskając się do niego Elżbieta.

— Wiesz o tém dobrze—odpowiedział krótko, że po każdym takim wieczorze, czuję się zmęczonym!

— Czujesz się zmęczonym? powtórzyła ze współczuciem Elżbieta.

Zdawało się dyrektorowi, że przy tych słowach słyszał ciche, utajone westchnienie.

Szepnęło mu coś do ucha:

— Czy ty wiesz, co to westchnienie znaczy? Znaczy ono... jeżeli cię wieczory męczą, to pocóż ożeniłeś się z młodą, która jak każda młoda kobiéta lubi się bawić?...

Dyrektor przysporzył kroku.

— To się jeszcze więcéj zmęczysz! zagadnęła sympatycznie Elżbieta—oprzéj się o mnie!

Zakłębiło mu się w sercu.

— Przestań tych uwag proszę cię! odparł z gniewem, jeszcze przecież tak stary nie jestem, abym przy tobie wyglądał na Belizaryusza! I widzę jeszcze dobrze! dodał po chwili.

Elżbieta umilkła. Zdążyli do domu.

— Czy ci przysłać gazety? zapytała Elżbieta, widząc że mąż do swego pokoju zdąża.

— Nie chcę żadnej gazety! odpowiedział tenże krótko.

— Więc... dobranoc ci!

— Dobranoc!

Takie pożegnanie się małżeństwa nie było normalne. Łagodna Elżbieta policzyła to na karb zmęczenia, jakie zawsze następuje po każdym większym wieczorku. I ona czuła to samo na sobie.

Dalekim jednak od zmęczenia był dyrektor. Gdy drzwi za sobą zamknął, gdy się sam ujrzał, podgarnął włosy z taką energią do góry, jakby się do boju zabierał. I nierozbierając się z wieczorowego ubrania, we fraku i białym krawacie, otworzył szafę z książkami i długo w niéj szperał.

Wreszcie wydobył grubą księgę. Była to encyklopedya a na grzbiecie miała wybitą literę K.

Dyrektor otworzył i zaczął czytać: ka... ke... ki... ko... kob... kod... kol... kom .. koma... kome... komed... komer... *kometa!...*

Uśmiechnął się jak myśliwy, który na trop zwierza natrafił, wziął księgę w obie ręce i usiadł na fotelu.

— Sprzeniewierzył się swojéj *komecie*! rzekł do siebie—posłuchajmy, co téż w mowie towarzyskiéj czy raczéj złodziejskiéj to wyrażenie oznaczać może!..

I okazałe czoło zacnego męża pochyliło się nad książką drobnym drukiem w dwa łamy drukowaną.

I tak siedział długo, bardzo długo. Na wieżach miejskich biły kwadranse i godziny, stróże nocni podawali sobie różne hasła, a on czytał, ciągle czytał!

Czytywał on i dawniéj o takiéj saméj porze, ale miał do tego inne pobudki. Przygotowywał się do odczytu, albo pisał rozprawę naukową, która chwałę jego miała roznieść po wszystkich ziemiach polskich i na skroń spracowaną włożyć wieniec autorski!... Dzisiaj nie ma takich widoków! Dzisiaj czyta, ale pomiędzy wierszami skaczą przed nim jakieś dziwne rzeczy, o jakich dawniéj nigdy nie myślał. Przy każdym ustępie, jakby malowane średniowieczne inicyały, stoją różne twarze z wąsami i bez wąsów a między niemi najczęściéj powtarza się wyżółkła, satyryczna twarz emerytowanego sąsiada i świeża, z kokieteryą uśmiechnięta twarz Elżbietki!... I jeszcze jedna twarz, i druga i trzecia przesuwa się, a zacny mąż i rady sobie dać nie może, aby je odżegnać od siebie!

— Kometa! kometa! powtarzał w myślach, coby to mogło być pod tą figurą?...

Takie pytania powtarzały się nieustannie, malowane inicyały zmieniały się co chwila, wreszcie sen dobroczynny skleił mu powieki!..

Gdy się przebudził, dzień już był jasny. Wstał szybko i ubrał się w szlafrok. Szewc nie przyniósł mu zamówionych cichych butów, wziął pantofle i cicho otworzył drzwi do drugiego pokoju.

Zaraz na wstępie okazało się, że w jego domu działy się rzeczy, o których dawniéj nie wiedział. Chłopak pokojowy, nie słysząc skrzypiących butów, gospodarował tam na piękne. Jakimś tajemniczym instrumentem otworzył sobie szufladę, w któréj były cygara. Właśnie wybierał sobie jak najsuchsze cygara, gdy dyrektor nagle stanął mu za plecyma.

— Co tu robisz złodzieju? krzyknął na chłopaka.

Cłopak przestraszony chciał się prędko obrócić twarzą do swego pryncypała i strącił prześliczną wazę, która uchodziła za japońską. Dyrektor zbladł ze złości.

— Szukałem nożyczek dla pani! odparł przestraszony chłopak, bo od dwóch dni już ich nigdzie znaleść nie mogę! Myślałem, że są w szufladzie!

— Kłamiesz! krzyczał siny dyrektor, cygara kradłeś. Chłopak z pogardą spojrzał na oszczercę.

— Czemżeś otworzył szufladę? pytał daléj dyrektor.

— Nie była zamknięta!

— Kłamiesz.

— Wczoraj dobywał pan cygara dla siebie na wieczór!

Dyrektor miał zwyczaj brać z sobą zawsze swoje cygara, do których się przyzwyczaił. Inne niesmakowały mu. Jakieś niejasne przypomnienie przeszło mu przez głowę... być może że szuflady wczoraj nie zamknął... ale to przypomnienie wnet odpędził od siebie. On widział dzisiaj wszystko czarno.

— Nieprawda! kłamiesz! Zamknąłem szufladę... dobrze sobie przypominam... wyjąłem klucz i schowałem... złodziejem jesteś... oddam cię policyi!

Stłuczenie wazy przyczyniło się wiele do utwierdzenia go w tém mniemaniu, że tak było a nie inaczéj! Daremny był płacz chłopaka, dyrektor otworzył drugie drzwi.

Na kredensie klęczał właśnie lokaj i trzymał w ręku podniesioną flaszkę z jakimś płynem.

— Złapałem cię hultaju! wrzasnął dyrektor.

Przestraszony lokaj upuścił flaszkę, która upadła na serwis herbaciany i wielkie tam spustoszenie sprawiła.

Gniew dyrektora nie miał już granic.

— Wszyscy kradniecie mnie, oszukujecie! Myślicie, że już nic nie widzę, że na nic niepatrzę!...

Lokaj przysięgał się na wszystko, że porządkując na kredensie, chciał wiedzieć, czy wiele araku jest we flaszce i czy go nieprzelać do mniejszéj. Nic niepomogło, dyrektor był święcie przekonany, że go schwytał na kradzieży, że zawsze go okradał... do czego naturalnie przyczyniły się nie mało potłuczone filiżanki i talerzyki!...

Wszedł do pokoju, gdzie mieszkali jego wychowańcy. Zastał ich właśnie ustawionych w szeregi i maszerujących na komendę najstarszego. Nagłe pojawienie się dyrektora pomieszało im szyki. Nastąpił gwałtowny odwrót do książek i skryptów, przy czém dwóch się przewróciło i jeden na krześle nos sobie rozbił, drugi rękę mocno uszkodził.

Dyrektor nieposiadał się ze złości. Po krótkiem ale dobitném kazaniu, trzeba było posłać po doktora, aby nos rozbity do porządku przyprowadził i rękę naprawił.

Udał się w tym celu do pokoju żony. W pokoju zastał wielki nieporządek. Wszystko było porozrzucane. Różne części ubiorów

leżały w prawdziwym chaosie. Łóżko rozburzone, krzesła poodwracane, dzienniki rozsiane po podłodze. Elżbiety nie było.

Zadzwonił na służącą.

— Gdzie pani? zapytał groźnie.

— Pani wyszła! była odpowiedź.

— Wyszła?... Gdzież tak rano wyszła?

— Przyniósł ktoś... kartkę, pani przeczytała zaraz się zebrała i wyszła!

— Kartkę ktoś przyniósł? wrzasnął dyrektor, od kogo kartka?

— Nie wiem!

— Jesteście wszyscy złodzieje! Oszukujecie mnie! krzyczał dyrektor.

Służąca miała właśnie w ręku szklane naczynie ze złotemi rybkami, którym świeżéj wody nalała. Krzyk niezwyczajny dyrektora przestraszył ją, naczynie upadło na ziemię i stłukło się.

Widząc strugę wody na francuzkim dywanie, a biedne rybki tłukące się po posadzce, był już dyrektor pewny, że go wszyscy kradną i oszukują!

Krzyczał jeszcze i odgrażał się, gdy nagle w przedpokoju odezwał się dzwonek. Cofnął się do swego gabinetu.

Na progu pojawił się pan Protazy.

Już dnia wczorajszego kilka razy przychodził mu na myśl stary emeryt. Gniewał się na niego, że mu popsuł jego spokój domowy przez swoje gadanie. Był nawet zdecydowany nie mówić z nim więcéj i unikać go jako człowieka zarażonego. Człowiek bowiem napojony żółcią i wołający na wszystkich jak Jeremiasz: biada!—biada! podobny jest zupełnie do morowéj zarazy.

Tak myślał czasem dyrektor i nieraz pięścią pogroził w kierunku, gdzie były okna sąsiada. W téj chwili jednak wcale inne sprawił na nim wrażenie pan Protazy. Widział w nim człowieka doświadczonego, miał się go zapytać o niejedną wątpliwość, która teraz ciążyła na jego sercu. On jeden mógł go zrozumiéć i coś mu poradzić.

Pan Protazy spojrzał na zmienioną twarz dyrektora i uśmiechnął z pewną utajoną rozkoszą. Przeczuwał już coś, co mu sprawiało niewysłowioną radość.

— Cóż, szanowny sąsiedzie—zapytał od progu, jakże tam wczorajszy wieczorek u państwa Filomanów? Tak wiele wczoraj o tém mówiono, że zebrała mnie ciekawość zajść tak rano do kochanego sąsiada... Czy dużo było młodzieży, oficerów, ułanów... bo to bez takiego kontyngensu dzisiaj kobiétki bardzo się nudzą!... Pamiętam, za moich czasów było inaczéj. Sędziwi ludzie zasiedli do

gawędki, a kobiéty przysłuchiwały się w milczeniu! Dzisiaj pożal się Boże! Młokos, huzar, ułan na pierwszym planie, a stateczniejsi ludzie wyrugowani z salonu do ostatniéj ciupki, aby tam grać w bezika lub cygara palić!... Tak, tak mości dyrektorze, w odstawkę idziemy, w odstawkę!

Dyrektor odchrząknął, mówił coś przez zęby o deklamacyi, o grze na fortepianie a wreszcie zapytał:

— Powiedz mi, kochany radzco—jesteś pod tym względem ekspertem, jak to się ma rozumiéć, jeżeli ktoś o kobiécie powie, że jest... kometą!

Rozśmiał się pan Protazy.

— Kometa... kometa, mówił powoli patrząc na dyrektora, kometa może mieć różne znaczenie. Czasami uderzającą piękność nazywają kometą. Ale czemże jest piękność kobiéty?... Zawsze zwiastunem czegoś złego tak samo jak się uważa kometę. Piękna kobieta pociąga zazwyczaj wiele ofiar za sobą, bo sama niekocha a chce być kochaną i adorowaną!... Co gorsza—kometa jest poprostu awanturnicą niebieską, która się wyłamuje z praw, jakiemi inne gwiazdy się rządzą i samowolnie buja po niebie! Poprostu jest samowolnica.

— Biegnie gdzie oczy poniosą.

— Tém się właśnie różni od gwiazd porządnych! A ten ogon za nią... czyż to nie jest ów ogon adoratorów, których ciągnie za sobą każda awanturnica...

— Więc sądzisz, radco, że kometa.

— Kometa nie jest wcale pochlebném wyrażeniem dla kobiéty, jeżeli ją kto tak nazwie...

Dyrektor przeszedł się niespokojnie po pokoju.

— W saméj rzeczy—mruczał pod nosem, kometa niema między gwiazdami dobréj sławy, oznacza ona w każdym razie kobiétę która nie chodzi prostemi drogami.

I potarł ręką po włosach, jakby z nich chciał iskry wykrzesać.

Wyżółkła twarz pana Protazego złożyła się do uśmiechu.

— O! a takich kobiét jest wiele, bardzo wiele, ozwał się, więcéj niżeliby kto się spodziewał! Gdy się było młodym, to się je znało... i wiele się znało!

I brzydki wyraz okolił zbielałe usta emerytowanego Lowelasa a dzisiaj malkontenta. Dyrektor chodził ciągle po pokoju.

Z dalszych pokoi zaszeleściała teraz suknia kobieca. Na progu ukazała się Elżbieta.

Elżbieta miała twarz zarumienioną od świeżego powietrza i to ożywienie w całéj postaci, jakie zawyczaj nadaje ranna przechadzka.

Ubiór jéj prawie codzienny ale taką jakąś elegancyą odznaczał się dzisiaj, jaką tylko w dniach świątecznych zwykł dyrektor spostrzegać.

— Gdzieżeś to pani była? zapytał z chmurą na czole.

— Byłam u Femci, odpowiedziała z całą swobodą Elżbieta, bo pisała do mnie, że jest chorą. Już wczoraj rozbolała ją głowa na wieczorze. Widziałaś może, jak bladą była!

Chmura na czole dyrektora nierozeszła się.

— Chorych odwiedzać jest wprawdzie dobrym uczynkiem, odparł sucho—ale wypadałoby, aby o tym dobrym uczynku mąż coś wiedział!... W domu nieporządek aż strach!

— To tak mówisz do mnie na dzień dobry? z uśmiechem do gościa zapytała Elżbieta.

— Chciałem może inaczej powiedziéć, ale niezastałem cię w twoim pokoju—a to co tam zastałem, nie radbym był widziéć!

— Dobrze, że radca nie masz żony—słyszysz pan jak się dąsa? ozwała się do gościa Elżbieta.

— Trzeba przecież jakoś uważać na siebie, jeżeli już na mnie uważać nie chcesz! prawił daléj dyrektor.

— Uważać na siebie? Co téż mówisz?

— Bo inaczéj nazwą cię... kometą!

— Kometą?... Nierozumiem!

— Tak jest... kometą cię nazwą!

Przy tych słowach patrzał dyrektor śledczem okiem na żonę. Na jego okazałem czole wyprężyły się żyły...

Ktoby w téj chwili jego twarz ujrzał, nie byłby go poznał. Twarz ta była zupełnie inną od owéj pogodnéj uśmiechniętéj twarzy, jaką dawniéj miał dla całego świata. Za to twarz starego malkontenta rozszerzała się co raz więcéj i stała się w końcu okrągła jak księżyc w pełni.

— Jak to dobrze się stało, myślał w duszy mizantrop—żem się nie ożenił! Takie to wszystkie kobiéty!

Elżbieta zbliżyła się z pieszczotą do męża.

— Co ty o kometach dzisiaj prawisz rzekła do niego, pan Protazy gotów myśléć, że ty zawsze takim jesteś!...

Rozśmiał się z widocznym przymusem dyrektor.

— Przecież rozmaitość lubią kobiéty—ozwał się a ty chcesz abym był zawsze jednakim. Pozwól mi, abym dzisiaj był innym, bez względu na to, czy mam powody od tego, czy nie!

Elżbieta spojrzała z zadziwieniem na męża.

— Otóż jak już powiedziałem—mówił daléj dyrektor, wcale bym sobie tego nie życzył, aby ktoś moję żonę nazywał kometą, al-

bo żeby ona była podobną do komety. Bóg stworzył niebo z gwiazdami, które albo są stałe (dyrektór położył nacisk na to słowo) albo w regularne kółka się kręcą. Komety pan Bóg nie stwarzał, a nawet w piśmie św. niema o niéj mowy. Puścił ją chyba szatan z piekła pomiędzy spokojne gwiazdy, aby być dla nich pokusą. Patrzcie—powiada do nich kometa, jaka ja wolna! Hulam sobie po całém niebie! Podoba mi się Mars, zbliżam się do niego, poboda mi się Jowisz, biegnę w jego sąsiedztwo, a jeżeli ochota mnie zbierze podrażnić Saturna, zbliżę się do niego! A wy przez całe życie kręciciesię w kółko jedno!... Ta niewola, to znudzić może!

Po téj astronomicznéj parafrazie tematu o komecie odetchnął dyrektor, a potém prawił dalej:

— Otóż każda porządna kobiéta powinna tylko kręcić się wswojém kółku, a nie biegać jak kometa. Dla kobiéty mąż jest centrem, a kółko jéj biegu, to ściany domu. Inaczéj nazwą ją ludzie kometą, to jest włóczęgą niebieską!

Elżbiecie łzy stanęły w oczach. Niechciała ich jednak okazać gościowi, którego twarz była w téj chwili rozpromieniona. Cofnęła je siłą woli, twarz zmusiła do uśmiechu.

— Widzę—rzekła nawet wesoło, widzę że przygotowujesz się do odczytu, bo nawet encyklopedya otworzona na słowie kometa. Nieprzeszkadzam więc, tylko proszę, abyś systemata naukowe jak najmniéj aplikował do stosunków domowych. Co dobre na niebie, może być złém na ziemi!

Rzekłszy to wykręciła się szybko na wysokim obcasiku, co pewną siłę młodości okazywało, a co na dyrektorze niesprawiło dobrego wrażenia. Pan Protazy z rozkosznym uśmiechem patrzał na sturbowanego dyrektora.

— Już to takiéj żoneczki można dyrektorowi pozazdrościć rzekł do niego—i młoda i zdrowa jak rybka!...

Czoło dyrektora zachmurzyło się jeszcze więcéj.

— Bo téż te dzisiejsze chore żony, poprawił po chwili, to niewiele warte. Trzeba obwozić po kąpielach, w domu zawsze szpital, a wydatków co niemiara! Zdrowa, młoda żona to prawdziwe szczęście!

Dyrektor nic nie odpowiedział, tylko zmierzył gościa okiem sędziego śledczego.

XVII.

W godzinę potém przyszła do Elżbiety z wizytą ciocia Andzia. Ciocia Andzia była jak każda ciocia już sporo niemłoda i dotąd zo-

stawała w stanie panieństwa. Miała być bardzo ładną, miała wiele świetnych partyj, jak utrzymywano w rodzeństwie, ale za mąż nieposzła. U konkurentów coś jéj zawsze niedostawało, wreszcie niestało i konkurenta. Dzisiaj zgodziła się już ze swoim losem, a gdy jest w dobrym humorze, to żartuje nawet ze swego staropanieństwa i mieni się szczęśliwszą, niżeli, gdyby była mężatką.

Mimo swych niepowodzeń na drodze do małżeństwa, była ciocia Andzia wyrocznią w całéj rodzinie w sprawach matrymonialnych. U niéj zasięgano rady, do niéj udawano się po niektóre środki domowe, jeżeli trzeba było żonę lub męża na inną drogę naprowadzić.

Ciocia Andzia zastała Elżbietę płaczącą. Serce staréj panny poruszyło się pewném nieokreśloném, w gruncie jednak dosyć przyjemném, uczuciem. Złożyły się na to dwa powody. Jednym z nich był ogólnie ludzki, który ludziom zostawionym na boku przynosi pewną pociechę, że ci, co ich wyprzedzili, nie są szczęśliwi. Drugi powód wypływał z zajętego stanowiska w rodzinie, na którém mogła być doradczynią.

— A cóż to u was się dzieje, Elżbietko? ozwała się zaraz od progu, jakaż to u was atmosfera? Czyż to nazywa się szczęściem?

Elżbietka chciała czemprędzéj łzy osuszyć, ale nie było na to czasu ani potrzebnéj silnéj woli. Zanim obecność cioci Andzi spostrzedz mogła, stała już ta przed nią i trzymała ją za rękę, którą chiała łzy osuszyć. Ciocia Andzia patrzała teraz z pewném zadowolnieniem na schwytane żywcem nieszczęście domowe, które dotąd tak po mistrzowsku przed nią się ukrywało.

— Płaczesz? płaczesz? wołała jednym tchem—cóż ci jest? Powiedz co ci jest? Przyznaj się, zwierz mi się ze wszystkiém!.. Proszę proszę... jak te pozory mylą... zdawało się, że jesteś tak szczęśliwą... ludzie wam zazdrościli... on takim dobrym się wydawał... powiedz, co ci jest? Wyznaj wszystko, wszystko do dna!...

Słowa te przyczyniły się tylko do większéj obfitości łez, które teraz z ciemnych oczek Elżbiety jeszcze mocniéj płynąć zaczęły. Dotknęły się one ukrytéj rany uczucia zacnego.

— Jakto nietrzeba przed czasem nigdy się cieszyć—mówiła ciocia Andzia, nietrzeba wierzyć temu, co się z początku tak pięknie zapowiada. Dlatego ja śmieję się z tych wszystkich listów, które młode mężatki w pierwszych tygodniach swego zamężcia do przyjaciółek piszą. Zaczekajcie trochę, a to szczęście wasze nie będzie takie różowe!... Wyznaj moja droga wszystko.

Elżbieta przyszła do siebie. Słowa cioci Andzi obraziły teraz inną strunę uczucia.

— Niech ciocia na moje łzy nie patrzy tak czarno, ozwała się obcierając resztki łez z twarzy, od takich łez... może przypadkowych, daleko jeszcze do nieszczęścia.

— Nie, nie, moja droga—ratowała szybko zajętą już pozycyą ciocia Andzia, to nie były łzy przypadkowe! O znam ja przypadkowe, mimowolne łzy... sama często je wylewam. Ludzie widząc te łzy, myślą, że płaczę nad mojém staropanieństwem, tymczasem jest to tylko pewna ulga w słabościach sercowych. Ty przecież na serce niecierpisz, tobie nietrzeba takiéj ulgi, czysto fizycznéj! Powiedz mi, wyspowiadaj się przedemną!

Elżbieta próbowała rozśmiać się.

— Słowo honoru daję cioci, że nic nie jest. A tak usiadłam sobie na sofie, zaczęłam o różnych rzeczach rozmyślać, i sama niewiem, zkąd mi się łzy wzięły!

— Nieprawdę mówisz—nieprawdę!

— Nie umiałabym nic innego powiedziéć.

— Ukrywasz przedemną! Gdym tu weszła, uderzyła mnie zaraz jakaś dziwna atmosfera. Wszędzie cicho jak w grobie. Kanarek który zawsze śpiewał, gdy mnie obaczył, milczał i odął się jak sowa. Chłopak pokojowy spuścił nos na kwintę, lokaj zły jak lucyper rzuca szklankami po kredensie, u chłopców milczenie grobowe a u ciebie łzy! Nie, to być nie może, aby się tu co nie stało! Nie chcesz tylko powiedziéć!

— Nierobiłabym przed ciocią sekretu!

— Sekret patrzy ci z oczu. Jestem ciotką twoją i więcéj mam doświadczenia od ciebie. Mogę ci coś poradzić, mogę pocieszyć.

— Dziękuje cioci za dobre serce, nic mi nie trzeba.

— Widzę po tobie, że masz ukryte cierpienie. A takie cierpienie to grzyb, który toczy. Trzeba go na wierzch dostać, a samo słońce i świeże powietrze zabije go!

Elżbieta westchnęła.

— Wzdychasz a milczysz! Jeżeli kobiéta wzdycha, to znak, że coś jéj na serce naciska. Wyznaj wszystko.

— Doprawdy że nie wiem co powiedziéć i zkąd zacząć...

Oczy cioci Andzi błysły radością. Zwierzenie już się zbliżało... nie omyliła się, jest jakieś nieszczęście!

— I powiadają ludzie, że w stanie małżeńskiem jest szczęście! pomyślała sobie z pewnym zadowolnieniem.

Tymczasem Elżbieta rzeczywiście przygotowywała się do pewnego zwierzenia, które jéj łzy na nowo podrażniło.

t — O żadnych faktach mówić nie mogę, zaczęła po chwili, bo akich faktów nie ma. Jest mi tylko smutno i boleśnie, że od niejakiego czasu mąż mój...

— Mąż twój... powiedz wszystko!

— Mąż mój jest jakoś znużony swoim zawodem... czy może chwilowo ma takie usposobienie...

— Starzeje się?.. Starzeje?

— Ma usposobienie... odzywania się do mnie różnemi słowami, których nawet nie pojmuję!

— Jakiemi słowami?

— Nieumiem nawet ich zebrać i powtórzyć, ale dosyć na tém, że w tych słowach mieszczą się jakieś przymówki i wymówki! Przecież wiesz ciocia dobrze, że na to nie zasłużyłam sobie! Oprócz domu, nigdzie nie szukam szczęścia!

Ciocia Andzia zamyśliła się.

— Małżeństwo, droga Elżbietko—ozwała się po chwili, nie jest takiém szczęściem, za jakie je zazwyczaj mają. Są w niém ciernie i głogi, do których się nieprzyznaje. Trudno bowiem po wstępnych ekstazach i zachwytach, jakie panują zazwyczaj w sercach kochanków i narzeczonych, przyznać się potém, że nie wszystko złoto, co się świeci!

Elżbieta westchnęła.

— Ręczę ci—mówiła daléj w zapale ciocia, gdyby kobiéta wiedziała naprzód, co ją w zamężciu czeka, żadna nie poszłaby za mąż! To tak tylko w wyobraźni pięknie i uroczo wygląda!

Ciocia Andzia westchnęła przy tém.

— Na to się niezgodzę odpowiedziała Elżbieta, aby szczęście małżeńskie tylko w wyobraźni istniało! Jestem już trzeci rok mężatką i niepowiem, abym nie była szczęśliwą. Męża kocham, mam kąt własny, mam zatrudnienie, on wzajem mnie kocha, otacza mnie tém wszystkiém, czego mi potrzeba, czegóż więcéj? Zachwytów, ekstaz nieustannych, rozsądna kobiéta nie pragnie!

— Ale także i tego, aby jéj ktoś dokuczał!

— Tego niepowiedziałam—mąż mój...

— Daj pokój. Każdy mężczyzna jest egoistą, o siebie tylko dba i o to, co mu przyjemność sprawia!

— Przeciwnie mój mąż zawsze uprzedza moje życzenia...

— Dzieje się to tylko do czasu!

— Od kilku dni tylko coś mu humor popsuło.

— Jak się zaczęło—to pójdzie daléj! Ale tyś sama winna temu! Trzeba było wcześniéj o tém pomyśléć!

— O czém?

— Kochasz go jak gąska, kręcisz się w koło niego jak planeta, patrzysz na jego skinienia—domyślasz się gustu...

— Kocham go!

— Kochasz go nierozsądnie. Kobiéta do miłości swojéj powinna domieszać trochę pieprzu i soli, trochę sprytu a wiele taktyki, bo inaczéj zdrzemnie mężulko i będzie cię jeszcze fukał, że go budzisz!

Elżbieta patrzała na ciocię Andzię z pewném zadziwieniem. Dziwiła się, skąd ciocia Andzia może mieć takie doświadczenie, a jeżeli je już posiada, dlaczego takich doświadczeń nie użyła skutecznie dla siebie, gdy miłość pukała do jéj serca? Dlaczego niejeden konkurent zdrzemnął przy niéj a potém jako lunatyk umknął?

— Trzeba zaraz z początku okazać mężczyznie, że się go tak bardzo nie kocha, że oddawszy mu rękę nie oddaje mu się woli swojéj, że on powinien się do żony a nie żona do niego stosować, że w końcu żona nie jest obowiązana do zdawania rachunku z kroków swoich, które po za domem uczyni. Nawet kaprysy i kaprysiki bardzo są pomocne do ożywienia atmosfery małżeńskiéj... przypominasz sobie, gdy się pan Zenon o mnie starał, jak go prawie do szaleństwa doprowadziłam moją migreną, któréj w istocie nigdy nie zaznałam! Trzeba znać sztukę życia, bez niéj najpiękniejsze kwiaty zwietrzeją!

Elżbieta zamyśliła się. Przebiegła cały czas swego zamęźcia. Nie znalazła w nim żadnéj choćby najmniejszéj burzy domowéj, żadnéj sprzeczki i żadnego z swojéj strony kaprysu. Zawsze była zgoda i spokój.

— Być może, że jednostajność nuży w końcu... rzekła cichym zaledwie dosłyszanym głosem.

— Pokaż, że masz wolę i że robisz to, co chcesz, chociażby on sobie tego nie życzył!...

— W saméj rzeczy... nie jedna rzecz mogłaby się zrobić... ot nie sięgając daleko—biedna Femcia...

— Co Femcia? Co Femcia? Czy jest konkurent?

— Konkurenta nie ma... ale może znalazłby się taki, z jakich konkurenci się robią!

— Zlituj się! Powiedz mi!! Moja złota!

— Nie ma o czém mówić... bo to marzenie dopiéro nasze... Bardzobym się z tego cieszyła!

— Zabijasz mnie! Powiedz prędko!

— Wczoraj miała śpiewać u pani Euzebii... był i on... gdy go ujrzała zatopionego w rozmowie z tą panią co to zamieszkała w will hrabiego $*_*{*}$ ...

— Zgubiony człowiek! Pani Laurencya!... Biedna Eufemia!... Czy jéj już przyrzekł co?

— Ależ powiadam nie, że to marzenie dopiéro. Nie znają się nawet dobrze!

— Nie znają się? A cóż to znowu za romans?

— Mieszka naprzeciwko nas—zdaje mi się jest już doktorem filozofii—a poświęca się naukom. Eufemia, gdy przyjdzie do mnie wieczorem, widuje go często z ciemnego pokoju, jak siedzi nad pracą. Pracuje nad jakiémś dziełem. Eufemia była zawsze uczuciową i trochę egzaltowaną. Taki pracownik był zawsze jéj ideałem... Do tego młody, przystojny, na twarzy widać niepospolitą inteligencyą. Często gdy noc jest piękna, otworzy okno i długo patrzy na niebo. Gdybyś go ciocia wtedy widziała, powiedziałabyś sama, że szlachetniejszéj, rozumniejszéj twarzy nie tak łatwo znaleść!.. Eufemia, mówiąc w sekrecie, marzy o nim... chociaż to marzenie prawdopodobnie na nic się nie przyda!

Ciocia Andzia zamyśliła się.

— Czemuż go kiedy mąż nie zaprosi?

— Napomknęłam raz coś o tem—ale odpowiedział, że młodych próżniaków nie myśli karmić u siebie!

— A ty od czego? Czy nie możesz tak zarządzić, aby on bywał, a mąż musiał go przyjmować?

— Zapewne... ale —

— Przecież pani Euzebia zaprasza Bóg wie kogo—a pan Filemon musi ich ściskać i całować!

— Pani Euzebia..

— Nic nie mów nikomu, jakoś my to urządzimy!

Tu dały się słyszéć w drugim pokoju skrzypiące buty dyrektora (szewc jeszcze mu nowych nie zrobił) i rozmowa Elżbiety z ciocią Andzią przerwała się.

XVIII.

Teodor siedział właśnie na kulawym fotelu i rozmyślał o wczorajszym wieczorze, o rozmowie z sąsiadką, o bladéj Eufemii, o koncercie—gdy nagle ktoś do drzwi zapukał.

Na progu pojawił się lokaj w sutéj liberyi. Młody astronom poskoczył, aby z jego rąk odebrać pismo w dużéj kwadratowéj kopercie.

Rozdarł kopertę i czytał:

„Wczorajsza rozmowa skierowała oczy moje ku niebu. Dziwiłam się sama sobie, że dawno tego nie uczyniłam. W dniach żałoby i boleści każda nauka jest balsamem, a cóż dopiéro mówić o astronomii, owéj mistrzyni mądrości, która ślady Boga śledzi? Czyż może być większe ukojenie nad towarzystwo Stwórcy, rozmawianie z Nim przez dzieła jego tak wspaniałe i mądre!.. A moja pustelnia, w któréj na czas jakiś zamieszkałam, właśnie nadaje się do takich

studyów. Z tego powodu chciałabym rady pańskiéj zasiągnąć co do książek, którebym nabyć chciała. Jeżeli pan nie masz ważniejszego zajęcia, to czekam pana u siebie przed wieczorem, za co niewymownie będę Mu wdzięczną. Laurencya.“

Teodor nie namyślał się ani chwili—siadł i odpisał.

Po odejściu służącego siadł znowu na swój fotel kulawy i zakrył oczy ręką. Siedział tak długo. Powstał i wyprostował się jak człowiek po zmudnéj pracy.

Twarz jego była ożywiona w téj chwili, oczy błyszczały jaśniéj. Podgarnął włosy do góry i niespokojnym krokiem zaczął się przechadzać po pokoju. Na stosy papieru zapisanego cyframi już ani spojrzał. Przed jego oczyma migała nieustannie nowa kometa, nie mniéj ciekawa od zdradzieckiéj! Tylko między jedną i drugą wsuwała się czasem twarz blada... profil śpiewający...

Długo chodził po pokoju. Wreszcie spojrzał na zegarek, ubrał się i wyszedł.

Szedł bez żadnéj wyraźnéj myśli, bez żadnego celu. Szedł bo go zaproszono, bo tak nakazywała grzeczność, ale wypełniając ten obowiązek towarzyski czuł pewne zadowolnienie a nawet jakąś rozkosz, któréj nazwać nie umiał.

Nic dziwnego. Już sama rozmowa z młodą, piękną kobiétą mogła to zadowolnienie wywołać—rozmowa z kobiétą, która stoi na wyższym poziomie i całkowicie zrozumiéć go potrafi. Oceni ona należycie jego wiadomości rachunkowe, podczas gdy inne kobiéty najczęściéj żartami je zbywały. Zawsze kobiéta niepospolita, rozmowa niepospolita, czegóż chciéć więcéj?

Tak myślał Teodor i na tém poprzestawał. Nie pragnął nawet dostroić się do jéj pozycyi, nie wziął dorożki lub powozu, chociaż był dobry kawał drogi. Szedł piechotą, zwalczał trudności, które na drodze napotykał, a skończywszy ostatnią walkę z psem zamiejskim dosyć szczęśliwie chociaż nie bez pewnych uszkodzeń tualetowych, stanął wreszcie u bramy willi.

Willa zamiejska znana mu była dawniéj. Nieraz koło niéj przechodził i nieraz jéj się przypatrywał. Ale dzisiaj wydała mu się wcale inaczéj. Tak jéj nigdy nie widział. Wyglądała tak romantycznie, tak wspaniale zarazem jak jaki pałac maurytański w górach Hiszpanii.

Z kądże to miłe złudzenie? Dlaczego ta fasada tak malowniczo odbija jakoś od owéj wieżyczki z... fałszywym zegarem?... A jaka to myśl głęboka—ten fałszywy zegar! Dawniéj żartował z téj dekoracyi—dzisiaj widzi w niéj ukrytą bardzo piękną i trafną myśl!... Ten

cyferblat fałszywy z malowanemi wskazówkami znaczy, że tu zegaru nie trzeba, że tu godzin się nie liczy, że tu nikt o biegu czasu nie myśli... słowem, że tu mieszka szczęście, a żadnéj nie ma troski. Jest to po prostu ilustracya do jednego ustępu z poematu Lalla Rookh:

Ni nam ziarnko piasku czasu nie znaczyło —
Ciszy nie mąciło smętne dzwonu bicie —
Szczęśliwi w rajskie patrzaliśmy życie,
Jak gdyby czasu i godzin nie było! ..

Jakże to pięknie wszystko wygląda! A ten szum drzew stuletnich, te wychylające się z pomiędzy liści okna willi, jak ciekawe oczy na świat patrzących kochanków...

Nigdy jeszcze tyle różnych myśli nie poruszyła w nim ta znana willa! Dlaczego to dzisiaj się dzieje?...

Bramę otworzył mu odźwierny, który zdawał się czekać na niego. Wejrzenie tylko jego okazywało pewne rozczarowanie. Był pewny, że zapowiedziany gość przyjedzie przynajmniéj... dorożką!

Teodor nie zważał na jego spojrzenie. Z podniesioną głową przeszedł małą aleę. U drzwi wchodowych stał drugi służący. Skłonił się nisko i drzwi otworzył. W przedpokoju czekał trzeci podobny do kamerdynera. Zdjął z niego starannie palto i z niskim ukłonem otworzył drzwi do salonu.

Przedpokój i salon sprawił na Teodorze przyjemne wrażenie. Były tam dzieła sztuki i z wielkim gustem rozpościerał się wykwitny komfort, który jakoś jakby towarzystwo ludzkie, już sam przez się ogrzewa człowieka. Tu zatrzymał się.

W salonie nie było nikogo. Wszystko jednak, co tu widział, przypominało mu, że tu mieszka kobiéta, o któréj od wczoraj dosyć wiele myślał, że tu ją czuje, słyszy a nawet widzi! Porozrzucane książki, pisma, nuty—wszystko to przemawiało jakoś do niego. Rozumiał nawet ten język obrazowy i tajemniczy i wewnątrz duszy odpowiadał mu...

Otworzyły się boczne drzwi a z nich wyszła uderzającéj piękności brunetka z elegancyą prawie ubrana. Teodor już chciał się ukłonić nieznajoméj, gdy zręczna kameryera uprzedziła go dosyć wcześnie jeszcze.

— Pani prosi—rzekła z ukłonem i wskazała na drzwi boczne.

Teodor wszedł.

Był-to dobrze znany nam buduar. Komfort kobiecego tego przybytku sprawił na młodym astronomie odurzające wrażenie. Nawet

mleczna droga na niebie nie drażniła jego oczu w sposób tak przyjemny!...

Laurencya siedziała na aksamitnéj sofie. Miała czarną suknię, tylko ubranie było dzisiaj żółte. Wyglądała jeszcze piękniéj niżeli wczoraj. Wyraz twarzy był naturalny, nie widać było wcale owego niepokoju i wzruszenia, jakie zazwyczaj sprawia liczniejsze towarzystwo. Była tu sama sobą. z swoim smutnym uśmiechem i oczyma na pół przymrużonemi, co wyglądało, jakby na jawie marzyła.

Przy niéj siedziała sędziwa matrona o jasnoblond lokach. Po cerze twarzy można było poznać, że to angielka.

— Jestem panu wdzięczna, żeś przyszedł!—rzekła pani Laurencya do gościa podając mu rękę i odkładając na bok jakąś robótkę kobiecą.

Przedstawiła go angielce i dalsza rozmowa rozpoczęła się w języku międzynarodowym, francuskim.

Mówiono o astronomii. Angielka wiedziała coś o Tycho-Brahe, o Newtonie, o Herszlu i wszystko to z kolei przeszło z jednego rogu stołu na drugi.

Po niejakim czasie uznała Angielka za swój obowiązek zamilknąć i czém inném się zająć. Usunęła się na drugą stronę stołu, aby być bliżéj lampy i otworzyła piękne album z fotografiami.

Tymczasem rozpoczęła się rozmowa polska.

— Nie uwierzysz pan—ozwała się pani Laurencya—jak wielką sprawiłeś mi przyjemność. Są w życiu naszém pewne pauzy—u kobiét często te pauzy przychodzą—które trzeba koniecznie czemś zapełnić. Mamy na to sztukę i książki. Malujemy, gramy, śpiewamy, czytamy. Wchodzi nawet w modę, że kobiéty polują i w karty grają. Ale wszystko to znudzi się. Gra na fortepianie doszła dzisiaj do takiéj techniki, że trzeba sobie przez długie lata palce wyłamywać, aby coś zagrać. A to może się tylko stać kosztem innych, potrzebniejszych nawet nauk... Sztuka wobec rozpowszechniającego się znawstwa, nie może być także traktowaną jako zabawka. Bardzo smutne są takie produkcye amatorek, które w patryarchalnéj rodzinie mogą uchodzić za arcydzieła!... Książki lżejszéj treści od niejakiego czasu nie przynoszą nam zbyt ciekawych nowości, czemże zapełnić taką pauzę życia?... W mojém dzisiejszem położeniu nastąpiła właśnie taka dłuższa pauza—myślałam nieraz o tém, czemby ją zapełnić. Od wczorajszego wieczoru, zdaje mi się posiadam już materyał. Rozmowa z panem o astronomii, zwróciła nagle moję uwagę na tę przestrzeń niedocieczoną a tak ciekawą, o któréj może zbyt rzadko myślimy. A cóż jest bliższego kobiecie, jeżeli nie to niebo,

do którego tak często wzdycha? Legendy prawią, że to jéj dawna ojczyzna, że tam była aniołem, że stamtąd strącona musi na ziemi pokótować!... Czy pan o tem nie czytałeś?

Teodor uśmiechnął się jak mąż słuchający szczebiotania małego dziecka.

— Prawią coś o tém wschodnie legendy—odparł—ale dotąd niewiadomo, na któréj to gwiazdzie była owa mityczna ojczyzna kobiét naszych!

— Pan się śmiejesz, a ja powiadam, że między kobiétami a gwiazdami jest dosyć częsta komunikacya. W chwilach najwyższego szczęścia swego wznoszą oczy ku niebu, jakby w podziękę za kilka szczęśliwych chwil na ziemi..

Laurencya zmrużyła tutaj oczy i wzniosła je do góry. W tych oczach był dziwny wyraz, zdawało się, że w téj chwili przebywała jakąś ekstazę! Przyjemnego wrażenia doznał Teodor patrząc na te oczy, przez które, jak przez lunetę, widać było jakieś drugie niebo, pełne znaków tajemniczych...

— Kochankowie—mówiła daléj Laurencya—wzywają gwiazdy na świadków... Księżyc to przecież urzędowy powiernik ich... a wschodząca jutrzenka jest obrazem nadziei, jaką żywią się serca złamane!... A jeżeli ukochana istota nam umrze, szukamy jéj między gwiazdami—w świetle gwiazd i księżyca spuszczają się do nas duchy, aby nas w boleści ukoić!... I czyż to wszystko nie wystarcza, aby tym gwiazdom, temu niebu, poświęcić trochę luźnego czasu, zapoznać się z niém i dowiedziéć się, jaki tam porządek dzienny panuje?

Twarz Teodora przybrała wyraz poważny.

— Niebo i gwiazdy—odparł po chwili—to... matematyka! Nie wiem, czy wyobraźnia kobiéca znajdzie tam pokarm dla siebie. Gorącemu sercu może się zimno zrobić na widok tych niezgłębionych przestrzeni, w których odbywa się jednostajnie ruch naprzód matematycznie obliczony... ruch bez żadnéj widoméj ręki, która go sprawiła!...

— Otóż tę widomą rękę zostaw pan wyobraźni kobiecéj, wystarczy ona, aby wszystko dla niéj było ciekawe!...

Teodor rozśmiał się.

— Téj ręki nigdy pani nie uchwycisz — odparł — trzeba albo w coś wierzyć, albo oddać się rozpaczy! Wir bez mądrego początku i szlachetnego celu—to szał, cierpienie, boleść i rozpacz!

— Szał... cierpienie... boleść i rozpacz! Jak pan wiele powiedziałeś w tych słowach!..

Laurencya podparła ręką głowę i zamyśliła się. Teodor patrzał na nią z pewném wzruszeniem, bo cała poza téj kobiéty przemawiała teraz do niego wymownie.

Po chwili posunęła ręką po czole, jakby ztamtąd odpędzała komary brzęczące i mocno otwartemi oczyma spojrzała na Teodora.

— Więc pan powiadasz—mówiła powoli—że każdy szał kończy się cierpieniem, boleścią i rozpaczą!...

Teodor poczuł w tych słowach tyle boleści, że mimowolnie pospieszył z zaprzeczeniem.

— Stosowałem to do astronomii — odparł szybko — do gwiazd w ogóle do świata, ale nie do życia ludzkiego!

— Byłaby to zbyt sroga reguła—ozwała się z uśmiechem piękna kobiéta—abyśmy przy każdém wzruszeniu naszem pytały się zaraz, czy ma ono rozsądek, czy matematycznie obliczone nie skończy się boleścią i rozpaczą? W takim razie życie nie miałoby wiele powabu. gdybyśmy z góry wiedzieli, przy czém trzeba się bezkarnie śmiać i zachwycać, a od czego stronić i uciekać!... Właśnie to stanowi największy interes, ja nazywam to szczęściem. Jeżeli mimowolne uczucia nasze musimy strzedz od burzy groźnéj, musimy je chronić od napadu złych ludzi, słowem jeżeli walką nieustanną możemy się tylko przy nich utrzymać!... Zdobywać śród przeszkód niezliczonych—to szczęście!... Tracić zaraz z początku dla tego, że się walki obawia—to nieszczęście!

Laurencya wyprostowała tutaj piękny swój biust, jakby poczuła pancerz na nim. Głowę podniosła do góry a spojrzenie jéj okazywało, że chce należéć do tych, którzy nie myślą tracić ale zdobywać.

Dziwnie w téj chwili zrobiło się w sercu Teodora. Postawa młodéj kobiéty żądała także od niego odpowiedzi, do któréj kategoryi ludzi chce należyć. Nie można się było długo namyślać. Wyrzucił także głowę do góry i rzekł:

— Nie przeczuwasz nawet pani, coś w téj chwili do mnie wyrzekła. Potrzebowałem właśnie takich słów, a nikt inny prócz pani nie mógł mi ich powiedziéć!

Rozkoszny uśmiech ożywił twarz Laurencyi.

— Cóż zdziałały te słowa? — zapytała z niewypowiedzianym wdziękiem.

— Dodają mi one odwagę w pewnych marzeniach moich, o których zaczynałem już wątpić!...

— Jeżeli tak—mówiła do niego Laurencya z głębokim spojrzeniem—jeżeli tak, to muszę sobie powinszować pierwszéj etapy moich zdobyczy!... Czy i panu można czego powinszować?... dodała po chwili i wyciągnęła drobną, białą rączkę.

Pochwycił te rączkę Teodor i mocno uścisnął.

— Wdzięczność moja bez granic — odparł z energią — niezapomnę o téj chwili wtedy, gdy zostanę zupełnym zwycięźcą z tem przekonaniem, że nic nie straciłem!

Nastąpiła mała pauza milczenia. Laurencya patrzała przed siebie i uśmiechała się do swoich myśli.

— Niechże pan odtąd żadnéj chwili nie traci — rzekła żartobliwie—a jeżeli kiedy zamiast zwycięstwa ujrzysz się pan zwyciężonym, to tém się pan pociesz, że czasem aby zwyciężyć, trzeba być pierwéj zwyciężonym!

W téj chwili dał się słyszéć za oknami turkot kół. Laurencya zmarszczyła brwi i słuchała przez chwilę. Potém rozjaśniła twarz a nawet uśmiech przelotny przebiegł po niéj. Czekała w milczeniu.

Do pokoju weszła kameryera. Nic nie wyrzekła tylko zatrzymała się przy progu, jakby czekała odpowiedzi.

Laurencya pomyślała chwilkę.

— Przeprosić—rzekła—jestem dziś niezdrową.

Służąca wyszła. Teodor powstał szybko.

— Nie zabieram pani czasu—ozwał się z pewnym smutkiem na twarzy—jeżeli pani pozwoli, pożegnam...

— Zostań pan — odparła życzliwie — przyznasz pan, że towarzystwo pana w téj chwili przenoszę nad obowiązkową wizytę pani Euzebii i Leonii! Nie pytałam nawet, która z nich była. Przecież musimy rzecz skończyć o astronomii, a następnie musisz mi powiedzéć, jakie książki mam sobie zapisać, aby się do nieba dostać. Dlatego zostaniesz pan na herbacie... czy masz pan dorożkę?

Teodor zarumienił się, chociaż sam nie wiedział dlaczego?

— Nie mam—odparł półgłosem—przyszedłem piechotą.

— W dzień to bardzo miła przechadzka, ale w nocy nie bardzo romantyczna. Każę pana odwieźć.

Teodor pokłonił się na znak, że ofertę przyjmuje.

Dalsza rozmowa toczyła się mniéj więcéj w takich samych ramach jak powyżéj. Przypuszczono także i drzemiącą angielkę do rozmowy.

Wreszcie po herbacie, gdy zegar nad kominkiem jedenastą godzinę wybił, dał znać służący, że kareta już przed ganek zajechała.

— Do zobaczenia—rzekła Laurencya podając rękę Teodorowi—niechże pan nie da długo czekać na siebie. Książki same bez nauczyciela nie wiele mnie nauczą!.,.

Teodor przyrzekł przyjść wkrótce.

— A teraz, jak pan wrócisz do domu, o czém będziesz najpierwéj myślał?—pytała z uśmiechem piękna kobiéta!

— Otworzę okno i spojrzę na kometę!—odparł Teodor.

— Czy dawno nie myślałeś pan o niéj?

— Od wczorajszego dnia.

— Od wczorajszego dnia?

— Wczoraj w rachunku moim, który miał obliczyć bieg komety, wykryłem błąd, który odebrał mi odwagę do ponowienia żmudnéj pracy. Pani należy się zasługa, żeś mię do tego zachęciła! Zacznę natychmiast nowy rachunek?

— Czemże pana zachęciłam?—zapytała z pewném zadowoleniem Laurencya.

— Powiedziałaś pani, że tylko zdobycz wywalczona walką...

— A!... prawda! Więc winszuję, winszuję takiéj zdobyczy... winszuję dokładnego obliczenia biegu komety... ale zarazem niech pan pamięta i o drugiéj komecie, któréj bieg także nie łatwy jest do obliczenia! Dobranoc.

Teodor wyszedł na ganek. Przed gankiem stała błyszcząca kareta, na koźle siedział stangret w sutéj liberyi a na dole czekał lokaj, aby gościa do karety wsadzić, a potém obok stangreta miejsce zająć.

Rozkosznie robiło się w karecie młodemu astronomowi. Miękkie jedwabne poduszki podrzucały go do góry, a przez kryształowe szyby migały smutno blade światełka przedmieścia. Jak biednie, jak nędznie wyglądały z takiego okna te małe domki, w których może niejeden ojciec rodziny pracuje jeszcze na kawałek chleba, aby go jutro mógł dać dzieciom przebudzonym!... Jakże smutno wyglądają owi piesi wędrowcy, którzy szparkim krokiem spieszą do domu!... Jak to miło i przyjemnie jechać w takiéj karecie! Gmin uliczny rozstępuje się jak stado baranów a chociaż nie wie, kto wewnątrz siedzi, już na sam widok lokaja i karety... szczęśliwemu zazdrości!...

Wielkiéj przyjemności doznawał młody astronom w karecie. Znikła mu z przed oczu uboga izdebka z kulawym fotelem... i zdawało mu się, że jedzie po błękitném niebie na owym wielkim wozie, w którym tak świetnie figuruje ów niedźwiedź astronomiczny, pierwszy mocarz północy!... Zdawało mu się, że i on nie jest mniejszy od tego niedźwiedzia, że i on — obliczywszy bieg komety—stanie się takim samym dygnitarzem i po wieczne czasy będzie świecił potomności!...

A tymczasem... tymczasem trzeba było wyjść z karety, bo nagle zatrzymała się przed kamienicą.

Kolega niedźwiedzia niebieskiego sięgnął teraz do chudéj kalety swojéj i wyskrobał z niéj wszystko co tam było, aby za rozkosze jedwabnych poduszek należycie zapłacić.

Kareta odjechała. Teodor zadzwonił do kamienicy.

Stróż otworzył.

— Dobranoc ci przyjacielu—rzekł do niego młody astronom—na drugi raz, bo dziś nie mam... drobnych!

Stróż poskrobał się w głowę.

(c. d. n.) *Jan Zacharjasiewicz.*

O pierwotnym ustroju społecznym w Polsce.

(Z powodu dzieła pana prof. Dr. Stanisława Smolki: Mieszko stary i jego wiek. Warszawa. 1881).

Chcąc uwydatnić należycie postać Mieszka starego i dążności jego, pan Stanisław Smolka w swém cenném dziele roztacza przed oczyma czytelnika obraz stosunków społecznych i państwowych Polski, jakimi były w XI wieku i w początku XII, a jakimi się stały w końcu XII i w początku XIII wieku. Był to czas przejściowy, w którym dawne zwyczaje i prawa po części runęły, aby utorować drogę nowemu porządkowi rzeczy, którego rozkwit rozpoczął się w wieku XIII.

Stosunki te traktuje p. Smolka w drugim i trzecim rozdziale swego dzieła, poświęcając im blizko 200 stronnic; rozbiera je bardzo obszernie i barwnymi rysami maluje naszą przeszłość. Przez to przedmiot z natury swojéj bardzo suchy, przybrał lśniący koloryt i z zajęciem zapewne każdy przeczyta wywody autora. Nie odmawiamy zalet takiemu sposobowi pisania, którem odznacza się książka p. Smolki, ale sądzimy, że w téj barwności jego opowiadania leżą także strony ujemne jego wywodów. Wiemy wszyscy, że ustrój społeczny i państwowy dawnéj Polski, dotąd mało jeszcze zbadany, dostarcza wiele kwestyj wątpliwych lub całkiem niewyjaśnionych, nad któremi ledwie otworzono dyskusyą. Chcąc zaś dać barwny obraz tych zamierzchłych stosunków, trzeba było brać drastyczne przykłady, przy czém naturalnie nie mogło się obyć bez tego, aby to, co było wyjątkiem lub nadużyciem, nie przedstawiało się w jego dziele jako zasada ogólna, jako prawo wiekiem i zwyczajem uświęcone. Pomimo tych usterek uznajemy chętnie tę wielką zasługę autora, że tak wszechstronnie poruszył kwestye tak ciemne a pomimo to tak ciekawe. Jak Bobrzyńskiego dzieje Polski w zarysie, tak

i dzieło p. Smolki wywoła niewątpliwie żywe zajęcie i będzie miało ten skutek, że niejeden szczegół niedokładnie przedstawiony lub zrozumiany dozna gruntowniejszego opracowania, co, do wyświecenia prawdy, o którą każdemu chodzi, przyczynić się może.

Zabierając w tych kwestyach głos, nie mam zamiaru szczegółowo krytykować wszelkich przez p. Smolkę postawionych zdań; nie uważam się do tego za sędzię kompetentnego, bo nigdy specyalnych o tych stosunkach nie robiłem studyów. Pomimo to sądzę, że moje uwagi może nie będą bez interesu, zwłaszcza, że opierają się na źródłach i stosunkach niespecyalistom mało znanych t. j. na źródłach i stosunkach pruskich. Wiadomo bowiem, że Krzyżacy odebrawszy r. 1230 ziemię chełmińską i nieco późniéj lubawską w faktyczne posiadanie, objęli zarazem władzę nad liczną ludnością polską. Społeczne i prawne stosunki téj ludności polskiéj, przedstawiają się pod wielu względami w nieco inném świetle niż u p. Smolki; mojem zdaniem zatém będzie, uwydatnić w krótkości te różnice a nie przeceniając ich doniosłości, zwrócić uwagę na źródła, które bogaty obiecują plon badaczowi.

Według p. Smolki była Polska w XII wieku jeszcze bardzo lesista a osady niezbyt liczne; gospodarstwo ludności zostawało w opłakanym stanie, choć dawno już wyszło ze stanu pierwotnéj dzikości. Były już wielkie majątki panów i biskupów, był książę sam, do którego należało wszystko, co nie było pańskiém, ziemiańskiém lub biskupiém, za nich i dla nich pracować musiała ludność nieswobodna, ludność przywiązana do gleby, którą po prostu ludźmi lub chłopami albo niewolnikami zwano od niewoli, w któréj panom służyć mieli. Znaczna część téj ludności nieswobodnéj składała się w istocie z niewolników t. j. jeńców wojennych lub z ludzi kupionych.

Obok klasy ludzi nieswobodnych znajdujemy również ludzi swobodnych t. j. właścicieli małych folwarków. Zubożały taki ziemianin, nie mogąc się utrzymać na swéj własności, oddawał ją, jak Smolka przypuszcza, kościołowi, który go za czynsz na roli zostawiał. W ten sposób zaludniły się posiadłości kościelne liczną klasą chłopów swobodnych, których położenie pomimo to nieraz było gorsze od ludności przywiązanéj do ziemi. I na obszarach książęcych osiadali niekiedy w takich warunkach zubożali dziedzice. Czynszowi kmiecie, nie tracąc osobistéj wolności, inną zupełnie mieli niż niewolnik podnietę do skrzętniejszéj pracy, bo co im z plonów zostało ponad wysokość należnego czynszu, to ich wyłączną było własnością. Gdy zaś potém sprowadzano kolonistów niemieckich i osadzano ich na czynszu, to niebawem i Polacy poszli za niemieckim przykładem

i zaczęli chłopskim osadom nadawać organizacyą *swobodnych* niemieckich kolonij.

Z chłopem do gleby przywiązanym nie o wiele lepiéj się obchodzono jak z bydłem. Był on panu niemniéj potrzebny jak bydlę w jarzmie, a kiedy każdy dbał o to by mu wół nie zdechł z głodu, to i chłopu musiał dać tyle pożywienia, aby był zdolny do pracy.

Co rola wydała, zbierali chłopi i znosili do pańskich spichrzów, a włódarz tyle im tylko zostawił, aby do przyszłego roku mieli z czego się wyżywić. Niekiedy jednak układano się z chłopami o stałe doroczne daniny, zostawiając im resztę plonu, którą ponad umówioną ilość zdołali zebrać. Pan mógł chłopów rugować z roli przez nich uprawianéj i przenosić na inne miejsce.

Obok osad rolniczych spotykamy już wcześnie mianowicie w posiadłościach książęcych, biskupich i klasztornych osady rzemieślnicze.

Dla wolnych ludzi własność ziemska była podstawą stanowiska społecznego a własność ta była zupełna, bo przechodziła bez żadnych ograniczeń z pokolenia na pokolenie po bliższości na wszystkich zstępnych pierwszego właściciela. Tylko kto sam się jakiejś włości dosłużył czy kupnem czy z daru książęcego, mógł nią rozporządzać do woli, ale téż, jeśli mu Bóg dzieci nie dał, po śmierci zabierał ją książę jako puściznę, do któréj dalsi krewni zmarłego nie mieli prawa. Każda jednak ojcowizna po przodkach odziedziczona przechodziła po bezpotomnéj śmierci właściciela na najbliższych krewnych po mieczu.

Władycy czyli rycerze pochodzili z szlachetnego rodu.

Przed majestatem księcia giął się zarówno magnat jak i jego niewolnik, bo wszelka władza do księcia tylko należała. Nad swobodną zaś ludnością na cudzych gruntach osiadłą żadnéj już władzy nie miał pan włości, czynsze bowiem i daniny były rzeczą prywatnéj umowy, a pan i czynszownik równi byli sobie przed obliczem księcia.

Podczas gdy władycy czyli rycerze mieszkali w dworach często obwarowanych, ludność nieswobodna czyli niewolnicy siedzieli w osadach bez wszelkiéj organizacyi i byli pozbawieni praw wszelkich; mieniem ich i dobytkiem szafowali dowolnie książę, jego urzędnicy i czeladź; byli oni pastwą każdego, który chciał ich obdzierać.

Opole zaś składające się z większych obszarów ziemi, z większéj liczby osad, nie miało żadnego znaczenia dla ludności saméj, bo podział kasztelanii na opola miał tylko ten cel, aby gospodarstwo grodu książęcego ułatwiać. Od gminy bowiem niemieckiéj różniło się opole pstrą mozaiką swych części składowych, brakiem wspólności majątku w lasach i pastwiskach, przedewszystkiém zaś tém, co je

odróżniało wogóle od zasadniczego pojęcia gminy, nie dostawało mu bowiem najniższéj organizacyi na samorządzie opartéj.

Napróżnoby téż kto szukał w opolu jakiejś naczelnéj władzy wybieralnéj czy nawet z góry narzuconéj. Opole jéj nie potrzebowało, boć skoro istotą jego związku były ciężary publiczne, to na straży tych obowiązków stał gród książęcy; włódarz zatém, jako urzędnik grodowy, który miał sobie powierzony rozkład i nadzór pracy w książęcych osadach, był téż naturalnym pośrednikiem między opolem a grodem, był stróżem pańskich interesów wobec opola. On téż, lub może inny urzędnik książęcy, zwoływał zgromadzenia opólne, ale wiece te nie miały innego celu jak tylko, aby lud na nich wysłuchał rozkazów pańskich.

Choć niektóre daniny i pańszczyzniane obowiązki, jak to już z natury rzeczy wynika, ciążyły na każdéj osadzie, na każdéj nawet chałupie chłopskiéj z osobna, to jednak większą część publicznych ciężarów ponosiło solidarnie opole, rozkładając je po słuszności między swoje drobniejsze części składowe i pojedyńczych mieszkańców.

Wśród ciężarów ludności opólnéj względem państwa rozróżniać należy roboty publiczne i daniny skarbowe. Do pierwszéj kategoryi należały: obowiązek służby wojennéj, utrzymanie zamków i ich naprawy, ślad czyli gonienie złoczyńców, daléj podwody, przewód, który był chłopskim i rycerskim, powóz, oraz utrzymanie książęcéj służby kuchennéj, łowieckiéj i t. p.

Z pomiędzy danin, jakie od całéj ludności wybierali poborcy książęcy, narzaz czyli danina z wieprzów, krów i wołów był ciężarem opólnym, gdyż ludność całego opola do roku po jednym wole i po jednéj krowie składała w grodzie. Również i miód leśny wybierali poborcy grodowi z opól w oznaczonych ilościach. Sep składany w pszenicy, owsie i jęczmieniu również był daniną opólną. Stałemi zaś podatkami były: poradlne czyli powołowe, podworowe, pomocne i t. p. Kasztelan miał sądownictwo nie tylko nad książęcemi osadami, ale i nad całą ludnością chłopską wszystkich posiadłości prywatnych swego okręgu.

Takie są poglądy p. Smolki na ludność wiejską czyli chłopów, oraz na ludność wolną czyli ziemian i władyków; streściliśmy je tutaj po krótce, prawie zawsze słowami autora.

Poglądy te są bardzo pesymistyczne, nie całkiem téż są dokładne, jak to późniéj zobaczymy.

Nie można sobie wyobrazić dwóch bardziéj krańcowych zdań, jakie Smolka i Bobrzyński o pierwotnéj ludności polskiéj wypowiedzieli! Bobrzyński bowiem uważa pierwotną Polskę niejako za jed-

ną wielką wieś, a całą ludność za wieśniaczą z wyjątkiem duchowieństwa i kilkunastu lub kilkudziesięciu rodzin szlacheckich, pochodzących od tych książąt, którzy przed powstaniem Polski panowali nad pojedyńczemi ludami. Ludność wieśniacza, przeciążona służbą wojskową i rozlicznemi daninami i powinnościami, nie miała żadnéj własności gruntowéj, niepewna jutra czekała, gdzie ją każdéj chwili rozkaz książęcy przerzuci, ale nie podlegała nikomu tylko księciu i jego urzędnikom i żadnych innych panów nad sobą nie miała. Smolka zaś twierdzi polemizując z Bobrzyńskim, że w pierwotnéj Polsce była liczna szlachta i liczniejszy jeszcze stan małych ale wolnych dziedziców, których jak nazywać niewiadomo. Reszta zaś ludności składała się z niewolników i stanowiła stan chłopów.

Pomimo téj pozornéj sprzeczności poglądy obydwóch bliżéj się schodzą, niż na pierwszy rzut oka się zdaje i jest nie mało miejsc w dziele Smolki, które zupełnie przemawiają za hypotezą Bobrzyńskiego z pewnemi ograniczeniami naturalnie.

Jak cała Słowiańszczyzna wyrosła na stosunkach patryarchalnych, według których najstarszy jest głową całego rodu, tak i w Polsce na téj podstawie rozwinął się zdaniem mojem cały porządek rzeczy, jak tego dowód mamy jeszcze w senioracie. Czém najstarszy w rodzie, tym był lechicki naczelnik pojedyńczego ludu wśród owego ludu, a nareszcie książę polski w całym narodzie polskim. Książę polski był niewątpliwie w tém rozumieniu panem całéj ziemi i głową wszystkich jéj mieszkańców, z pomiędzy których tylko głowy rodów, klanów i ziem wybitniejsze zachowały stanowisko, a wszyscy też mieli pierwotnie w obec księcia równe obowiązki, wyjąwszy rodziny, które od pierwotnych książąt pochodziły, lub które z domem panującym były w stosunkach pokrewieństwa. A czy Smolka pomimo swéj opozycyi nie jest mniéj więcéj tegoż samego zdania? powiada bowiem: „przed majestatem książęcym giął się zarówno magnat jak i jego niewolnik, bo wszystka władza do księcia tylko należała“ oraz: „takie to korzyści przynosił księciu każdy zaludniony obszar jego państwa, czy na nim książęce osady siedziały czy téż był własnością prywatną kościoła, magnatów, władyków lub ubogich dziedziców. Nie tylko jednak siła robocza ludności służyła jego potrzebom, nie tylko jéj dobytek i zapasy stały otworem dla książęcego dworu i służby książęcéj, prócz tego wszystkiego jeszcze skarb książęcy zapełniał się daninami z każdego kawałka zaludnionych obszarów. *O tyle cały kraj był poniekąd własnością księcia*, bo z każdéj włości cząstka dochodów spływała do jego skarbu.“ Widać, że zdania Smolki i Bobrzyńskiego tak bardzo się nie rozchodzą. Chodzi bowiem o to tylko, jak nazwać stosunek zależności całego narodu od księcia.

Biorąc rzeczy teoretycznie nie zaprzeczam, że wobec księcia cały naród był nieswobodnym, jak to dziś jeszcze twierdzić można o każdym narodzie, który nie mając konstytucyi lub ustroju republikańskiego, pod rządem znajduje się absolutnym; biorąc zaś rzecz praktycznie, ulegać nie może wątpliwości, że cały naród był swobodnym i wolnym, bo wszyscy wobec księcia byli mniéj więcéj równi, z wyjątkiem kupionych niewolników. Że zaś z biegiem czasu wszystko się rozwija, więc i ta pierwotna równość ludności polskiéj musiała ponieść szwank, bo im więcéj się istot pojedyńczych dobiło większych majątków, urzędów i znaczenia, tém bardziéj zaczęły się ścieśniać prawa i wolność biedniejszych, których się uważało za coś niższego, jak to wszędzie i dziś się dzieje.

Zdanie nasze potwierdza faktyczny stan rzeczy, jaki miał miejsce w początku XIII wieku na Mazowszu a mianowicie w ziemi chełmińskiéj, oraz na Pomorzu gdańskiem jeszcze w XIV wieku. Że prawo polskie panujące w tamtych stronach jest dokładnym wyrazem stosunków dawniejszych, o tém nikt wątpić nie będzie, kto uwzględni, że ziemia chełmińska dostała się pod panowanie krzyżackie przed rozkwitem ery przywilejów i prawa niemieckiego, oraz, że Mazowsze z ziemią chełmińską leżące bardziéj na wschód, mniéj było przystępne dla inowacyj zachodnich aniżeli Małopolska, Wielkopolska i Szląsk. To samo ma miejsce na Pomorzu, gdzie póki książęta pomorscy panowali, prawo polskie w całéj sile się utrzymywało. Gdy zaś Krzyżacy jedną ziemią zawładnęli i drugą, prawo polskie w swém oderwaniu nie miało sposobu rozwoju, skostniało i przechowało się takiém, jakiém było przedtém.

Krzyżacy objąwszy r. 1230 w faktyczne posiadanie ziemię chełmińską, znaleźli lud polski i rycerstwo polskie rządzące się prawem polskiém; ponieważ prawo polskie nie było im znane, musieli postarać się o znajomość jego i w tym celu dali spisać jego zwyczaje, aby je nadal módz w praktyce zastósować, a tym zabiegom ich zawdzięczamy dwa najdawniejsze pomniki prawa polskiego t. j. prawo polskie i statut dla rycerstwa polskiego ziemi chełmińskiéj; obydwóch tych pomników p. Smolka z wielką szkodą dla swéj pracy nieomal wcale nie uwzględnił.

Statut dla rycerstwa polskiego ziemi chełmińskiéj wydano w latach 1230—1239, prawdopodobnie współcześnie z prawem chełmińskiém a więc roku 1233; pierwotny przywilej zaginął i dziś istnieje tylko kopia transumptu tegoż z r. 1278. Wartość jego pod względem wiadomości o ustroju społecznym jest jednak małą, gdyż przywilej zawiera niektóre nowe normy i zasady wprowadzone przez krzyżaków.

Wierny zaś i ciekawy obraz ówczesnych stosunków podaje prawo polskie ogłoszone przez Helcla i Volkmanna. Rękopism pochodzi z r. 1340; jeżeli jednak już język tego aktu—spisany jest po niemiecku—przybliżony jest do języka XIII wieku, to nie ulega wątpliwości, że mamy przed sobą prawo polskie spisane zaraz po przybyciu Krzyżaków do Prus tj. po roku 1230 i to z polecenia tychże. Czy zaś tekst teraźniejszy jest ten sam, który Krzyżacy dali dla siebie sporządzić, czy może jest późniejszém opracowaniem jego, to jest zdaniem mojém rzeczą podrzędną, bo Niemiec piszący w XIV wieku przelałby z pewnością w takim razie w inną formę tylko to, co znalazł w źródle. Wzmianka zresztą o księstwach polskich, oraz przepisy prawne, które w drugiéj połowie XIII wieku z życia wychodzą, wskazują wyraźnie na czas przez nas powyżéj podany, t. j. na rok 1230.

Żałować tylko należy, że rękopism urywa się na miejscu, gdzie miała być mowa o rycerzach i ich lemanach (untersassen). W petersburskiéj bibliotece publicznéj podobno istnieje jeszcze jeden rękopism tego prawa, gdyby tenże miał dokończenie, byłaby to rzecz nader ważna i ciekawa; zwracamy dla tego nań uwagę uczonych naszych.

W tych źródłach przedstawia się ustrój społeczny nieco inaczéj niż u Smolki a rysy tam podane są niezawodnie bardzo starożytne.

Smolka zna, jak powyżéj wykazaliśmy, tylko chłopów niewolników mieszkających w osadach bez organizacyi i niemających ani własności, ani praw własnych.

Prawo zaś polskie przytacza nie tylko dowody organizacyi wiejskiéj, ale wykazuje zarazem, że chłop polski nie był niewolnikiem, lecz miał prawo własne i własność, która przechodziła z ojca na syna tak samo jak u rycerzy. Niewolnicy stanowili odrębną klasę ludności.

Chłopi nie mieszkali w luźnych osadach, lecz we wsiach; wsie zaś były po części własnością księcia, po części zaś szlachty t. j. ziemian i rycerzy, oraz biskupów, księży, opatów i proboszczy; (XXIII) (1) organizacya zaś wsi była wszędzie jednaka; na czele bowiem każdéj wsi stało dwóch ludzi: starosta tj. najstarszy ze wsi (der eldiste a nie edilste, jak mylnie tekst niemiecki podaje) oraz włódarz (IV).

(1) Prawo polskie wzwyż wspomniane wydał Helcel w drugim tomie swoich „starodawnych prawa polskiego pomników“ pod tytułem: „Księga prawa zwyczajowego polskiego z wieku XIII spisana przez bezimiennego Niemca,“ Liczby rzymskie w nawiasach podane odnoszą się do helclowskich rozdziałów.

Starosta był reprezentantem gminy wiejskiéj i dlatego stawiają go dokumenta krzyżackie obok sołtysa np. 1255 „scultetus vel starosta;“ czém sołtys we wsiach na prawie niemieckiém założonych, tém mniéj więcéj jest starosta we wsiach polskich oraz pruskich, bo organizacya wsi pruskiéj polega w wielkiéj części na prawie polskiém. Stanowisko jego jednak nie jest dokładnie wyjaśnione; być może że organizacya wsi rosyjskiéj, która również ma starostów na czele, da nam wyjaśnienie.

Włódarz zaś, choć również był chłopem, jest przedstawicielem pana lub księcia tj. główném zadaniem jego jest czuwanie nad tém, aby obowiązki wsi względem pana i księcia zostały wykonane. Stanowisko dzisiejszych włódarzy w majątkach wielkopolskich może nam pierwotne stanowisko włódarzy poniekąd jeszcze objaśnić. O innych obowiązkach włódarza podają wiadomość prawo polskie i *iura Pruthenorum* (1); w prawie pruskim włódarz zwykle nazywa się Kemerer tj. komornik.

Jako oznakę swéj godności trzymali starosta i włódarz laskę w swym ręku (IV).

Chłopi mieli własność tak jak panowie i siedzieli jak oni na swych gruntach dziedzicznie. Wynika to niewątpliwie z następującego ustępu prawa polskiego: „Jeżeli umrze chłop (gebuer) nie mający syna, tedy pan bierze jego mienie; ma jednakże jego żonie wydać jéj poduszki i pokrowce na ławy i to co nazywają dzienicą, na któréj się sypie i szczodrość jéj także należy okazać z mężowego imienia (von dem gute), dając jéj jednę krowę albo dwie, trzy lub więcéj lub téż może co z innego bydła na jéj utrzymanie. Jeżeli zaś chłop ma syna, który bierze po jego śmierci dziedzictwo (Erbe), ten zatrzymuje matkę przy sobie, gdy nadal nie zamężną chce pozostać. Lecz jeżeli nie chce pozostać wdową, tedy syn daje matce jéj poduszki, jéj pokrowce i jéj dzienice; a jeżeli chce dać coś więcéj, to zależy od jego woli.“

Jeżeli zaś umierający pozostawia córkę, tedy ten ma jéj dać posag, kto bierze dziedzictwo, czy to syn czy to pan (XXII).

Posiadłości chłopskie były od siebie odgraniczone, co stąd wynika, że mowa o skażeniu miedzy (XIX).

Chłopi byli zamożni, skoro pan biorący po zmarłym dziedzictwo obowiązany jest dać wdowie na utrzymanie jedną do trzech krów lub więcéj z mienia zmarłego. Każdy chłop posiadał prócz krów

(1) Jura Prutenorum saeculo XIV condita nunc primum a libris manuscriptis edidit Paulus Laband, u. i. doctor etc. Regimonti Pr. a. 1866, 4⁰.

konie (XI), wozy (XIV), i miał sad i warzył sobie piwo, skoro w swym sadzie chmiel hodował (XXVII).

Według prawa polskiego dzielą się chłopi na swobodnych— a o nich dopiéro co mówiliśmy, i nieswobodnych, którzy są własnością pańską tj. glebae adscripti czyli niewolnikami.

Chłopi swobodni siedzą nie tylko pod księciem, lecz téż na posiadłościach pańskich; obowiązani byli do niektórych robót pańszczyźnianych, bo musieli np. dwór pański grodzić i przez *trzy dni* siano kosić w czasie sianożęcia; kobiéty zaś były obowiązane żąć *trzy dni* zboże pod czas żniwa (XXIX) itp.

Chłopi zaś, którzy są własnością pańską, pracować muszą wtedy, gdy się im każe. Są jednak niektórzy nieswobodni (eigene lute). z których każdy służy we dworze przez miesiąc nie odchodząc z dworu, dopóki inny na jego miejsce nie przyjdzie. Ci poddani mieszkają razem we wsiach, które im są wyznaczone i pracują na swoje wyżywienie, gdyż wszyscy. którzy takie wysługi pełnią na dworze, mają żyć o swoim chlebie (XXIX) Nie ma więc mowy o tém, aby niewolnikom jak bydlętom tylko tyle wydzielano, ile potrzeba na wyżywienie, skoro im wyznaczano ziemię na samo ich utrzymanie.

Kto z własnych ludzi zbiegnie panu, tego wolno panu ścigać i jako własność swą reklamować (XXVIII).

Że zaś chłopi, których nazwaliśmy swobodnymi, na równi stoją z rycerstwem przed sądem, wynika stąd, że jeżeli chłop rycerza zaskarży, tedy rycerz i chłop walczyć mają z sobą na miecze; jeżeli zaś rycerz pozywa chłopa, wtedy walczą na kije (XXIII). Wobec chłopa, który jest własnością pańską, który jest po prostu rzeczą kupioną, takie postępowanie sądowe jest absolutnie niezrozumiałe.

Wyższym wyrazem organizacyi gminy wiejskiéj było opole, po niemiecku zwane „gegenote." Z wywodów p. Smolki nie wiedzieć, czy opole w całéj Polsce istniało, oraz czy koniecznie kilka osad lub téż czasem tylko jednę wieś obejmowało. Sądzę, że było jedno i drugie opierając się na wyrażeniu prawa polskiego: goni się w ślad za łupieżcą lub złodziejem od opola do opola. ode wsi do wsi (IX).

Ze wszystkich sposobów powstania opola, które Smolka przytacza, tylko jeden odpowiada wszystkim warunkom, wyobrażam to sobie w ten sposób: Książę lub pan zakładając wieś w bardzo dawnych czasach, gdzie jeszcze dużo było ziemi lesistéj, wyznaczał terytoryum, które do téj wsi należéć miało, a to terytoryum było tém większe im w dawniejszych czasach lub może wcale nieokreślone. Zakładając wieś obowiązał książę mieszkańców do pewnych obowiązków według zwyczajów danéj chwili. Wieś więc rozrastając się

miała tyle roli, że z pierwotnéj wsi nie było dogodném jéj uprawiać. Powstały więc wybudowania, które z czasem zamieniły się we wsie rzeczywiste, niby kolonie wsi macierzystéj. Wszystko, co na tém terytoryum powstało, należało prawem do wsi pierwotnéj i stało na tych samych warunkach co ona. Słusznie tedy dzielono ciężary wypływające z pierwotnego nadania, choć nie spisanego, między całość tj. między wieś macierzystą i wsie filialne.

Im późniejsze czasy, tém mniéj było nieuprawionego terytoryum, tém mniejsze otrzymywały wsie wyposażenie, które nareszcie wystarczało tylko na utrzymanie jednéj osady; w takim razie będzie opole i wieś równoznaczące. Zawsze jednak będzie opole znakiem starożytnego osiedlenia.

O wspólnych sprawach, obchodzących całe opole tj. rzeczywiste opole lub ostatecznie wieś pojedyńczą, naradzali się mieszkańcy na tak zwanych wiecach opólnych, które w razie gwałtownéj potrzeby każdy mieszkaniec miał prawo zwołać.

Obok chłopów swobodnych istniał jeszcze stan wolnych dziedziców małych posiadłości, którzy od chłopów różnili się pierwotnie tylko większym obszarem gruntu i rodzajem służby wojennéj; bo każdy z nich służył księciu z swojéj posiadłości w zbroi i konno i to na własny koszt, podczas gdy wieś lub opole powołane było jako całość stawiać pewną tylko ilość tarczowników i ludzi do posług podrzędnych.

Dotychczas niebyło wiadomo, jakie miano należy się temu stanowi drobnych dziedziców rolnych. Nazywano ich nieraz kmieciami, ale tę nazwę Smolka słusznie odrzuca, zauważywszy, że oznacza ludność włościańską na swobodach prawa niemieckiego osiadłą. Jeżeli w pomnikach polskich nie znajdujemy co do tego wyjaśnienia, to je nam dają znów księgi krzyżackie.

W Prusach wschodnich bowiem czyli w t. z. Mazurach cała ludność polska pochodzi z Mazowsza, która głównie od XIV do XVI wieku tam się osiedlała. Ludność ta składała się przeważnie z tak zwanych „kleine freie,“ którzy nie należeli ani do rycerstwa ani do chłopstwa, lecz stanowili stan pośredni, coś nakształt drobnéj szlachty. W aktach nielicznych po polsku w XVI wieku wystawionych i zdziałanych przed sądami ziemskiemi nazywa się „freie hufe“ włóką *ziemiańską*; „freie hufe“ zaś oznacza włókę nadaną temi przywilejami, które posiadali „kleine freie“; stąd zaś wynika niewątpliwie, że stan drobnych dziedziców nazywał się „ziemianami.“

Ziemianami byli prawdopodobnie pierwotnie wszyscy wolni dziedzice w Polsce, a ze stanu ziemiańskiego wyłonili się dopiéro, jak sądzę zasługami i większém mieniem, późniejsi rycerze czyli włady-

cy. Stan ludzi swobodnych więc składał się przed XIII wiekiem z chłopów swobodnych, ziemian i władyków, o szlachcie w owym czasie jeszcze nie mogło być mowy.

Ziemian właściwych można rozróżnić dwie kategorye; jedni siedzieli bezpośrednio pod księciem jak władycy, drudzy zaś pod rycerzami trzymając dobra prywatne dziedzicznie rodzajem dzierżawy wiecznéj. O nich (undirsas) zamierzało prawo polskie mówić w miejscu, gdzie się tekst urywa. Statut dla rycerstwa polskiego ziemi chełmińskiéj również o nich wspomina i oznacza, że się panom od nich należy „pokłon.“ Dziedzictwo ich przypadało, po śmierci ich bezpotomnéj, zakonowi, czy zaś w Polsce księciu, nie umiem rozstrzygnąć...

Smolka twierdzi, że dziedzictwo władyków i ziemian bez żadnych ograniczeń przechodziło z pokolenia na pokolenie po bliższości na wszystkich zstępnych pierwszego właściciela. Twierdzenie to opierające się rzeczywiście na faktach późniejszych, nie zgadza się ani z prawem polskiém przez Helcla wydaném, ani ze statutem dla rycerstwa polskiego ziemi chełmskiéj.

Prawo polskie bowiem wyraźnie orzeka:

Jeżeli atoli rycerz umierając żadnego nie zostawia syna, to żona pozostaje w posiadaniu dóbr jego, dopóki chce wdową pozostać, a jeźli i ona umrze, tedy rycerza pan (tj. monarcha) bierze po nim dziedzictwo (erbe); a jeżeli pozostawił córkę, to pan (monarcha) ma ją według słuszności wyposażyć i dać jéj te rzeczy, jakie miała matka itd. Jeżeli rzeczona wdowa nie chce pozostać wdową, tedy pan ma jéj dać wszystkie owe rzeczy (przedtem już w tym ustępie wymienione), również jak całe jéj przędziwo; żony bowiem polskich rycerzy po największéj części same prząść zwykły (XXI).

To co tutaj przytoczyliśmy nie oznacza nieograniczonéj własności, lecz odpowiada po części stosunkom lennym i zgadza się zasadniczo z prawem dziedzictwa chłopów swobodnych. W Polsce więc nie istniała pierwotnie żadna własność bezwarunkowa, któraby na wszystkich zstępnych pierwszego właściciela po bliższości przechodziła.

Rycerstwu polskiemu ziemi chełmińskiéj zrobił zakon, chcąc zaskarbić sobie jego względy, to ważne ustępstwo, że dziedzictwo w razie bezpotomnéj śmierci dziedzica mogło przejść na jego brata, o dalszych zaś krewnych już nie ma mowy.

Jeżeli zaś nie długo potém w Polsce znajdujemy rzeczywiste dziedzictwo, rzeczywistą własność, to jest to jedna z tych zdobyczy, którą możnowładztwo w czasie walki z władzą książęcą księciu wy-

darło. Z tém dziedzictwem nieograniczoném łączy się także mojém zdaniem powstanie szlachty (Schlecht-Geschlecht jak Sang-Gesang) czyli rodów szlacheckich, bo skoro dziedzictwo zupełnie się wyzwoliło z pod władzy książęcéj, członkowie rodów, mając odtąd prawo do dziedzictwa każdego członka, mieli ważny interes w ściślejszém połączeniu się z sobą aby jawnie się okazywało, kto w danym razie ma prawo bliższe do osieroconego dziedzictwa. Że zaś jeszcze w XIII wieku najdalsi krewni nawet musieli dać pozwolenie, skoro ktoś cząstkę swego dziedzictwa odprzedał lub kościołowi zapisał, to właśnie jest dowodem, że owe stosunki były zupełnie świeże i nowe.

Ziemianie i panowie i pod względem ciężarów publicznych nie różnili się bardzo od chłopów swobodnych. Rycerze i chłopi winni księciu i panu swemu dziesiątą część zbiorów w zbożu czyli dziesięcinę świecką (sep?), którą dziesiętnik odbierał po prostu z pola. O téj dziesięcinie świeckiéj mówią wyraźnie: prawo polskie, przywiléj Konrada mazowieckiego dla biskupa pruskiego Krystyana z r. 1224, oraz statut dla rycerzy polskich ziemi chełmińskiéj.

Na pomorzu gdańskiem, gdzie prawo polskie w posiadłościach chłopskich i pańskich, choć nie we wszystkich, przechowało się do XV wieku, w skutek czego przywileje krzyżackie wykluczają nieraz daniny chłopskie i pańskie, wsie chłopskie dawały daninę z wieprzów, krów, kóz, kur, zboża oraz zwitek lnu i gostydne (?), również jak pańskie majątki, na których także ciążyły daniny z wieprzów, krów, kóz, oraz zwitek lnu, gostydne, przewód, często nawet tłóka jak np. pańszczyzna przy sianożęciu (1). Pomoc przy stawianiu zamków, przy reperacyi ich lub burzeniu, jest ogólnym obowiązkiem tak szlachty polskiéj jako téż niemieckiéj. Jako główną cechę polskiego prawa rycerskiego, oznaczają akta krzyżackie, służbę wojenną na każde powołanie i to na własny koszt i bez wynagrodzenia szkód podczas wyprawy poniesionych. Czasem nawet choć bardzo rzadko znajduje się, w przywilejach krzyżackich wystawionych dla Polaków, warunek podejmowania pana tj. wielkiego mistrza lub jego dygnitarza jako reminiscencya dawnego prawa polskiego (2).

---

(1) Ob. Die Zinsverfassung Preussens unter der Herrschaft des deutschen Ordens dargestellt von Dr. M. Töppen. Berlin. Reinhold Cramer: Geschichte der Lande Lauenburg und Bütow. Königsberg 1858 2 tomy; drugi tom zawiera przeważnie dokumenta, z których niektóre ciekawe rzucają światło na stosunki powyżéj omówione. Ciekawe dokumenta odnoszące się do prawa polskiego zawierają jeszcze Hausbuch der Compthurei Danzig w miejskiem archiwum w Gdańsku, oraz pomorskie „Handfestenbücher" w tajném archiwum Królewieckiem.

(2) Przywiléj nadający Sławkowo pod Dąbrownem Bażyńskim zawierał obowiązek „das sie unsern orden mit speise und getränke sollen versorgen." Roku 1452 zniesiono go.

Gdy wszystkie okoliczności tu przytoczone rozważymy, przekonamy się łatwo, że stosunki w pierwotnéj Polsce wcale nie były takie smutne, jak je p. Smolka przedstawia. Książę był panem całéj ziemi; pod nim i jego władzą siedział bardzo liczny stan wolnych i swobodnych ludzi, dzielących się na chłopów, ziemian i rycerzy czyli władyków. Osady osadzone jeńcami i niewolnikami z natury rzeczy nie mogły być bardzo liczne i zamieniły się zapewne po większéj części z biegiem czasu we wsie z ludnością swobodną, jak tego nawet Smolka przytacza przykłady. Używając późniejszych wyrażeń nie całkiem naszym stosunkom odpowiadających można twierdzić, że ponieważ nieograniczona własnośćw Polsce pierwotnéj nie istniała, władycy, ziemianie i chłopi swobodni byli rodzajem lenników książęcych; chłopi zaś swobodni, w prywatnych nie książęcych włościach siedzący, byli lemanami, w przywilejach polsko-krzyżackich jest to terminus technicus, tj. że byli w takim samym mniéj więcéj stosunku do swoich panów jak ciż do księcia. Ciężary ciężące na ludności swobodnéj były wielkie, ale nie tego rodzaju, jak Smolka podaje, który nadużycia i bezprawia niektóre tu i owdzie w XIII wieku praktykowane stawia jako ogólną zasadę prawną.

Czémże więc było dla ludności polskiéj prawo niemieckie, które Smolka poniekąd jako ideał, jako postęp przedstawia?

Rycerstwo wywalczywszy sobie własność nieograniczoną, nie potrzebowało osobiście dla siebie prawa niemieckiego, które wypłynęło ze stosunków lennych. Dla miast, które przed zaprowadzeniem prawa niemieckiego w Polsce już istniały i których rozwój na rodzinnéj podstawie mojem zdaniem był możebny, prawo niemieckie przyniosło większy samorząd, ale zarazem i obcą ludność, która się stała żywiołem rozkładającym. Że zaś zakładając miasta miano głównie na względzie dochody i cła, ufundowano ich tyle w Polsce, że pomimo samorządu rozwój ich po większéj części był niemożebnym, bo nie zawdzięczały swego początku rzeczywistéj potrzebie. Wskutek tego téż nasze miasteczka pomimo miejskiéj organizacyi pozostały głównie tém, czém były przedtem tj. wsiami rolnictwem przeważnie się trudniącymi.

Dla swobodnych zaś chłopów polskich prawo niemieckie było po prostu zabójczém. Myli się p. Smolka twierdząc, że gmina wiejska niemiecka była oparta na samorządzie, że błogiéj używała wolności i swobody; to było udziałem miast założonych na prawie niemieckiem.

W Prusiech, gdzie obok siebie kwitły niemal wszystkie celniejsze prawa niemieckie, na czele których stoi bez zaprzeczenia prawo

chełmińskie, najkorzystniejsze ze wszystkich dla mieszczaństwa i szlachty, wolność znajduje ostateczny swój wyraz w ziemianach (kleine freie) i w sołtysach; co za nimi stoi, do ludzi swobodnych już się nie liczy; byli to zatém nieswobodni.

Dannicy czyli czynszownicy we wsiach na prawie niemieckiém (1) nie używali samorządu, jak miasta. Sołtys, który ludźmi osadził włości na ten cel wyznaczone, był poniekąd włódarzem władzy; miał sądownictwo niższe nad chłopami; sądząc jednak przybierał ławników; odpowiedzialnym był za czynsze i za wykonanie tłóki czyli jak w Prusiech z niemiecka mówią szarwarków; czynsze wprawdzie i daniny nie były zbyt wysokie, ale tém cięższe były liczne roboty pańszczyzniane. Co jednak najgorsza, chłop w niemieckich wsiach osiadły stał się glebae adscriptus; gdy bez wiedzy pana lub władzy państwowéj opuścił swą rolę, był zbiegiem, którego ścigano i którego wydania się domagano (2). Tak było we wsiach książęcych lub królewskich; chłop we wsiach prywatnych na niemieckiém prawie osiadły był nietylko glebae adscriptus, lecz stał się po prostu niewolnikiem, stał się rzeczą pańską, którą sprzedawać było można (3).

Na téj stronie prawa niemieckiego korzystnéj dla księcia i dla pana, ale szkodliwéj dla całego organizmu państwowego, poznano się już wcześnie w Polsce i spieszono się z niéj korzystać; zaprowadzano więc hurtem prawo niemieckie, książę, aby się odbić za liczne straty poniesione w walce z możnowładztwem, możnowładztwo zaś, aby zagarnąć pod swoję władzę licznych chłopów swobodnych, którzy w skutek tego od razu stali się nieswobodnymi. Pobudki więc wcale nie były humanitarne.

---

(1) Tak zwykle się mówi, choć wyrażenie takie nie jest właściwém, bo przy lokacyi wsi chłopskich wystawia się przywilej dla sołtysa lokatora, który zawsze był ziemianinem i do włók osobiście mu nadanych odnosi się téż prawo.

(2) Roku 1541 pisze książę Olbracht do króla Zygmunta: meis officialibus et subditis praecepi, quo *R. Mti subditos*, *nobilitati profugos colonos*, quos iure requirerent, vigore publicae confaederationis libere dimitterent... Si vero adhuc *alicui profugus* contra iura et aequitatem *detineatur*... operam adhibeo, *ne diutius contra iura detineatur*, *sed huic, cui debetur*, citra despendium *restituatur*. (Tomiciana l. XX).

(3) Toeppen w swojéj historyi mazurskiéj mówiąc (str. 119) o krzyżackich czasach pisze: Die Deutschen hatten ihre Schöffengerichte für Dörfer, für Städte und für grössere Landbezirke; nur wo sie *als Hintersassen von Freien oder Edelleuten zur Unfreiheit hinabgesunken waren, scheinen sie dieses Vorzugs entbehert zu haben.*

O ściganiu chlopów zbiegłych wspominają akta pruskie nieraz, czasem téż o ich sprzedaży tak np. placono r. 1681 za chlopa 100 zł. p.

Wszędzie gdzie prawo niemieckie odniosło stanowcze zwycięztwo, jak w Wielkopolsce i Małopolsce, skutkiem jego była ogromna niemoc, bo brak było wszędzie ludzi swobodnych. Gdzie się zaś prawo niemieckie późniéj dopiéro i nie w tak wielkiéj mierze rozpowszechniło, tam panowała większa swoboda, tam byli liczni ziemianie i chłopi swobodni. Téj właśnie okoliczności, sądzę, przypisać należy, że Mazury skolonizowali wcześnie już Prusy wschodnie, Litwę i Ruś, podczas gdy Wielkopolanie i po części Małopolanie dla braku ludzi swobodnych nie tylko nic nie skolonizowali, lecz przymuszeni byli sprowadzać Niemców, aby nieużytki i puszcze uprawiać, tak, że znaczne obszary ziemi, mianowicie w Wielkopolsce już były zniemczone, zanim Prusacy Wielkopolską zawładnęli. Wobec tych faktów trudno pojąć zachwycanie się prawem niemieckiém, przykład Mazowsza pokazuje, czego się po normalnym rozwoju polskich stosunków można było spodziewać.

Dr. Wojciech Kętrzyński.

SZKICE Z ANGLII.

CZĘŚĆ DRUGA.

(*Dokończenie*).

IV.

W oznaczonym czasie, gentleman, ubrany *paré*, w białym krawacie, z długim fontaziem, czekał przed teatrem.

— Jesteś zatém sir!—wołał, zobaczywszy mnie. Chodźmy! przed kampanią narada. Przyznam się—szepcze mi,—że mnie coś mdli koło serca.

— Dobry znak—odpowiadam.

— Im więcéj się wpatruję w fotografią matki, tém więcéj mdli... Weter! pół butelki najlepszego burgunda! Czy uwierzysz Sir, że na mdłości koło serca, najlepszy burgund.

— Przypuszczam.

— Proszę cię, nie przypuszczaj nigdy Sir, jeżeli ja ci mówię na podstawie długiego doświadczenia.

— Widzę, że jesteś Sir rozdrażniony.

— Tak; milczę, ale cierpię!

— Cierpisz?

— Cierpię! Zbliża się do ucha, i biorąc za guzik mego fraka; szepcze: Niebieska sukienka dzisiaj byłaby podobną do niéj. Dżentleman ze wzruszenia odrywa mi guzik.

Nowe zmartwienie, pogoń za chłopcem od krawca, przyszywanie guzika, i niespokojność dżentlemana.

— Co myślisz Sir robić w teatrze? zalewając mdłość sercową zapytuje dżentleman.

— W takich razach, najlepiéj iść naprzód bez planu, a robić, co każą wypadki.

— Daj mi dawną moję odwagę i pewność siebie, którą utraciłem.

— Trzeba ją przywołać burgundem.

— Garson! jeszcze jedną butelkę burgunda.

— Ostrożnie Sir! ostrożnie, abyśmy sztucznie wywołaną odwagą, nie nadwerężyli naszéj pozycyi i nie zniszczyli przyszłości.

— Aż tak daleko sięgasz?

Dżentleman wyjął fotografią. Okrągłe ramiona, pełna twarz i uśmiech pociągający.....

— Patrzaj Sir, jaka przyjemna łagodność,—czuję że jeszcze jestem zdolny do szaleństwa. Jakaś niespokojność mnie opanowała, jak gdyby przed wielką batalią.

— Jak w chwili, gdy w nocy zbliżacie się do brzegów hiszpańskich, dla wyładowania dla Karlistów broni i prochu — dodałem.

— Tak samo;—szepnął dżentleman.

— A zatém, im prędzéj tém lepiéj;—chodźmy!

— Zaraz, zaraz—woła dżentleman, serce mi zaczyna bić.

— A więc wyobraź sobie, że te damy już siedzą na swoich miejscach; obok nich dwa krzesła puste; oglądają się, czekają, i w końcu się gniewają.

— Prawda! okropny shocking spóźnić się! No,—odwago, przybywaj!—idźmy.

Zostawiamy rzeczy w garderobie; dżentleman się przegląda, poprawia.

— Pamiętałeś Sir o jaśminie?

— Nie myślałem nawet o nim—odpowiadam.

— Ale ja za to nie zapomniałem.

Dżentleman wydobywa potężną flaszkę z kieszeni fraka, odkorkowuje ją, połową płynu sprawia mnie kąpiel, a drugą połowę wylewa na siebie.

— Dżokej klub prawdziwy dżokej klub,—szepcze mi!—mogą kichać ale nas poznają.

— Wejdziemy jako krzaki jaśminu!

— Jako bukiety—przerwał dżentleman.

Kurtynę zastaliśmy już podniesioną a na scenie *Giroflé-Girofla*, operetkę Lecoq'a w któréj dzicy odgrywają wielką rolę, na szczęście dżentlemana. Przechodzimy wśród zdumionych widzów, których zapach jaśminu odurza i zbliżamy się do swoich miejsc. Dżentleman mój blady, majestatyczny, poważny.

Na fotelach obok siebie, siedziały matka z córką. Pierwsza wygorsowana, białe ramiona i palące oko; druga młodziutka, nieśmiała, ślicznie utoczona, niebieska sukienka powabnie u szyi odchylona, obszyta białą kryzą.

Siadamy;—zapach jaśminu napełnia powietrze; publiczność szuka sprawców téj niespodzianki;—a dwie nasze sąsiadki rumienią się, może biorąc proporcyą wielkości swego przyszłego szczęścia, z siły zapachu.

Dżentleman nieśmiało się obraca, patrząc na białe ramiona i czarne oczy. Spojrzenie dżentlemana wywołuje uśmiech a mój wzrok rumieńce na świeżéj, sympatycznéj buzi.

Widoczne zaambarasowanie w przeciwnym obozie; moja sąsiadka roztargniona, bawiąc się wachlarzem, upuszcza go na ziemię.

Chwila ta dla mnie jest stanowczą; schylając się po wachlarz, klękam nieznacznie na jedno kolano, i nie zmieniając pozycyi podaję go damie.

Rumieniec, spuszczenie oczu i ledwie dosłyszany *Thank You*, odbieram za całą oopowiedź.

Dżentleman jako Anglik, nie mógł pozwolić, aby był wyprzedzonym. Nie ma sprzyjających wypadków; należy je zatém stworzyć...

Podejmuje delikatnie, niby nienaumyślnie afisz z poręczy fotelu mistress i rzuca go na ziemię, goniąc za nim klęka na oba kolana i klęczący podaje go właścicielce, sentymentalnie patrząc jéj w oczy. Mistress odbiera afisz, śmiejąc się. Dżentleman przy wstawaniu zawadza o dywan i rumiana twarz jego pada na kolana damy. Dama podaje mu rękę ratunku; dżentleman chwyta ją i w uniesieniu wdzięczności całuje głośno.

Sykania i uśmiechy w koło. Dżentleman spogląda dumnie, a mistress zapłoniona, zakrywa się wachlarzem. Podczas téj zawikłanéj akcyi, moja sąsiadka tłumiła śmiech z nadzwyczajném wysileniem, lecz gdy towarzysz mój usiadł nareszcie, zwróciła wzrok na scenę i zachichotała się tak serdecznie, że zmusiła matkę i mnie do akompaniamentu.

Dżentleman widząc śmiech w naszém kółku a sądząc, że wypada mu odpowiedziéć, zawtórował potężnym basem, tak dzielnie i sympatycznie, że cały teatr poszedł za jego przykładem.

— *Very worm*! (bardzo gorąco) zdobył się na pierwsze pytanie.

— Istotnie nie zimno otrzymał odpowiedź.

Dżentleman spojrzał na mnie i przeczuwam, miał niepohamowaną ochotę dać mi boksa, wzywając méj pomocy. Tymczasem ja już prowadziłem swobodną rozmowę z moją towarzyszką.

— Pani lubisz komiczne sytuacye na scenie i w życiu?

Młoda miss zawahała się czy odpowiadać i popełnić shocking, czy téż milczéć i być niegrzeczną. Zapach jaśminu był bardzo sil-

ny; opowiadania Gill umiały być fantastyczne; ciekawość w takich razach odgrywa ważną rolę i dlatego młodziutka miss odpowiada.

— Mam nieszczęśliwe usposobienie śmiać się przy lada sposobności, nie mogąc panować nad sobą.

— Śmiech zawsze znamionuje swobodną myśl i otwarty charakter—odparłem.

— A ja zazdroszczę temu potworowi!—zawołał do mnie dżentleman.

W téj chwili dziki na scenie niósł zemdlałą bohaterkę, uciekając z nią.

— Dżentleman ma tak romantyczne usposobienie—tłomaczę sąsiadce,—że postanowił koniecznie wykraść ubóstwioną przez siebie osobę.

— I dotąd nie mógł spełnić swego życzenia.

— Jeszcze nie, lecz nie traci nadziei; owszem nabiera jéj z każdą chwilą.

Głośne tony muzyki nie pozwoliły na odpowiedź ze strony miss.

Kurtyna spada, dżentleman wstaje—kłania się damom, chwyta mnie pod ramię i wyprowadza do bufetu.

— O czemże z małą rozmawiałeś?—pyta zirytowany.

— Jak zwykle w teatrze.

— A ja jak bałwan powiedziałem *Very worm* i daléj ani słowa.

— Za to objawiona zazdrość z powodu porwania była na swojém miejscu i bardzo trafna.

Dżentleman chwyta za ramię chłopca roznoszącego lody.

— Słuchaj, jeżeli nie chcesz, bym ci żebra połamał, ruszaj do tych pań w pierwszym rzędzie,—stój póki nie wezmą, potém odejdź; nic nie słuchaj, nie odwracaj się i przychodź do mnie; pół korony dla ciebie.

Chłopiec pobiegł.

— No, musimy się naradzić, co daléj? jak, co mówić, co robić?...

— Być grzecznym i rozmawiać.

— O czem? tracę głowę.

— Naprzykład powiedz Sir: *Very nice evening* (bardzo ładny wieczór).

Dżentleman daje mi lekkiego boksa: Jużem powiedział o gorącu...

— To mów o swéj miłości,

— Proszę cię, nie żartuj.

— A dlaczego to na poczcie miałeś odwagę, pewność siebie i wymowę?

— Co innego z poczciarkami, zresztą nie w mojéj sprawie. Jakże znajdujesz nasze damy?

— Matka ładna kobiéta, a córka przyjemne dziecko.

Zadzwoniono.

— Wracajmy—rzekłem.

— Nie puszczę cię, póki nie dasz przedmiotu do rozmowy.

— Mów jéj o koloniach, o dzikich, o handlu, o polityce, o wielkości Anglii i o swéj samotności.

— Wszystko to dobre, ale jak zacząć?

Drugi raz zadzwoniono—kurtyna się podnosi.

— Wracamy.

Tymczasem dwie kobiéty prowadziły z sobą rozmowę, pełną zwierzeń i szeptów.

Lody były zjedzone a na każdym spodku było zostawione po szylingu. Widok ten wywołał posępne usposobienie dżentlemana.

Dama odczuwa ciężki smutek i przygnębienie towarzysza; nie może znieść udręczenia jego zadumanéj duszy i pierwsza go ośmiela. Zastawia sidła, wprowadza w nie olbrzyma i krępuje ciepłemi promieniami oczu i czarownym uśmiechem.

Dżentleman nabiera animuszu; z czoła jego znikają posępne chmury, wraca równowaga usposobienia, a z nią zagubiona pewność siebie; zaczyna się nawet śmiać, poprawia końce swojéj krawatki i pociąga kamizelkę.

Dżentleman zapala się, zaczyna głośno opowiadać o koloniach o dowcipie dzikich. Sykania ze wszech stron drażnią go i gniewają.

— Czy pani pozwolisz, abym ich wszystkich po kolei wyzwał? pyta damy.

— Nie rób pan tego! szkoda cię dla nich...—dodaje ciszéj mistress.

Dżentleman jak tryumfator wstaje, odwraca się, bierze się pod boki i patrzy z dumną pogardą.

— Siadaj—siadaj—dają się słyszéć głosy z dalszych krzeseł parteru.

— Siadaj, ty afrykański słoniu!—krzyknął ktoś z tłumu.

Wykrzyknik przyjęto oklaskami.

Dżentleman siada cały czerwony z gniewu i oburzenia, a moja towarzyszka śmieje się za wachlarzem do łez.

— Pani! dla czego mi nie pozwolisz zmiażdżyć ich na twoję cześć?—wyrywa się przytłumionym głosem, wraz z westchnieniem wykrzyk z piersi dżentlemańskiéj.

— Albowiem chciałabym pana zachować na coś lepszego...

Dżentleman tém wyrażeniem głębokiém i tyle obiecującém, zostaje odurzony, jak gdyby od ciężkiego razu maczugą w głowę.

— Panią rozrzewnia przedstawienie — korzystając z chwili przestanku, odzywam się do śmiejącéj się ciągle młodziutkiéj miss.

— Ach Sir, bardzo komiczna gra.

— Na scenie i za sceną?

— Wszędzie.

— Pani, jak słyszałem, lubisz teatr?

— Od dawna.

— Oddawna mówisz pani?

— Od chwili, kiedy na pensyi, u mistress Snodin grywałyśmy komedye w naszym teatrzyku.

— Pewno to musiało być bardzo dawno?

— O! już się rok w tym miesiącu skończył;—odpowiada poważnie miss—i już niedługo rok się także skończy, jak noszę długą suknię.

Naiwność młodziutkiéj miss wzbudza zaufanie i wywołuje we mnie odwagę na wypowiedzenie bardzo drażliwego pytania.

— Pani znasz mistress Mac-Gill?

Szkarłatny rumieniec oblał buzię dziewczęcia.

— Mama ją zna na moje zmartwienie,—odpowiada; i dzisiaj za nic nie byłabym w teatrze, gdyby nie mama, która mnie prawie zmusiła.

— I mama zdaje się nie żałuje tego—gdy pani?...

— Mama dobrze się bawi, a ja dziś rano jeszcze nikogo nie znałam, zatém słów moich za niegrzeczność uważać nie można.

Trąby, puzony i flety, basetle i skrzypce, krzykliwy chór, kielichy podniesione w górę, bengalskie ognie, tryumfalny marsz, powolne spadanie kurtyny.

Powstają wszyscy i rozpromieniony dżentleman powstaje, rzuca na ramiona mistress białe okrycie, chwyta za lornetę, podaje swe ramię, dama przyjmuje, gdy dumny mąż patrzy przerażająco i srogo na wychodzących.

Moja towarzyszka nie podała mi swéj ręki, ja zaś nie śmiałem jéj o to prosić.

Przychodzimy do szatni;—okrywamy nasze damy; zajeżdża jednokonna karetka, panie siadają przy naszéj pomocy.

— Afrykański słoń! Afrykański słoń powtórzyło kilka głosów.

Dżentleman jak napadnięty dzik w kniei, odwrócił się do walki.

— Sir, błagam cię sir—zawołała starsza z karetki.

Dżentleman przybiega do odjeżdżającéj.

— Sir daj mi dżentlemańskie słowo, mówi dama, że nie będziesz karał napastników.

Dżentleman się waha, stojąc przy karetce.

Na drożkarza krzyczą policyanci, aby odjeżdżał. Dżentleman nie chce tego zrozumiéć.

Przysięgnij—woła dama z karetki.

Nie mogę—odpowiada ponuro dżentleman. Karetka odjeżdża. Dama grozi dżentlemanowi. Dżentleman rozbrojony, woła: Przysięgam.

Dama czarująco odpowiada: Ufam.

Karetka znika, dżentleman odwraca się do gromadki przed teatrem i grożąc jéj pięścią wymawia te pamiętne słowa: Wasze szczęście! i rozpromieniony porywa mnie pod rękę, wołając: Zwycięstwo, chodźmy na kolacyą!

V.

Nieubłagany czas nie zatrzymuje się ani na chwilkę. Uroczystość pełnoletności, a może samowładztwa Dory zbliża się, nakazując mi przybrać frak i przejrzéć się w lustrze. Chcę być bardzo zajmującym. Dora Lili i Lidya, słodycz, cicha opieka i rozum, siła w wytrwaniu i utajona miłość, niebezpieczna śmiałość i pociągająca lękliwość, a do tego i piękność długo pracowały, aby każdą z nich wyrzeźbić jako odmienną postać oryginalną, a nie mniéj przez to zajmującą.

Tak, chcę być pięknym i zwierzam się z tych pragnień przed Rachelą, prosząc ją o odprasowanie mi białéj krawatki. Rachela zaś dowodzi, że tylko przed Bogiem powinienem starać się być pięknym. Zwracam uwagę Racheli, że chociaż pana Cook nie mam odwagi nazywać nawet jéj bóstwem, śmiem jednak przypuszczać, że Rachela nie chciałaby w jego oczach być brzydką. Rachela gniewa się na mnie za tak bezbożne przypuszczenia, i w skutek tego gniewu, krawatka jest jak śnieg białą, gładką jak atłas, a sztywną i wykrochmaloną jak pojęcia prezbiteryanki.

I jeszcze zwierzam się przed Rachelą z nadziei oglądania dzisiejszego wieczora jéj siostrzenicy. Rachela radzi, i prosi mnie nawet, abym się starał wyrugować z serca Lili szlachcica katolickiego, przyrzekając mi swoję usilną protekcyą u pana Snape.

Staram się wybadać powody téj nadzwyczajnéj łaski Racheli...

Narzeczona pana Cooka przyznaje się do niezwyciężonego wstrętu względem katolików, dodając; że w każdym razie przekłada obojętnego w wierze, jakim ja jestem, gdyż istnieje nadzieja nawrócenia mnie, nad żarliwego katolika, który jest zawsze niepoprawnym, i niczego innego oczekiwać nie może jak piekła. Zresztą Rachela ufa, że w razie zostania mężem Lili, namówiłbym pana Snape do zaprzestania handlu i przewodniczenia w kościele. Interesa domu wziąłby w swe ręce młody Snape, który jest gorliwym prezbiteryaninem i miewa już czasami kazania na ulicach Manchesteru, a sprawy kościoła objąłby drugi kaznodzieja. Rachela nie wymawia tego nazwiska głównie tylko przez skromność. My zaś nie jesteśmy skromni, i na pożegnanie ściskając rękę Racheli, mówimy dobrotliwie.

— Będziemy się starać, aby pan Cook był pierwszym kaznodzieją.

Na to Rachela odpowiada:

— Lili jest bardzo dobrą dziewczyną i jakby stworzoną dla *respectable dżentlemana.*

Pod tém wrażeniem dojeżdżam do domu solenizantki.

Trzy białe sukienki, radość i uśmiech dobroci Dory, zamyślenie i przyjacielskie spojrzenie Lili, rumieniec, milczenie i spuszczone oczy Lidyi, serdeczne powitanie Henryka i sympatyczne uściśnienie ręki pana Woodward.

Dora była piękną; rozpuszczone włosy osłaniały jéj alabastrowe ramiona.

Wręczyłem pannie Clifford bukiet, złożony z pereł jaśminu i maków korali.

— Czyż kwiaty te są symbolem w pańskim kraju?..

— O tyle pani, o ile wielki nasz poeta ubrał opiekuńczego ducha mojego narodu, w te kwiaty.

— Lubię je, lecz już ich nie śmiem przypiąć do mych włosów.

— Spojrzyj pani w koło! któż ma większe prawo zdobić się niemi w tém gronie?

Wchodzi bona z kartą wizytową.

— Miss! nieznajomy dżentleman oddał mi swoję kartę!—mówi uśmiechnięta, prosząc o pozwolenie wejścia z murzynem, ubranym biało, który dźwiga wielką pakę. Dżentleman chce przyjść a dla murzyna z paką prosi o schronienie w ogródku.

— Ach! to nasz dobry znajomy z kolonii!—zawołał Henryk po przeczytaniu kartki i wybiegł na schody.

Drzwi się otwierają szeroko; dżentleman nieco zaambarasowany i przestraszony, wchodzi do salonu z kolosalnym bukietem, trzymając go w obu rękach.

— Pani!—rzekł do Dory,—oto jest bukiet, za który nie powstydzą się nasze kolonie; radbym z tym bukietem złożyć ci pod stopy i kolonie, a jestem pewny, że lepiéj byłyby rządzone, niż dzisiaj.

Słowom tym towarzyszyło trymfujące spojrzenie, rzucone na pana Woodward; za co w odpowiedzi otrzymał od zaczepionego łagodny uśmiech i potakujące kiwnięcie głową.

Bukiet był złożony z samych kwiatów i liści południa, którym zaczęły się bawić dzieweczki.

— Nie koniec na tém, szepnął mi dżentleman, byłem z wizytą u matki;—zachwycająca! Jest skrzynia i czarny: to mój *Dżorż*, którego często maluję, tak iż zaczyna żałować, że nie jest murzynem.

Mimo serdeczności gospodarza i łatwości obejścia się Dory, pewna uroczystość i niepokój oczekiwania były widoczne. Pan Woodward często spogląda na zegarek. Pięć minut do ósméj. Moi młodzi przyjaciele siadajcie obok siebie;—zaczął opiekun, gdyż to jest życzenie także waszéj ciotki, abyście podczas czytania listu siedzieli razem. Szanujmy nawet w drobiazgach jej wolę; ósma się zbliża.

Dora zbladła siadając na kozetce, Henryk zajął miejsce u jéj nóg na małéj kanapie. Ja siadłem obok Lili, do któréj tuliła się Lidya; Dżentleman przysunął się do mnie. Pan Woodward przystąpił się do kanapy i ostatecznie spojrzał na zegarek.

— Nareszcie ósma, wyrzekł poważnie. Uważam się za szczęśliwego, że mogę dotrzymać słowa, spełnić ostatnią wolę kobiéty, która całém życiem swojém zasłużyła na naszą miłość i cześć.

Po tych słowach pan Woodward wyjmuje list, opatrzony pieczęcią, rozcina go, rozkłada i czyta.

„Moje drogie dzieci!

„Pamiętasz tę chwilę Henryku, w któréj przywiozłam ci małą siostrzyczkę, a ty już byłeś dużym i poważnym chłopczykiem, miałeś sześć lat, przyrzekłeś ją kochać i bronić. Pamiętasz jak ją woziłeś po parku wózkiem, jak ją huśtałeś, a potém będąc starszym uczyłeś.

Pamiętasz, gdy Dora płakała ze smutku i tęsknoty, wyciągałeś do niéj ramiona, wołając: Chodź do mnie! przecież masz brata, który cię kocha i nigdy nie opuści. Widok waszego serdecznego przywiązania wyciskał mi łzy z oczu czułam się wtedy szczęśliwą, błogosławiłam wam i dziękowałam Bogu."

Ogólne rozrzewnienie, łzy lśnią się w oczach Lili i Lidyi; twarz dżentlemana rumieni się ze wzruszenia; Dora się nachyla całując Henryka w czoło.

— „Wiecie moje drogie dzieci, że i ja niegdyś kochałam i byłam kochaną. Za tę chwilę krótkiego szczęścia, przysięgłam na pamięć tego, którego posiadałam sympatyą, uczynić dwoje najdroższych mi istot szczęśliwemi.“

Pan Woodward widocznie wzruszony, spogląda na młodą parę; Dora zamyślona bawi się włosami Henryka.

„W dniu pełnoletności Dory postanowiłam powiedzieć wszystko; a gdyby mnie nie było, zostawić dokończenie méj misyi naszemu przyjacielowi Woodwardowi.“

Dory ręka zatrzymała się nieruchomie na głowie Henryka.

„Drogie dzieci moje! czyżbyście się nie miały kochać w rozkwicie życia waszego, gdyście się tak serdecznie kochały w jego zaraniu? Henryku! oto żona Twoja; Doro! oto mąż Twój. Duch Waszéj przyjaciółki, duch Waszéj matki błogosławią wam.“

Dora zbladła jak marmur i rękę swoję cicho z głowy Henryka odjęła.

Woodward czyta daléj:

„Henryku! Dora nie jest twoją siostrą!“

Henryk jakby skamieniał na swojém miejscu. Spazmatyczny płacz wyrywa się z piersi Dory, po chwili zamyka oczy i główka jéj na ramiona bezwładnie spada.

Pan Woodward rzuca list na stół. Lili i Lidya biegną wzruszone do Dory a Dżentleman płacze.

Gdy dziewczki cucą Dorę, Dżentleman otwiera okno od ogródka dając tajemniczy znak.

— Mam sposób otrzeźwienia — szepcze do nas — zaczekajcie chwilkę.

Henryk klęczy u kolan Dory, całując jéj ręce.

Pan Woodward patrzy wzruszony; dziewczynki nacierają skronie Dory wodą kolońską. Dżentleman tupie, grozi i woła o pośpiech.

Błysnęło, za błyskawicą huk i 20 rac w górę wybiegło. Dora podnosi powieki, przeciera oczy, odsuwa lekko Henryka od siebie, powstaje i oparta na ramieniu pana Woodward i ręku Lili, przystępuje do okna, siada i ciężko oddycha.

Czerwony ogień bengalski oświeca widnokrąg. W pośrodku białe okrycie murzyna fantastycznie odbija a jego komiczne miny i grymasy, czynią kontrast z powagą patrzących.

Dżentleman tryumfuje, ociera łzy, dając ciągle znaki na palcach swojemu murzynowi, który ciągłą zmianą spadających gwiazd w rozlicznych kolorach bawi patrzących.

Skończyło się, znowu ciemność zapanowała, a z nią smutek i przygnębienie. Zamyślona Dora nie wymówiła ani jednego słowa.

— Moje dziecię czy jesteś już tak spokojną, bym mógł list dokończyć?—zapytał się łagodnie pan Woodward.

— Proszę, mój dobry opiekunie, czytaj.

— „Dora jest jedynem dzieckiem siostry mojego narzeczonego. Razem z matką twoją, Henryku, postanowiłyśmy wychować was wspólnie, jak rodzeństwo, aby dać wam czas przywiązać się do siebie bratersko, zachowując wam miłość na czas waszego młodzieńczego wieku. Moje dzieci czyż się za to na mnie gniewać będziecie.“

Henryk patrzał na Dorę wzrokiem pełnym zachwytu.

Dora blada jak marmur, nie podniosła spuszczonych oczu.

— „Matka Dory zostawiła mi w spadku dla swéj córki 600 funtów, które przez pośrednictwo naszego przyjaciela umieściłam na procent; odda on je Dorze w dniu odczytania tego listu.

„Drogie moje dzieci, odkrycie téj tajemnicy nie będzie dla was bolesną niespodzianką, kochajcie się a będę wynagrodzoną za wszystkie ciężkie przejścia w dniach mego życia. Duchy waszych matek i waszéj przyjaciółki, są w téj chwili z wami.“

— A oto — mówił daléj pan Woodward wyjmując pugilares *Pass-book London and county bank* (1), na 1,076 funtów, jako na sumę zrealizowanego w dniu dzisiejszym kapitału. Po tych słowach pan Woodward składa książeczkę na stole.

Zastukano silnie dwa razy do drzwi domu.

— Poczta!—zawołał Dżentleman.

Otwierają się drzwi, wbiega malowany murzyn ubrany biało, trzymając w ręku tacę, na któréj leżał list dużego formatu. Murzyn klęka przed Dorą, kładzie tacę na ziemi i zwyczajem dzikich, uderza głową o podłogę; poczem, podaje tacę, robiąc minę komiczno-poważną.

Pan Woodward odbiera list; Dżentleman przechodzącemu murzynowi daje lekkiego boksa, szepcząc po cichu z uśmiechem: dobrze Dżorż jestem kontent z ciebie.

— Oto jest — mówi pan Woodward, rozcinając list — metryka Dory, która od téj chwili przybiera nazwisko mis Dory Eugenii Starnett ale tylko na chwilę i tylko dlatego, aby zostać na zawsze mistres Clifford.

Łzy powtórnie spłynęły strumieniem po bladych licach Dory. Lili usiadła obok niéj, obejmując ją ręką w pół; Dżentleman na palcach wymyka się za swym murzynem.

— Drogie moje dziecię—rzekł pan Woodward, zbliżając się do Dory—pojmuję twe wzruszenie; byłem na nie przygotowany; zmiana pozycyi tak nagła a nieprzewidziana! Nowy świat, który się otwiera

(1) Pass-book—książka kontowa z banku.

przed tobą, nowe uczucia, nowe obowiązki, wszystko to razem wywołało raptowne wstrząśnienie twych nerwów. Uspokój się, moje dziecię, jeżeli to jest w twéj mocy. Znasz Henryka i ufasz mu; nie przestanie on być twoim bratem, chociaż zostanie twoim mężem.

— Henryku!—zawołał pan Woodward.

Młodzieniec się zbliżył; Dora oparła główkę na ramieniu Lili, która odgarniała włosy z jéj czoła; gdy tymczasem dla akompaniamentu solenizantce, Lidya ciągle cicho płakała.

— Powiedz—mówi pan Woodward do Henryka—czy zmiana stosunku do Dory nie robi cię szczęśliwym?

Henryk za całą odpowiedź przyciska rękę Dory do ust.

Zagrzmiały trąby; wyglądam. Dżentleman komenderuje trębaczami, których, jak się domyślam, spotkał na ulicy i sprowadził dla uczczenia uroczystości tego dnia.

Za chwilę nadciąga Dżorż z bandą minstreli ulicznych, także pomalowanych na czarno, w fantastycznych frakach. Dżorż ich ustawia przed samemi oknami. Zaledwie muzyka 12-tu samych trąb przestała huczeć, czarni uderzyli w struny gitary, a śpiew rozległ się po pokoju. Dżentleman wchodzi promieniejąc:

— Pani—odzywa się do Dory zamyślonéj, z pochyloną główką na ramieniu Lili. — Pani! i czarni niewolnicy przychodzą uczcić pieśnią ten wielki dzień w twém życiu.

Henryk dziękuje mu uściśnieniem ręki za małe roztargnienie w tak naprężonéj a niezdecydowanéj sytuacyi. Dżentleman siada skromnie obok Lidyi.

— Murzyni są wyborni! — odzywa się do obcierającéj oczy dziewczynki, ale najzabawniejsi gdy się boksują. Jeżeli panią bawi ten widok powiedz, a dam znak memu Dżorżowi, który w téj chwili urządzi miłą rozrywkę.

Dora i jéj przyjaciółki uśmiechają się.

— Uśmiechasz się Pani!—woła zwracając się do Dory Dżentleman — jestem szczęśliwy, że nareszcie zdołałem rozerwać panią. Przecież zostać żoną tego zucha nie jest ani tak straszne ani ciężkie; spojrzyj tylko pani na niego troszeczkę inaczéj, jak się dotąd siostra patrzała.

Dora nie spogląda, owszem zdaje się nie słyszeć ostatnich słów, rozmawiając z Lili.

Wielkie hura rozległo się na ulicy.

— To lud — objaśnia Dżentleman, przyszedł uczcić dzisiejszą uroczystość.

Dżentleman otwiera okna; Dora i całe towarzystwo zbliżają się. Na ulicy orkiestra z trąb wspólnie z akompaniamentem gitar i kastaniet pseudo-murzynów zagrała marsza. Minstrele śpiewają.

Dokoła coraz większy tłum się gromadzi, śmiechy, wrzawa. Dżentleman zachwycony. Po chwili daje znak muzyce, ażeby przestała. Muzyka ucichła; Dżorż sie ogląda. Dżentleman zaczyna:

— Dżorż! dziesięć galonów piwa dla szanownych Ladies i Dżentlemenów, którzy przyszli dzielić naszę radość.

— Słyszycie! — woła Dżorż do ulicznéj gawiedzi — dziesięć galonów piwa! któryż to lord podczas wyborów więcéj wystawia? Hura! państwo młodzi—zawołał. Hura! powtórzyli minstrele i grający na trąbach. Hura!—zawołał zebrany lud.

Kilku z tłumu pobiegło do pobliskiego *public-housu*, zwiastując właścicielowi tę pomyślną nowinę.

— Ladies and Dżentlemen! — zaczyna powtórnie nasz towarzysz z okna—rozrzewniony waszą obecnością i wdzięczny za współczucie, dziękuję wam w imieniu młodéj pary. Cieszmy się wspólnie gdy się szczęście trafia jednym, bo i ci będą się cieszyć, gdy szczęście przyjdzie do drugich. Anglia powinna wyglądać jako jedna kochająca się rodzina... Niech żyje Anglia!... nie, niech żyje cała Wielka Brytania.

— Hura!—krzyczeli minstrele i lud.

— Biada Jankiesom! podnosi głos Dżentleman.

— Śmierć Jankiesom—zawołał sprytny Dżorż.

— Śmierć, śmierć — woła gawiedź.

— Dżorż kanalio, nie wywołuj zaburzenia!—krzyknął uszczęśliwiony Dżentleman.

Dżorż zaczyna tańczyć dżiga, przekształcając go na znany taniec dzikich; za Dżorżem idą czarni minstrele; muzyka gra *dżiga*, za minstrelami i Dżorżem tańczą dzieci. W oknie dziewczki się uśmiechają; Dżentleman daje ręką takt przytupując lekko nogą.

— Jakiż dobry duch sprowadził nam Dżentlemana?—mówi pan Woodward—w tak uroczystym dla nas dniu, w którym tyle zostało poruszonych kwestyj i tyle odrazu dokonanych przewrotów w naszém małém kółku. Szanowny towarzysz rozrywa nas, dając czas, aby wzburzone uczucia wróciły do równowagi wzajemnéj sympatyi.

— Drodzy państwo—odpowiada Dżentleman—nie byłem przygotowany... nie przeczuwałem... Gdybym był wiedział o téj niespodziance cioci, możebym i ja potrafił inaczéj i godniej wystąpić i co najmniéj cyrk cały sprowadzić.

— I za tyle trudów, które poniosłeś, a które uważam za nadzwyczajne, dziękuję ci Sir—rzekła Dora.

— Droga pani—woła Dżentleman, ściskając podaną sobie rękę—gdybym cię mógł widziéć w téj chwili wesołą, nie wiem, cobym

dał za to... Pozwoliłbym się wyboksować dzikim albo Jankiesom!— kończy po chwilowym namyśle.

Lidya niedawno płacząca serdecznie się rozśmiała; za nią uśmiechnęła się Lili, pan Woodward i Henryk; Dora zmęczona stojąc przy oknie, znów pochyliła główkę na ramię Lili. Widząc to Dżentleman ucisza muzykę, przywołując ręką Dżorża. Dżorż zbliża się do okna; Dżentleman wychylając się oświadcza:

— Ladies and Dżentleman! Ten oto urwis biało ubrany, który tu stoi, zaprowadzi was przy odgłosie muzyki na miejsce odpoczynku i rozrywki. Bawcie się wesoło na cześć młodéj pary i pomyślcie, że gdy wy będziecie weseli, my także nie będziemy smutni.

Przeciągłe hura. Dżorż salutuje.

Nie zapomniano i o nas; wchodzi bona, prosząc na kolacyą.

Dora prowadzi swoje przyjaciółki, my za niemi schodzimy na sam dół.

Kolacya, zarządzona przez Dorę, skromnie, czysto i elegancko podana. Henryk sprowadził parę butelek szampana.

Gospodyni domu zupełnie już oprzytomniała, grzeczna, uprzejma dla wszystkich, widocznie unikała Henryka, nie mówiąc mu wprawdzie „pan“ ani razu, jednak nie zawołała go po imieniu.

Po kolacyi Dora pospiesznie zaczęła się wybierać, oznajmiając, że ma zamiar przenieść się do Lili.

— Na to nie pozwolę moje dziecię—rzekł pan Woodward— jesteś panią w swoim własnym domu, a my Henryka zabieramy z sobą.

Pożegnanie przed chwilą jeszcze brata i siostry, a teraz już narzeczonych—ciche, milczące, pełne wyrazu i nieokreślonéj tajemnicy.

— Do jutra!—mówił Henryk.

Dora pochyliła się pozwalając się pocałować bratu w czoło, lecz ani słowa nie wyrzekła.

Za to pożegnanie młodéj gospodyni z nami było serdeczne i szczere.

Dziewczynki wsadziliśmy do *caba* Dżentlemana, który miał je odwieść do domu i wrócić na wskazane miejsce.

Gdyśmy już zostali sami, Dżentleman zawołał:

— Nie wiem co mi jest, ale wypiłbym morze wina i czuję, że jeszcze miałbym pragnienie.

— I ja — dodał Henryk.

— I ja — rzekł poważny Woodward.

— A ja jeszcze do tego wszystkiego, z radości czy udręczenia, chciałbym cię Sir wyboksować! — odzywa się Dżentleman do Henryka.

— A ja jestem jakiś nieswój—dodał Woodward.

— Stawiając się w pozycyi Dory podzielam zupełnie jéj niepokój, zawstydzenie i wahanie.

— Wszystkiemu winien mister Henryk—rzekł Dżentleman. Należało powiedzieć: droga Doro! jak byłaś siostrą, tak będziesz teraz żoną i basta!

— Nie znasz jéj Sir—przerwał Woodward. — Jest-to charakter szczególny; szczęśliwa gdy się poświęcić może, lecz nie przyjmie żadnéj narzuconéj roli, ani żadnéj dla siebie ofiary.

— Tak, tak ja się nie znam na tem; miałem jednę narzeczoną i tę straciłem... Ha! z rozpaczy, beczkę wina!

— Brawo! zawołaliśmy wszyscy.

Dostajemy się do jednego z wielkich hoteli i zaczynamy pić przeraźliwie. Któż jest w stanie dotrzymać towarzystwa Anglikom? Gdy oni zaledwie ożywili się, ja już straciłem przytomność.

VI.

Rozmarzony, jeszcze niezupełnie przytomny, słyszę, zdaje mi się, jak przez sen, przeraźliwy świst i głośne warczenie kół maszyny, poczém uczuwam, iż się podnoszę w górę, następnie, że lecę w przepaść... Istotnie upadłem i leżę na dywanie. Zaledwie zdołałem się otrzeźwić, oglądam się na wszystkie strony i widzę, że jestem w nieznanym mi pokoju. Materac mego łóżka podniesiony w górę i tak przechylony, że żadną miarą drugi raz na nim położyć się nie można. Słyszę w przyległym pokoju chrapanie; zaglądam: Dżentleman mój na kanapie zasypia snem sprawiedliwych. Próbuję materac powtórnie zmusić do porządku, napróżno. Ściągam więc poduszkę i kołdrę, kładę się na dywanie, okrywam i powtórnie zasypiam. Spałem wybornie i spałbym długo, gdyby nie gwałtowne stukanie do drzwi, przedłużające się w nieskończoność. Budzi się Dżentleman również gwałtownie dzwoniąc na Dżorża, który, jak przypuszczam po wczorajszych libacyach nie zdołał wypocząć. Zniecierpliwiony Dżentleman zrywa się, i wbiega do sypialnego pokoju, widząc zaś swego gościa na ziemi, a materac w górze, zaczyna się śmiać do łez i ściskać mnie serdecznie.

Łóżko Dżentlemana kupione na wystawie, miało urządzoną maszyneryą, za pomocą któréj budziło śpiącego w nastawionéj godzinie świstem piszczałki, a następnie nieposłusznego, gwałtownym sposobem spychało na ziemię.

Nareszcie Dżentleman zdołał się okryć i drzwi otworzył; wbiega Henryk.

— Dora znikła! — zawołał zrozpaczony.

— Dora znikła? — powtórzył Dżentleman.—Przeczuwałem coś okropnego... Należało dom obstawić na całą noc.

— Któż przewidywał?

— Ja—odpowiada Dżentleman—tylko nie śmiałem mówić.

— Straciłem wszelką energią i świadomość, co począć — mówi Henryk.

— Ale myśmy jéj nie stracili! — krzyknął Dżentleman. Nie takie się rzeczy robiło na świecie.

— Pojmujecie panowie, że nie chciałbym szukać przez policyą.

— A od czegóż my? policya może pomódz, ale mięszać się do nas wara. Dżorż!—zawołał Dżentleman, aż się okna zatrzęsły.

Dżorż wbiega i na przywitanie od swego pana dostaje boksa.

— A to za co?—pyta.

— Tak, dla otrzeźwienia i skupienia uwagi — odpowiada poważnie Dżentleman. — Dżorż! masz ty jeszcze węch? bo jest robota, ciężka robota.

— Gonić dzikich?—pyta naiwnie Dżorż.

— Bydlę!—przerywa gwałtownie Dżentleman—przynoś koniak i przekąski; włóż ubranie cywilne i na policyą omnibusem. Czekać tam; uszy do góry, a nos wyostrzyć.

— *All right Sir!*—zawołał Dżorż; przyniósł koniak, zimne mięso i znikł.

— Jest-to sprytny urwis; wystarczy za dziesięciu policyantów. Ileż to razy uratował on mi życie w zatargach z dzikimi w koloniach.

— Cóż Sir myślisz robić?—zapytał Henryk.

— Znaleść, to najpierwsza rzecz, reszta nie do mnie należy.

Henryk uścisnął mu rękę.

— A teraz do rzeczy!—rzekł Dżentleman, gdyśmy już byli gotowi do wyjścia. — Opowiadaj Sir wszystko, co wiesz.

— Rano zerwawszy się—mówi Henryk—jadąc do Woolwich wstąpiłem do Dory, żeby powitać ją, zostać na śniadaniu i zapowiedzieć wreszcie swój wczesny powrót. W pokoju dalszym zastaję jak zazwyczaj wszystko gotowe do śniadania; posyłam bonę po Dorę; po chwilce bona z płaczem wraca, przynosząc mi list, zaadresowany do mnie, który znalazła na biurku swéj pani.

— Co jest w liście — przerywa Dżentleman.

Henryk wyjmuje pośpiesznie list i czyta głośno:

„Kochany Henryku!

Wczorajsza wiadomość zmieniająca tak niespodzianie nasze stosunki, być może zbyt zaciężyła ci, niszcząc Twoje plany i gorące pragnienia. Wola ciotki, któréj spełnienie nakazuje Ci szlachetność, jest zbyt ciężką, zmuszającą Cię do ofiar. Dora nie wymaga poświęcenia i dlatego się oddala, a powróci dopiéro wtedy, gdy się dowie, że jesteś szczęśliwy, aby zostać *z wami*, przy Tobie, do końca życia—siostrą. Dora.“

P. S. „Na ustalenie Twego losu, zostawiam Ci tysiąc funtów.“

— Co to za szlachetne dziecko!—zawołał, wybuchając Dżentleman—kochasz ją Sir?

— Do szaleństwa—odpowiada Henryk.

— A zatem, choćby z pod ziemi, musimy ją dostać.

— Panowie! pomyślcie tylko, że ja się także nie chcę narzucać.

— A to co! — wrzasnął Dżentleman — ona z miłości dla niego umiera i boi się o jaki wypadek; a ten nie chce się narzucać! a to filozof—dziki filozof! Nie ma czasu na deklamacye. Panowie! za mną—ja obejmuję władzę.

Zamówiony *Cab* czekał przed domem; pędzimy do pierwszego biura policyi.

Dżorż już czekał na nas.

— Pięć funtów wynagrodzenia—woła Dżentleman w kancelaryi—za objaśnienie, w którą stronę i gdzie się udała młoda osoba, która wyszła w rannych godzinach z domu pod Nr*** przy ulicy***.

— W jakim zamiarze wyszła—pyta sekretarz.

— A panu co do tego?—krzyknął Dżentleman—to nie skarga, tylko chęć znalezienia.

— Łatwiéj znaleść, jeżeli się domyślamy zamiaru wyjścia—tłómaczy się sekretarz. — Zresztą to nie nasza rzecz! Jak była ubrana młoda osoba?

Dżentleman się obraca do Dżorża.

Dżorż obecny rozmowie, wylatuje pędem z pokoju; za nim rozgniewany Dżentleman.

— Dżorż! gdzie ty kanalio lecisz? stój, słuchaj! — woła za uciekającym.

Dżorż nie słucha, dopada do dżentlemańskiego *Caba*, wskakuje i odjeżdża co koń wyskoczy. Dżentleman wraca do nas z uśmiechem dumy.

— Zrozumiał o co idzie i nie dał sobie powtarzać szczegółów. Chłopak ten, mówię—ma węch.

— O któréj godzinie młoda osoba mogła wyjść? — pyta sekretarz.

— Najwcześniéj o wschodzie słońca, najpóźniéj o godzinie siódméj—odpowiada Henryk.

— Gdzie jest obecnie druga zmiana?—zadaje pytanie sekretarz podoficerowi.

— Przy raporcie.

— Tem lepiéj.

Sekretarz telegrafuje.

W pięć minut mamy następującą odpowiedź:

— Mis Dora Clifford, opuściła dom między piątą a szóstą, kierując się na Shoreditch, przeszła koło londyńskiego szpitala.

— Tylko tyle?—zawołał Henryk.

— Na początek dosyć — odrzekł sucho sekretarz — na dalszy ciąg czekajmy opisu tualety. Ludzie nasi nie posiadają w tym względzie szczegółów.

Wchodzi Dżorż wprowadzając zapłakaną bonę.

— Mamy możliwe szczegóły!—odpowiada tryumfująco rezolutny chłopak.—Mis wyszła, ubrana w niebieską sukienkę z białemi wyłogami, z kołnierzem marynarskim, czarny kapelusz, parasolka w ręku i pled ściśnięty paskami.

— Dostateczne objaśnienie—przerwał sekretarz.—A włosy miss jak miała uczesane.

— Pewno miss nie miała czasu się czesać — rzekł Dżorż — i dlatego miała je uczesane jak wczoraj, to jest wcale nie uczesane.

— Miss — odzywa się bojaźliwie bona — nigdy sobie sama nie plecie warkoczy.

— Oto jest fotografia miss — mówi Dżorż, pokazując fotografią urzędnikowi.

Sekretarz powtórnie telegrafuje.

— A ty zkąd mogłeś dojść do takich szczegółów ubrania miss?—pyta się Dżentleman Dżorża.

— Nic łatwiejszego Sir; obliczyliśmy z tą małą, czego braknie z ubrania i okrycia miss, aby się dowiedzieć, co zabrała z sobą.

Dżentleman wyprostował się dumnie spoglądając na policyantów. Henryk siedział, pogrążony w ponurém zamyśleniu.

Sekretarz czyta z telegramu:

— Miss skierowała się w stronę London Bridge (1). Długa pauza. Henryk zbladł; bona płacze — sekretarz mówi daléj: Miss wchodzi na London Bridge. I znów telegrafuje; napróżno żadnéj

(1) London Bridge pierwszy i główny most na Tamizie, z którego powtarzają się często wypadki samobójstwa przez rzucenie się w wodę.

odpowiedzi. Prawdopodobnie — rzekł wreszcie sekretarz — miss przeszła London Bridge, lecz gdzie się udała, w którą stronę, nie możemy na razie dowiedzieć się; żaden z naszych ludzi nie zdolnym jest dać bliższych objaśnień.

— Jesteście niedołęgi—wrzasnął Dżentleman.

— Bardzo proszę—zawołał sekretarz.

— Jesteście niedołęgi i stoję przy swojem — powtarza Dżentleman.—Pozwijcie mnie, a przed sądem powiem to samo, i jeszcze wam tego dowiodę, że się bez was obejdę.

Dżentleman rzuca na stół pięć funtów.

— Na cztery miljony ludzi—odpowiada sekretarz—w przeciągu nie całéj godziny określić pochód jednéj osoby na długość mili angielskiéj, to nie oznacza niedołęztwa; a co do procesu, gdybyśmy je chcieli wytaczać każdemu, podobnie jak pan gorąco kąpanemu, mielibyśmy ich dziennie o pięćdziesiąt więcéj.

Dżentleman rozbrojony wychodzi, my za nim. Na ulicy zastępuje nam drogę niepokaźna figura, w któréj tylko czarne, latające oczy zdradzają pewien spryt i przenikliwość.

— Jestem starszy *detektyw* (policyant) do wyszukiwania ukradzionych rzeczy i zgubionych ludzi. Sir, za 25 funtów, we 24 godziny, podejmuję się odnaleść szukaną osobę.

Henryk spojrzał błagalnie na Dżentelmana.

— Sir—mówił człowieczek — oblicz wartość telegramów do portów, choćby tylko na południowych brzegach Anglii.

Dżorż zmarszczył brwi i kręcił głową, co miało znaczyć, że sobie wcale nie życzy współki.

Dżentleman się namyśla, w końcu decyduje:

— Daj mi kartę swoję, a gdy cię będę potrzebował zatelegrafuję.

Henryk przygnębiony i upadły na duchu, oddaje pięć funtów Dżentlemanowi.

— Kochany panie Henryku — mówi spokojnie Dżentleman— rachunki jeszcze nie skończone; obliczymy się późniéj. Przyznam ci się, że nam zawadzasz i swoją smutną miną onieśmielasz nas; zakochani nie powinni mieć praw pełnoletnich. Proszę cię *dear Sir*, zostaw nas samych; daj nam swobodę a może jeszcze dziś zobaczymy miss Dorę.

— Drodzy panowie, wierzę w waszę energią; róbcie, co chcecie, tylko mnie nie zostawiajcie bez wiadomości. Jadę prosto do fabryki, usprawiedliwić się i wziąść uwolnienie na cały tydzień; ztamtąd wracam do mieszkania pana Woodward i czekam.

— Daję ci moje dżentlemańskie słowo, że każda nowo zdobyta wiadomość będzie ci natychmiast zatelegrafowaną; a nie odpoczniemy, dopóki za tropem nie dojdziemy do samego miejsca.

Henryk ściska nas i odjeżdża z boną.

— Ha! nareszcie jesteśmy sami. Nie lubię zrozpaczonéj twarzy... Dżorż do mnie!—wołał Dżentleman.

Rada wojenna, co robić?

— Jechać natychmiast do London Bridge; decyduje Dżorż.

— A potém?

— A potem szukać na London Bridge.

— Jak?

— Zobaczymy.

— Wyborna myśl! zatém marsz na London Bridge. Dżentleman po drodze kupuje trzy świstawki.

— Rozumiecie! — mówi rozdając nam krótkie, metalowe piszczałki, jedno świśnięcie znaczy: baczność! — drugie — rozpoczęcie akcyi, trzecie—atak.

— Wiem, wiem—podchwytuje Dżorż—to tak samo, jak w pogoni za dzikimi.

Jesteśmy na drugiéj stronie Tamizy. Krzyżują się ulice, omnibusy, tramwaje, koleje żelazne; ruch taki sam jak w Londynie.

— Stójmy!—komenderuje Dżentleman.

— Nie, raczéj idźcie panowie na śniadanie, a ja wam posłużę; gdyż jeszczeście herbaty nie pili, a późniéj kto wie, czy będzie czas na to — radzi Dżorż.

— Dżorż! przekonałeś mnie; idziemy na śniadanie.

Dżorż wybiega naprzód, szukając restauracyi.

— Nie mam pojęcia—odzywam się—jak można mieć nadzieję odnalezienia jednéj osoby, w takim tłumie i w takim labiryncie domów, ulic i ruchu.

— Zobaczymy!—odpowiada tajemniczo Dżentleman. — To tak samo jak w wielkim lesie szukać zwierzyny; prostaczek nie wie co począć, a dobry myśliwy obławia ścieżki i czeka.

Wchodzimy do długiéj sali podzielonéj przegródkami, zwyczajem angielskim. Siadamy w jednéj z nich. Dżorż wraz z miejscową *miss* przynoszą nam herbatę i potężne befsztyki, a po drugiéj stronie Dżorż lokuje się sam ze swoją porcyą. Wszyscy zamyśleni, a każdy zosobna układa plany.

— Panowie!—woła Dżentleman—otwieram posiedzenie; Dżorż mów.

Dżorż robi ostatni łyk i obciera zamaszyście usta, zbliżając się do naszego stolika.

— Co do mnie Sir, jestem tego zdania, aby wszystko dokumentnie rozważyć.

— Tak—ciągnie daléj Dżentleman—wszystkie możliwe przypuszczenia zrobić, i następnie dokładnie każde z kolei rozebrać i obejrzeć. Dżorż mów.

Dżorż. — Jeżeli Miss przeszła London Bridge, to dlatego aby iść daléj. Jeżeli Miss przyszła piechotą aż tutaj z domu swego, to nie dlatego, aby ztąd brać dorożkę.

— To właśnie kwestya.

— Jestem pewny, że nie.

— A ja nie mam żadnéj pewności.

— Zatém mogę się przekonać.

Dżorż wybiegł na ulicę.

— Widzisz, co to za spryt w tym hultaju!—szepnął mi Dżentleman. — W koloniach się wyrobił, podróżując ze mną razem.

— Musi być również użytecznym — rzekłem — w stosunkach z Karlistami.

— Nieoceniony.

Dżorż wraca.

— Nie podobna przypuścić nawet Sir, gdyż miss przeszła London. Bridge o godzinie w pół do siódméj, a dorożki na stacyą przyjeżdżają dopiéro o w pół do ósméj;—tłómaczy Dżorż.—To samo stosuje się do tramwajów i omnibusów. Zatém miss albo szła piechotą, albo pojechała koleją.

— Dobrze Dżorż.

— Do Elephant-Castle poślemy naszego agenta, a sami na kolej.

Obok każdego prawie *publikhauzu*, wyczekują rozmaitéj powierzchowności ludzie, oparci o ściany domów. Na jednego z nich którego twarz oznaczała pewien spryt i roztargnienie, skinął Dżentleman. Wezwany przybiega.

Dżentleman. — Długo możesz być trzeźwym?

Obcy. — Zwykle nie piję do wieczora.

— A gdy masz pieniądze przed wieczorem?

— Choćbym miał funta, to nie mam tego zwyczaju. Nicka (1) Potta nikt przed dziewiątą wieczór nie widział pijanym; zresztą nie chcę wynagrodzenia przed robotą.

— Ufam ci Nicku Pott, i oto masz szylinga zadatku, a zarobisz pięć, tylko uważaj! Pojedziesz omnibusem do Elephant Castle natychmiast i tam rozpytasz się wszystkich nadkonduktorów przy tram-

(1) Nick—zdrobniale Nicolus—Mikołaj.

waju i omnibusach, czy miss w niebieskiéj sukni z wyłogami, przy samém otwarciu nie przejeżdżała?... Konduktor, który da dobre objaśnienie i wskaże kierunek drogi po opuszczeniu przez miss omnibusa, dostanie funta.

— *All right Sir!* zrobię wszystko, co będę mógł.

— Spiesz się, wracaj i czekaj na nas tu.

— Powoli, ostrożnie, cicho—dodaje Dżorż—aby nie robić hałasu, plotek, a w rezultacie nie zdradzić naszych poszukiwań.

— Tak, tak—poświadczył Dżentleman.

— Dobrze sir, rozumiem, aby nie spłoszyć zwierzyny—rzekł Nick Pott.

— Rozumie się!—zawołał Dżentleman.

Nick poskoczył do przejeżdżającego omnibusu.

— A teraz chodźmy główną drogą najważniejszą, a podług mnie jedyną—zadecydował Dżorż.

— Czyli główną operacyjną, na którój my będziemy działać. Dżorż co mówisz o statku parowym?

— To samo co o tramwajach i omnibusach; nie kursują wcześniéj jak o ósméj rano, a i miss nie przychodziłaby tutaj, aby siadać na statek, gdyż do pierwszéj stacyi na Tamizie, ma nie równie bliżéj od siebie z domu.

— Dżorż! Dżorż! ja ci pomnik postawię.

— Tymczasem Sir wolałbym funta.

— Dostaniesz dwa po skończeniu operacyi.

VII.

Wielki gmach dworca kolei żelaznéj a w nim pięć kas dla pięciu dróg oddzielnych.

Dżorż robi uwagę, aby nie chodzić do kasyerów, jako do ludzi szorstkich, mających wielkie wyobrażenie o swém stanowisku i krótkości czasu; Dżorż utrzymuje, że kasyerzy nie odpowiadają nawet na pytania, nie dotyczące kupna biletów.

Dla uniknięcia zbytecznego napływu ludności, nie można wyjść na peron bez okazania biletu i naznaczenia go przez odźwiernego; każda linia ma swe specyalne wyjście i swego specyalnego dozorcę. Zaczynamy śledztwo od odźwiernych.

Dżorż rozpoczyna z każdym po kolei rozmowę; przypomina, ułatwia, atoli bez żadnego rezultatu.

Zostały jeszcze tylko dwie linie. Dżentleman zbliża się do szpakowatego mężczyzny, który stojąc przy wyjściu, oparty o poręcz wschodów, dumał głęboko.

— Mój przyjacielu—rozpoczyna Dżentleman, możesz się pochwalić dobrą pamięcią?

— Sprobuj Sir odpowiada odźwierny.

— Bo jeżeli masz dobrą pamięć, to za nią wdzięczny być potrafię.

— Sprobuj Sir—odpowiada uśmiechająca się poczciwa twarz.

— Czy stoisz tu od samego rana?

— Od piątéj.

— Czy masz zwyczaj uważania na osoby przechodzące?

— Już wiem wszystko! odpowiada uśmiechnięta twarz.

— Na przykład?

— Sir jesteś ojcem, ten młody dżentleman, pokazując na mnie, to kochanek, albo mąż, a ten trzeci detektyw policyi.

— Tak, tak, zgadłeś zupełnie zgadłeś! mów daléj.

— I szukacie panowie: jeden córki, drugi żony albo kochanki. Miss była ubraną w niebieską sukienkę, miała rozpuszczone włosy i pled na paskach w ręku.

— Ta sama, ta sama! Zkąd to wiesz? gdzie pojechała?

— Zkąd wiem?—ztąd, że piętnaście lat już stoję na tém miejscu; przytém słyszałem po części rozmowę detektywa z moim kolegą. Miss przyszła parę minut po szóstéj, w czasie przejazdu samych robotników; idąc, była bardzo smutna, a oczy miała jak po płaczu czerwone! Ha! pomyślałem, wypędzili! Wiele to ja już podobnych widziałem!.. Dziś jednak musiało się stać inaczéj.

— Gdzie pojechała? dokąd? przerywa dżentleman wyjmując portmonetkę.

— Otóż właśnie, że nie uważałem! przypatrując się, nie spojrzałem na bilet, lecz zawsze radzę panom zacząć poszukiwania od 4-téj stacyi; bo na trzech pierwszych stacyach nie miałaby po co i do kogo wysiadać, fabryki i robotnicy.

Dżentleman wsuwa pół korony odźwiernemu. Dżorż biegnie po bilety.

— Bierz na całą linią—woła za nim dżentleman.

— Dosyć na 12-cie stacyi,—odpowiada Dżorż.

My tymczasem idziemy do biura telegraficznego; dżentleman pisze:

— „Już jesteśmy na najlepszym tropie. Za godzinę szczegóły, Dżentleman.“

Zbiegamy na dół i we trzech siadamy razem do wagonu.

— Wybornie!—zawołał dżentleman. Dżorż! ty masz węch, a zatém mów daléj.

— Panowie, odzywa się skromnie Dżorż, rozpoczynamy od 4-téj stacyi, lecz dla skrócenia czasu o połowę, panowie wysiądziecie na piątéj dla rozpytywania się, a ja pojadę na szóstą; a gdy następnym pociągiem nie przyjedziecie, to znaczy, iż ja mam do panów powracać.

— A dlaczegóż nie we trzech, na trzy stacye się rozdzielić?

— Nam Sir, nam do takich spraw potrzeba Anglika;—z godnością tłómaczy Dżorż? Cudzoziemcy śledzić w Anglii nie potrafią.

— Dżorż—woła Dżentleman, zkąd ty nabrałeś tyle rozumu?

— Cóż to? czy nie służę u ciebie Sir, już od sześciu lat?

Rozczulony Dżentleman częstuje boksem swego faworyta. Dżorż się usuwa, raz mija, Dżentleman się śmieje i ręce zaciera.

— Dżorż czy masz nadzieję, że dziś znajdziemy?

— Chcę i ufam Sir!

Stajemy na 5-téj stacyi wysiadamy; Dżorż pojechał daléj.

Dżentleman rozpytuje każdego z osobna i wszystkich razem. Żadnego śladu. Drugi pociąg w pięć minut nadbiega; wskakujemy do wagonu.

— Ciekawy jestem jak się powiodło Dżorżowi robi uwagę Dżentleman.

Dżorż czekał już na stacyi; wchodzi do nas smutny i zamyślony...

— Cóżto Dżorż tracisz energią i wytrwałość! Czyś ty czasem nie z Irlandyi rodem?

— Wiesz Sir, że jestem z samego serca Anglii to jest z Londynu; nie o wytrwałość tu idzie.

Myślę, co daléj robić gdy ślad znajdziemy, jak znaleść ulicę i dom, do którego weszła miss. Szkoda, należało się przebrać za murzyna, wziąść gitarę i śpiewać, aby mieszkańców z domu wywabiać na ulicę.

— Dżorż! Dżorż! widzisz jakiś ty głupi! czy sądzisz że taka miss jak Dora, wyjrzałaby dla twego śpiewu? a gdyby cię zobaczyła, czyby nie poznała i nie schowała się.

— Poznać murzyna dla tych którzy nie mają wprawy, bardzo trudno; a gdybym jeszcze wdział swój czerwony frak i twój stary biały kapelusz Sir?

— Ale czyby wyjrzała?

— Z pewnością;—a my po wyjeździe czy się nie cieszymy, gdy zobaczymy kogokolwiek co nam Londyn przypomina. Z początku Sir tęskni się mocno.

— Dojdźmy tylko do ulicy, reszta fraszka.

I znów na stacyi wysiadamy. Dżorż jedzie daléj, i znów żadnego śladu. W przejeździe zabieramy Dżorża, aby się z nim rozstać na następnym przystanku.

— Mój przyjacielu czy nie zauważyłeś młodéj osoby wychodzącéj o godzinie 7-méj rano?—zapytuje ze skromną miną Dżentleman dozorcy.

— Być może!—odpowiada ponurego wejrzenia, suchéj, kościstéj twarzy, wysoka figura biletiera.

— Nie mógłbyś nam udzielić bliższych szczegółów?

— Być może.

— Proszę o nie.

— To nie mój busines składać raporta o przechodzących.

— Ale może w zamian nie będzie przeszkadzać twemu businessowi, schować do kieszeni pół korony?

— Za tak piękną miss nie wezmę mniéj jak pięć szylingów.

— Jeżeli ta sama, zgadzam się.

— Ta sama.

— Słucham.

— Niebieska sukienka.

— A daléj?

— Daléj za pięć szylingów.

Dżentleman rozciekawiony płaci.

— Niebieska sukienka, objaśnia odźwierny, po przerachowaniu pieniędzy i pilnem ich obejrzeniu i schowaniu do kieszeni,—niebieska sukienka, obszyta białą taśmą, pled na paskach w ręku.

— Ta sama.

— Wyszła ze stacyi, i o godzinie pięć minut po 7-méj udała się w tę oto stronę, pokazuje ręką, a pótém skręciła na prawo.

Mimo woli pchani, jakąś siłą ciekawości czy nadziei, pobiegliśmy, aby chociaż spojrzéć w tę stroną, którą udała się Dora. Nie był to już Londyn, nie była jednak zupełna wieś, długa ulica domków i pałacyków, kryjących się wśród drzew, ogródków przyozdobionych klombami kwiatów, otoczonych sztachetami i murem. Za ogródkami bujne łąki, kończące się dużym stawem.

Patrzyliśmy chwilę ciekawie i pełni nadziei wróciliśmy na stacyą telegrafować do Henryka i czekać na Dżorża.

Depesza.

„Jeżeli jeden jeszcze dostaniesz telegram, przyjeżdżaj natychmiast. Dżentleman.“

Dżorż powraca.

— A więc mamy zgubę—woła uradowany, przybiegając do nas.

— Chcesz zobaczyć? jedna ulica, a domów nie więcéj jak sześćdziesiąt.

— Nie chcę Sir, nie chcę! nic niebezpieczniejszego w pogoni jak płoszyć.

— Na teraz zostaje ostatni akt i najtrudniejszy.

— I ja go biorę na siebie, rzekł poważnie Dżorż. Teraz właśnie jest-to czas *lunchu* (drugiego śniadania) wszyscy są w domu; chodźmy i my Sir odpocząć.

— Zapracowaliśmy na *lunch*.

— Dżorż, szukaj schronienia i żywności.

— Tutaj, Sir o to łatwiéj niż w Afryce. Moglibyśmy przekąsić na stacyi, lecz to nie miejsce dla nas. My musimy jedząc, pracować.

— Pracować, szukać, rozpoznawać. Dżorż prowadź, dał rozkaz Dżentleman.

Dżorż idzie naprzód, my za nim. Stajemy przed rzeźnikiem; Dżorż poprawia kapelusza na bakier, Dżentleman się uśmiecha.

— Trzy kotlety baranie funtowe!—dysponuje Dżorż.

Rzeźnik odcina trzy kotlety; każdy z osobna zawija w papier i podaje nam po kolei.

— A teraz powiedz nam stary, gdzie tu jest najbliższy *shop* (karczma) do upieczenia mięsa i wypicia dobrego piwa?

— Tu obok, trzeci dom;—odpowiada rozciekawiony rzeźnik. A panowie z daleka?

— Z Crojdon mój kochany stary, z Crojdon, podchwytuje Dżorż,—Dżentleman jest przedsiebiorcą budowy domów; ten drugi to jego rysownik i kasyer, a ja dozorca nad robotnikami.

— I szukacie placów na budowę?

— Właśnie, pustych placów na budowę.

— A dlaczego nie chcecie kupować gotowych domów?

— Jeżeli tylko dobry *busines*, wszystko mi jedno odpowiada Dżentleman.

— Jest ich tu trzy do nabycia.

— Zamieszkałe?

— Dwa zamieszkałe a jeden pusty.

— Zobaczymy.

— Dżorż, jak cię trzasnę w kark!—woła Dżentleman, gdyśmy już odeszli.

— Późniéj Sir, jeszcze nie ma za co;—odpowiada naiwnie Dżorż.

W izbie szynkownéj wita nas uśmiechnięta miss. Wchodzimy z tęgiemi minami, rzucając na stół z pewnym impetem, jak nakazuje zwyczaj zamożnych robotników, przyniesione mięso.

— Na *grilach* czy na patelni?—pyta miss, zabierając kotlety.

— Jeden na patelni a dwa na *grilach*, moja kotko, decyduje Dżentleman to będzie prędzéj.

— Ja nie jestem pańską kotką, gdyż jestem Keti Biggs, córką mojego ojca—odpowiada rezolutnie mała, drobnych rysów przystojna blondynka.

— A zatém piękna panno Keti Biggs, podaj pół piwa. Panno Keti Biggs, która nie jesteś kotką, ale możesz nią zostać, jeżeli łaskawie spojrzysz na tego zucha, a pastor nie będzie miał nic przeciwko temu.

Keti Biggs uśmiecha się i spogląda na Dżorża, który melancholijnie pozuje.

Po odejściu Keti, jak się domyślamy dla smażenia kotletów, siedzący za stołem jegomość z zamyślonemi nieco oczyma, kiwa na nas palcem. Zbliżamy się; kiwanie ustaje. Nachylamy się do jegomości, ten podnosi się, przysuwa swoje usta do uszu Dżentlemana i szepcze:

— Ona chciałaby zostać Kotką ale w Londynie, poczem palce przytyka do ust—znak milczenia.

Dżentleman kiwa również palcem na jegomości za stołem; ten także nadstawia ucha.

— Dlaczego?—pyta się cicho Dżentleman.

— Nie lubi macochy; macocha jest skąpa i zła, a Keti chce się ładnie ubierać i do Londynu jeździć.

— Dobra to partya?

— Dobra. Ma w banku po matce 140 funtów, aha!

— Aha!—odpowiada Dżentleman,—aha! powtarza Dżorż.

— Stary Biggs chce jéj oddać tę karczmę za 150 funtów.

— Chce jéj oddać?

— Tak chce; ale Keti chce karczmę i 150 funtów.

— Keti ma rozum.

— Nie bardzo!—zapominając o tajemnicy, odpowiada już dość głośno, trochę podcięty Anglik.

— A to dlaczego?

— Bo mnie nie słucha. Mówię jéj: Keti wyjdź za Dżemsa Gibsa, wtedy będziesz sobie jeździć do Londynu, kiedy ci się spodoba, a Dżems Gibbs zostanie tu.

— Cóż Keti na to?

— Keti odpowiada mi na to: cicho ty barania głowo! Bo ja jestem James Gibbs, dzierżawca tutejszych stawów.

I po tych słowach James podaje nam rękę, którą po kolei ściskamy.

— Nie wierzcie mu panowie—woła Keti na w pół z płaczem, otwierając przymknięte drzwi drugiego pokoju;—nie wierzcie mu; ja do Londynu jeżdżę do ciotki, wtedy tylko gdy mi bardzo ciężko na sercu.

— Kochana Keti nie rób mnie kłamcą w obec Dżentlemenów! Gibbs wie wszystko i dla tego uczciwie chce zostać twoim mężem, jak tamten nigdy nim nie będzie!

— Gibbs! nie obmawiaj mnie, kiedym ci nic złego nie zrobiła.

— Dear Keti! powtarzam ci—zostań Mistres Gibbs, a ja się nie będę mięszał do twych spraw londyńskich; to nie mój interes.

Keti nic nie odpowiada; obciera oczy chusteczką a stawiając nam kotlety i piwo wzdycha.

— Zapraszamy dzierżawcę stawów i łąk a w zasadzie wolnomyślnego małżonka do towarzystwa.

Gibbs przyjmuje; piwo nalane; stuknięcie szklanek; swobodna rozmowa. I Keti siada za stołem, rozkładając robótkę do szycia.

— Jakże ci Sir idzie busines?

— Z rybami, przyznam się, źle; ciężka konkurencya z morzem; za to łąki jako tako. Na sześć lat jak tu jestem, dwa razy spuszczałem stawy i nie miałem więcéj jak po 250 funtów, a 50 funtów płacę rocznego czynszu.

—- A więc sześć lat jak znasz miss Keti Gibbs przerwałem.

— Kiedy jeszcze Keti miała lat szesnaście, bo ma teraz lat dwadzieścia od miesiąca... (Keti rumieni się) wtedy żyła jéj poczciwa matka,—cicha i słodka kobiéta. Ja jéj mówię: Matko Biggs „Keti dla mnie.“ Matka Biggs uśmiecha się, (uśmiechała się poczciwina często) i mówi mi: „gdybyś tylko nie pił tak bardzo mój Gibbs.“ I nie piłem aż do jéj śmierci.

Gibbs uderza pięścią w stół;—Keti płacze. Umarła i wszystko się skończyło! Keti jeździ do Londynu a ja czasem wypiję. Keti chcesz być panią Gibbs? to Gibbs przestanie pić, chociaż ty będziesz jeździć do Londynu ile zechcesz.

— Proszę cię Gibbs nie nudź mnie—odpowiada Keti.

— Cóż w tém złego, że mis lubi jeździć do Londynu? zapytałem.

— To nie mój busines sądzić o tém; to tylko wiem, że ona nigdy nie będzie mistres Raynard a może...

— Gibbs cicho—wołała Keti płacząc.

— Masz racyą Keti, to nie mój busines.

Podczas téj rozmowy Dżentleman z Dżorżem szeptali między sobą...

— Mister Raynard mieszkał tu? pyta Dżentleman.

— Przez pół roku, z matką.

Keti rumieni się i wzdycha.

— Dużo jest jeszcze letnich mieszkań nie najętych a próżnych w tym roku?

— Najęte wszystkie; ale próżnych dosyć.

— Gibbs nie mów kiedy nie wiesz dokładnie:—przerywa Keti, od trzech dni prawie wszystkie zajęte.

— Tak, tak, to nie mój busines, ja się nie powinienem mięszać nawet do tego, jeżeli się mięsza Keti, zdecydował Gibbs.

— W ostatnich czasach zatém dużo rodzin przyjechało?

— Jak się tylko sezon skończył w Londynie — odpowiada Keti...

— To dla Keti się zaczął, przerwał Gibbs.

— Gibbs nie dokuczaj mi!

— Od jak dawna jesteś tu Sir, pyta Dżorż.

— Od dziesiątéj.

— Byłeś na swoich łąkach.

— Nie Sir, byłem w Londynie, zawoziłem do rybnych hall hodowane szczupaki.

— Piękna miss Keti prosimy o rachunek woła Dżorż.

Keti: Piwo 16 pennów, kartofle 6 pennów; chléb 3 penny, za upieczenie 3 penny; razem 2 szylingi i 3 penny.

Dżentleman płaci 4 szylingi; Keti zdaje resztę.

— Resztę zostawiam na podróż do Londynu, mówi grzecznie Dżentleman do Keti, która spuszcza oczy.

— Sir stajesz przeciwko mnie woła Gibbs.

— To nie twój busines—odpowiada Dżentleman.

Twoim businessem Sir jest tylko zostać mężem Keti.

Zdumionego Gibbsa i uśmiechniętą Keti opuszczamy.

— Dżorż co daléj—woła Dżentleman, gdyśmy się znaleźli sami na drodze:

— Ha, zobaczymy Sir, tylko ostrożnie, bardzo ostrożnie. Panowie przechadzajcie się tu, a ja sam przejdę się w stronę, w którą poszła mis może co zobaczę.

Dżorż poszedł, a my zdaleka siedząc, obserwowaliśmy jego ruchy.

Dżorż wraca smutny.

— Nikogo Sir! ani żywéj duszy, ale téż nic dziwnego; słońce się przechyliło na tę stronę, a zatém mieszkańcy przesiadują od Wschodu.

— Wyprawa na Wschód! decyduje Dżentleman.

Tak ale tylko ja sam pójdę; panowie czekajcie na mnie w miejscu, zkądbyście mogli mnie widziéć.

Obchodzimy willę od strony łąk. Dżorż zostawia nas schowanych w rowie, zasłoniętych trawą, abyśmy nie byli widziani z górnych okien, a sam przyczaja się pod murem, odgradzającym ogródki, i pod tą zasłoną skrada się od domu do domu, zaglądając przez wierzch do wnętrza.

Dobre pół godziny czekaliśmy niecierpliwi i niespokojni, z każdą chwilą tracąc nadzieję. Nareszcie przed jednym ze środkowych domów, Dżorż przysiadł przy ziemi, dając znać, abyśmy się ku niemu zbliżyli. Dżentleman budzi mnie z zamyślenia, pokazując nawoływanie Dżorża.

Podnoszę się; Dżorż daje znaki, abyśmy się pochylili. Dżentleman ściąga mnie za nogę na ziemię, upadam obok niego, a wtedy szepcze mi do ucha.

— Na Boga, zgubisz wszystko! musimy się czołgać, jak się dzicy czołgają polując.

Czołgamy się zatém po trawie Gibbsa do miejsca, gdzie Dżorż siedział; a wtedy on pokazuje nam na migi, abyśmy zajrzeli przez dziurkę od klucza furtki, prowadzącéj do ogródka.

Spoglądam i widzę Dorę, siedzącą na tarasie. Główkę sparła na dłoni, a parasolką trzymaną w drugiéj ręce, kreśliła po ziemi znaki.

Spokój, rezygnacya, a nawet pewna pogoda twarzy, harmonizująca ze smutkiem w oczach i na zamyśloném czole.

Zkąd tyle zaczerpnęła siły woli i hartu duszy? Obowiązek, miłość i poznanie własnéj godności, to są siły. Patrzałbym długo, gdyby nie niecierpliwość towarzysza.

Zagląda Dżentleman: promienieje radością i w uniesieniu bije w kark Dżorża, który robi miny tragiczne.

— To znaczy trzeciego funta, Dżorż!—szepcze Dżentleman hamując swój zapał.

Odczołgawszy się daléj kilka kroków, siadamy, przysunięci, do muru, na trawie.

— Jesteśmy u celu, ale jeszcze nie mamy zdobyczy w ręku; pierwszy zabiera głos Dżentleman.

— Prawda Sir, gdyż do domu, ani nas, ani pana Henryka nie wpuszczą; a w nocy lub jutro rano może miss uciec.

— Nie ma innéj rady,—mówi Dżentleman, my zostaniemy tu pilnować, a Sir wracaj po pod murem; wysyłaj telegram i obserwuj od głównéj drogi, gdy nas będziesz potrzebował, świszcz.

— I my tu nie możemy pozostać, Sir- robi uwagę Dżorż,—raz, że to ściągnęłoby podejrzenie, a powtóre.., widzicie panowie ścieżkę, od furtki prowadzącą do stawu? pewno to jest przywiléj właścicieli tego domu spacerowania tędy. Musimy im zejść z drogi, i do rowów, ja po lewéj stronie, a Sir po prawéj.

Dżentleman tym samym sposobem powraca na swoje poprzednie miejsce, Dżorż czołga się na lewą stronę, a ja skrywając się za mur, dobiegam do głównéj drogi. Zatelegrafowałem do Henryka i obrawszy sobie punkt, z którego mogłem widzieć łąkę, mieszkanie Dory i główną drogę, rozważałem, co się działo w serduszku idealnie delikatnego dziewczęcia.

Nie wiem jak długo w zadumie siedziałem. Słońce coraz więcéj się zniżało, okrywając purpurą horyzont. Na ziemi i na niebie cisza, jakby przed burzą.

Nareszcie otwiera się zielona furtka i na uprzywilejowanéj ścieżce ukazuje się nasza poszukiwana. W téj saméj niebieskiéj sukience, w ciemnym kapelusiku. Dora rozgląda się w około, a nie widząc nikogo, zamyka za sobą drzwiczki, idąc ścieżką do stawu.

Spojrzałem w stronę stacyi, czy nie zobaczę Henryka? a takby się w porę znalazł! Zaledwie jednak nasza poszukiwana przeszła połowę łąki, od strony Dżentlemana daje się słyszeć jedno długie świśnięcie,—dzieweczka staje, słucha, ogląda się, po chwili przyśpiesza kroku idąc naprzód. Z wysokości widzę, jak Dżorż, zostawiwszy swój kapelusz, pomyka na czworakach.

Drugie podwójne świśnięcie. Dzieweczka się poruszyła, zachwiała, jakby chciała się wracać, jednak przyśpieszyła tylko kroku idąc daléj.

Dżorż dobiega do końca rowu i zawiadamia o tém Dżentlemana świśnięciem. Dżentleman daje rozkaz ataku, świstania rozdzierają powietrze. Od strony stawu wypada z odkrytą głową Dżorż, z przeciwnéj podnosi się Dżentleman. Wystraszona dzieweczka, widząc wszystkie przejścia przecięte, biegnie do stawu. Dżorż i tu jéj przecina drogę, a Dżentleman nie żałuje swych nóg.

Dzieweczka z przerażenia klęka i pochyla się na ziemię. Dżorż przypada, porywa zemdloną na ręce, i biegnie z nią do Dżentlemana.

W tém słyszę za sobą wołanie; oglądam się, Henryk pędzi do mnie co sił z wyciągniętemi rękoma.

— Gdzie Dora?! woła, gdzie Dora? moi drodzy, moi zbawcy!

— Właśnie niesie ci ją Dżentleman—odrzekłem, pokazując mu naszego towarzysza, który odebrawszy drogi ciężar z rąk Dżorża, niósł go w tryumfie.

Umarła!—krzyknął z ropaczą Henryk, ściskając mnie konwulsyjnie za rękę.

— Zdrowiuteńka, tylko zmęczona.

Pędzimy co sił, sadząc przez rowy po łące.

— Bierz ją, bierz!—woła u zenitu tryumfu Dżentleman;—mam nadzieję, że już jéj więcéj nie stracisz.

Henryk odbiera Dorę z rąk Dżentlemana, składając gorący pocałunek na jéj ustach. Dora otworzyła oczy, spojrzała na Henryka i znów je zamknęła.

Maszerujemy razem, szczęśliwi, po uprzywilejowanéj ścieżce. Dżorż wybiega naprzód dla otwarcia furtki. Henryk dziękuje nam słowami uniesienia, szepcząc Dorze słodkie wyrazy wyrzutów i miłości...

Dora zemdlona nie słyszy, oczu nie otwiera, ale się za to dość wyraźnie, jak na zemdloną, rumieni. Dżentleman śmieje się ze łzami radości w oczach: a ja troszkę zazdroszczę, troszkę mi przykro, dlaczego i ja nie mam swojéj Dory, nie mogę nieść zemdlonéj i zemdlonéj całować.

Furtka otwarta; w ogródku stoją skamieniałe z przerażenia dwie kobiéty. Na widok niesionéj przez Henryka Dory, młodsza, trzynastoletnia dziewczynka, zaczyna głośno płakać; Henryk wchodzi do ogródka. Dżorż zamyka za nim drzwiczki, na łące zostajemy sami. Dżorż częstowany jest przez Dżentlemana razami w kark, lecz je przyjmuje z wdzięcznością, śmiejąc się.

— Niech żyją kolonie!—zawołałem, podnosząc w górę kapelusz.

Dżorż kłania się skromnie, a Dżentleman rzuca się w moje objęcia.

Wracamy do Londynu, dumni ze zwycięztwa, ufni we własne siły, wierzący w swoję zręczność, zadowoleni z użytecznie przepędzonego dnia.

— Tak jakoś mi dobrze na sercu!—mówi Dżentleman;—młodzi ludzie, oboje piękni, szlachetni, serdecznie się kochają, a bez nas, Bóg wie, coby się stało.

— A mnie Sir, jakoś nie dobrze, jakbym był na czczo i jakbym się już ożenił;—mówił sentymentalnie Dżorż.

— Czekaj Dżorż! pomyślimy o tém; zaczekaj troszkę!—z tajemniczą miną odpowiada Dżentleman.

— A ja teraz myślę, rzekłem—i stanowczo oświadczam, że twoja Sir znajomość stosunków, praktyczny rozum i szlachetny patryotyzm, powinny miéć szerokie pole do zrealizowania się i dlatego musisz wejść do parlamentu.

— Hip! Hip!—zawołał Dżorż, ja chcę ostatnie lata swéj służby przepędzić w *Chamber of Parliament.*

— Ach Sir! *dear Sir*!--mówił ściskając mi ręce Dżentleman, któremu się już oczy lśniły ze wzruszenia;—ja jeszcze dotąd sam przed sobą nie śmiałem tego powiedziéć.

— *My Mister member of parliament!*—wrzasnął Dżorż.

— Dżorż, milcz! zaklinam cię, milcz!

— Nie śmiałeś Sir pomyśléć, ale my za to mamy odwagę, nietylko myśléć, ale i mówić o tém, a nawet zmusić cię, w razie twego uporu.

— Tak zmusić!—krzyknął Dżorż.

Gentleman zamierza się na Dżorża.

— Bij mnie Sir, bij! teraz jestem dumny z tego, albowiem wiem, że mnie bije przyszły *member of parliament.*

— W tym celu, zabierając głos, proponuję współkę, między nami trzema, jako reprezentantami przyprowadzenia do skutku naszych szlachetnych zamiarów, które muszą być uwieńczone tak samo pomyślnie jak dziś.

— Jak dziś—dodał Dżorż.

— Sir, ja się lękam o siebie.'

— Ale my się nie lękamy rzekłem, podając rękę uczciwemu człowiekowi, którą serdecznie uścisnął.

Jesteśmy w Londynie.

Na umówioném miejscu czekał Nick Pott z prawdziwie angielską wytrwałością.

— Sir oświadcza Nick, przybiegając do nas,—konduktorzy chcieli zarobić funta, lecz żadnemu się nie udało.

Lecz za to ty zapracowałeś pięć szylingow i nie wątpię że się upijesz.

— Nie teraz Sir, nie teraz. Nick się upije ale dopiéro po dziewiątéj; teraz może się trafić jaka robota, np. trzymać konie dżentlemanów, lub poić dorożkarskie.

— Wytrwałość jest wielkim przymiotem Anglików, wytrwałością oni panują!—mówi Dżentleman z powagą, przyszłego członka parlamentu. Dżorż!—oto jest funt dla ciebie, pięć szylingów dla Nicka, dwa funty pozostałe wpiszą się do książki.

Dżorż wyciąga rękę po funta, zadowolniony.

— Sir! o któréj mam wrócić?—pyta z pokorną miną.

— Wrócisz o któréj chcesz, byle jutro rano herbata w swoim czasie była gotową.

— Sir! Dżorż się nie spóźnia.

— Ja zaś, kochany panie,—odzywam się do Dżentlemana, proszę cię dziś ku uczczeniu projektu wejścia twego do parlamentu, na małą wieczerzę; tam nakreślimy szczegółowy plan.

— Czy Dżentleman jest korespondentem? pyta się swego pana Dżorż dogoniwszy nas.

— Tak cóż ztąd?

— Bo teraz jestem pewny, że Sir będzie w parlamencie, i dla tego Dżorż dzisiaj musi być w dobrym humorze.

Koniec części drugiéj.

Sewer.

WPŁYW TYTONIU NA ORGANIZM ZWIERZĘCY

ORAZ HIGIENA PALĄCYCH.

(Dokończenie).

6. Wpływ miejscowy dymu na błony z któremi się styka.

Dym tytoniowy w zetknięciu z błonami śluzowemi ust, gardła, nosa i tchawicy rozpuszcza się w ich wydzielinie, drażni je pierwotnie, a potém w pewnéj mierze narkotyzuje. Skutkiem tego jest przekrwienie, pobudzanie do obfitszéj wydzieliny, następnie przy trwającém podrażnieniu nabrzmienie błony i jéj rozpulchnienie, miejscowe ogołocenie z nabłonka, ziarniste zwyrodzenie i owrzodzenie, zwłaszcza u osób limfatycznych, w krew ubogich lub charłacznych. Drażniące te tytoniu własności nie tyle zależą od ilości nikotyny w dymie zawartéj, jak raczéj od olejów przypalonych i objawiają się najczęściéj przy paleniu tytoniu mokrego, gdy jego gorzenie jest utrudnione, i gdy wiele formuje się fajczanego sosu. Dym ostry drażni jamę ust, podnieca wydzielinę ślin, zrządza potrzebę odpluwania, które w miarę przyzwyczajenia się do palenia, wcale się nie zmniejsza, lecz tylko z czasem mniéj się uwydatnia z powodu, że palący ślinę połyka.

U nałogowych palaczy zęby czernieją, a mniemanie, że je dym konserwuje, jest błędne. I owszem dziąsła bywają obwisłe i obrzękłe, nie osłaniają należycie zębów, a te psują się poczynając od nasady i wreszcie próchnieją. Dym gorący przy zimnym napoju, jak np. przy ciągłym paleniu cygar i piciu zimnego piwa, wielce jest na zęby szkodliwy, a jeżeli nie bolą, będąc ciągle narkotyzowane, to się wykruszają lub wyłamują powoli. Owo zębów zaczerwienienie jakie się często napotyka u starych burszów w uniwersytetach niemieckich

niepuszczających z ust fajki, jest poprostu nalotem tytoniowego sosu na emalii zębowéj dającym się dość łatwo oddalić.

Jeżeli palący dym do gardła przenosi i potém go nosem wyrzuca, to skutkiem tego powstaje z czasem nabrzmienie błony nosowéj, zwiększanie wydzielin gardzieli i jamy ustnéj, słowem tak zwany *katar chroniczny nosowy palaczy.* Przy długim jego trwaniu i ciągłém podsycaniu błona nosowa i gardzielowa brzmieją, stroszą się porastają granulacyami, wśród których powstają przestrzenie ogołocone z nabłonka, zmieniając się potém w płytkie owrzodzenia. Jeżeli takie zmiany powstają przy wylocie trąbek słuchowych *Eustachiusza* to słuch podupada i tępieje. A jeśli z innych jakich powodów poprzednio, zaognienia lub owrzodzenia błony śluzowéj istniały, np. tak zwane skrofuliczne katary lub owrzodzenia przymiotowe, wtedy palenie rozdrażnia ją i jątrzy. Gdy zaś na wargach albo na języku powstaną przypadkowo krosty, lub pęknięcia albo skaleczenia przez tarcie o ostre zębów odłamki, to je dym tytoniowy do tego stopnia niekiedy rozdrażnia, że przybierają rakowate wejrzenie. Ztąd zapewne powstało mniemanie, że rak na wargach głównie nadużyciu palenia swoje powstawanie zawdzięcza. Zresztą w przypisywaniu tych wszystkich skutków tytoniowi jedynie, potrzeba być nader ostrożnym, gdyż nałogowe pijaństwo lub rozpusta, które często z nadużyciami tytoniu chodzą w parze, dorzucają swoje do miejscowego chorobowego obrazu, na który również i wadliwe usposobienie całego organizmu nie pozostaje bez wpływu. Język palacza bywa powleczony żółto-brunatnym nalotem, bywa gruby. jakby opuchły i porozpadany, a w jego szczelinach mieszczą się nieraz wrzody. Oddech jest cuchnący co obok ciągłego chrząkania i odpluwania sprawia, że bliższe zetknięcie się ze zwolennikiem tytoniowego obrządku, wcale nie jest pociągającém.

Zmiany materyalne w jamie nosowéj, oraz ciągłe narkotyzowanie specyalnych nerwów, obniża znakomicie smak i powonienie. Palacz nie będzie nigdy smakoszem ani też zwolennikiem miłych zapachów. Prześlepia on nawet odcienie samego tytoniu, pragnąc tych tylko, które są najsilniejsze. Jest-to tak zupełnie jak u pijaka, który przestaje znać się na winie i delikatniejszych napojach, a smakuje sobie w prostéj żytniówce lub we francuzkim *absyncie.* Prawdą jest, że cygaretka wypalona nieraz przed jedzeniem, pobudza apetyt, a cygaro przy czarnéj kawie sprzyja trawieniu i reguluje wypróżnienie żołądka, ale to tylko u osób, które się bardzo skromnie z tytoniem obchodzą. Przeciwnie u nałogowych palaczy, ślina przesiąknięta dymem, nieustannie podrażnia przewód pokarmowy, zrządza

katary żołądka i kiszek, pozbawia apetytu i paraliżuje ruchy trawienia. Ztąd ów znany brak apetytu u nałogowców, oraz uciążliwe zaparcie stolca, hipochondryczne umysłu usposobienie, bicie serca, duszność w piersiach, wraz z całą gromadą chorobowych przypadłości, które niejeden, nie wiedząc o co rzeczywiście chodzi, na karb hemoroidów składa. Podupadek trawienia pociąga za sobą ciała wychudnienie, lecz i to znów zdarza się niekiedy, że jeśli palacz wychudły naraz się swego przyzwyczajenia pozbędzie, to nader się łatwo w tuszy poprawia a nawet tłuścieje. Przypadki takie kilkakrotnie obserwowałem; lecz owe potytoniowe utycia nie są wcale dowodem siły, lecz li tylko poprawy w sferze trawienia przy pozostałym podupadku oddechu.

Nie mniéj ciężkie rozwijają się następstwa w przyrządach oddechowych u osób mających zgubny zwyczaj zaciągania się, to jest wciągania w piersi dymu tytoniowego przez oddychanie. Sprowadza on także katary w krtani, w tchawicy, a nawet w oskrzelach, których skutkiem jest chrypka, kaszel i odpluwanie, a w końcu duszność i rozedma płuc (*emphysema*). Jeżeli następstwa takie zjawiają się dodatkowo u osób, które z innych przyczyn poprzednio już na drogi oddechowe cierpiały, lub téż jeżeli te innostronne cierpienia wytwarzają się w ciągu tytoniowego nawyknienia, wtedy wytworzyć się mogą bardzo niebezpieczne zaburzenia, wobec których same nawet powstrzymanie się od palenia nie wystarcza. I tak, jeżeli przyłączą się owrzodzenia w krtani, lub pęknięcia błony śluzowéj na tylnéj jéj ścianie, w skutek krzyku lub wysilonego śpiewu, to przychodzi do zniszczenia, chrząstek krtaniowych lub strun głosowych, do rozwoju polipów krtaniowych i t. p. Są to cierpienia mało dotąd znane, w których obecne badanie bliżéj się rozpatruje przy pomocy niedawno zaprowadzonego w użycie krtaniowego wziernika.

Przez błony śluzowe pokarmowego i oddechowego przewodu, składniki dymu tytoniowego dostają się do krwi, z nią razem krążą i cały przenikają ustrój, a nareszcie ustępują z niego wraz z wydzielinami. Przy zwyczajném paleniu jest ich wprawdzie bardzo mała ilość lecz przy zatruciach nikotyną, można ją chemicznie odnaleźć nietylko w żołądku i kiszkach, lecz i w wątrobie, w śledzionie, w sercu, w krwi i t. d. U kobiét ciężarnych pracujących w fabrykach tabacznych wykrywano ją nawet w wodach płodowych a u mamek i w mleku.

Zdaje nam się również, że znajdują się w moczu, w pocie i w żółci, chociaż poszukiwania w tym kierunku robione, do żadnego dotąd jeszcze uzasadnionego nie doprowadziły wniosku.

Otóż to główniejsze i pierwszorzędne skutki palenia tytoniu. Przejdziemy teraz do drugorzędnych, których źródłem jest przesiąkanie składników trujących dymu tytoniowego do głębi tkanin naszego ustroju i działanie ich przedewszystkiém na układ nerwowy a za ich pośrednictwem na inne organiczne sprawy. Rzecz prosta, że te ostatnie mniejszym albo większym ulegają zboczeniom, stosownie do ilości wchłoniętego dymu i do usposobienia indywidualnego.

Przy skromném użyciu cygar, u osoby, która przez częste palenie nie stłumiła jeszcze w sobie wrażliwości na działanie tytoniu, jego wpływy wywierają się przedewszystkiém na nerwy serca i oddechu. Uderzenia serca są przyspieszone, ale ponieważ tętnice się zwężają, puls przeto staje się mniéj rozległym i słabiéj uczuwalnym pomimo swojéj prędkości. Skóra blednie, oddech się przyspiesza lecz także na swéj rozległości traci. Przypadłości te u poczynających palić, a mianowicie u kobiét, dają się obserwować najłatwiéj a łączy się z niemi zazwyczaj uczucie lekkiego zaciśnięcia w piersiach, oraz tłumne kurczowe poruszenia się kiszek dające się nieraz wyczuwać przez przyłożenie ręki. Jest-to więc takie samo działanie na żołądek i kiszki, jakie się objawia na serce i płuca. Lecz na tém nie koniec, gdyż daje się jeszcze uczuwać w członkach pewna potrzeba ruchu, jakaś ruchliwa niespokojność, która jednak rychło ustaje i lekką ociężałość po sobie zostawia. Jest ona prostém następstwem przemijającego pobudzenia rdzenia pacierzowego, które jednak na nim się nie ogranicza, lecz sięga daléj do mózgu i objawia się w sferze umysłowéj jako ukojenie, rozweselenie, rozbudzenie i rozjaśnienie myśli, w jakim to właśnie największą rozkosz palacze znajdują; przy działaniach bowiem nieco mocniejszych, zmienia się skutek i występuje natomiast odurzenie i obrzydzenie, zostawiające po sobie wstrętne wspomnienia.

Zdaje się, że tytoń modyfikuje wymianę materyi w sferze nerwowéj i że tym sposobem wywołuje skutki, będące jakby wynikiem z pomięszania z sobą *koki* (*Erithoxilon coca*), która przytłumia apetyt, *wina* które troski rozpędza i *kawy*, która rozwesela, jak-to utrzymuje *Bibra*. Są to więc nader pożądane dla człowieka wpływy, a zwłaszcza jeżeli je się osiąga tak niewielkim kosztem jaki za sobą szczypta tytoniu pociąga. Dym jego nie osłabia wrażliwości zmysłów, lecz modyfikuje w ten sposób wpływy mózgowe, że uwaga na przedmioty zewnętrzne mniéj nierównie się zwraca.

Ukaja on także umysłowe wzburzenia i miłe zrządza uspokojenie. Biedakowi pozwala zapomnieć o głodzie, zmęczeniu i znużeniu i poniekąd przywraca mu siłę. Przytém nie działa wprawdzie

tak silnie na wyobraźnią jak *opium* lub *haczysz*, ale ją lekko podnieca i w błogą pogrąża zadumę, wśród któréj od czasu do czasu obraz się przyjemny nawinie. Człowieka palącego swoje cygaro, jakieś błogie napada lenistwo, leży sobie na wznak, puszcza z ust kółka dymu i zapatruje na nie. Jest-to niby umysłowy nihilizm wcale nie bez wdzięku, wśród kłopotów życia jakich każdy ma dosyć. W tem-to leży zapewne tajemnica owego niesłychanego rozpowszechnienia tytoniu. Ukojenia, błogiego spoczynku, nabrania sił nowych po wysileniu potrzebuje każdy, w jakim-bądź żyje klimacie; na jakim-bądź szczeblu towarzyskiéj drabiny postawiły go losy. Lecz jak wszystko tak i tytoń traci na przyzwyczajeniu, a kto z niego chce rzeczywistą osiągnąć korzyść, niechaj pali go mało, bo przy nieustannym trzymaniu cygara w ustach, troska przemaga ukojenie, a palacz staje się niewolnikiem nałogu, któremu potém nieraz złorzeczy.

7. Zatrucie tytoniem.

Obraz powyższy, tak jak go skreśliłem, nie przekracza jeszcze granic indywidualnéj tolerancyi, a zatém w żaden sposób nie powinien być uważanym jako chorobliwe zboczenie, równie jak i wypicie małéj ilości jakiego wyskokowego napoju, nie może już być poczytaném za upicie się, pomimo że oczywiste w zachowaniu się naszego organizmu wywołuje zmiany.

Jeżeli zaś granica owa tolerancyi przekroczoną zostaje, czy to z powodu, że palenie jest jeszcze nowością, to jest, że organizm jeszcze do niego nie przywykł, czy téż z powodu, że pomimo osiągniętego już przywyknienia za wiele odrazu palono; natenczas następuje tytoniowe zatrucie o jakim teraz mówić nam wypada.

Uderzającą jego postać przedstawia nam każdy niemal palacz poczynający; gdyż rzadko się któremu zdarza, ażeby nie przechodził przez nie. Obserwujemy natenczas przypadłości bardzo do choroby morskiéj zbliżone, jako-to: zajęcie i ból głowy, mgłości, bóle w dołku sercowym i kurczenie w brzuchu. Twarz wyciąga się i blednie, często pokrywa się zimnym potem, w oczach się ćmi, w uszach szumi; powstaje ogólne osłabienie niepozwalające nieraz utrzymać się na nogach, drżenie członków i trudność oddychania. Puls przyspiesza się, słabnie, staje się nieregularnym. Przygnębienie i omdlenie bywają nieraz tak silne, że cierpiący mniema, iż ostatnia zbliża się godzina; lecz to trwa niedługo, zjawiają się bowiem niebawem: ślinienie i wymioty, nieraz obfite wydzieliny stolca i moczu; wszystko

się wyrównywa zwolna i cierpiący przychodzi wkrótce do siebie. Cały ten jednak szereg objawów może przedstawiać niezliczoną ilość stopniowań i odcieni, stosownie do indywidualności poczynającego palacza. U jednych wszystko się kończy na lekkiem zajęciu głowy, u innych zaś po kilku pociągnieniach z fajki następują tak gwałtowne skutki iż rzeczywiście zagrażają niebezpieczeństwem i to nie tylko przy pierwszéj próbie palenia, lecz za każdym razem gdy się na nowo sprobuje. Są osoby dla których jest niepodobieństwem do palenia się przyzwyczaić, równie jak są i takie, które nie mogą przywyknąć do kołysania się okrętu i każdą podróż morską przypłacają cierpieniem. Rzadko się zdarza u poczynających palaczy, ażeby zatrucie wyższego dosięgało stopnia, jeżeli to jednak nastąpi, objawia się zupełna utrata przytomności, występują konwulsye i w ogóle przedstawia się obraz do tego bardzo zbliżony, który skreśliliśmy powyżéj, mówiąc o zatruciach nikotynowych. Przyjście też do siebie w takich razach daleko jest trudniejszém, a wstrząśnienia doznane nieraz trwalsze na zdrowiu pozostawią ślady.

Tolerancya tytoniowa nie jest nigdy absolutną, a jeżeli się kto już do tytoniu przyzwyczaił, to nie jest bynajmniéj od powyższych zaburzeń w zupełności zabezpieczony. Najwprawniejszy palacz struje się tytoniem jeżeli miarkę przebierze, lub też jeżeli się paleniu oddaje przy nieodpowiedniém zdrowia usposobieniu. Czasem zmiana gatunku tytoniu, do którego się przywykło, sprowadza już wstrząśnienie, czasem znów raptowne sił obniżenie czy to przez zbytek zmęczenia, czy też przez namiętne podmuchy, czy też inne jakie osłabiające wpływy, np. w skutek niestrawności, czasem po długiém niepaleniu, najczęściéj jednak w skutek zanadto obfitego palenia. Na dowód tego spisano nam wiele obserwacyj zatruć, często śmiertelnych, u ludzi bardzo do tytoniu przywykłych, którzy palili o zakład. *Helwig* np. wspomina o dwóch braciach, z których jeden 12 a drugi 18 fajek niemieckich jednę po drugiéj wypalił, i obadwaj pomarli; *Marshall Hall* mówi o pewnym młodzieńcu, który po 10-ciu fajkach tak silnemu uległ zatruciu że go z największą tylko trudnością uratowano od śmierci. *Makensie* mówi o innym, który po wypaleniu półtory tylko fajki obcego tytoniu, dostał konwulsyj przy zupełnéj utracie przytomności i zaledwie został przywrócony do życia. Tym podobnych postrzeżeń moglibyśmy przytoczyć mnóstwo, a co większa nie tylko na osobach, które same paliły, ale na takich, które nie paląc wędziły się, jak to nieraz bywa wśród tytoniowego dymu. I tak sam przypłaciłem w Kolonii zatruciem i trzydniową chorobą, kilkogodzinny pobyt na pewném ludowém zebraniu, gdzie w obszernéj sali przeszło 600 zgromadzonych osób cygara ciągle paliło, a dym był

tak gęsty, że go dla samych Niemców było za wiele, gdyż o kilka już kroków, mówcy na trybunie widać prawie nie było. Dziewczęta posługujące, nowo przybyłe do piwiarni niemieckich, chociaż same nie palą, przebywają zazwyczaj tabaczne zatrucie, zanim do pobytu w dymie przywykną. Ciekawe postrzeżenie podaje nam Wrygth w gazecie lekarskiéj londyńskiéj z roku 1824, treści następującéj: zawołano mnie niedawno śpiesznie do umierającego młodzieńca, i rzeczywiście znalazłem go w stanie zatrważającym. Był blady, zimny i lepkim pokryty potém; pulsu nie można się było u niego domacać ani dosłyszéć uderzeń serca. Leżał nieruchomy i jedynym znakiem życia było chyba u niego głębokie wzdychanie, co 15 powtarzające się sekund. Dowiedziałem się że biedak ten chcąc znaleść ulgę w cierpieniach hemoroidalnych pozbawiających go spoczynku, wpadł na myśl użycia w tym celu tytoniu, a że go nie palił, siadł więc na nizkiem wyplatanym stołeczku, podłożył pod niego fajerkę, na któréj żarząc węgle rzucił garstkę tytoniu i siedział tak minut kilka, dopóki przytomności nie utracił. Wlałem mu w gardło kieliszek wódki, obłożyłem go synapizmami i kazałem go trzeć flanelą po ciele. Gdy przyszedł do siebie dowiedziałem się od niego że pomimo rzekomego omdlenia widział wszystko i słyszał co koło niego się działo, i na dowód powtórzył całą rozmowę jaką prowadziłem z innymi dając mu ratunek.

Jeśli produkta ze spalenia tytoniu, jak powiedzieliśmy, do krwi się dostają i odcedzają się w końcu przez wydzieliny, krążąc przy krwi obiegu działają na układ nerwowy, to ustrój nasz, do tego nieprawidłowo narzuconego mu wpływu, może wprawdzie przywyknąć, tak jak się przywyka do kilku kieliszków wódki jakie się w ciągu dnia wypije, ale ztąd nie wypada wcale ażeby ze znacznem powiększeniem dozy trującéj nie miały złe objawiać się skutki. Przy zwykłym nawet trybie palenia, jeżeli zmieni się przypadkiem stan zdrowia palacza i ustrój jego przedstawiać będzie mniejszą odporność na działanie tytoniu, albo téż jeżeli wydzieliny, przez które trucizna z organizmu odchodzi, będą powstrzymane to i wtedy musi nastąpić koniecznie zatrucie; w pierwszym razie z powodu iż trucizna ostrzéj będzie działała, a w drugim, że się jéj we krwi w znaczniejszéj nierównie ilości nagromadzać musi. Okoliczności te tłómaczą wiele przypadłości dobrze palaczom znanych. I tak np. ktoś pali swobodnie przez długie lata, lecz naraz czuje się niezdrowym i od téj chwili miarkuje że mu tytoń szkodzi. Wczoraj nie zrządzał mu niesmaku, nie obudzał mdłości, nie nękał go, a dziś sprawia mu wstręt i obrzydzenie. I dla czego? bo ustrój jego mniéj przedstawia oporu.

Inny znów, przywykły do ciągłego ruchu na wolném powietrzu, pali ciągle bezkarnie, lecz niechaj tryb życia zmieni to i palić mu mniéj zaraz wypadnie. Wiadomo także że człowiek chory palić przestaje, a gdy mu cygaro smakować zaczyna to zazwyczaj wraca do zdrowia. Ów wstręt jednakowo zapowiadający konieczność zaprzestania palenia tytoniu, odnosi się głównie do chorób ostro występujących. Przy poczynających się podstępnie i wlekących się powoli, brakuje go zupełnie lub téż objawia się tak słabo, że nie przezwycięża przyzwyczajenia. Zauważano to np. przy *cukromoczu*, przy wielu cierpieniach wątroby, przy katarach chronicznych żołądka i kiszek, przy których chorzy nieraz się dobijają ciągłém paleniem, jak gdyby im rzeczywiście o to chodziło ażeby swe życie ukrócić.

Wówczas po za obrębem powyższych zaburzeń rozwija się, wskutku nadużycia tytoniu, inne nierównie gorsze, które *powolném zatruciem tytoniowém* zowiemy. Ma ono się tak zupełnie do owych powyższych, jak się ma alkoholizm przy nadużyciach spirytusowych napojów, do pojedyńczych napadów pijaństwa. Powolne to zatrucie długo bardzo uchodziło powszechnéj uwagi, i w głębokim pozostawało cieniu, dopóki skrupulatne wyłączanie zmian chorobowych przez inne wywoływanych przyczyny, niewykazało osobnéj grupy zboczeń zdarzających się tylko u nałogowych palaczy i to przy osobném tylko ich organicznéın usposobieniu. Zboczenia te odnoszą się do wszystkich niemal organicznych czynności i głęboko nadwerężają zdrowie, lecz nie wywiązują się nigdy prawie u osób silnych, dobrze odżywionych, muskularnych i czynne życie prowadzących.

W zeszłym wieku nikt prawie nie domyślał się nawet istnienia takiéj tytoniowéj choroby, a to z powodu: naprzód że palenie było nierównie mniéj rozpowszechnioném; powtóre że oddawali mu się prawie wyłącznie mężczyźni i to mianowicie wojskowi, lub ciągłemu oddani ruchowi; a potrzecie że żyło daleko mniéj słabych i wycieńczonych osobistości, z powodu często zjawiających się epidemij ospy, przyprawiającéj o śmierć wszystkie niemal słabsze indywidualności, oraz z powodu mniéj jak dzisiaj rozwiniętéj hygieny, nadającéj obecnie nawet słabszym i wątłym większe bezpieczeństwo życia. Ogólna odporność na tytoniowe zatrucie była więc bez porównania wyższą. Kobiéty palące fajkę można było napotkać chyba na Wschodzie, młodzież wymokła, rozkapryszona i rozdelikatniona, jaką dzisiejszy sarkazm obejmuje nazwą *zdechlaczków* w wyższych tylko błąkała się klasach, a tym wykwintny salonowy obyczaj od tytoniu stronić nakazywał. Fajka na długim cybuszku odpowiadała przeważnie kontuszowéj powadze, a z tabakierą, chociaż by téż jak najczęściéj otwierającą się dla tęskniącego za tabaką nosa, nikt zatrucia tytoniowego

się nie nabawiał. Dziś ze zmianą obyczajów, wszystko zmieniło się zupełnie, palą dziś nietylko kobiéty, panny, ale i dzieci, a udogodniony sposób palenia przez wprowadzenie cygara i papierosa, dozwala pomimo wszelkich zatrudnień z ust go nie wypuszczać od rana do nocy. Rzecz naturalna że biedny organizm opiera się jak może temu mało znanemu dawniéj wpływowi, dopóki się nie skoślawi, a wtedy to dopiéro występuje szereg chronicznie objawiających się przypadłości, nad któremi nam obecnie zastanowić się przychodzi.

Jeżeli się wywiera na ustrój nieustannie działanie podniecające tytoniu, noszącego już w sobie zarodek narkotycznego stłumienia, to rzecz naturalna że musi wkrótce powstać *upadek*. Podniecanie będzie się coraz staléj objawiać, osłabienie będzie coraz bardziéj wzrastać i naostatek doprowadzi do wycieńczenia i do zupełnego w układzie nerwowym rozstroju. Tytoń przestanie pobudzać apetyt, jak to początkowo i przy skromném użyciu był robił, lecz narkotyzując nerwy, zniszczy go z czasem zupełnie. Zamiast ułatwiać trawienie, jak to się dzieje gdy się po jedzeniu skromny papieros wypali, osłabi czynność żołądka i kiszek, zaburzy wydzielinę śliny, pepsyny, oraz żołądkowych kwasów i zakłóci przyswajanie pokarmów,—a ztąd nastąpi koniecznie wadliwe odżywianie ciała, wychudnienie i wycieńczenie. Przy zatruciach tego rodzaju usta i twarz są blade, wywiędłe, znękane, zęby brudną pokryte powłoką, język gruby i obłożony, błona szluzowa jamy ust obrzmiała i rozpulchniona nosi na sobie zazwyczaj ślady wgniecenia w nią zębów. Gardło bywa czerwone, chropowatemi granulacyami i warstwą brudnego szluzu pokryte, zjawia się uczucie nieprzyjemne w chwili przełykania, częste kichanie z powodu rozdrażnienia krtani i kaszel z charkaniem i wyrzucaniem flegmy. Z powodu zajęcia żołądka daje się uczuwać gniecenie w sercowym dołku, wzdęcia wiatrami, utrudnione trawienie i chęć do spirytusowych napojów, które zrazu nie małą sprawiają ulgę, lecz właśnie owa ulga prowadzi często do ich nadużycia, tak iż zwolna rozwija się popęd pijaczy a zatrucie tytoniowe komplikuje się alkoholizmem. Połączenie to natrafiamy na nieszczęście nie rzadko tam nawet, gdzie ani towarzyskie stanowisko, ani płeć, ani stan wykształcenia, najmniéj się tego spodziewać nie dozwalają;—a cóż dopiéro mówić o owych zatabaczonych opojach płci obojéj, owych filarach szynkowni niemniéj wstrętnych od chińskich palaczy opium.

Wpływy nadużywania tytoniu na krwi krążenie są niemniéj opłakane. Podkopując bowiem zwolna lecz nieubłaganie unerwienie serca, wywołują nieprawidłowe jego działania. Uderzenia serca stają się nierówne, przyśpieszają się, opóźniają lub czasem chwilowo

zupełnie ustają. Idzie to zawsze w parze z ogólném sił osłabieniem i ze zboczeniami w oddechu, o których zaraz powiemy.

Tytoń sam przez się nie wywoła nigdy materyalnych zmian w sercu, lecz gdy te z innych zrodzą się przyczyn i szkodliwy wpływ nadużycia tytoniu do nich się przyłączy, to powstają wówczas całe szeregi najzgubniejszych przypadłości, przyśpieszoną się śmiercią kończące. Wszakże wiadomo, że zmiany organiczne serca zdarzają się często, lecz ustrój nasz umie z niemi sobie radzić i pomimo nadwerężenia machiny, umie do czasu ocalać jéj działanie. Niepodobna tu wdawać się w objaśnienia téj cudownéj sztuki i poprzestać wypada na wzmiance że pomimo znacznéj sercowéj wady, można żyć nieraz swobodnie i ani domyślać się nawet że się jest chorym;—ale jeżeli się organizmowi nieprawidłowy stan życia narzuci, jeżeli się spęta jego zachowawczy popęd, to staje się na pochyłości góry, z któréj rychły upadek jest nieuchronny.

Zboczenia w trawieniu i krwi obiegu powodują: z jednéj strony *bezkrwistość* i osłabienie, a z drugiéj przekrwienie niektórych części ciała, mianowicie w wątrobie i płucach. To ostatnie wsparte niedołęztwem mięśni oddechowych, zrządzają duszność oraz uczucie ściskającego bólu w piersiach, przybierającego nieraz rozmiary ciężkiego nerwowego cierpienia. Od czasu do czasu i to najniespodzianiéj zjawia się dławienie i zatrzymanie oddechu; choremu zdaje się, że już umiera. Pot go zimny oblewa, rozpaczliwie chwyta rękoma za wszystko co obok siebie znajduje, a ból palący i szarpiący jego piersi, rozchodzi się do ramion i kończyn górnych, które sztywnieją. Napady takie zbliżone formą do tak zwanéj *angina pectoris* trwają po kilka minut, a z czasem stają się coraz cięższemi i uciążliwszemi, tak że w końcu po razy kilka co dzień nadchodzą. Zjawiają się mniejszego lub słabszego stopnia i są tak dalece u nałogowych palaczy zwykłemi, że same już przez się na nadużycie tytoniu naprowadzają.

Że tytoń przytłumia do pewnego stopnia wrażliwość zmysłów powiedzieliśmy już powyżéj. Smak i węch pod jego wpływem tępieje: a co się słuchu dotyczy, to u nałogowych palaczy natrafia się na akustyczne zboczenia, które na dwa można rozdzielić peryody. W pierwszym objawia się podwyższona wrażliwość słuchu zrządzając przykrość przy krzykliwych i wysokich tonach, oraz uciążliwe samodzielne burczenie i piszczenie w uszach; w drugim zaś zdławienie słuchu, w którym wszystko co było poprzednio znika i występuje niższy lub wyższy stopień głuchoty. (*Triquet*). Lecz nierównie częściéj zjawia się u nałogowych palaczy osłabienie wzroku znane dziś i dobrze opisane pod nazwą *ślepoty tabacznéj*. Występuje ono albo

powoli i nieznacznie, albo téż tak nieraz raptownie, iż choremu w ciągu kilku godzin gęsta mgła wszystkie przedmioty zakrywa. Do zupełnéj nie przychodzi tu nigdy utraty wzroku i owszem owa mgła rozrzedza się z początku lecz późniéj ustala się i gęstnieje. Polepszenia lub pogorszenia idą krok w krok za wolniejszém lub natarczywszém paleniem, a późniéj zjawia się wśród mgły czarna plama (*Scotoma*) na saméj osi wzrokowéj lub nieco powyżéj, w obudwu oczach naraz, w odpowiednich miejscach pola widzenia, na dowód że przyczyna porażająca miejscowo błonę siatkową odnosi się nie do niéj saméj, lecz do przewodniczących wzrokowi mózgowych organów. Pole widzenia nie zwęża się, jak to często bywa przy wstawiających się ślepotach, chory widzi nawet stosunkowo lepiéj bokami, ale wrażliwość na barwy mianowicie z odcieniem czerwonym, w wysokim podupada stopniu. Wnętrze oka badane za pomocą Oftalmoskopu okrom zblednienia tarczy wzrokowego nerwu, nic zresztą nie przedstawia zdrożnego. Widocznie więc czynność tylko wzrokowego nerwu jest przygnębiona, ale budowa jego anatomiczna pozostaje nienaruszoną. Dowodzi nam tego już ta okoliczność, że ślepoty tabaczne polepszają się, a nawet w zupełności usuwać się dają, jeżeli się uda jeszcze chorego odzwyczaić od ciągłego palenia. Na to jednak potrzeba długiego czasu i ogólnego polepszenia zdrowia, nałogiem palenia nadwerężonego. U jednego znanego mi pacyenta w trzecim roku dopiéro owe plamy czarne ustąpiły z przed oczu.

Owo powyżéj opisane ukojenie i orzeźwienie umysłu jakiego doznaje się przy umiarkowaném paleniu, u namiętnego palacza zmienia się w zgnuśnienie i obojętność. Pamięć tępieje, energia niknie, panowanie nad tokiem myśli zatraca się stopniowo, a umysł samopas puszczony roi sobie obrazy i stopniowo coraz widoczniéj odosobnia się od realności. Dla palacza nałogowego czyn równie jak i namysł są trudne. Siedzi lub leży bez ruchu, duma lub marzy, baczy tylko na to co mu się samo natrąci, a siła w nim jak i wola są równo uśpione. Stopniowo rozwija się w nim cielesne i umysłowe niedołęstwo, które go nieraz do rzeczywistego zobojętnienia prowadzi. Byle miał cygaro lub fajkę, o nic mu zresztą nie chodzi. Zakrój ten umysłowy zresztą różnie się przedstawia stosownie do okoliczności, ale jeżeli niektórzy zawzięci tytoniu nieprzyjaciele dowieść usiłowali że z rozpowszechnieniem jego, zwiększyła się ilość obłąkanych w społeczeństwie naszém, to śmiało o jednostronność w poglądzie oskarżać ich można. Sam fakt zwiększającéj się ilości obłąkanych jest rzeczywisty, lecz za nim do dzisiejszego doszło rozpowszechnienia palenia, wieleż w społeczeństwie naszém pozachodziło wpływów, mało zna-

nych w przeszłości, które nam obecnie częstość chorób umysłowych nierównie lepiéj objaśniają. Nie godzi się więc ich prześlepiać, zwłaszcza że przedewszystkiem roztrzygnąć-by należało czy rzeczywiście dzisiaj zboczeń umysłowych jest więcéj jak dawniéj, czy tylko ściśléj się z ich liczbą rachując na mocy statystycznych danych, zupełnie pomijanych w przeszłości, stosunek ten wyższym nam się być zdaje.

Ostatnią wreszcie zatruć tytoniowych przypadłością jest osłabienie *popędu płciowego* u mężczyzn, którego skutkiem jest niepłodność. Okoliczność ta zdarza się rzeczywiście u nałogowych palaczy, którzy nie doszli jeszcze do stopnia zatrucia, chociaż zdarza się u nich nierównie rzadziéj niż o tém wieść niesie. Postrzeżenia dotąd zebrane są decydującemi, chociaż z nich nie wypada wcale, ażeby skutek, o którym mowa, miał być stałém a nawet częstém nadużycia tytoniu następstwem. Zauważano go już od saméj chwili wprowadzenia do Europy tytoniu i korzystając z tego polecano palenie tytoniu po klasztorach mnichom, a co więcéj zjawił się nawet w roku 1852 szczególny przez Doktora Demeau zaproponowany wniosek rozpowszechnienia palenia tytoniu w gimnazyach francuzkich, (!) w celu stłumienia upowszechnionego w nich wyuzdania między młodzieżą. Lekarstwo takie mogło być niebezpieczniejszém od saméj choroby, doświadczenia bowiem na królikach robione przez Wrighta okazały, że gdy je liśćmi tytoniowemi karmiono, nie tylko że się niepłodnemi stawały, lecz nawet ich rozrodcze przyrządy widocznym ulegały zmianom. Niewiadomo dotąd czemu to przypisać, czy ogólnemu sił upadkowi przy nadużyciu tytoniu, czy téż specyficznemu jego działaniu.

Przedstawiliśmy treściwy obraz celniejszych skutków palenia tytoniu i okazali pokrótce, że mogą być wedle okoliczności albo niewinne dla zdrowia albo niebezpieczne. Sądzimy, że bezwzględne uniewinnienie tytoniu, równie jak jego potępienie bezwzględne, zarówno są niewłaściwemi. Niebezpieczeństwo dla zdrowia istniéć może, a nawet bardzo wysokiego dosięgać stopnia, ale z wyjątkiem zapamiętałego palenia, nie tyle od niego samego zależy, ile raczéj od okoliczności drugorzędnych, które właśnie z tego powodu przeważnie zasługują na dokładne z niemi się obznajomienie. I tak, palenie przedewszystkiem powinno być bezwzględnie potępioném w dziecinnym wieku, a w młodzieńczym nawet do 18 roku, to jest do chwili kończącego się organicznego rozwoju, może być wyjątkowo tylko

tolerowane. Na nieszczęście na ten nader ważny higieniczny przepis nie tylko że się nie zwraca uwagi, ale co większa, przez jego ostentacyjne lekceważenie, przez zły przykład i pobłażliwość zachęca się poniekąd młodzież do systematycznego zatruwania się tytoniem. Ojciec rodziny, namiętny palacz i czuła mama ćmiąca po kilkanaście papierosów dziennie, nie mają prawa zakazywać dzieciom palenia. Ślepe więc naśladownictwo bierze wtedy górę pomimo wszelkich nieprzyjemności pierwszych prób w paleniu, bo malec musi się koniecznie popisać przed rówiennikami, że umie już palić, że się już wyemancypował i do dzieci już nie należy. Tymczasem rozwój jego organizmu zwolna podupada, zwłaszcza wśród miejskiego życia i szkolnych wymagalności. Wreszcie wyrasta słabowity charłak z katarem żołądka i kiszek, lub z zarodkiem piersiowéj choroby. Że zagnieżdżający się coraz bardziéj zwyczaj palenia miedzy młodzieżą szkolną i to na nieszczęście nie tylko męzką, niesłychanie jest zgubném dla jéj przyszłego zdrowia, to żadnéj wątpliwości podlegać nie może. Niebezpieczeństwo było mniéj groźne, dopóki trudniéj było palić tajemnie, mając ku temu li tylko fajki; lecz dziś papieros chowa się we wszystkich studenckich kieszeniach, a pan inspektor szkolny albo profesor, cygara z ust nie wypuszczający, traci również do nagany prawo jak je traci wiecznie kurzący ojciec rodziny. Przykład idzie z góry, a wartoby bardzo ażeby na to tak dobrze w rodzinnych jak i w pedagogiczno-rządowych sferach zwrócono baczniejszą uwagę. Im młodzieniec jest wątlejszy i słabowitszy, im jest mniéj w możności fizyczne wykształcać siły, tém niebezpieczniejszym jest dla niego zawczesne palenie. U siedzących po kilkanaście godzin dziennie nad książką i przepędzających nawet znaczną część nocy nad przygotowaniem swych zadań, jak to u nas ma miejsce, palenie powinno być zakazywane stanowczo. U młodzieży rzemieślniczéj, rolniczéj lub wojskowéj pobłażliwszym być można.

W wieku dojrzałym u osób zdrowych i czerstwych ruchliwe prowadzących życie, zmuszonych przebywać wśród wolnego powietrza, tytoń bywa znoszonym wybornie, w takiéj nawet ilości, któraby bezwzględnie szkodziła wśród innych życia warunków.

Téj też właśnie okoliczności przypisać należy, że żucie tytoniu, któreby na stałym lądzie wśród spokojnego życia wielkie przynosiło szkody, dla zdrowia marynarzy prawie jest obojętne i że staje nim się dopiéro ze zmianą miejsca pobytu i zatrudnienia, jeżeli *prymki* w dawnéj używają mierze, pomimo instynktowego wstrętu jaki zazwyczaj wtedy poczuwają do żucia. Wiek dojrzały jest chwilą dozwalającą na największe stosunkowo w paleniu wybryki; lecz szkodliwość wzmaga się znowu z nadchodzącą starością i wymaga od palącego

coraz troskliwszéj wstrzemięźliwości. Przy naturalném ubywaniu muskularnéj energii nie wypada jéj jeszcze sztucznie umniejszać, nękać trawienie i oddech i podkopywać już i tak więdniejący organizm. Sam téż instynkt zachowawczy bywa tu najlepszą wskazówką—i ztąd téż wyjątkowo tylko zdarzają się między starcami palacze miary nadużywający.

Palenie jest najszkodliwszém dla kobiéty, takiéj przynajmniéj, jaką nam wyrobiła obecna cywilizacya i salonowy obyczaj. Znosić go może bezkarnie, chyba wiejska *Virago*, jakich coraz mniéj napotykamy w społeczeństwie naszém. Najwięcéj przypłacają zdrowiem wątłe, niegdyś bardzo ruchliwe a nieco podstarzałe emancypantki, które odczarowane życiem wśród domowego nieładu i zaniedbania, siedzą skulone i pół senne w rogach swych kanap i wśród tytoniowego dymu przeżuwają wrażenia przeszłości. Takiemi przynajmniéj z pomiędzy wypalających po kilkadziesiąt papierosów codziennie, bywają zazwyczaj pacyentki, cierpiące na tytoniowe osłabienie wzroku. Ustrój kobiécy, charakterystycznemi własnościami swojemi zbliża się do ustroju w młodzieńczym wieku. Układ mięsny jest w nim słabszy a nerwowość góruje. Jest-to niby organizm nie doszły do punktu kulminacyjnego, jaki w mężczyźnie dojrzałym widnieje, rzecz prosta, że pognębiający wpływ tytoniu musi nań silniéj działać nierównie i większe w nim wywoływać poszkodowania. Jeżeli kobiéty haremu na Wschodzie oddają się bez szkody, prawie nieustannemu paleniu, to tytoń jakiego używają, prawie do najsłabszych należy, a nadto palą go w nargillach, które dym przepuszczają przez wodę i oczyszczają go należycie. Jeżeli znów kobiéty wielu plemion pół dzikich Azyi, Afryki i Ameryki nie wypuszczają prawie nigdy z ust fajki, a jednak bez szkody ją znoszą, to cały ich tryb życia, zmuszający je do ciągłéj a nawet nadmiernéj pracy, równoważy wpływy trucizny. U naszych dam salonowych rzeczy mają się zupełnie inaczéj: podniecana nerwowość, skrzywienie rozwoju przez wadliwe wychowanie, nienormalne stosunki życia, narzucone przez kapryśną modę i towarzyski obyczaj, stanowią właśnie tło najdogodniejsze do tytoniowego zatrucia, które wtedy działając w parze z innemi szkodliwościami, a mianowicie z wyuzdaniem płciowém, przybiera formę cierpienia rdzenia pacierzowego i bardzo starannéj, chociaż rzadko skutecznéj wymaga lekarskiéj pomocy. Jeżeli jest prawdą, o czém wspomnieliśmy już powyżéj, że nikotyna przenika do wód płodowych, to i dla rozwoju płodu obojętną być nie powinna. Zwracanie uwagi na usposobienie zdrowotne potomstwa namiętnych palaczek, do bardzo ważnych mogłoby doprowadzić wyników. Jest tylko jeden okres w życiu kobiéty, w którém tytoń bez porównania

mniéj przynosi jéj szkody. a ten rozpoczyna się od chwili utraty płodności. Zachodząca wówczas zmiana w całym ustroju, zbliżająca się swym charakterem do ustroju starca mężczyzny, usprawiedliwia dostatecznie owo przyjazne dla tytoniu usposobienie. Śmiało powiedziéć można, że od chwili pojawiania u się kobiéty porostu na brodzie i na górnéj wardze, z większém bezpieczeństwem nierównie tytoniowi oddawać się jéj wolno, ma się rozumiéć, jeżeli jéj ogólny stan zdrowia na to pozwala.

Najlepiéj znoszą tytoń ludzie silnie rozwinięci z flegmatyczném usposobieniem. Północny niemiec, anglik lub hollender, oto prototypy palaczy; ludzie zaś nerwowi, ruchliwi, a zwłaszcza niezdolni do wielkich muskularnych wysiłków, powinni się mieć z nim na ostrożności. I sam téż u nich sposób palenia jest wielce odmienny; flegmatyk pali powoli i dosyć mu nieraz, ażeby miał w ustach choć zagasłą fajkę; sangwinik przeciwnie, pali namiętnie i kłęby dymu z siebie wypuszcza lub się najszkaradniéj zaciąga.

Klimat wywiera także na palaczy wpływ właściwy, w strefach południowych tytoń jest lepiéj znoszony i daje się spożywać bezkarnie w większych stosunkowo ilościach. We wszystkich krajach południowych palą go bardzo wiele, bez względu na stopień cywilizacyi, palenie zaś idąc ku biegunom stopniowo się zmniejsza i coraz téż gorzej bywa znoszone. Być bardzo może, że pod równikiem spiekota podwyższa wypocenie skóry, z większą łatwością usuwa pierwiastki trujące i staje na zawadzie ich w ciele nagromadzeniu. Wpływ ten zrównoważony być musi w znacznéj części w północnych krajach czynnością i ruchliwością życia, wymagającą prędszéj wymiany materyi; lecz gdzie takowego brak zrównoważenia u osób gnuśnych lub rozpróżniaczonych, tam i skutki zatrucia występują widoczniéj. Nie napotykamy nigdzie prawie w obszernéj literaturze tytoniu postrzeżeń o jego zatruciach w południowych krajach, a nawet w Hiszpanii owéj ziemi klasycznéj cygar i cygaretek muszą chyba niesłychanie być rzadkie, kiedy przeciwnie w krajach północnych, smutnych obserwacyi zatruć przybywa nam coraz więcéj od czasu jak przedmiot, o którym mówimy, baczniejszą na siebie zwrócił uwagę.

Tajemnica niesłychanego upowszechnienia tytoniu odnosi się widocznie do dwóch głównych, a nader szczęśliwie z sobą połączonych jego własności: kojenia, ruchowego rozgorączkowania, jeżeli tak wyrazić się wolno i do rozbudzania umysłowych czynności, własności występujących wyraźnie przy skromném tytoniu użyciu. Przy wysileniach muskularnych, gdzie innerwacya w ruchowych nerwach wysokiego dochodzi napięcia, tytoń uspakaja ją, reguluje i do wy-

poczynku usposabia, miłe wywołując uczucie. Po długim marszu, po wyższéj obowiązkowéj muskularnéj pracy, po jakich-bądź namiętnych wstrząśnieniach, wypalenie cygara może być rzeczywistym nektarem. Na nim też żołnierz, podróżny, wyrobnik i t. d. kończą zazwyczaj dzień trudów; a kiedy nas znów gniew zapali, strach w drżenie wprawi lub jakabądź owładnie niespokojność, nie dająca siedzieć na miejscu, cygaro darzy nas również wytchnieniem. W miarę ukojenia rozdrażnień mięśniowych, budzi się pewne rozniecenie mózgowych czynności. Myśl staje się swobodniejszą, kojarzenie wyobrażeń szybsze, wnioskowanie bystrzejsze, wyobraźnia zyskuje raźniejszy polot, a to wszystko przy ukojeniu wszelkiego rozdrażnienia, przybiera charakter dumania i spokojnéj refleksyi. W umiarkowaném użyciu palenia, można więc bardzo wiele znaleźć i jeżeli jego przeciwnicy uważają je za bezcelowy wybryk a jego rozpowszechnienie za proste naśladownictwo, to rzeczywiście ogromnie się mylą. Fizyczne prace znajdują w nim ulgę, umysłowe podnietę. Tytoń ma zatém swe bardzo dobre strony, a jeżeli jego nadużycie na bezdroże prowadzi, to nie jego w tém wina. Nie jest on wcale specyałem wyłącznie dla huzarów i drwali; jak się o nim pewien dowcipny dyplomata wyraził, lecz i w wysokich politycznych, naukowych i artystycznych sferach, zawsze licznych swych zwolenników znajdował. *Milton*, *Walter-Scott*, *Byron*, *Haller* palili, *Fryderyk Wielki*, *Massilion*, *Boerhave* zażywali tabakę, *Bacon*, *Locke*, *Newton*, *Kant* palili i zażywali, a pewnie nie przez ślepe naśladowanie. Gdy chodzi o silniejsze podniesienie wpływu tytoniu na organizm znękany przez wysilenia fizyczne, tam używa się do pomocy wyskokowych napojów, a zwłaszcza wódki; gdzie zaś idzie o pobudzenie w umysłowéj sferze, tam idzie w parze z nim kawa, tak, iż *wódka*, *kawa* i *tytoń* stanowią nierozerwaną trójcę, bez któréj niepodobnaby było dzisiaj obejść się rodzajowi ludzkiemu w obecném stanowisku uspołecznienia. Skojarzenie między tytoniem a wódką tak jest pospolite, że nawet zakłócenia chorobowe wyłącznie tytuniowi przypisywane, rzadko zdarza się napotykać bez przymieszki nadużyć wódczanych, zwłaszcza w niższych towarzyskich sferach; kiedy znów tytoń i kawa budząc znękaną umysłową czynność, są zwykle podnietą dla uczonego, myśliciela lub dla artysty, stanowiąc nieodstępny przybór niejednéj nad pracą spędzonéj, bezsennéj nocy.

Chcąc palić bez szkody najlepiéj nie palić naczczo. Cygaro rano i wódki kieliszek może głód przytłumić, może go oszukać, ale nie zastąpi pożywnego pokarmu, który jest po wypoczynku nocnym konieczny. Najlepszém jest dobre suche i dobrze ciągnące cygaro lub cygaretka swą własną ręką zwinięta i zaimprowizowana w chwili

użycia, do któréj się weźmie cienkiéj z kukurydzowego liścia niezaklejonéj bibułki. Ani cygar, ani papierosów, nie należy palić bez pośrednictwa trąbek lub cygarnic, a między niemi najlepsze są trąbki wytoczone z lipowego drzewa, nadzwyczaj tanie, używane na Wschodzie, które się po wypaleniu kilku sztuk papierosów odrzuca. Wsiąka w nie z łatwością sos tytoniowy i dym nierównie czystszy do ust się dostaje, jeżeli mają przyzwoitą długość. Papierosy z papierowemi tutkami opatrzone watą ze wszech miar zasługują na rozpowszechnienie. Dym ciągnąć należy ustami a nie płucami, przepuszczanie go nosem i zaciąganie w piersi absolutnie jest szkodliwe. Oddychanie i palenie powinny stanowić dwie zupełnie oddzielne czynności, których łączyć z sobą w jednę nie wolno, i palacz powinien się nauczyć oddychać tak jak badacz, który używa dmuchawki, lub jak każdy śpiewak. Dym nie powinien nigdy przechodzić granicy gardła i z wydychaniem powinien być z ust wyrzucany. Ciągnąc zaś w siebie (wdychając) powietrze mające służyć do oddychania, należy je ciągnąć nosem, a oprócz tego od czasu do czasu usunąć z ust cygaro i swobodniej odetchnąć. Potrzebuje to wprawdzie trochę wprawy i dobréj woli, lecz ubezpiecza od zaciągania się, które najsmutniejsze za sobą pociąga skutki mianowicie u osób słabowitych i do katarów skłonnych. Wyjątkowo tylko zdrowi ludzie, wśród ruchu i wolnego powietrza żyjący, mogą się zaciągać bezkarnie; życie sedentaryjne prowadzący, urzędnicy lub literaci, jeżeli się jak przynależy palić nie nauczą, jeżeli od zaciągania się nie mogą odwyknąć, lepiéj nierównie zrobią, jeżeli palenie zarzucą, zanim ono stanie się dla nich nałogiem. Im tytoń jest gorszy, im więcéj go się pali, tém więcéj błony szluzowe krtani, tchawicy i oskrzeli są podrażniane i tém więcéj cierpi oddech, a za nim cała wymiana w ciele organicznéj materyi. Przychodzi do katarów chronicznych w drogach oddechowych, do owrzodzeń krtani i do rozlicznych oddechowych cierpień, zanim się jeszcze zatrucie tytoniowe rozwinie. Stary nasz aforyzm, że tytoń osusza piersi, jakkolwiek wadliwie wyrażony, ma jednak prawdę za sobą; lecz ściąga się li tylko do zaciągania się płucami, a nie do porządnego ustami palenia.

Jakkolwiek palenie w powyższych warunkach wśród czystego i otwartego powietrza za szkodliwe poczytaném być nie może, to jednakże tak nie jest, jeżeli się pali w miejscu zaciśnioném, źle odwietrzaném, mianowicie jeśli w niém pali kilka lub kilkanaście osób i długi czas, a tém gorzéj jeżeli ciągle wśród dymu tytoniowego przebywa. Do jakiego zaś nieraz zadymienie dochodzi stopnia, ten łatwo wyobrazi sobie, kto zwiedzał knajpy i piwiarnie niemieckie. Tu już każdy ktokolwiek w nich przebywa zaciągać się musi, gdyż

oprócz powietrza przesyconego dymem, innego tam nie ma i cały organizm ludzki przesyca się tytoniowym osadem, równie jak się nim przesycają suknie nas okrywające, iż przez kilka dni nieraz przewietrzać je trzeba. Osoby do tego nie przywykłe przypłacają lekkiém tytoniowem zatruciem, lecz ponieważ nikotyna i inne części składowe dymu tytoniowego to mają do siebie, że są tém łatwiéj tolerowąne, im wpływ ich częściéj się powtarza, czyli mówiąc inaczéj, że w coraz większych powinny być używane ilościach, jeżeli jeden i ten sam mają wywoływać skutek, a więc i owa atmosfera tytoniowa zdaje się, że coraz mniéj szkodzi, pomimo, że cały stan zdrowia powoli podkopuje. Rzadko się zdarza ażeby dziewczęta, używane do roznoszenia piwa w owych niemieckich piwiarniach, wytrzymywały w nich długo. Przychodzą do nich świeże i rumiane, wychodzą zaś zwiędłe, pożółkłe i chwiejące na nogach. W piwiarniach pod otwartém niebem, tak nazwanych ogródkowych knajpach rzeczy przedstawiają się daleko mniéj smutnie. Lecz na nieszczęście nie tylko w podziemnych, czci Gambrinusa poświęconych norach, dym tytoniowy rozsiada się swobodnie, wiele biur prywatnych i rządowych a nawet buduarów z niemi niemal o pierwszeństwo walczy. Jakież zaś z tego wypływają skutki? wyczytać je łatwo na znękanych i wywiędłych twarzach nieszczęśliwych ofiar tytoniowego obrządku.

Palenie podczas czytania, pisania i wszelkich czynności wymagających zapatrywania się zbliska, bardzo jest dla oczów szkodliwe. Raz, że dym nagromadzony przed oczyma zaciemnia widziany przedmiot i usilniejszego wpatrywania się wymaga, a powtóre, że nie mogąc się swobodnie rozchodzić podraźnia brzegi powiek, oraz łącznicę oczną i uciążliwych nieraz katarów ocznych staje się przyczyną. Szkodliwość wzmaga się jeszcze z nadchodzącą starością, gdy tkaniny powiekowe wątleją i ustala się właśnie nastawianie się wzroku do danych odległości (akomodacya) tak, iż do patrzenia zbliska okularów już używać potrzeba. Dym wtedy podkradając się pod szkła, w stalszém nierównie znajduje się z okiem zetknięciu. Czytający i piszący powinien pamiętać, że mu współcześnie palić bezkarnie nie wolno; kiedy znów wypalenie cygaretki od czasu do czasu, wstawszy od roboty i przechodząc się po pokoju, odświeży mu wzrok i umysł oraz szkodliwość dymu tytoniowego uskromi.

Rozpowszechnienie palenia tytoniu robiąc z niego artykuł nieodzownéj potrzeby, powinno było zwrócić uwagę medycyny społecznéj i policyi lekarskiéj na jego fabrykacyą i sprzedaż, zwłaszcza z uwagi owych zafałszowań i rozlicznych zapraw, na

które silą się koncepta fabrykantów, a do których nie zawsze używa się niewinnych dla zdrowia substancyj. Na nieszczęście władze nadzorcze fabrykacyą tytoniu pozostawiają najczęściéj bez należytéj kontroli. Monopol fabryczny rządowy we Francyi, jakkolwiek jest monopolem, najbardziéj jednak odpowiada zadaniom zdrowotnym, a jeśli trudno go w innych naśladować krajach, wartoby przynajmniéj na fabryki tytoniu baczniejsze mieć oko i poddać je należytemu regulaminowi na wzór tego, co przy fabrykacyi wódki lub piwa istnieje.

Dr. Wiktor Szokalski.

Z NAD NEWY.

Mamy zamiar podawać co parę miesięcy zbierany snopek wiadomości różnego rodzaju, jakie się nadarzą: społecznych, naukowych, artystycznych, z punktu obserwacyjnego nad Newą dostrzeganych.

Czas wiele może jako czynnik w dziejach ludzkich. Co było przed trzydziestu laty rzeczą zbyteczną, co później stało się przedmiotem raczéj zbytku niż potrzeby, dziś jest używane jako rzecz zwyczajna, a jutro może stać się artykułem niezbędnym. Okoliczności zewnętrzne poczynają często z ludźmi, jak ów człowiek, któren, chcąc zmieszać różne płyny, nalane do flaszki, wstrząsa nią, ażeby się zbełtała jéj zawartość. Ilość i jakość domieszek etnograficznych bardzo się obecnie zmieniła; daleko więcéj dzisiaj polskiego pierwiastku we wnętrzu Rosyi, daleko więcéj rosyjskiego w Warszawie, niż przed niedawnemi jeszcze laty. Atoli nawet bełtanie nie odrazu, a chyba w długim przeciągu czasu ciągłego ruchu daje jaki taki skutek, i to nie w kształcie połączeń chemicznych,—bo niemasz w świecie pierwiastków bardziéj odpychających się, trudniejszych, już nie do skojarzenia się, ale do oswojenia się, jak sprzeczne temperamenta ludzkie, różnie na różne tempa nastrojone, gdy jeden na ruch—to drugi na zastój, gdy jeden na organiczne rozwijanie się—to drugi na burzenie się i fermentowanie i vice versa i do nieskończoności. Zbieg okoliczności, czyli inaczéj *konieczność*, skoro jest poznaną, staje się największą ludzi i narodów mistrzynią, skoro potrafią z nią się jako tako kombinować, nie mówię: wyzyskać i obrócić na swój pożytek, bo to bardzo dalekie stadya procesu, ale tylko zneutralizować złe wpływy i od skutków się zabezpieczyć.

Proces zbliżenia za pośrednictwem samych starć, ma niezaprzeczenie po sobie wygraną na czasie, ale dla pojedyńczych ludzi nie przedstawia wielkich powabów i przyjemniejsze byłoby zbliżanie się

przez sympatye i atrakcye, przez wzajemność i obcowanie w wysokich sferach nauki, literatury i sztuki. Mniéj ponętna metoda ścierania się ma to do siebie, że zbliżenie odbywa się przez najbardziéj szorstkie dotknięcia, przez najbardziéj bolące punkta, nie przez sympatyczne a tém samém pociągające osoby, ale przez napastników i ludzi krańcowych, przez pisarzy najbardziéj odznaczających się zawadyactwem i publicystów podszczuwających z rzemiosła do niecierpienia się nawzajem. Ludzie spokojni, wielkiéj pracy, rzetelnéj zasługi, kapłani prawdziwego ognia prawdy, mogą pozostawać w cieniu i być nieznani, albo znani z zasłyszenia o nich tylko, ale taki p. Suworyn bardziéj wiadomym jest nawet niż P. Aksaków, a P. Katkow, to pono najpopularniejszy z całéj literatury rosyjskiéj u nas człowiek, jeżeli popularność ma się mierzyć skalą rozgłosu. Toż samo w odwrotnym kierunku dzieje się w rosyjskiéj literaturze i publicystyce. Niemało one już pochłonęły sił i talentów przyswojonych, albo przynajmniéj ludzi krwi nieco polskiéj mających, naprzykład Grybojedów, autor najlepszéj komedyi w Rosyi: „Gore ot uma,“ albo Granowski, zmarły w r. 1856 profesor moskiewski; o tém się jednak zwykle zapomina, ale za to każdy wspomni dokładnie o pochodzeniu takiego Sękowskiego, każdy wskaże na ród, z którego pochodził taki Bułharyn, a ludziom, co ani pojęcia nie mają o Słowackim czy Krasińskim, wiadomy zwykle każdy ostatni drastyczny artykuł „Gazety Narodowéj“ Lwowskiéj, albo warszawska plotka z jakiejś kawiarni, lub z jakiegoś ogródka. Dawniéj nic nie pisano, dzisiaj, od lat paru począwszy, a nawet ściśléj mówiąc od jubileuszu Kraszewskiego, piszą, chociaż więcéj łają niż chwalą; nietylko jednak łają ale potrosze i tłómaczą, tłómaczą głównie naszych najnowszych nowelistów: utwory pani Orzeszkowéj, Okońskiego, Litwosa. Wielki spółczesny powieściopisarz rosyjski i satyryk Sałtykow (Szczedryn) nie tai się, że stawia nasze najnowsze powieściopisarstwo, o ile mu z przekładów znajome, bardzo wysoko. Niech więc żyje polemika międzynarodowa i z niéj jest pożytek. Czubią się ludzie—świat się poleruje, mówiło ironicznie jakieś tam dawne przysłowie: dziś seryo powiedzieć można, że ze starcia krzemienia z ogniwem iskry prawdy tryskają.

Polemika to strona ujemna procesu, ale po niéj i za nią przesączają się inne dodatnie wpływy i nabytki. Polemika podnosi kwestyę na obcym gruncie, a raz poruszona ta kwestya z niego nie zejdzie i przypomni się co chwila w ten a nie w inny sposób. Przed laty czterema w r. 1877 wiem że cenzura tutejsza miała za złe pewnemu wydawcy gazety w Petersburgu że porusza kwestyę: na co rozkrwawia znowu ranę zabliźnioną? *Dziś* już o zabliźnianiu nikt nie mówi,

ale wolno odbijać i parować ciosy, na wymyślanie również ostro a chociażby we dwójnasób wymyślać. I w tém jest odrobina pożytku, mała to wprawdzie ale zawsze pociecha, lżéj nieraz na sercu gdy się człek wygada. Rana jawna mniéj nieraz niebezpieczna od ukrytego raka, chociażby nie wynaleziono sposobu jak ją goić, albo chociażby się na środki gojenia niezdecydowano. Więc niech się rana przypomina przez urząd i szkołę, przez gminę i kościół, aż przepomniana czy też odwlekana kwestya wejdzie na porządek dzienny, i zajmie właściwe miejsce w programie bieżącéj wewnętrznéj polityki wielkiego imperium.

Zostawmy polemikę innym piórom, więcéj do niéj pochopnym a poprzestańmy na roli sprawozdawczéj. Kolos państwowy jest tak wielki, rozmaitość splatających się w jego środku w grube węzły żywiołów tak zastanawiająca, że kwestya o tak zwaném wyjątkowém położeniu zachodnio-europejskiego pogranicza, w któréj mieści się, jako jeden ze składowych pierwiastków, los historycznie wyróżnionéj zbiorowéj jednostki pracującéj z wytężeniem wszelkich sił i zdolności na byt, wygląda niby szczegół drugorzędny i o tyle tylko waży, o ile się wiąże i kombinuje z licznemi innemi kwestyami polityki wewnętrznéj, o ile normalny stan samego środka zawisł od uporządkowania jego stosunku do pogranicza.

Sytuacya całości w chwili obecnéj jest jedyna w swoim rodzaju, wytężona, ciekawa, budząca uzasadnione obawy i niepewność o dalsze następstwa, ale dająca pochop do niezliczonych przypuszczeń. Dla charakterystyki téj sytuacyi powiedzmy, że leży na niéj ponury mrok, niby gruby całun kiru. Rok ten od samego początku był jakiś żałobny. W Moskwie zmarł jeden z najbardziéj chwalonych przed dwudziestu laty i wcale niepospolitych powieściopisarzy, Pisemski; w marcu chowano muzyka kompozytora Musorgskiego zmarłego w szpitalu, a zaś pierwszego lutego złożono do grobu w „Aleksandro-Newskiéj Ławrze“ zwłoki zmarłego, jednego w wielkich pierwszorzędnych ludzi pióra, którego słowa miały rzadki przywiléj roznamiętniania, grania na sercach ludzi, jak na klawiszach, i wywoływały temiż samemi tonami w jednych uwielbienie i zapał w drugich zgrzyt i syk.

Jako filozof — żaden, jako artysta — uzdolnienie ogromne, był Dostojewski człowiekiem téj miary, co czteréj inni żyjący i zasiadający dzisiaj na rosyjskim Parnasie; J. Turgeniew, J. Gonczarow, Leon Tołstoj i M. Sałtykow. Z młodszych ludzi nie widać ktoby miał ich w przyszłości zastąpić. Są to już weterani: najmłodszy—Tołstoj datuje od Sewastopolskiéj wojny, w któréj brał udział jako żołnierz. Z artystami, mającymi szersze kosmopolityczne wykształcenie i mi-

łującemi sztukę dla saméj sztuki, jak Turgeniew, nie mógł Dostojewski sympatyzować, najbliżéj może stał do Leona Tołstoja, również ultra ekskluzywisty i patrioty, również posuniętego w tym patryotyzmie aż do mistyki. Dostojewski i Sałtykow, to chyba dwa przeciwne bieguny osi obrotu myśli w Rosyi, jeden w chrześcijańskiéj niby pokorze, bierze z nieudolności i niedojrzałości społeczeństwa pochop, bez rozumowań za pomocą uczucia i gorejącéj wiary, do wieszczenia o przyszłém objawieniu przez ten lud, któren przejdzie wszystkie inne narody na świecie; jest-to skończony obraz iście rosyjskiego mesyanisty. Drugi—to oburzony satyryk, bez miłosierdzia krający ludzi spółczesnych i pastwiący się nad ich ideałami, najwyższy wyraz owego krytycyzmu rosyjskiego, po przejściu którego pozostaje chyba piasek pustyni i uczucie, z którém pisał Ekkleziasta: *vanitas vanitatum*, albo Dante: tu nie ma nadziei. Samiśmy przeszli ogniową próbę narodowego mesyanizmu, możemy lepiéj niż kto inny ocenić i złe i dobre strony tego chaotycznego pomieszania żywiołów. Są w niem strony niezaprzeczenie dobre, bo w ciężkich epokach, śród najgrubszego mroku, ten swego rodzaju mistycyzm, każąc *sperare contra spem*, daje jakie takie światło i ciepło, a śród czarnéj nocy miły jest nawet smolny kaganiec, nawet ognik błędny. Są w niem niezaprzeczenie złe i niebezpieczne strony, bo ten ognik częściéj prowadzi na błędne manowce niż na bity gościniec. Co gorsza, mesyanizm to durzący trunek, ubezwładnia on do praktycznego czynu ludzi, którzy, jak Dostojewski, tego ziela wypili.

Dziwne były losy tego człowieka. Młodzieńcem jeszcze będąc poddał się marzeniom socyalistycznym furyerysty. W r. 1849 odbył się sąd nad gruppą furyerystów czyli tak zwanem towarzystwem Pietraszewskiego; Dostojewski, który do niego należał, odbył ciężkie roboty w kopalniach, potém z szeregowego żołnierza postąpił na oficera, został gracyonowany ostatecznie w r. 1860. Z wrodzonego nastroju, z doświadczeń życia, z bólów i cierpień rozwinęło się w poecie niezmierne współczucie ku naturze ludzkiéj w najmniéj wspaniałych jéj okazach, ku słabym, niedołężnym, złamanym i zwichniętym istotom, ku zdegradowanym i cierpiącym. W duszy poety było coś chorobliwego, najlepsze jego utwory są to patologiczne studya nad rozwijającymi się procesami zbrodni albo obłąkania, pełne przerażającéj prawdy i działające mocno na nerwy, a pomiędzy niemi najwyżéj stoi ustęp z autobiografii, wspomnienia z ciężkich robót: *Zapiski iz mertwawo doma*. Temu wielkiemu artyście, zachciało się być politykiem i publicystą. Cała wszakże jego polityka polegała na odwołaniu się do bezpośredniego uczucia, z najzupełniejszém pomiataniem całą nabytą cywilizacyą, na lekceważeniu wszystkich tych

urządzeń i stosunków, które potężnie przyczyniają się jednak do tego, aby wrażliwe zwierzę stało się tém, o czém marzył Dostojewski jak o swoim ideale,— „wszechczłowiekiem.“ „A jakież to wasze ideały?“—zagadywał on przy nas, 12 marca 1879 roku Turgeniewa na danym temuż uroczystym obiedzie, a zagadywał nieco podchwytliwie i po faryzeuszowsku, ze świadomością, że nie będzie na to odpowiedzi. Najwyższy szczyt kołowacizny mesyanicznéj zaznaczył się na słynnym obchodzie w Moskwie w czerwcu r. 1880 z powodu odsłonięcia pomnika Puszkinowi. W mowie przy téj sposobności powiedzianéj, Dostojewski zapewnił, że Puszkin przewyższa Szekspira, Cerwantesa, Szyllera pod względem dziwnéj zdolności przejmowania i przyswajania sobie ducha obcych narodowości, „wcielania się w ich geniusz.“ Mowa mieściła i takie rzeczy, które wyraźnie i oczywiście są od rzeczy: „W Europie, w téj Europie gdzie tyle nagromadzono bogactw, cały podkład społeczny narodów jest podminowany i może jutro zawali się, śladu nie zostawiwszy na wieki wieków, a zamiast tego stanie coś całkiem nowego i do niczego dawniejszego nie podobnego. Wszystkie bogactwa przez Europę zdobyte nie uchronią od upadku, bo w jednéj chwili upadnie i bogactwo. Tymczasem właśnie na ten porządek społeczny podminowany i zarażony wskazują nam jako na ideał, ku któremu powinniśmy dążyć i po dojściu do którego będziemy mogli jakie takie słowo nasze przed Europą wybełkotać.“ Kończyło się to wszystko wezwaniem do narodu, aby głównie wpajał w siebie i niósł „moc kochającego i wszystko jednoczącego ducha,“ z którą można dokazywać cudów, nawet wnet po pożogach Batu-Chana, albo po przejściu Samozwańców w XVII wieku.

Obchód pogrzebowy był dokładném odbiciem się chaosu wyobrażeń w głowie zmarłego i łączył wszystkie stany, wszystkie klasy, byli tam i ministrowie i wielcy dygnitarze i wszystkie towarzystwa naukowe i szkoły i sądownictwo i młodzież, ta ruchliwa młodzież, najbardziéj dziś obserwowana i niepokojąca. Każden czcił w zmarłym odmienną osobę: jedni aż do wyłączności i szowinizmu dochodzącego narodowca, inni zachowawcę i nawet wstecznika, a inni jeszcze gorącego demokratę, drucha ludzi ubogich, koszlawych, kalek i cierpiących, apostoła nawołującego do moralnego jedynie kształcenia się jednostki i do podnoszenia się jéj wewnętrzną pracą do najogólniejszego ideału. Chemiczny rozkład zmieszanych pierwiastków w utworach wielkiego pisarza, nastąpi kiedyś przez krytykę, ale nie prędko, pierwéj zapewno spróchnieją jego do mogiły złożone kości.

Autor, literat gdy gaśnie, w rzadkich i wyjątkowych zdarzeniach może pociągnąć na jednę chwilę uwagę. Myśli ludzkiéj rzeszy należą głównie do praktycznych ludzi czynu, do wielkich mocarzy, których wola co chwila staje się prawem, którzy co zechcą w ruch wprawią przez jedno olimpijskie zmarszczenie brwi (*omnia supercilio moventes*). To téż nie dziw, że wszystkie wypadki, zajęcia i troski zmalały i poszły w zapomnienie wobec przerażającéj katastrofy 13 marca, która ciąży na obecnéj sytuacyi, jak senna zmora, i w objęciach któréj jeszcze długo społeczeństwo będzie się bezwładnie szamotać, w stanie pośrednim między marzeniem a jawą. Naga rzeczywistość przewyższyła wszystkie zmyślenia poetów, i wielkiéj dziejowéj tragedyi nie dorówna żadna inna, chociażby najbardziéj przerażająca, szekspirowska. Doniosłego znaczenia czyny wplecione są w wątek tego życia, pomiędzy dwóma traktatami paryskim a berlińskim mającemi wszech-dziejową wagę, a ręka ta przeorała skibę ludów poddanych jéj berłu, tak głęboko, jak ręka rzadko którego z jego poprzedników, chyba tylko Piotra W., bo reformy Aleksandra I i Katarzyny nie sięgały tak do dna samego społeczeństwa; dla tego téż nie mogły być te reformy zeszłego panowania ani zostały skończone, a w całém tém pasmie lat, ćwierć wieku obejmującém z górą. niby w linii falistéj, zwracającéj się naprzemian ku zenitowi lub nadirowi, oko badacza dostrzega kilka, bo cztery albo pięć okresów, które już dzisiaj mogą być badane i odznaczane przez historyą. Najprzód imponujący wstęp z poczętych reform, na czele których wyzwolenie włościan (1856—1862), potém wypadki w Polsce, hamujące bieg reform, z których wprawdzie dwie jeszcze: sądowa i ziemska, dochodzą do skutku w r. 1864, ale wolniejszym już biegiem i przepoławiając państwo na prowincye w stanie normalnym, do których reformy mogą się stosować i ziemie w wyjątkowém położeniu zostające; potém po fatalnym zamachu 4 (16) kwietnia r. 1866, dziesiątek z górą lat prawie konieczném, wywołanéj przez ten zamach i górującéj nie tylko w rządzie ale i w społeczeństwie, reakcyi, z uszczupleniem nieco atrybucyj sądowych i ziemskich i ze szczególniejszą uwagą na wychowanie, którego nowy system związany nierozłącznie z imieniem hrabiego Dymitra Tołstoja! Wojna wschodnia, pomimo swoich laurów, pomimo bujnego posiewu ziaren swobody za Bałkanami w wielkiéj sprawie, która od tylu wieków toczy się między krzyżem a półksiężycem, nie odmieniła nic w stosunkach wewnętrznych, tylko obciążyła finanse i przyśpieszyła kryzys; a w końcu nastał okres rok tylko trwający, między zamachem 14 kwietnia r. 1880 i katastrofą 13 marca, okres nastrojem swym zbliżający się zwolna do początków panowania i dążący do tego, aby nawiązać znowu przerwany wątek

i wprawić powtórnie w bieg szybszy prawodawcze przedsięwzięcie, niedokończone, po części zmienione albo powstrzymane od r. 1866, to jest od czasu, gdy zaczęło głośniej przemawiać przekonanie, że po reformach trzeba postawić punkt, to jest, że tego już dosyć.

Przypuszczam, że aż do drobiazgów znane są szczegóły, nie tylko krwawego zamachu 13 marca, ale i sądu nad głównymi sprawcami i koniecznego odwetu w formie kary śmierci. Wszelka kara na gardle publiczna, wobec motłochu, któren zbiegł się na widowisko i gotów byłby, gdyby mu dano, własnemi rękami szarpać winowajców, ma w sobie pierwiastek ujemny; to też podjęty został i przygotowany, jak mówią, dla rady państwa projekt o wykonywaniu téj kary w zamkniętém ogrodzeniu, zanim nadejdą takie czasy, kiedy można będzie pomyśléć o jéj zniesieniu za przestępstwa polityczne, tak jak ją zniesiono przed stu z górą laty dla zwyczajnych przestępstw. W chwili kiedy sąd do spraw politycznych sądził królobójców, w sam wieczór ostatniego posiedzenia przed wyrokiem 28 marca (9 kwietnia), jeden z mistyków w rodzaju Dostojewskiego, syn historyka Sołowiewa, profesor uniwersytetu, miał odczyt publiczny w sali towarzystwa kredytowego miejskiego, gdzie tak niedawno p. Aksakow, już po zamachu, z błotem mieszał zachód jego porządki i wszystkich „lokajów konstytucyonalizmu.“ Pan Sołowiew wystąpił na téj mównicy, gorąco zalecając zniesienie kary śmierci, jako nieakceptowanéj przez duch narodu, to jest przez duch taki, jakim go pojmuje szanowny prelegent. Słowa te uszły mówcy, jako wyrzeczone ze szczerego serca przez człowieka, którego najmniéj można posądzać o spółczucie dla wichrzycieli, czyli dla tak zwanéj dzisiaj prawie technicznie „*kramoły*;“ ale téż przebrzmiały one bez echa i śladu. Nie czas, tak rozumuje ogół, rozbrajać się, grać na strunie wspaniałomyślności wobec morderców, działających z zasadzki. Ponad wszystkie względy góruje konieczność poradzenia sobie z *kramolą*, wyrwania jéj, wytępienia, albo zneutralizowania w jakikolwiek bądź sposób.

Towarzystwo stoi na krawędzi otchłani, z ciemnéj przepaści téj odzywają się głosy, idą zamachy, przez nikomu nie znanych przeciwników. Szczęśliwy naród któren posiada uorganizowane partye, które może obrachować, poznać ich program, ich środki i cele. Przed kilkunastu laty wyjątkiem był szaleniec taki jak Karakozow; wtedy ci *homines novi* szli z książeczkami podburzać lud prosty. Dziś w robocie już tylko nitrogliceryna albo dynamit.

W skład téj organizacyi nowych społecznych kretów czy termitów wchodzą wcale nie doborowe pierwiastki, taki ciemny wyro-

bnik jak Michajłow, któren wyuczył się na pamięć kilku socyalistycznych frazesów i te zaledwie umie powtórzyć; taki Rysaków, poczynający student, któren w ciągu jednego miesiąca, zaledwie wstąpił w szeregi podrzędnych adeptów, już stał się królobójcą: snadź ta kramola pociąga w takiż sposób, jak powiadają, że nęci przepaść samobójcę, ażeby się w nią rzucił. Jednego przymiotu nie można im odmówić, nie rzekę odwagi, bo to zbyt wielkie słowo, ale takiego ważenia za nic życia tak swojego jako i drugich, jakiego by szukać chyba w Indyi, Chinach, w najskrajniejszych sektach muzułmańskich na dalekim wschodzie.

Jak poradzić z otchłanią? Jak zrobić aby cały społeczny i polityczny porządek niebył na łasce pierwszego lepszego fanatyka? Społeczeństwo rosyjskie, jak ów Edyp przed skałą Tebańską, usiłuje dać odpowiedź na to sfinksowe pytanie. Podnoszą się jednocześnie głosy rozmaite, rdzennie nawet sprzeczne. Każdy wynosi zalety swojego sposobu, byle był użyty prędko, bez oglądania się na nic, stanowczo. Prawdziwie „dwóch bójka wiar." Jeden sposób kaustyczny: sterroryzować terrorystów, krajać chociażby żywe mięso byle z niém razem podciąć, wytępić, wyrzucić wszystkie korzonki odradzającego się polipu. Drugi sposób bardziéj radykalny i organiczny polega na tém, aby nie przesadzając znaczenia istniejących terrorystów, podwoić względem nich środki prewencyjne, utrzymać zwykłe represyjne, które zresztą podnieść się nie dadzą znacznie ponad istniejące surowe prawodawstwo karne za przestępstwa polityczne; lecz natomiast zwrócić wszelkie starania ku temu, aby odjąć od nich cały kontyngens pobierany przez nich z klas nie wichrzących, lecz znudzonych bezczynnością i niezadowolonych z obecnego stanu rzeczy. Ponad otchłanią rzucony byłby wiszący most z reform, łączący teraźniejszość z przyszłością i społeczeństwo dostałoby się na drugi brzeg, na twardy grunt, na którym by się od samych podstaw aż do szczytu, dokonywały powoli wykończenie i budowa wielkiego gmachu, pracą codzienną ale postępową. Jedni wołają: w tył, bo żądają dzisiaj, aby się wrócono do programu Generała Murawiewa z r. 1866, któren niedoszedł do skutku za sprawą hr. Szuwałowa i radzą aby ten program zastosować w całéj pełni. Przeciwnicy tych, że ich tak nazwiemy chirurgów, wnet na to odpowiadają. Dopuśćmy—mówią, że to się stało, że nieprzebierając skarano dużo winnych, ucierpieli i niewinni. Pojedyńcze cierpienia to mniejsza, skoro każe konieczność, ale to energiczne działanie odbyło się kosztem wyjątków z pod ogólnego prawa, kosztem podważenia pojęć prawności, słuszności; kosztem cofnięcia się w cywilizacyi i kulturze, a może nawet i rozluźnienia mas ludowych. Namiętna polityka podbudza zawsze złe

instynkta w masach. Pracowicie i stopniowo przeobrażało się państwo z wojennego na pokojowe, wedle pięknéj klasyfikacyi społeczeństw w socyologii H. Spencera. Wypadłoby od razu wyrzec się całéj dziejowéj roboty, całego wieku z górą i wrócić do zapomnianych bardzo dawnych i bardzo surowych porządków.

Istotnie dzieje nie podają przykładów takiego cofania się w tył uwieńczonych powodzeniem. Próby w tym kierunku nie udawały się zwykle. Trzeźwo i beznamiętnie sądzący ogół wykształconych klas nie wtoruje tym próbom, zwłaszcza że uznawane za potrzebne reformy, nie dążą do zuchwałego nabijania istniejącego porządku na nowe kopyto. Chodzi przedewszystkiém o rzeczy bardzo skromne, o same podstawy, o ostateczne uregulowanie stosunków włościańskich, o rozbicie tego muru jaki wznieśli twórcy ustawy z d. 19 lutego 1861 pomiędzy włościanami, a innemi właścicielami ziemskimi i przedstawicielami inteligencyi, o utworzenie wszechstanowéj jednostki: gminy, wołosti czy parafii, pod powiatem i gubernią, a bez któréj ziemstwa powiatowe i gubernialne są jak górne piętra bez podstawy, o szerszy samorząd ziemski i municypalny, i podciągnięcie pod jedną normę prawa środka imperium i zachodniego pogranicza, o reformę administracyi i policyi od dołu aż do gubernatora. Taki jest w głównych rysach plan podawany przez gazety jako program hr. Lorys Melikowa. Dodajmy, że programu tego niepodobna wykonać sposobem kancelaryjnym, a potrzebaby go dać do rozpatrzenia biegłym, których by do rady zawezwano i opinii publicznéj przez gazety.

Sytuacya tak jest skomplikowana, że główna kwestya od dwóch miesięcy jest w zawieszeniu i ani na krok niepostępuje naprzód ku stanowczemu rozwiązaniu. W tem oczekiwaniu zużywają się ludzie, zmieniają się co chwila. Rok ostatni 1880 wysadził dwóch ministrów tylko: hr. Tołstoja i Greiga i podważył wpływ trzeciego Makowa. W ostatnie dwa miesiące zeszli już trzej ze sceny: Makow, Saburow i książę Liewen. Może tenże los czeka ludzi w każdym razie wytrawnych i zasłużonych hr. Loris Melikowa, Abazę i hr. Milutina o których dymisyach krążą już w gazetach wiadomości (1).

. . . .

13 Maja 1881 r.

---

(1) Z ostatnich telegramów wiadomo, że pogłoski te sprawdziły się w rzeczywistości.

(Przyp. red.)

Nowo odszukane pamiątki po Tadeuszu Kościuszce.

Odwołując się do tego, co powiedziano z okoliczności ogłoszenia pierwszych dwu listów znakomitego Naczelnika w styczniowym zeszycie „Ateneum“ (str. 140, 141), podajemy bez wstępu niedawno odszukane po nim pamiątki. Jeden z listów Kościuszki, pochodzący ze zbiorów p. Józefa Karwickiego, jest, jak nas zapewniano, autografem, a w każdym razie doskonałą podobizną; napisany na ćwiartce, zachował się bardzo dobrze; adresu na nim nie ma; wiadomo atoli, że adresatem był jenerał Karwicki. Drugi list napisany na dwu ćwiartkach ręką samego Kościuszki cały; na drugiéj ćwiartce jest adres: „Obywatel Trzciński.“ Trzciński imieniem Józef, był posiadaczem Snopkowa i Ciotczy w Lubelskiém, zmarł roku 1827 w Ciotczy. W roku 1794 był on pułkownikiem milicyi województwa lubelskiego, jak świadczy patent z 15 maja t. r. z własnoręcznym podpisem wodza; tudzież list jenerał-majora Jana Grochowskiego. Oba te dokumenta, zostające w posiadaniu rodziny, dołączamy w końcu. Pisownię we wszystkich dokumentach wiernie zachowujemy.

17 Czerwca 1794. Z Obozu pod Radomiem.

Generale Kollego! Dopiero się dowiaduię że żadna moia odezwa Rąk twoich niedoszła; możesz bydź przecież pewnym że w naypierwszych momentach Powstania naszego zgłosić się do dawnego kollegi niezaniedbałem.

Kosztuie pewnie twey duszy bydź w nieczynności, miło mi zatym wezwać cię tą odezwą, do naypieknieyszego dzieła na które człowiek śmiały y podciwy z oboiętnością patrzyć niemoże. Twoie okoliczności są bardzo przyiazne twey sławie; iesteś w Kraiu gdzie Obywatele gdzie woysko, gdzie Lud nawet czeka tylko zawołania, y dowodźcy, aby podnieść broń na obronę właściwey Ojczyzny

y zniszczenie Jarzma obcego... W tym rzeczy stanie móy Generale, wez na siebie to przedsiewzięcie, masz do tego sposobność, nieprzyiaciel w małey liczbie, Polska cała pod bronią. Partyzantów ku wam wysłałem, woyna Turecka niezawodna, moskali roztargnieni y ztrwożeni, słowem chciey tylko a kray tamten wrócisz do całości Oyczyzny twoiey, y sobie zasłużysz na wdzięczność narodu. Oświadczyłem y oświadczam że ktokolwiek z Officerów ruszy korpus woyska nam zabranego, będzie tegoż Korpusu Komendantem. Wreszcie, nie trać momentu. Posyłam ci patent Generała Leitnanta, y przyrzekam iż officerów którzy ci pomocą będą y których fortragować zechcesz, awansować będę. — Czekam niecierpliwie wiadomości o tobie kollega y Przyiaciel —

T. Kościuszko.

Bardzo żałuię moy Pułkowniku że okoliczności o których mi WMPan namieniasz ułatwione wcześniey podług życzeń JEgo niebyły, y że dziś przynaglaią go do oddalenia się.

Pamiętny zawsze będę gorliwości z którą przykładałeś się do powstania w woiewodztwie swoim, pewien iestem znaiąc sentymenta JEgo iż nieprzestaniesz w każdym czasie dawać Oyczyznie dowodów obywatelstwa swego.

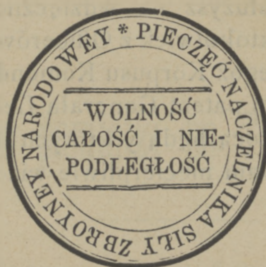
D. 12 Września 1794. *T. Kościuszko.*

adres: Obywatel Trzciński.

TADEUSZ
KOŚCIUSZKO,
NAYWYŻSZY NACZELNIK SIŁY ZBROYNEY
narodowey.

Oznaymuię ninieyszym Listem Patentem moim wszystkim Obywatelom, wszystkim wyższey i niższey Rangi Woyskowym; wszystkim nakoniec mieszkańcom Ziemi Polskiey, iż maiąc sobie zaleconą zdolność i dobrą chęć bronienia Oyczyzny Obywatela *Józefa Trzcińskiego*—nominuię go *Pułkownikiem Milicyi Wojewodztwa Lubelskiego* dozwalaiąc używania Prerogatywy stopniowi temu właściwey. Co mianowicie Generałom, oraz wszystkim wyższey i niższej Rangi Officerom, tak Liniowego, iako też Woiewodzkiego, Powiatowego i wszelkich Korpusów Rzepltey Woyska, wiadomo czyniąc przykazuię aby pomieniony Obywatel *Józef Trzciński*—za aktualnego *Pułkownika*—

w Korpusie *Milicyi Wdztwa Lubelskiego*—uważany był, i ażeby onemu we wszystkim co do prerogatyw odpowiadano było, na co dla lepszey wiary Ręką własną podpisawszy Pieczęcią Związku Narodowego stwierdzam. Dań w *Obozie pod Połancem* Dnia *15-go* Miesiąca *Maja* 1794 Roku. *T. Kościuszko.*



Patent dla Obywatela *Józefa Trzcińskiego* na Szarżę *Pułkownikowską w Milicyi Wdztwa Lubelskiego.*

Patent na złożonym arkuszu jest drukowany cały z wyjątkiem wyrazów wpisanych, które to kursywą oddajemy. Na drugim półarkuszku, po stronie adresu napisano:

„Patent Trzcińskiemu na Szarżę Pułkownikowską w Milicyi Wojewodztwa Lubelskiego—"
a u dołu:

Dn. 15 Maja w Kancellaryi Naczelnika decydowana forsztelacia.
Henkiell Adiutt.

Obywatelu Pułkowniku!

Żądanie WWMPana odebrałem, y chętnie zadosyć Jemu uczyniłbym gdybym, miał tyle zbywaiących Officyerow, abym do JEgo pułku translokować ich mogł. Może to bydź, ale poźniey, jak się z moią Dywizyą w Lubelskie przybliżę. Tymczasem staray się WMPan ochotnych, lub z obcey służby pod swoję zaciągnąć komendę, a Ja za podaniem od Niego fortragu patenta dla nich przyszlę. Chorążego Dłużewskiego z zawerbowanemi przez niego Ludzmi do swego weź WWMPan pułku. Dań w obozie pod Desznem dnia 31 Maja 1794 R.-u. *Jan Grochowski.*

Gł. M.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Dr. *Wł. Nehring*. Ueber den Einfluss der altčechischen Sprache und Literatur auf die altpolnische. III. Psalter von Puławy (Psałtérz Puławski).

Wydawane w Berlinie od r. 1875 czasopismo naukowe, poświęcone filologii słowiańskiéj, pod nagłówkiem Archiv für slavische Philologie przez prof. Jagić'a ze współudziałem pr. Leskien'a i pr. Nehringa, zawiera w 4-ch wyszłych dotychczas tomach (V-go tomu 3 zeszyty) kilka ważnych prac nad językiem polskim. Pomiędzy niemi na uwagę zasługują studya nad staropolszczyzną pióra Wł. Nehringa, profesora uniwersytetu wrocławskiego. W poprzednich tomach w liczbie obszerniejszych rozpraw pr. Nehringa znajdują się dwie pod nagłówkiem *O wpływie języka i literatury staroczeskiéj na staropolską*. Przedmiotem pierwszéj były badania nad *pieśnią Bogarodzica* (I, 60—81), druga zaś poświęcona rozbiorowi najdawniejszego dotąd znanego pomnika polszczyzny z w. XIV, tj. *Psałterza floryańskiego*, w którego języku, jakkolwiek nieliczne, widoczne są jednak ślady wpływu czeskiego (II, 409—436). Obecnie w zeszycie 2-im tomu V pod takimże nagłówkiem ogólnym (Ueber den Einfluss der altčechischen etc.) podał prof. Nehring obszerne studyum (s. 216—297) o pomniku języka polskiego z wieku XV, wydanym w roku zeszłym pod nagłówkiem *Psałtérz puławski* (Nakładem biblioteki kórnickiéj 1880).

Rękopis pargaminowy tego pomnika, z którego szczupłe tylko wyjątki parę razy drukowano, znany był poprzednio w literaturze pod nazwiskiem Psałterza królowéj Jadwigi (1), lub Psałterza pary-

(1) Rakowiecki w „Prawdzie ruskiéj", przytaczając 2 pierwsze psalmy z tego rękopisu, podług kopii udzielonéj mu przez Lelewela, mówi o tym psałterzu jako o znanym „pod nazwiskiem Psałterza królowéj Jadwigi" II, 212. Nie znajdujemy zaś tam nazwy „Psałt. puławskiego," któréj użycie przypisuje pr. Nehring Rakowieckiemu (Archiv, 217).

skiego, a także poryckiego, albo wreszcie nazywany Psałterzem Czartoryskich. Przechodził on z biegiem czasu różne koleje: w XVI wieku, wiadomo, że należał do Jana Komorowskiego, w XVII do Rembielińskiego; od XVIII zaś wieku stał się własnością biblioteki ks. Czartoryskich w Puławach; skąd na początku bieżącego wieku dostał się cichaczem do biblioteki Tad. Czackiego w Porycku, lecz po niejakim czasie wrócił znowu do biblioteki Czartoryskich i jako stała jéj własność przechowywany był dość długo w Paryżu. Od kilku lat dopiéro przeniesiony został wraz z bogatemi zbiorami Czartoryskich do Krakowa. Z tego to rękopisu, udzielonego przez ks. Wład. Czartoryskiego hr. Janowi Działyńskiemu z Kurnika, dzięki temu, dziś już zmarłemu mecenasowi literatury ojczystéj, ukazała się w roku zeszłym przepyszna kopija homograficzna całkowitego psałterza, wykonana przez pp. Adama i Stanisława Pilińskich z najzupełniejszą dokładnością i niepospolitym artyzmem.

Prof. Nehring w Studyum swojim nad językiem tego psałterza wykazuje naprzód, że rękopis puławski jest kopiją nieznanego oryginału, czego dowodzą liczne omyłki popełnione przez przepisywacza bądź wskutek jego nieuwagi, bądź téż nieczytelności piérwowzoru. Dowody potwiérdzające to mniemanie przytacza autor na str. 219. Z uwagi, że Psałtérz puławski pochodzi z wieku XV-go, a takiż przekład posiadamy z wieku XIV w Psałterzu floryańskim, wynika już wielka wartość Psałterza puławskiego dla historyi języka polskiego. Porównanie języka obu tych zabytków służyć może za najodpowiedniejszy materyał do poznania zmian, jakim język pols. uległ w ciągu jednego stulecia, i tym samym do nakreślenia obrazu jego rozwoju w ciągu tego czasu. Staje się to tym bardziéj dogodnym, że zarówno Psałterz puławski, jak Psałterz floryański są kopijami modernizowanemi jednego psałterza polskiego, dotąd nieznanego. Prof. Nehring mniemanie co do możliwości wspólnego pochodzenia obu tych zabytków z jednego źródła wypowiedział jeszcze w r. 1871 w dziełku swym Iter florianense, O Psałterzu floryańskim, str. 38—9, porównawszy parę tylko wyjątków, jakie wówczas posiadał w odpisie z rękopisu Psałterza puławskiego (paryskiego). Dziś, na zasadzie porównania całkowitych obu tych pomników i zebranych stąd dowodów (które autor przytacza na str. 220—223) piérwotny jego domysł staje się pewnikiem. Autor rozpatruje różnice języka pod względem morfologicznym, leksykalnym i stylowym, wynikające z różnicy epok czasu obu tych pomników (224—5) i przychodzi do wniosku, jak się zdaje, niewątpliwego, że polski psałterz, z którego powstał kodeks puławski, starszy był od Psałt. floryańskiego; w puławskim bowiem, jakkolwiek język jego wogóle jest widocznie późniejszy od języka

Psałt. floryańskiego, pozostały niezmienione niektóre formy językowe i wyrażenia starsze, archaistyczne, które pisarz Psałt. floryańskiego uważał już w swoim czasie za przestarzałe i modernizował je, czyli zastępował właściwszemi wiekowi XIV-mu (np. Ps. fl. pwal w gospodna 21,8, P. puł. pwal w bog, oraz 36,3; P. fl. pocolene ymaiộcze przydz 21,33, P. puł. pokolyenye przydącze, generatio ventura, itd.). Prócz tego inne jeszcze przywiedzione przez autora dowody (st. 229) wydają się dostatecznie przekonywającemi że zarówno psałtérz puławski jak i floryański wypłynęły z jednego i tego samego przekładu polskiego psałterza, w którego języku układacze dwu późniejszych psałterzów zaprowadzali pewne zmiany: piérwszy odpowiednie wiekowi XIV-mu, drugi wiekowi XV-mu. Stary ten nieznany psałterz polski, jak się okazuje, służył za piérwowzór innym także psałterzom polskim, znanym z okresu przeddrukowego, jak: psalmom znajdującym się w Modlitwach Wacława, wyd. L. Malinowskiego, i psalmowi 50-mu karty Swidzińskiego. Na zasadzie znowu zestawienia kilkunastu miejsc ciemnych lub błędnie przełożonych w Psałterzu flor. z odpowiedniemi miejscami przekładu puławskiego (s. 229—30) prof. Nehring zaznacza, że błędy Psałterza flor. sprostowane zostały w Psałterzu puławskim, co znowu upoważnia autora do słusznego wniosku, że przekład puławski jest poprawniejszy aniżeli przekład zawarty w Psałterzu floryańskim.

Autor, zagłębiając się bardziéj jeszcze w różnice przekładów obu kodeksów, wykazuje, że pisarz psałterza puławskiego, mając przed oczyma stary przekład polski i modernizując go, posiłkował się tekstem łacińskim, który bliższy był nieraz tekstu hebrajskiego aniżeli wulgata (st. 233). Zdarza się to jednak, jak dodaje autor, miejscami tylko; w całości zaś tekst Psałterza puławskiego zgadza się z tekstem wulgaty. Nadmienimy tu, że dowodów stanowczo przekonywających o tym, że zarówno Psałterz floryański jak i Psałterz puł., a tym samym i najstarszy psałterz polski były tłumaczeniem z łacińskiéj *wulgaty*, dostarcza porównanie przekładu miejsc wybitnych, w których tekst wulgaty różni się od tekstu hebrajskiego. Miejsca takie rzeczonych psałterzów zgodne są nie z tekstem hebrajskim, lecz z wulgatą. Dość np. porównać psalmy: 58,9; 55,15; 37,20; 92,11; 129,3 itd.

Porównanie języka obu psałterzy doprowadziło autora do wyjaśnienia niektórych archaizmów polskich, jak np. wyrazu urộpny Ps. fl. 44.3, który w psałterzu puł. na tym miejscu znajduje się w formie wyraźnéj urępny (piękny, speciosus). Wyraz ten rzadki bardzo w staropolszczyźnie, znany jest także z „Ułamku starożytnego" Glogera we formie urộpność=piękność. (Cf. „Z dziejów języka pols."

Ateneum 1880, I. odbit. s. 46). Wyraz *upełznienie* spotyka się w obu psałterzach w znaczeniu upadek lapsus: Ps. fl. od vpelznena 55,13, puł. od vpelznyenya 56,13 (Porów. górno-łuż. wobsuneńe). Rzeczownik *brzemię* Ps. fl. 20,9 w znaczeniu czas, znajduje się na innym miejscu i w Psałterzu puł. 119,20, z czego wnosi autor, że wyraz ten (odpowiedni stsłowiańsk. wremę) był właściwością staropolszczyzny i używany w mowie ludowéj.

Przy rozważaniu języka Psałterza puławs. pod względem fonetycznym autor dochodzi do przekonania, że psałtérz ten mógłby dostarczyć bardziéj pouczających wskazówek, gdyby można w nim dopatrzéć określonego systemu ortograficznego. Tego jednak w naszym pomniku nie ma; pisarz bowiem używał różnych na raz systemów, i dla oddania takich samych dźwięków na jednéj i téj saméj stronie posiłkował się dwoma, trzema lub więcéj znakami bądź pojedyńczemi, bądź téż ich połączeniami. Jakkolwiek przy pisaniu tego psałterza często poprzestawał na téj ortografii, jaką widział w starszym pierwowzorze, jednakże nie trudno zauważyć w pisowni całego psałterza puł. pewnych cech wybitnych, już XV wiekowi właściwych. Widoczne to szczególniéj przy porównaniu pisowni tego zabytku z pisownią Psałterza flor. Miękczenie np. spółgłosek l, n, p... oddawane w Psałt. flor. zapomocą znaku *i* lub wcale nieoznaczane, w Psałterzu puł. najczęściéj wyraża się zapomocą znaku *y* po spółgłosce (nyebyossa, zyemya, w ramyenyu itp.), a także w wielu razach zapomocą tegoż znaku pisanego przed miękczoną spółgłoską (np. gaynba=gańba, dokoyncza=do końca itp.).

Różnorodne szczegóły dotyczące pisowni i głosowni języka naszego zabytku przedstawił autor w licznych przykładach, pracowicie z tekstu całego psałterza zebranych. Szczegóły te posłużyły autorowi do wysnucia uwag i wniosków ogólniejszych. Ze sposobu miękczenia spółgłosek, użytego w tym pomniku, autor charakteryzuje jego ortografią jako przejściową od staréj pisowni do używanéj w wieku XVI (st. 241). Ogólną tę charakterystykę możnaby uzupełnić jeszcze uwagą, że pisownia Psałterza puław. zarówno w sposobie wyrażania samogłosek jak i spółgłosek posiada znamiona wspólne wszystkim znanym pomnikom staropolszczyzny z wieku XV-go, gdzie piszący w zakresie miękczenia spółgłosek żadnego stałego systemu ani konsekwencyji nie zachowywali, i żaden téż ówczesny pomnik piśmienny zaletami podobnemi poszczycić się nie może (znak np. *cz* służył jednocześnie do wyrażania dźwięku *cz*, *ć*, a także dźwięku *c*, który oprócz tego był oddawany pojedyńczym znakiem *c*; podobnie znak *sz* wyrażał dźwięki *sz*, *ś*, a nieraz i dźwięk *s* itd.).

Rzecz prosta, że grafika tego rodzaju, mówiąc w ogólności, nie stanowi zapory dla dokładnego odczytywania tamtoczesnych pomników. Dla znającego zasady głosowni i historyą dźwięków języka polskiego, zewnętrzna szata rękopisów XV-go stulecia z całą swą niejednostajnością i bałamutnością nie przedstawia zbyt zawiłych trudności. Niekiedy jednak napotykane wątpliwości fonetyczne i morfologiczne staropolszczyzny nie dają się inaczej rozstrzygnąć, jak przypuszczeniem w języku danego pomnika miejscowych różnic dyjalektycznych. I język psałterza puławsk. nie jest wolny od pewnych odcieni dyjalektycznych, które nie pozwalają na odczytywanie niektórych dźwięków i form w sposób zgodny ze stanem ówczesnego języka ogólnego, tym bardziéj zaś języka dzisiejszego. Autor twierdzi np. że wyrazy *próżny*, *próżność*, napisane w psałterzu puł. przez *s*, *sz* lub *z*, pisarz tego pomnika wymawiał *próżny*, *próżność*, a „nie *prozny*, *prozność*, jak Kochanowski.“ Twierdzenie to nie ma za sobą dostatecznéj pewności. Wyraz *próżny* (odpowiedni starosłowiański prazdьnъ) nie tylko u Kochanowskiego, ale i u innych pisarzów XVI-go wieku znajdujemy z twardym *z* (obok wyraźnego użycia w innych wyrazach litery *ż*), jak: u Reja, Leopolity, Wujka, Skargi, Januszowskiego (1) i w. i. Prawdopodobnie więc piérwotne w tym wyrazie twarde *z* w wieku XV w mowie ogółu nie uległo jeszcze zmianie na *ż*. i być właśnie może, iż pisarz psałterza puł. wymawiał podawnemu *prozny*. Za istnieniem „piérwotnego“ brzmienia *z* w tym wyrazie przemawiają nie tylko bardzo liczne przykłady jego w pomnikach językowych (nawet w drukach XVII wieku), ale także porównanie z dzisiejszym stanem tego wyrazu w pozostałych językach słowiańskich: w czeskim do dziś jest prázdny i prázny, w łużyc. prozny, w serbs. prazan, w słoweń. prázden i prázen itd.

Trudno także podzielać mniemanie, że w staropolskich wyrazach takich jak: pirwy lub pirzwy, cirpiéć lub cirzpiéć, cirń, dzirżéć, pirzchać, wirzch, wirzba itp. samogłoska *i* przed piérwotnym *r* z następującą spółgłoską, miała znaczenie *é* ściéśnionego (s. 244), jak to ma miejsce w dzisiejszym języku. Odpowiedniość starosłowiańskiego ь polskiemu *e* w środku wyrazu (np. dzień, miecz) nie jest ogólną. Sąsiedztwo *r* przed lub po jest tu nowym zupełnie warunkiem. Na

---

(1) *Rej*: prazen Postyl. 1556 QQ2; *Leopol.* prozność Bibl. 1577. Ps. 51,9 s. 358; *Wujek* prozne. Post. 1579. s. 105,123, proznuiąc 108; Bibl. 1599 prozna zlemia Genes. 1. *Skarga* Kaz. 1600 st. 42. *Januszows.* Stat. 1600 próznoby práwá dawáć s. 244. i t. d. u Kochanowskiego oprócz zwykłych form: prożny i prózny jest także prazny. Ps. 75 v. 31.

podstawie danych z licznych pomników języka rzecz ta przedstawia się zupełnie jasno. Najdawniejsze zabytki piśmienne mają w tych wyrazach samogłoskę *i*. Spotykamy to *i* w aktach łacińskich z XIII-go wieku: wirchreka, wirchoboz, wirborowa, wirbiczayni (Baud. de C. Słow. 83). Samogłoskę *i* w powyższych wyrazach posiada zarówno Psałtérz floryański (z bardzo nielicznymi wyjątkami), jak i wszystkie pomniki XV-go wieku, gdzie wyjątkowo tylko spotykamy *e*; a nawet w drukach XVI-go wieku samogłoska *i* w formach tych nie jest wcale rzadkością. Prócz tego dodziśdnia w mowie ludu pozostało tutaj wyraźne *i*. Na zasadzie takich wskazówek mamy większą słuszność utrzymywać, że piérwotne w tych wyrazach *i* rozwinęło się w nowszéj polszczyźnie na *é*, a niekiedy na otwarte *e*, nie zaś przeciwnie: że napotykane w staropolskich pomnikach *i* wyraża już tamtoczesne *é* ściéśnione.

Z zakresu morfologiji Psałtérz puł. nie posiada osobliwości, któreby nie były znane z innych pomników XV-go wieku. Jak w każdym pomniku, tak i tu obok form spółczesnych, właściwych wiekowi XV, spotykają się i starsze, które powoli ulegały przeobrażeniom i „wychodziły z użycia“, ustępując miejsca nowopowstającym. Autor w pracy swojéj notuje skrzętnie wszystkie zjawiska, charakteryzujące dokładnie język rozważanego pomnika. Przywodzi więc przykłady liczby podwójnéj; formy dopełniacza licz. pojed. rzeczowników męskich na *a*, które późniéj zjawiają się stale z końcówką *u* (grzecha, gniewa, owoca); formy dopełniacza licz. pojed. rzeczowników żeńskich *ja*-tematowych zakończone na *e*, a także przykład tegoż dopełniacza *nędzę* (69,24) z końcówką piérwotniejszą *ę*, odpowiednią starosłowiańskiemu *ę*. (psał. flor. ma w tym miejscu *e*: 68,24). Osobliwość ta powiększa o jeden liczbę znanych kilku przykładów téj formy w staropolszczyźnie (Porów. Rozbiór gram. Mał. przez A. Kr. str. 26).

Mówiąc o formach narzędnika rzeczowników rodz. nijak. na *im*: pokrycim, autor jest zdania, że końcówka mianownika *é* tych rzeczowników (z pierwotnego *ije*) była wymawiana jak *i* (pokryci) i że wymawianie to dało powód pojawieniu się końcówki *im* w narzędniku (s. 254). Tłumaczenia tego nie można nazwać przekonywającym. Moim zdaniem, formy narzędnika rzeczowników rodz. nij. takie jak: pokrycim, widzenim itp. są wprost wynikiem upodobnienia do takichże form narzędnika przymiotników (podobnie np. jak dopełniacz l. poj. paniéj, woléj, władzéj, powstał wskutek asymilacyji morfologicznéj do form dopełniacza przymiotników: dobréj, taniéj itp). Formy na

im w narzędniku rzeczowników rodzaju nijakiego właściwe są wiekowi XIV, XV-mu i przetrwały do końca XVI-go (1).

Co do przymiotników zaznacza autor w pomniku puławskim istnienie deklinacyji rzeczownikowéj (cz. nieokreślnéj) przymiotników dzierżawczych (na domu dawydowye, slowo oyczowo), wspólne innym pomnikom i dość powszechne w języku wieku XVI-go. W deklinacyji zajimkowéj przymiotników zwraca uwagę na upodobnienie piérwotnéj formy miejscownika zakończonego na *em* (w domu bozem) do form narzędnika z końcówką *ym*, *im* (w ymyenyu szwyętym). Jak wiadomo, w XIV wieku pomniki wykazują istnienie jeszcze różnicy przypadków (*ym* w narzęd. rodz. męs. i nijak., *em* w miejscow. obu rodz.), która w XVI-ym wieku znika pod wpływem asymilacyji morfologicznéj: przewagę otrzymują formy narzędnika na *ym*, *im*.

W zakresie konjugacyi przytacza autor osobliwości takie jak: *niego*, znaczące nie je(st)go, użycie aoristu tylko w słowie bych, by i t. d., który w psałterzu flor. zachował się prócz tego w paru innych jeszcze słowach; użycie czasu przeszłego niedokonanego (imperf) w dwu przykładach (wychadzassze, molwyasze, 40,7), który w XV-tym wieku jest już wielką rzadkością; użycie dość częste liczby podwójnéj w słowach; użycie czasu przeszłego w formie opisowéj pośredniéj między starożytniejszą a dzisiejszą (np. wstalesm, utworzone z wstal jesm, dzisiejsze wstałem), w 3-éj zaś osobie obu liczb użycie samego tylko imiesłowu bez słów *jest* i *są* (2) i t. d.

Po tych uwagach wymienia autor kilka właściwości składni staropolskiéj; pod koniec zaś dodaje objaśnienia wyrazów osobliwszych w spisie abecadłowym (str. 261), stanowiącym przyczynek do słownika staropolskiego. Są to wyrazy właściwe bądź wyłącznie Psałterzowi puławskiemu, bądź téż i innym pomnikom XIV i XV-go wieku, niektóre zaś nie są obce i wiekowi XVI-mu, jak np. isty, każdy, łacznąć, pirzwy. pczoła, robotować, stradza (szkoda, nędza). stradny, zarza (dopełn. zarze, Kochan.), zwiotszeć i inne, znajdujemy je bowiem w drukach tegoż stulecia.

---

(1) U *Opecia* np. 1522 spotykamy: z rozmyślanim nabożnym, z wesołym obliczym, z weselim, s kochanim, przed wcielenim, s ciężkim wzdychanim str. I i następne. U *Wujka* w Postylli 1579: postanowienim, czynienim, roskazanim str. 132, 134. U *Skargi* w Kaz. 1600: mienim, bieganim, rozszerzánim, weyrzenim, czytanim st. 274—276, w Dziejach koś. 1603: okrutnym ciągnienim y drapanim str. 183. U *Kochanowskiego* swym miłośierdźim. Psalt. 1579. P. 67,1 i t. d.

(2) Chociaż czas przeszły ze słowem *jest* spotyka się jeszcze w drukach XVI wieku. U Opecia np. stáło sie iest zbawienie l. 37 v, tako do nich iest mowił 57. r, stał sie iest synem człowieczym 92 v. i t. d.

W zakończeniu swéj pracy przydaje autor parę objaśnień usprawiedliwiających ogólny tytuł samego studyjum. W wydanym dawniéj dziełku swym Iter florianense: „O Psałterzu floryjańskim" prof. Nehring wykazał dostatecznie, że tłumacz pierwszego psałterza polskiego, z którego powstał psałterz floryjański, miał przed sobą starszy przekład czeski, z którego świadomie czy mimowoli przeniósł niektóre czechizmy i do psałterza flor. W studyjum obecnym autor jest zdania, że pewne czechizmy podobną drogą dostały się i do psałterza puławskiego; pisarz bowiem tego zabytku posiłkował się również tym samym najstarszym przekładem polskim psałterza, którego kopiją modernizowaną jest i psałterz floryjański. Do tych czechizmów zalicza autor (str. 266) wyrazy: sprawiedlność, uczedlnik i plylo (płynęło). Jakkolwiek *sprawiedlność* zdaje się wprost przypominać pochodzenie czeskie, nie mniéj jednak formacyja podobna możliwa i na gruncie polskim. Jistnienie bowiem w języku polskim form: sprawiedliwość, sprawiedliwy i t. d. mogło, na zasadzie asymilacyji morfologicznéj, stać się powodem w rozumieniu tłómacza psałterza do uważania części *sprawiedl* za morfologiczną całość, za temat tych imion w dzisiejszym pojęciu. Podobnie forma *uczedlnik* nie jest zjawiskiem odosobnionym, istnieje bowiem w staropolskim języku prawnym *opiekadlnik*, tutor, w księdze ziems. poznańs. z początku XV-wieku (Z rękopisu prof. Przyborowskiego), obok *opiekalnik* (jak u Opecia list 4 v.).

Niezmienności piérwotnych samogłosek *e* i *ė* na *o* i *a* przed spółgłoskami twardymi w wyrazach języka kościelnego takich jak: spowiedać, i t. p. (1), napotykanych w psałterzu puł., nie należy również przypisywać wpływowi czeskiemu; naprzód bowiem wyrazy te z samogłoską *e* spotykamy nie tylko w języku służby bożéj, ale we wszystkich pomnikach (języka prawnego) wieku XIV i XV, a w znacznéj części i XVI-go; 2-re, téż same wyrazy napotykane już tu i owdzie z samogłoską *a* w zabytkach XV-go, a przeważnie téż i w drukach XVI wieku (jak w dzisiejszym języku) mogą tylko służyć za dowód, że językowy proces zamiany w tych wyrazach pierwotnego *e* na *a* (przed twardemi *d*, t...), rozpoczęty na zasadzie ogól-

---

(1) W przywiedzionym przez autora jednym z przykładów, a m. spowϘydacz szye 7,18 (str. 266) wydrukowano błędnie ϙ zamiast *o* (w tekście wydania homograficznego jest *o*); skutkiem tego błędu i odnośna uwaga co do fonetycznéj wartości tego znaku (tritt der polnischen Aussprache dieses Wortes am nächsten) traci swoje właściwe znaczenie.

Sprostowania również wymaga przywiedziony na str. 231 wyraz *poszdy* zamiast poszdzy, oraz w tymże wierszu *y* poczwirdzono zamiast: *a* poczwirdzono.

nego prawa fonetycznego (tak zw. „natężenia samogłosek“), był tamowany w ciągu wieku XV-go, a nawet XVI pewną dość silną przeszkodą. Przeszkody téj dopatrzéć możemy w podobieństwie morfologicznym powyższych form do całéj grupy wyrazów częstego w mowie użycia takich jak: spowiedź, spowiednik, powiedziéć, powiedział, powiédz, powiedziany, powiedzenie, obietnica, obiecanka, obiecać, obiecał, obiecany, obiecywać i t. p., gdzie zasadniczo pomiędzy zmiękczonemi spółgłoskami mamy *e*. Częste użycie w żywéj mowie przywiedzionych tu wyrazów sprawiło działaniem bezwiednéj asymilacyji utrzymanie się dłuższe w języku piérwiastkowego *e* i w takich formach jak: powiedać, spowiedać, obieta i t. p., w których dziś mamy natężenie téj samogłoski do *a* (pow*ia*dać i t. p.). Działanie téj prohibitywnéj asymilacyji wyjaśnić nam może, dla czego formy podobne jak: pow*ie*dać, pow*ie*dają i t. d. spotykamy nie tylko w XIV i XV-ym, ale przez cały wiek XVI u piérwszorzędnych nawet pisarzów (1), jak również—dla czego formy te do dziś dnia istnieją w mowie ludu. Działaniu tegoż samego czynnika psychicznego przypisać możemy wiele innych podobnéj natury zjawisk w języku. Pomiędzy nimi sile téj zawdzięczają istnienie swoje w mowie ludu (i warstw mniéj wykształconych) formy takie jak: bierę, bierą, wiezę, wiezą, niesę, niesą i t. p. lub też powszechnie w mowie używane: w zwierciadle, gwiaździe, obok zwierciedle, gwieździe, albo formy: téj żonie, ścianie, w tym jeziorze... powstałe na miejsce staropolskich: téj żenie, ścienie, w tym jezierze i tp.

Wreszcie w takich wyrażeniach: od szablye boze (21.10) maczerze moye, sluszbye lyudzke (celow.), w roboczye lyudzke, na puszczy ydumeyske i t. p. nie koniecznie wszystkie formy przymiotników i zaimków jak sądzi autor, stać się miały równemi czeskim przez utratę końcowego *j*. Objaśnienia takiego wymagałyby chyba tylko formy: ludzkie, idumejskie (uważane za należące do wieku nie wcześniejszego nad XIV), inne zaś z zakończeniem *e* są wprost formami dopełniacza l. pojed. rodz. żeńs. deklinacyi nieokréślnéj czyli rzeczownikowéj.

Przytoczone przez autora na dwu ostatnich stronicach jego studyjum zapatrywania się, dotyczące wpływu czeskiego na język psałterza puławskiego, oraz znany wpływ wzorca czeskiego na najstarszy przekład polski psałterza, z którego następnie powstał w XIV-ym w. psałterz floryjański, a w XV-ym z pewnemi odmia-

---

(1) U *Górnickiego* w Dworzaninie: powiedáiąc, powieda, powiedáłą s. 62, 63, 100 wyd. 1639; w Bibl. *Wujka* 1599: powiedacie, powiedaląc str. 931 i t. d.

nami puławski, tudzież wzgląd, że język psałterza puł. może być należycie oceniony tylko w porównaniu z językiem psałterza floryjańskiego, na którym jak wiadomo, odbiły się pewne ślady wpływu czeskiego, motywy te są jedynemi powodami, dla których autor pracy swéj dał nagłówek: O wpływie języka staroczeskiego i t. d. tenże sam, co i poprzedniemu przed 3-ma laty ogłoszonemu studyjum nad językiem psałterza floryjańskiego. Nagłówek ten jednak w bardzo nieznacznéj tylko mierze odpowiada treści dokonanéj pracy. Rzeczone bowiem studyjum, jak z przeglądu naszego widzieć można, zawiéra treść nierównie obszerniejszą od zapowiedzianéj w nagłówku. Autor opracował w nim świéżo wydany zabytek polszczyzny, przedstawiwszy nam w systematycznym obrazie zbiór właściwości języka wieku XV-go. Opracowanie to ma tym większą wartość dla nauki, że, dokonane w starannym zestawieniu i porównaniu z zabytkiem téjże saméj treści o wiek cały dawniejszym, t. j. z psałterzem flor., przez umiejętne ugrupowanie i uwydatnienie różnic językowych obu zabytków, dostarcza pożądanego materyjału do historyji języka, pozwalając należycie wniknąć w niejeden szczegół procesu tych zmian, jakie się dokonywały w owéj epoce w rozwoju języka staropolskiego.

Adam Ant. Kryński.

= Wydawnictwo **Dzieł Lucyana Siemieńskiego** nakładem Ungra podjęte postępuje bardzo regularnie w terminach prospektem oznaczonych. Wspominaliśmy już na tém miejscu o pierwszym tomie; od tego czasu przybyły nam trzy dalsze i odznaczają się starannością korekty, drukiem wyraźnym, papierem niewykwintnym wprawdzie ale wcale niezłym. Tom drugi z kolei obejmuje dokończenie działu pism Siemieńskiego przerwanego przez komitet redakcyjny *Varia*, tudzież drugi dział zatytułowany: *Roztrząsania i poglądy literackie.* W *Variach* mieszczą się tu cztery artykuły: 1) „Kazimierz Pułaski w Ameryce;“ 2) „Książę Karol de Ligne;“ 3) „Wierszokleta staréj daty“ to jest Kajetan Jaksa Marcinkowski; 4) „Niewiasta homeryczna.“ W *Roztrząsaniach i poglądach literackich* znajdujemy rozprawek trzynaście w stylu feljetonowym: 1) „Dramat historyczny“ z powodu *Barbary* Odyńca; 2) „Dante i jego Komedya;“ 3) „Wychowanie ludu wiejskiego,“ 4) „Z życia ludu wiejskiego; 5) „Teorya socyalna w komedyi“ to jest właściwie rozbiór komedyi Chęcińskiego *Szlachectwo duszy*; 6) „Poezya ukraińska“ to jest wzmianka o poetycznéj *Powieści Ostatniego Torbanisty* przez Romana Szkarłupkę; 7) „Prawdziwy wieszcz“ to jest wskazanie proroczéj strony w *Nieboskiéj komedyi*; 8) „Książę Adam Czartoryski o Niemcewiczu;“ 9) „Pamflet

i Paszkwil," pisany w roku 1862; 10) „Wydanie dzieł Długosza" z powodu ogłoszenia *Liber beneficiorum*; 11) „Lud wiejski, Sandeczczyzna i Wołyń" z powodu dzieła p. Steckiego; 12) „Starożytne i nowożytne igrzyska;" 13) „Biografie" z powodu trzech życiorysów: Karola Panie Kochanku, księdza Józefa Koźmiana i Maurycego Gosławskiego. Tom trzeci i czwarty obejmują znaczną część działu trzeciego zatytułowanego jeszcze przez samego autora: *Portrety literackie*, znane z wydania Żupańskiego. Tom trzeci zawiera portretów 18 od Jana Dantyszka i Mikołaja Reja z Nagłowic począwszy aż do Aleksandra Fredry w porządku chronologicznym. Całkiem niewłaściwie umieszczono tu artykuł p. n. „Cagliostro w Warszawie r. 1780" boć go przecie portretem *literackim* w żaden sposób nazwać nie można; rzecz ta powinna była wejść do działu *Varia*. Nic to nie stanowi, że sam Siemieński artykulik ten włączył do pierwszego tomu swoich „portretów;" mógł to zrobić ze względu na czysto-zewnętrzną okoliczność; która w wydaniu zupełném Dzieł autora nie może mieć żadnego znaczenia. Inne portrety tu znajdujące się są wybornym przykładem tego feljetonowego sposobu pisania, jaki Siemieńskiemu był właściwym. Nie chodziło mu tu ani o wyczerpnięcie przedmiotu, ani o ściśle krytyczną ocenę działalności pisarza, ani nawet o dokładne podanie dat z jego życia dobrze sprawdzonych, ale o narysowanie postaci, którąby robiła wrażenie. I skutek tego osiągał zazwyczaj autor, co więcéj, portrety jego zazwyczaj odznaczają się trafnością rysów ogólnych, linij głównych, o uwydatnienie których Siemieńskiemu przedewszystkiém chodziło. Dla badacza literatury mogą się one stać cenną wskazówką w pochwyceniu fizyonomii pisarza, chociaż w szczegółach rzadko kiedy zaufać im może. Nie tylko feljetonową, ale i naukową wartość posiadają portrety w tomie czwartym zawarte, a szczególniéj życiorys Franciszka Morawskiego i rozbiór utworów Stanisława Trembeckiego. Pisane w bliższych nas czasach (r. 1866) mają téż cechy tych czasów, w których sumienna, szczegółowa krytyka zaczęła brać górę nad lubowaniem się w pięknych frazesach. Siemieński mający poczucie krytyczne bardzo delikatnie zrozumiał potrzeby chwili, i o ile mógł, do nich stosować się zaczął. Życiorys Morawskiego obszerny, w nowém wydaniu str. 208 obejmujący, na listach głównie autentycznych oparty, jest jednym z najcenniejszych przyczynków do historyi literatury naszéj. Rozbiór zaś utworów Trembeckiego odznacza się głębszém wniknięciem w ducha poety i trafném odczuciem doskonałości formy wierszowéj. Co się tyczy wymagania, któreśmy objawili przy wzmiance o pierwszym tomie dzieł Lucyana Siemieńskiego, ażeby komitet redakcyjny

zechciał kłaść daty pod każdym z artykułów, to zrobiono temu zadość w bardzo szczupłéj mierze; kilka dat zamieszczono, ale to widocznie bez żadnego rozmysłu, przypadkowo tylko. W wielu „portretach,“ pisanych bezpośrednio po śmierci portretowanego mniéj to potrzebne; ale w innych wypadałoby koniecznie zastosować się do umiejętnéj metody wydawniczéj, któraby już powinna dzisiaj obowiązywać i u nas. Trudności w tém nie ma wielkich; potrzeba tylko trochę dobrych chęci i trochę systematycznéj wytrwałości.

= Wyszedł w Paryżu (i we Lwowie z przedrukowaną kartą tytułową) tom *szósty* **Dzieł Adama Mickiewicza** w nowém wydaniu „przez dzieci autora dokonaném.“ Wzmiankowaliśmy już o tomie piątym tego wydania (w lutowym zeszycie, str. 377), robiąc uwagę, że mało w nim rzeczy nowych, nieznanych z edycyj dawniejszych. Otóż tom szósty pod tym względem jest jeszcze uboższy, gdyż nowego nie zawiera nic zgoła. Są-tu mianowicie artykuły polityczne z „Pielgrzyma polskiego,“ które znane są już z IV tomu Dzieł Mickiewicza wydania paryskiego z r. 1868—1870; są daléj artykuły z „Tribune des peuples“ znane z publikacyi „La politique du XIX siècle“ z r. 1870, są wreszcie dwie powiastki: „Żywila“ i „Karyla,“ drukowane jedna w pierwszym, druga w czwartym tomie dopiéro co wspomnianego wydania paryskiego. Nowém chyba nazwać można to, że artykuły polityczne z „Tribune des peuples“ są podane w tłómaczeniu na język polski i że są poprzedzone krótkim wstępem charakteryzującym poglądy Mickiewicza na politykę. Wstęp ten napisał a tłómaczenia dokonał L (eonard) R (ettel). Nieumiejętność w układzie pism Mickiewicza, na którą narzekaliśmy już poprzednio, daje się widzieć i w tym szóstym tomie. Dlaczego tutaj dopiéro pomieszczono „Żywilę“ i „Karylę,“ kiedy miejsce dla nich przecież nie wśród polityki znaleśćby się winno? Dlaczego zaś odłączono część artykułów politycznych i wydrukowano w tomie piątym? Na te pytanie słusznéj odpowiedzi znaleść niepodobna; a uszeregowanie pism Mickiewicza w wydaniu „przez dzieci dokonaném“ musimy przypisać jakiemuś przypadkowi, który figle płatać lubi. Tak więc dotychczas nie mamy nie tylko taniego wydania dzieł największego z naszych poetów, ale nawet za drogie pieniądze nie możemy dostać edycyi porządnéj, odpowiadającéj choćby najelementarniejszym wymaganiom wydawnictwa umiejętnie prowadzonego. P. Władysław Mickiewicz skarży się, że pisma ojca w języku francuskim, a nawet korespondencya nie rozchodzi się; ale zapewne nie zaprzeczy, że dzieła poetyckie opłacają się; możnaby więc te właśnie dzieła raz przecie po tylu latach poddać stanowczéj pod względem wydawniczym rewizyi a nie powtarzać błędów, które dawniejszym edycyom wytykano, jak-to np. zrobiono we wskazówce co do pierwotnego druku „Żywili.“

= W Poznaniu nakładem Biblioteki Kórnickiéj wyszła część pierwsza **Tragedyi Eurypidesa** w przekładzie *Zygmunta Węclewskiego*, znanego filologa, profesora w uniwersytecie lwowskim, tłómacza tragedyi Eschilosa i Sofoklesa wydanych również nakładem Biblioteki Kórnickiéj. Niebawem będziemy tedy mieli trzech głównych tragików greckich w wiernym, dokładnym przekładzie na język ojczysty. Tom obecnie ogłoszony zawiera sumiennie skreślony życiorys Eurypidesa i pogląd na jego dzieła, tudzież przekład sześciu tragedyj: *Alcestys*, *Andromache*, *Bachantki*, *Fenicyanki*, *Hekabe* (Hekuba), *Medea*. Każda z nich poprzedzona jest wstępem zapoznającym z treścią i podającym literacko-krytyczne wiadomości o przełożonéj tragedyi; po każdéj idą objaśnienia treściwe rzeczy mniéj zrozumiałych, znajdujących się w tekście. Jest-to doskonała pomoc dla tych co teatr grecki studyują.

= Tamże w Poznaniu p. *Stanisław Wegner* podjął wydawnictwo **Wykładów popularno-naukowych**, mających zawierać: biografie słynnych osobistości, obrazy historyczne, rozprawy z zakresu literatury, sztuk pięknych, nauk przyrodniczych itd. tak oryginalne jak i tłómaczone, nie większe objętością nad kilka arkuszy druku. Dotychczas doszło do nas sześć zeszytów, które mieszczą w sobie: 1) *Pochód tryumfalny Germanika*, obraz historyczny z dziejów cesarstwa rzymskiego, wolny przekład samego wydawcy; 2) *Lat temu 2400*, dzień z życia króla Daryusza, podług F. Justi, przekład tegoż; 3) *O legitymizmie praw narodowych*, napisał ks. Antoni Krechowiecki, jest-to gorące wystąpienie przeciwko tym „którzy pod maską konserwatyzmu, pod pretekstem fałszywéj iście pobożności, wszystko co narodowe ojczyste, zacząwszy od niebacznych może, nieszczęśliwych lecz godziwych zgoła ruchów, aż do gromadnéj narodowéj modlitwy, piętnują mianem rewolucyi, demagogii, sprzysiężenia przeciw porządkowi społecznemu i religii“ to jest jaśniéj mówiąc przeciw „tece Stańczyka“ i głosom pokrewnym w Czasie, Przeglądzie lwowskim, Tygodniku katolickiem (str. 11), 4) *Pompeji*, historya i opis miasta, napisał St. W. 5) *Lutnia Jana Kochanowskiego po zgonie swego mistrza*, napisał prof. dr. Jan Rymarkiewicz; jest-to rozbiór jednego z wierszów Miaskowskiego i z tym wierszem związana wiadomość bibliograficzna o spolszczonym Szkocie Lechowiczu; 6) *Fenicyanie i ich misya cywilizacyjna* w starożytnym świecie przez A. de Chambrier, przełożył wydawca. Tłomaczenia z niemieckiego są wielce niepoprawne; język chodzi jak w pętach, styl nie posiada swobody; a nadto jest jeszcze wiele niepoprawnych gramatycznie wyrażeń. Korekta też nie odznacza się wcale starannością.

— **Niewieście ideały poetów polskich**, szkice biograficzno-literackie przez *Walerego Przyborowskiego* (Warszawa, 1881, str. 272). Zdaniem autora, powtórzoném za wielu bardzo poprzednikami miłość „maluje nam może lepiéj charakter niż wszystko inne, daje wyborny, nieoceniony i niczém nie dający się zastąpić materyał do zbadania najskrytszych tajni duchowych ludzi i epoki.“ Z tém przekonaniem zabrał się do skreślenia dziejów serca trzynastu poetów naszych żyjących w przeciągu trzech ostatnich stuleci: Dantyszka, Morsztyna, Kochowskiego, Karpińskiego, Kniaźnina, Węgierskiego, Trembeckiego, Malczewskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Gaszczyńskiego i Wasilewskiego. W około tych nazwisk mniéj lub więcéj sławnych grupuje autor około trzydziestu postaci kobiecych, kreśląc ich wizerunki, opisując ich charakter, opowiadając historyą ich duszy, o ile się ujawniła w stosunku serdecznym. Opisy te i opowiadania oparte są po większéj części na źródłach wiarogodnych i dają barwne i zajmujące obrazki tego, co już bezpowrotnie minęło a jednak żyje choć w części w utworach poetów. Nie wiemy, dlaczego autor wybrał tych a nie innych poeów, chociaż domyśléć się łatwo, iż tu jedynie zebrany materyał rozstrzygał. Nie można téż bezwarunkowo się zgodzić na pomieszanie tych sercowych stosunków, które znamy, że tak powiem z ich strony zupełnie rzeczywistéj, z temi, o których powiadamiają nas poeci w poezyach swoich. A przecież są-to rzeczy trochę różne. Tego co poeci mówią o swojéj miłości, a zwłaszcza o swych kochankach, niepodobna nigdy brać dosłownie, gdyż zamiarem ich nie było bynajmniéj kreślenie portetów, ale utworzenie pięknéj, artystycznie wykończonéj kompozycyi. Tymczasem cóż my wiemy o Grinei albo Jadze oprócz tego co Dantyszek lub Morsztyn o nich napisali. Należało osobno traktować postaci tego rodzaju, pokazując, jak poeci *pojmowali* miłość, a osobno przedstawiać historyą kobiét znaną z wiarogodnych świadectw na dowód, jak w rzeczywistości kochali. W ogóle mówiąc pod względem krytycznym wieleby można zrobić zarzutów autorowi, który nie zawsze ściśle się liczy ze słowami, traktując rzeczywistość jak powieściopisarz; ale ponieważ p. Przyborowski studyum naukowego nam nie obiecywał, więc można go z usterek nienaukowości rozgrzeszyć a przyznać natomiast, że pisze gładko, łatwo, opowiada w sposób zajmujący i tym sposobem daje książkę poczytną, interesującą i do pewnego stopnia pożyteczną.

— **W sprawie pisowni Polskiej** (odbitka z Tygod. Illustr. Warsz. 1881, str. 31) zabrał głos *Stary pedagog*, bardzo żywo, gorąco, a częstokroć bardzo zręcznie i dowcipnie przedstawiając chaos, jaki w dziedzinie ortografii naszéj panuje. Zacną myślą nacechowane

wystąpienie „Starego pedagoga“ niewątpliwie wszędzie znajdzie rzetelne uznanie, każdy mu przyzna słuszność i zgodzi się z nim, że ta dowolność i ta rozmaitość, jaka się w ostatnich trzech dziesiątkach lat zagnieździła w czasopiśmiennictwie i w wydawnictwach książkowych, powinna i musi być usuniętą; że panienka która w tym samym zakładzie naukowym może posłyszéć zalecenie trojakiego sposobu pisania swego imienia *Marya*, *Marja*, *Maryja* przebywa całkiem niespodziewanie i niepotrzebnie „prawdziwą entomologiczną metamorfozę“, co do ustalenia jéj pojęć ortograficznych wcale się nie przyczyni... I na kilka jeszcze innych trafnych uwag każdy się podpisze, ale dodać winniśmy, są w owéj książeczce i takie wywody, które nam do przekonania nie trafiły, jak zarzut zrobiony wychowańcom Szkoły Głównéj, iż bez rozpraw i roztrząsań wywiesili chorągiew jawnego nowatorstwa, albo argumentacya przeciw pisowni rzeczowników na—*yja*—*ija* itp. Ale są-to rzeczy w dobréj wierze wypowiedziane i bez pretensyi decydowania, winny więc być wysłuchane w sprawie ustalenia pisowni, którą niewątpliwie zająćby się należało tak dawno wzywanéj do tego Akademii Umiejętności w Krakowie.

— Zanotujemy tu kilka świeżych wydawnictw całkiem pobieżnie, zastrzegając sobie na późniéj ocenę obszerniejszą. Oto z działu **poezyi** ukazały się dwa nowe zbiorki: jeden p. *Maryi Konopnickiéj* (str. 307, nakładem Gebethnera i Wolffa), drugi *Czesława* (str. 90), w Krakowie, nakład Anczyca). Z działu powieści zasługują przedewszystkiém na zalecenie losem biednych, uciśnionych zajmujące się humoreski zawarte w pierwszym tomie **Pism Bolesława Prusa** (Warsz. str. 304: *Przygoda Stasia*, *Antek*, *Michałko*, *Sieroca dola*, *Powracająca fala*). Daléj nie podobna nie wspomniéć trzeciego wydania dwu dzielnych satyr *Jana Lama* (nakładem Gebethnera i Wolffa), chłoszczących stosunki galicyjskie, a mianowicie: *Wielki świat Capowic* i *Koroniarz w Galicyi*; są-to niewątpliwie najlepsze z utworów tego utalentowanego humorysty. W końcu zanotować wypada drugi tom **Studyów estetycznych** *Wojciecha hr. Dzieduszyckiego* (we Lwowie, nakład księgarni polskiéj, str. 266) zajmujący się zobrazowaniem sztuki weneckiéj, rzymskiéj chrześcijańskiéj i nadreńskiéj. Tom ten dopełnia i kończy jak na teraz pracę p. Dzieduszyckiego.

— **Z dziedziny praw kobiety. O prawie assystencyi męża** napisał *Adolf Suligowski*, Warszawa, 1881, str. 51. Małą tę książeczkę przeczytaliśmy z przyjemnością. Wiadomo, że według obowiązującego u nas prawa cywilnego, kobieta z chwilą wstąpienia w związki małżeńskie staje się niezdolną do samodzielnego spełniania czynności prawnych cywilnych, czyli że potrzebuje zezwolenia męża, a w nie-

których razach upoważnienia sądowego. Kobiéta, która jako panna pełnoletnia mogła dowolnie rozporządzać swym majątkiem, która jako wdowa ma prawo i musi działać sama, na czas trwania związku małżeńskiego ulega nieracyonalnym a szkodliwym nieraz w swych skutkach ścieśnieniom. Wytknąć niesłuszność tych przepisów, wskazać punkta, wymagające najnaglej zmiany w istniejących przepisach, takie było zadanie autora, którego dokonał, przemawiając w imię logiki i zwracając się do uczucia sprawiedliwości. Przykłady, wzięte z praktyki życia, oraz zasady uświęcone w prawodawstwach innych krajów, mianowicie w najnowszych kodeksach saskim i włoskim posłużyły p. Suligowskiemu do lepszego udowodnienia tezy, któréj szlachetnie i wymownie broni.

= *Dr. Fritz Schultze.* **Die Sprache des Kindes.** *Eine Anreung zur Erforschung des Gegenstandes Lipsk 1880.* Badanie mowy dzieci może rzucić światło na sporną kwestyą pochodzenia języka. W pytaniu, dlaczego dziecię nie mówi, spotykają się wszystkie nierozwiązane zagadnienia antropologiczne, psychologiczne i w ogóle filozoficzne; inaczéj zaś na to pytanie odpowiedziałby Platon, inaczéj Locke lub Darwin. Można odpowiedzieć i poprostu: dziecię nie mówi z powodu niedostatecznego rozwoju ciała oraz umysłu. Już, biorąc na uwagę płuca, widzimy, że narząd ten u dziecka nie odpowiada jeszcze wymaganiom języka artykułowanego; brak tu jeszcze mocniejszego strumienia powietrza wydychanego, następnie zaś strumień ten jest nieuregulowany jeszcze. Co się tyczy rozwoju muskulatury gardła, języka, warg, jako też rozwoju słuchu, autor powołuje się na dzieła: *W. Wundta Physiologie d. Menschen; Sievers'a Grundzüge d. Lautphysiologie; S. Vierordta Physiologie d. Kinderalters*; *S. Henkego*, *zur Anatomie d. Kindesalters; Gerhardt'a Handbuch d. Kinderkrankheiten.* Ze względu na rozwój słuchu ważną jest rozprawa *Preyer'a z Jeny: Psychogenesis D. Entwicklung d. Menschen in d. ersten Lebensjahren.* („Deutsche Rundschau" kwiecień 1880). Następnie co do mózgu, to i on bierze udział w mowieniu, które jest ruchem mięśni, świadomym i celowym, mającym przeto swój organ centralny w półkulach wielkiego mózgu, czego dowiodły badania *Hitziga* i *Fritzscha*, *Nothnagla*, *Ferriera* itd. oraz badania nad afazyą. Choroba ta polega na niemożności wymawiania wyrazów, przyczém zwykle ma miejsce uszkodzenie mózgu. Otóż ta sama część mózgu u niemowlęcia jest niedostatecznie rozwiniętą. Przytém psychiczny cały rozwój dziecka jest tak nieznaczny, iż on nie może wprawić w ruch narządów językowych: dziecię nie ma jeszcze co mówić, treść pojęciowa nic stanowi tu napięcia, dążącego do wyzwolenia. Całe zasoby czuciowe wyzwalają się przez krzyk. Przez jakie 15 miesięcy dziecię znajduje

się w tym stanie, który jest właściwy zwierzętom przez całe ich życie; a tak rozwój fizyczny idzie ręka w rękę z psychicznym. Już i to, co językiem zowiemy, ma swoje dalsze rozwojowe jakoby okresy: *mimika* (ruch mięśni twarzowych), *gestykulacya* (ruchy członków), *wykrzykniki* i *modulacya głosu.* U ludów niewykształconych te rodzaje języka odgrywają wielką rolę. W krzyku dziecka rozeznać też można gniew, ból lub głód. Powoli znika język gestów i wykrzyknikowy a występuje artykułowany; ale jednak zdolność języka gestów jest ważna, jeśli dziecię urodziło się głuchém i przeto pozostanie niemym człowiekiem. Każde głuchonieme dziecię ma swój własny język, dopiéro szkoła sprowadza gesty do jednego języka, który się ma do szczegółowych jak język literacki do dyalektów lokalnych. Pełny język gestów liczy około 5.000 znaków (*Tylor*). Atoli widoczna, iż czystych abstrakcyj w tym języku oddać nie można; to też i myślenie głuchoniemych jest ograniczone. Rzeczą metody jest dążyć do wyzwolenia ducha tych nieszczęśliwych ze strasznych więzów. Ciekawém jest, iż głuchoniemi europejscy umieją się porozumiéć z Chińczykami lub Lapończykami głuchoniemymi. Nauka języka u dziecka przypada na 6, 7 i 8 kwartał po urodzeniu. Zaznacza się tu, iż: 1° dziewczęta prędzéj i łatwiéj uczą się mówić; 2° nauka języka dźwiękowego następuje po nauce biegania: zadanie lingwistyczne otwiera się wtedy, gdy zadanie lokomocyi zostało skończone. U dzieci rachitycznych porządek jest odwrotny. Nie należy jednak terminów tych brać zbyt dosłownie. Teraz autor rozbiera kolejno występujące peryody rozwoju dźwięków, począwszy od najelementarniejszego *e* (ä); następnie z rozwojem słuchu prawie w środku 1° kwartału dają się słyszéć: *ma*, *ba*, *bu*, *mamamama*,—*babababa*... *bububu* (przyczém niewiadomo czy tu jest *b*, czy *w*); następnie zjawia się: *appa-appa-appa*... *anne-anne-anne* i także *ebub-ebub-ebub*...; niebawem drgania warg wytwarzają *brrrr*... i może jeszcze gardłowe *erre-erre*... W 3-m kwartale zjawia się nowa faza. Coraz wyraźniéj kształci się zmysł słuchu, bierne przysłuchiwanie staje się czynném słuchaniem, zaczyna się uważanie. Dziecię nabiera interesu do dźwięków i tonów; słyszy na dziedzińcu szczekającego psa i wyciąga ręce do okna, pragnie tego psa zobaczyć. Ileż wtedy rozkosznych scen przedstawia się kochającym rodzicom! Silniéj pobudzone dziecię, przysłuchując się, wydaje dźwięki nowe jeszcze *bebebebe*... *dedede*... a także *fu-fu fu.* Wszystkie te nowe dźwięki, równie jak i poprzednie wymawiane są z daleko większą siłą teraz. Tak więc rezultatem 3-ch pierwszych kwartałów są dźwięki *ma*, *bu*, *apa*, *anne*, *ebub*, *be*, *fe*, *fu*, *fbu.* Niebawem po wymienionych wargówkach występują językowe: *d* i *n.* Pytanie, czemu dziecię skłonniejsze jest do wymawiania war-

gowych i językowych spółgłosek? Chyba dlatego, że już ssanie wzmacnia muskulaturę języka oraz warg. Zadziwiać może, iż te same spółgłoski spotykamy u niektórych pierwotnych narodów; i tak wyspiarze z Rimatura, Rurutu, Tubuai, Raivattai (*Waith*, *Anthrop*, *Peschel— Völkerkunde*) mają 7 spółgłosek tychże, a Maori z Nowéj Zelandyi prócz tego *K*. Ciekawéj pracy autora nie możemy wyczerpywać, notujemy tylko fakt, iż wprowadzenie badania nad językiem dzieci na drogę czysto umiejętną może mieć niemałe znaczenie psychologiczne, lingwistyczne a ostatecznie i pedagogiczne. Cała praca d-ra Schultzego składa się ze spostrzeżeń iście przyrodniczych, wiedzie nas do ważnych psychologicznych wyników, które wszędzie prawie kontrolowane są przez porównania etnologiczne. Tego rodzaju metoda traktowania przedmiotu wymaga znacznych naukowych przygotowań i pod tym jedynie warunkiem może zapewnić powodzenie.

= *Dr. M. Perlbach*. **Bericht über eine für das Pomerellische Urkundenbuch übernommene Reise nach Polen**. (*Gdańsk 1880*). Dr. Perlbach znany autor *Regestów Pruskich* podjął się wydania Kodeksu dyplomatycznego wschodnio-pomorskiego, którego potrzeba tém bardziéj się uczuć dawała, iż tak Dyplomataryusz Pomorski *Hasselbacha*, jak uzupełniające go Regesta *Roberta Klempira* tylko do r. 1253 sięgają. Aby zbiór swój o ile możności kompletnym uczynić, przedsięwziął p. Perlbach podróż po archiwach polskich. Krótkie bo na 20 stronach mieszczące się sprawozdanie z niéj ma jednakże i naukowe znaczenie. Autor bowiem umieścił w 4 dodatkach: 1) wyliczenie pruskich dokumentów z XIII wieku w archiwum kapitulném we Włocławku się znajdujących, 2) Wykaz „Prussiców" przechowywanych w archiwum głównéin warszawskiém, 3) spis dyplomatów pruskich stanowiących część zbiorów biblioteki Czartoryskich w Krakowie, w czwartym nakoniec dodatku wydrukował list rady miejskiéj Elbląskiéj z 20 lipca r. 1410 do Władysława Jagiełły, będący ważnym przyczynkiem do wypadków, które bezpośrednio po bitwie pod Grünwaldem nastąpiły. Tego zapewne jeszcze roku kodeks dyplomatyczny wschodnio-pomorski w handlu księgarskim się pojawi.

= **Das Höfische Leben zur Zeit der Minnesinger, Dr. Alwin Schultz** 2 *Tomy. Lipsk. 1879, 1880 r.* Dr. Schultz profesor historyi sztuki w uniwersytecie Wrocławskim przyczynił się, jako wydawca pierwszéj części dzieła „Die Schlesischen Siegel" (do r. 1250), obecnie przez Dr. Pawła *Pfotenhauera* dokończonego (do r. 1300), do znajomości sfragistyki polskiéj, jak również artykułami ogłaszanemi w „Zeitschrift des Vereins für Geschichte und Alterthum Schlesiens" do historyi

sztuki szczególniéj we Wrocławiu, obecnie wydał dwutomowe obszerne dzieło, które ze wszech miar na uwagę i uznanie zasługuje. Jak autor w przedmowie słusznie zauważył, zajmowano się dotychczas głównie średniowieczną archeologią kościelną, tak, że pod tym względem nie wiele pozostaje już do zrobienia, gdy tymczasem ta dziedzina, którą, jeśli o Grecyi lub Rzymie mówimy, nazywamy starożytnościami a to bądź prywatnemi bądź wojskowemi, jest co do średnich wieków zupełnie niemal zaniedbana. Lukę tę zatém co do okresu od r. 1150 do końca w. XIII ma niniejsze dzieło zapełnić. Źródłami, które autorowi do spełnienia postawionego zadania służyć mogły, były przedewszystkiém rymowane romanse, będące, nawet gdy przedmiot z dziejów starożytnych traktują, wiernem odbiciem obyczajów i stosunków epoki, któréj swe powstanie zawdzięczają. Prócz nich wyzyskał p. Schultz cały zasób kronik i roczników, a o ile się dało, nie omieszkał korzystać z bezpośrednich źródeł, które lubo w małéj ilości się dochowały, to przecież jeżeli z należytą krytyką użyte, wiele nowych szczegółów dostarczyć mogą. Między tą kategoryą źródeł, jako najbardziéj chronologicznie określone uważa słusznie autor pieczęcie, które z powodu odcisków na nich zamieszczonych a najczęściéj przedstawiających osobę właściciela, jako dokładne źródło archeologiczne w wielu wypadkach się zalecają. Zadaniem zatém dzieła profesora Schultza jest przedstawić prywatne stosunki ludzi w obranéj przez siebie epoce, ich materyalne i moralne potrzeby, występowanie na zewnątrz, sposób i środki wojowania, a zatém broń, obwarowania, okręty wojenne i t. d. W istocie wszystkie niemal pytania, jakie sobie w tym względzie zadać możemy, w dziele niniejszém są uwzględnione począwszy od opisu mieszkań, ogrodów, wychowania dzieci, chrzcin, przyborów do ubierania się, uczt, zabaw, polowań, podróży, stosunków miłosnych, turniejów, wojen, musztry, żeglugi, oblężenia, aż do pogrzebów wszystko malowniczo, dokładnie i zajmująco jest przedstawione, autor raczéj przekracza zakres swéj pracy niż go ścieśnia, dodaje bowiem przy każdym rozdziale wiadomości, odnoszące się do życia u chłopów, chociaż z tytułu sądząc trudno się ich było spodziewać. Niezmiernie liczne ilustracye do lepszego zrozumienia jasnych zresztą wywodów Schultza pomagają. Mimo formy ściśle naukowéj, książka Schultza czyta się łatwo, a niektóre jéj rozdziały jakby żywcem wyjęte ze średniowiecznych romansów poetycznych. Dla każdego chcącego poznać wieki średnie z ich wewnętrznéj strony, dzieło to jest niezbędném, pozwala nam przenieść się myślą i wyobraźnią w czasy Fryderyka II, Filipa Augusta lub Ludwika Świętego, uprzytomnia nam ówczesne życie we wszystkich jego kierunkach i tém

samém pomaga utworzyć sobie tło, na którém historyczne wypadki barwniéj i żywiéj występują.

= *Marius Fontane.* **Histoire Universelle.** *Tome I Inde Védique (de 1800—800 av.-I. C.). Paryż. 1881.* Książka obecna jest pierwszym tomem wielkiego dzieła historycznego, które p. Fontane w 16 częściach odrębnych zamierza dokonać. Dotychczas nie mieli Francuzi w swéj literaturze historycznéj dzieł odpowiednich wielkim historyom powszechnym niemieckich autorów, jako-to: Beckera, Schlossera, Webera, Weissa etc. Czy jednakże dzieje powszechne pana Fontane ogarną istotnie stosunki dziejowe wszystkich ludów i zdołają dla szerszych sfer zastąpić opracowania historyi poszczególnych krajów, jest z tomu, który się już ukazał, dość wątpliwém, a wątpliwość ta bardziéj jeszcze staje się podstawną, gdy rozważymy program całego wydawnictwa. Tomy następne takie mają tytuły: II Iraniens, III Egypte, IV Asiatiques; V Grèce, VI Rome, VII Christianisme, VIII Barbares, IX Mahomet, X Papauté, XI l'Europe, XII-les Croisades, XIII la Renaissance, XIV la Réforme, XV la Rovolution, XVI Dix-Neuvieme siecle. Dziejom starożytnym zatém 6 tomów, średnim wiekom 7, a nowożytnym czasom tylko 3 tomy poświęcone zostaną. Prócz tego wybrane są tylko pewne wybitne epoki i te tylko mają znaleść uwzględnienie. Tytuł zatém dany przez autora całemu przedsięwzięciu „Histoire universelle" nie jest zupełnie odpowiednim, przynajmniéj nie należy go w ten sposób rozumiéć, jak niemiecką „Weltgeschichte." O stanowisku autora poucza nas przedmowa wprawdzie nie przez niego lecz przez wydawcę podpisana, w któréj jednakże niewątpliwie własne zapatrywanie się p. Fontane czytelnikowi zostaje objawione. Otóż autorowi głównie na tém zależy, aby dzieło jego nie potrzebowało się lękać przestarzenia, aby było poniekąd „définitif." Celu zaś tego spodziewa się p. Fontane w ten sposób dopiąć, jeżeli się oprze na pewnych i niezaprzeczonéj wartości opracowaniach, które także mogą rościć pretensye do przydomku „définitif." Nie jest to zapewne zła metoda i ostatecznie każden kompilator, jeżeli tylko jest sumienny, jéj się trzymać musi, ale nadzieje na téj podstawie oparte często zawodzą, ponieważ najniespodziewańsze odkrycie burzy wnioski i zdania uchodzące dotąd za niezbite, i o żadném dziele naukowém powiedzieć się nie da, iżby ono było w pewnéj kwestyi ostatniém słowem. Z tego stanowiska autora wynika, iż nie chce sądzić i oceniać wypadków, lecz je przedmiotowo w pewnych grupach na podstawie téj literatury, którą co do nich za ostatnie słowo nauki uważa, przedstawić. W piérwszéj części „Inde védique" mamy osnuty obraz dziejów Indyi na podstawie najdawniejszych pieśni tworzących Vedę. Jest-to zatém tylko część

tych dziejów, która zwykle jako wstęp do właściwéj historyi Indyi służy, mimo to autor poświęcił jéj 383 stron, dalsze zaś dzieje pomija. Trzeba przyznać, że przedmiot do przedstawienia dość trudny zajmująco i przystępnie został przez pana Fontane opracowany, lecz co uważać można za zaletę, gdybyśmy wiedzieli, iż autorowi zależało właśnie tylko na przedstawieniu historyi Indyi na podstawie Wedy, to staje się wadą, gdy wiemy, iż książka ta jest tylko częścią dziejów powszechnych. Historya Indyi mało u nas jest znaną. Najwięcéj uwagi poświęcają jéj Anglicy, którzy szczycą się wielu w tym przedmiocie znakomitymi uczonymi, jak Colebrooke, Thomson, Monier, Dowson, Muir, Max-Müller; Francuzi mogą wymienić Eugieniusza i Emila Burnouf, Barth'a, Regnaud; a Niemcy, którzy więcéj samym językiem sanskryckim, zacząwszy od Boppa, się zajmują, mają także kilku wybitnych na tém polu uczonych jak Lassen, Weber, Ludwig, Lefman. Wedy szczególniéj są już tak dokładnie opracowane i objaśnione, iż popularne przedstawienie dziejów Indyi na ich podstawie, jest już na czasie. Dzieje te jednak wcale inaczéj się przedstawiać muszą, niż innych narodów ze względu na rodzaj źrodeł, które do nich służą. Przedewszystkiém o chronologii choćby tylko w przybliżeniu mowy nie ma. Co najwięcéj można mówić o wzajemném następstwie wypadków, w pieśniach wedyjskich uwidocznionych. Trzeba zatém dobrze opanować przedmiot, aby go nie uczynić dla czytających zbyt nużącym i nieprzystępnym. W tym względzie trzeba p. Fontane przyznać, że się z zadania bardzo dobrze wywiązał; książka czyta się z zajęciem i daje dobry obraz treści i istoty Wed. Autor wystrzega się wszelkich przypisków, aby opowiadania nie przerywać, ale w inny i to oryginalny sposób czyni zadość i wymaganiom naukowym. Od str. 386—426 mieści się bowiem index, który właściwie jest ułożeniem w porządku alfabetycznym wszystkich kwestyj w tekście poruszonych z dodaniem najnowszéj literatury i najważniejszych spornych zapatrywań. Jest-to bardzo dobry pomysł także i z tego względu, że tego rodzaju indeks jest niejako streszczeniem całego dzieła i może być sam dla siebie z korzyścią przeglądanym. Nasuwa się nam nakoniec porównanie z odpowiedniém dziełem w literaturze niemieckiéj t. j. z historyą Indyi przez prof. Lefmana, któréj pierwszy zeszyt, jako część zbiorowego wydania „Allgemeine Geschichte in Einzeldarstellungen" jeszcze w r. 1879 się ukazał. Przedmiot książki p. Fontane stanowi pierwszą część dzieła prof. Lefmana i o ile z pierwszego zeszytu sądzić można nie wiele krócéj będzie w niém traktowany. Przyznać jednak musimy, że niemiecka historya Indyj ma więcéj cechę naukową i bardziéj systematycznie jest ułożona, a z tego powodu i bardziéj

jest pouczającą. Dodatnią stronę niemieckiego wydawnictwa stanowią także liczne ilustracye, które szczególniéj przy dziejach starożytnych do lepszego zrozumienia przedmiotu wielce są pomocne; przy dziele p. Fontane dwie tylko mapki w bardzo małym formacie są dołączone. Z drugiéj strony forma u p. Fontane jest udatniejszą i posiada wszystkie te zalety, które zwykle francuskie opracowania od niemieckich odznaczają. Bardzo jest ciekawém, jak się p. Fontane z następnych części podjętego przez siebie zadania wywiąże.

PRZEGLĄD DRAMATYCZNY.

Przedstawiona w początkach maja na scenie teatru Rozmaitości *Helvia* W. Okońskiego (Aleksandra Świętochowskiego) wywołała poklask powszechny i gromadzi do téj pory, w któréj to piszę, licznych widzów i słuchaczów. Repertoar zyskał w téj sztuce nabytek bardzo cenny i przyznano to powszechnie. Zarówno treść i forma jak i wykonanie sceniczne dają rzecz tak piękną i tak wykończoną, że nietrudno jéj rokować długiego powodzenia.

Nie potrzebuję tutaj zastanawiać się nad ogólnemi rysami talentu Okońskiego jako dramatyka; dawniéj już w tém piśmie (rok 1880, zeszyt styczniowy: „Młode siły") starałem się je nakreślić; tak że obecnie mogę rozbiorem saméj tylko Helvii się zająć.

Córka rodu „którego połowa swą krew na ołtarzu rzeczypospolitéj wylała," dwudziestoletnia Helvia, obdarzona sercem namiętném i gwałtownem, wyobraźnią bujną i świetną, umysłem wykształconym i subtelnym, trzykrotnie na drodze swéj spotyka „boga niezwyciężonego" jak nazywano Juliusza Cezara, wielkiego wojownika na polu bitwy, wielkiego serc pogromcy na forum i w komnatach. Poznaje go w okresie chwały największéj po pokonaniu potężnych spółzawodników, święcącego tryumfy. Raz widzi go na pogrzebie swego ojca, jak zbliża się do płaczącéj i mówi łagodnie a czule: „Ziemia długo cieszyła się twym ojcem, Helvio, niech teraz niebo się ucieszy. Nie płacz, bo on prosi bogów, ażeby ciebie nam nie zabrali." Potém żegna Cezara wybierającego się na wojnę, zapewne przeciwko Pompejanom; Cezar odwraca się i przesyła jéj wzrokiem tak serdeczne i tak wymowne pożegnanie, że po wielu miesiącach mówić o niém spokojnie nie może. A jak to spojrzenie, tak i owe słowa wyryły się niezatartemi ślady w jéj umyśle i nie odstępowały jéj nigdy, podnosząc bohatera na wyżyny bóstwa. Wreszcie widzi go po raz trzeci

wśród uroku zwycięstwa i upojenia tryumfem, krew jéj kipi warem, traci świadomość niemal w „dreszczu szalonéj rozkoszy.“ Gdy koło niéj przechodził, zamknęła powieki, lecz słyszała, jak mijając ją powiedział: „W tém wielkiém morzu ludzi, jak nurek odrazu dostrzegłem najpiękniejszą perłę. Ach, gdyby łaskawy bóg ozdobił nią dziś laur mego tryumfu!“ Helvia życzeniem tém się nie obraża, ono jest wyrazem i jéj gorących pragnień a wychodząc z ust bohatera—bóstwa, traci wszystko, coby miało w sobie ubliżającego, gdyby z ust zwykłego śmiertelnika wychodziło. Helvia wyznaje głośno, że bogi dając Cezarowi geniusz, dały mu prawo panowania nad ludźmi i że co do niéj wolałaby być zgnieciona stopami bohatera, niż wzniesiona ramionami tchórza. I nie dlatego bynajmniéj, jakoby czuła swoję małość, swoję nicość! Nie! Helvia ma świadomość swéj piękności i jéj potęgi. „Gdybym spojrzawszy w zwierciadło najmętniejszéj wody—powiada o sobie do niewolnicy—spytała je o wróżbę, powiedziałoby mi niezawodnie, że nie ma śmiertelnika, któryby wezwaniem ode mnie wzgardził.“ Ona oczarowana była tym nieprzepartym urokiem, jaki rzuca na ludzi wrażliwych siła i bohaterstwo. Wszak jéj niewolnica Mira, córa zimnéj północy, ujrzawszy Cezara, mówiła do swéj pani: „Helvio, straszny-to człowiek! Oko jego pali, głos nawskroś przenika, a każde słowo rozkazujące, jak gdyby je grzmot poprzedzał, lub łagodne, jak gdyby je zefir przynosił. Zdaje się, że jego wola bogów-by strwożyła, a boginie w objęcia-by mu ściągnęła.“ Toż nie dziw, że córa gorącego południa płonie „jak słup ognia,“ omdlewa z roskoszy, każe zasłonić okna, zamknąć drzwi, ażeby żadną szczeliną nie wybiegł z komnaty ani jeden krzyk jéj wzburzonéj piersi, a przed niewolnicą piastunką niegdyś swoją, nie jednym krzykiem, ale całym potokiem słów wezbrane uczucia wylewa. O niczém mówić, o niczém myśléć nie może, jak tylko o owém spotkaniu i dziwi się, że niewolnica wykrzyków jéj nie rozumie, że nie wie, o kim pani jéj tak długo w rozmarzeniu opowiadała. W jéj upojeniu wielką rolę grają zmysły, ale większą jeszcze wyobraźnia, która wszystkie przedmioty i wszystkie okoliczności, odnoszące się do owéj wielkiéj chwili spotkania w blaski, słoneczne ubiera. Według niéj niebo na przyjęcie Cezara „oblokło się w całą swą jasność, ziemia rozpromieniła się weselem najrozkoszniejszéj zalotności, boginie przesyłały mu z po za obłoków miłosne uśmiechy, listki wawrzynu, pieszcząc jego dumne czoło, nienasycone pocałunkami, drżały upojone ich słodyczą.“ A cóż dopiero sam tryumfator! „On jak Mars w ludzkie ciało przybrany, rzucając spojrzeniami błyskawice, *przed któremi oko słońca się zmrużyło*, i barwiąc zwrócone do niego twarze rumieńcami szczęścia, jechał wspaniały do świątyni, prując zwolna oblewa-

jące jego rydwan fale narodu!... Gdy znikł w murach kapitolu, zdawało jéj się, że za nim wszystko powietrze tam wbiegło"... Czyż-to nie szał wyobraźni? A rozwaga? Rozwaga kiedy-niekiedy przelotnemi, właściwemi sobie błyskami, przerzyna to morze jasności fantazyjnéj, ażeby tém bardziéj uwydatnić kontrast pomiędzy tém, co inni ludzie widzą, a tém, co rozigrana wyobraźnia wytwarza... To na czoło Helvii ogień jéj twarzy „rzuca łunę wstydu"; to przy dotknięciu zimnego marmuru przedstawiającego popiersie jéj ojca budzi się strach w jéj duszy tak że każe niewolnicy wynieść „posągi ojca i bogów" z komnaty; to znów przypomina sobie, że dla matki, brata i narzeczonego Cezar jest mordercą rzeczypospolitéj, którego „oni nie mogąc żelazem sztyletują przynajmnéj złorzeczeniem" i zakazuje Mirze wspominać imię Cezara wobec matki, brata i narzeczonego... To wszystko przychodzi jéj na myśl chwilami, ale nie przeszkadza sofistyce wyobraźni, tym napomknieniom rozwagi, przeciwstawić misterną tkaninę złudnych fantazmatów. Posągi ojca i bogów wyniesie się; rodzinie nazwiska nowego bóstwa się nie wspomni, a zobowiązanie względem narzeczonego zaspokoi się uwagą, że „miłość żon dla bohaterów nie powinna być obrazą dla mężów"... Uwaga, godna występku popełnionego w wyobraźni.

Ale występek mógł się spełnić i w rzeczywistości, gdyby budząca się namiętność napotykała przeszkody tylko myślowe, abstrakcyjne, gdyby przeciw czarowi rzuconemu przez wielkiego męża walczyły tylko idee ogólne, niezwiązane ściśle z osobą oczarowaną. Ażeby wzburzone fale piersi do równowagi przyprowadzić, ażeby przeciw uosobionemu urokowi skutecznie wystąpić, muszą te idee ogólne w ciało się zamienić, muszą tak blisko ziemi się dotknąć, że już żadna sofistyka usunąć ich nie potrafi. Na wytrzeźwienie umysłu nic tak dobrze nie działa jak żywe bezpośrednie wrażenie, zostające w przeciwieństwie z marą fantazyi. Bez walki wewnętrznéj tu się nie obejdzie. Wyobraźnia wszelkiéj możliwéj broni użyje, ażeby marę swoję zabezpieczyć od ciosów, ale jeżeli w człowieku oprócz téj „poetycznéj łgarki" jest serce i rozum; to zwycięstwo nie po jéj stronie.

Helvia walczy sama z sobą, czy ma wezwać Cezara na schadzkę, czy nie, gdy przychodzi jéj matka Kryspina, matrona zacna, godna imienia Kornelii, patrycyuszka nienawidząca całą duszą Cezara, co w motlochu szukał narzędzia do wyniesienia się. Słowa jéj nabrzmiałe uczuciem brzmią jak pobudka powołująca wolnych do zrzucenia jarzma nałożonego przez uzurpatora: „Służalcze dusze prześcigają się w lizaniu stóp swego pana, jakgdyby senat rzymski był psiarnią dyktatora, a naród jego zwierzyną. Boże opiekunie! ciśnij cho-

ciaż w bezwstydne oczy prochami wielkich synów rzeczypospolitéj, niech bezkarnie nie krzywdzą ich pamięci swojém przedajném poddaństwem! Panuj Cezarze, jeśli nie znajdzie się ani jedna ręka, któraby ci podaną przez podłość koronę z głowy strąciła...“ Matka powiada Helvii, że jéj brat ukochany Scypion, za kilkadziesiąt wierszy satyrycznych na Cezara, został uwięziony i przed sądem ma stanąć.

To pierwszy powiew wytrzeźwiającéj rzeczywistości. Silnym on jeszcze nie jest. Fantazya wynajdzie w nim wiele stron słabych. Najprzód rzecz-to niepewna jaki wyrok sąd wyda, a powtóre wykonanie wyroku zależy od Cezara a „bohaterowie brzydzą się zemstą na słabych. Jeśli Cezar chce rzeczywiście przywdziać purpurę, to przecież nie będzie swego królewskiego płaszcza kąpał w krwi takich jak Scypion jagniąt... On o jego uwięzieniu nic nie wie, bo-by go z pewnością natychmiast starał się uwolnić..“

Tak sobie myśli Helvia, i postanowiwszy wezwać Cezara na schadzkę, aby go prosić o uwolnienie brata, wysyła niewolnicę z tém zleceniem. W tém wchodzi narzeczony Licyniusz, młodzieniec, w którym „virtus romana“ połączyła się najściśléj z zamiłowaniem swobód rzeczypospolitéj. Dzielnym on jest i wymownym; przeciwko Cezarowi spiskuje. Helvia pełna nadziei pomyślnego załatwienia sprawy brata, nie wątpiąc, że u Cezara wszystko uprosi, obojętnie przyjmuje narzeczonego i nie waha się wyznać swego uwielbienia dla wielkiego bohatera. Rozmowa ta Licyniusza z Helvią, będąca wymianą pocisków wzajemnych, dotyczących osoby Cezara, doprowadza do zerwania węzłów, jakie łączyły narzeczonych. Licyniusz widzi z boleścią, że narzeczona jego tonie w zaślepieniu i mówi: „Bądź zdrowa, może nazawsze, bo nim zostałem twoim narzeczonym, już byłem obywatelem, a wolę pozostać republikaninem, niż mężem królewskiéj służebnicy. Kochałem cię bardzo, ale mniéj niż ojczyznę, jéj więc muszę cię poświęcić. Może ona mnie za to wynagrodzi ręką innéj, niewyrodnéj swéj córki. Ty bądź z kim chcesz szczęśliwa.“ A dowiedziawszy się, że Scypion uwięziony, dodaje szyderczo: „Brat w więzieniu za Cezara, a siostra w domu Cezarowi ze swych uczuć ofiary składa!“

Pozornie sądząc, rozmowa ta zmienia sytuacyą tylko zewnętrznie; ale głębiéj się zastanowiwszy, widzimy w niéj ważny w dramacie ruch naprzód. Utrata miłości i szacunku ze strony człowieka, co wedle saméj Helvii był jedynym w Rzymie mężem, którego po Cezarze kochaćby mogła, pognębia ją moralnie. Chociaż nic jeszcze nie wie o rezultacie poselstwa Miry, wyznaje sama przed sobą, co kryła starannie przed Licyniuszem, że w sercu boleść tylko czuje.

A jakkolwiek wiary w Cezara jeszcze nie traci, dusza jéj już jest przygotowana do zwrotu, który ma niebawem nastąpić.

Dzieje się to za sprawą brata Scypiona. Jest-to młodzieniec wesoły, dowcipny, lubiący brać wszystko ze strony komicznéj, zapalony do swobody, gardzący niebezpieczeństwami, przedrwiwający własne nieszczęścia, a tém lepiéj umiejący drwić ze śmieszności cudzych. Przyrzekł on bogom, że póty martwić się nie będzie, póki znajdzie w Rzymie choć jednego republikanina, któremuby mógł przeczytać wiersze na chwałę Cezara i nie obawiać się, że go zadenuncyuje. Otóż on opowiada siostrze, jak to Cezar, który „tyle długów płaci Wenerze ile Marsowi,“ jadąc przez miasto nie ominął żadnéj pięknéj buzi, nie rzuciwszy jéj miłosnego umizgu. „Gdy już załatwił się z ceremonią uroczystości i szedł do domu, spotyka Julią, cioteczną siostrę Licyniusza, i szepcze do niéj: *W tém morzu ludzi odrazu jak nurek...*

— Kłamie Julia—przerywa mu Helvia, która sądziła, że do niéj tylko owe miodowe słówka wystosował Cezar.

— Nie kłamie i nie Julia—odpowiada Scypion, tylko idący za nią zdaleka Licyniusz, który naprzód przypomniał Cezarowi, gdzie jego żona mieszka, a potém mnie i wielu innym zdarzenie opowiedział.

Cios ten był straszny, godził nie w próżność lecz w dumę kobiecą, przemieniał ideał bohatera w postać lubieżnika, który się uśmiecha do każdéj pięknéj twarzyczki. Wyobraźnia Helvii starała się wprawdzie jeszcze cios ten odeprzéć przypuszczeniem, że to co mówi Scypion jest plotką, i jako wielka sofistka żądała wielkim głosem prawdy! Ale usiłowania te były naprożne. Rzeczywistość niemiłosiernie rozdzierała iluzye. Brat skazany na wygnanie; Licyniusz i trzydziestu innych spiskowców również. Helvia nieruchoma przysłuchuje się opowiadaniu o tém, aż dotknięta w końcu szyderstwem Licyniusza, po chwili pasowania się z boleścią, z dumą upokorzoną, z nadziejami zawiedzionemi, składa przed swojemi upokarzające już teraz wyznanie, że „przez cały dzień dzisiejszy“ ubóstwiała Cezara a korzystając z naznaczonéj schadzki obiecuje pomścić wspólną krzywdę sztyletem. To jedna kara dla Helvii, ale jest i druga nie mniéj dotkliwa. Pozbywszy się mar wyobraźni, czuje, że kocha Licyniusza i sama teraz błaga o miłość wzajemną. A na to odbiera odpowiedź: „Nie tu,—tam, gdzie mnie twój jednodniowy kochanek wysyła, o to pytać i prosić mię możesz.“ Brat zaś zawsze złośliwy, dodaje na pożegnanie: „Helvio! jeśli nie do Cezara, przybądź do nas...“—a natomiast żegna się serdecznie z matką i ze starą niewolnicą...

Dramat cały zbudowany jest na zagadnieniu psychologiczném. Nie o Cezara i nie o obyczaje rzymskie tu chodziło, ale o walkę w duszy człowieka, która wszędzie mniéj-więcéj jednakowo się przedstawia. Nie ma tu działania zewnętrznego, ale jest potężny ruch dramatyczny wewnętrzny; autor postaciom swoim każe działać nie czynami, ale postanowieniami; stąd téż jedna z głównych osób całego dramatu, jedna z najlepiéj określonych i najdokładniéj znanych widzowi, sam Cezar, nie pojawia się na scenie, ażeby utrzymać akcyą w téj sferze wewnętrznéj, ażeby ją odpowiednio do zamiaru harmonijnie zakończyć. Gdyby Cezar był na scenie, wówczas cały rozwój dramatu innym byćby musiał; wówczas bowiem nie o marę wyobraźni chodziłoby, ale o istotny, rzeczywisty stosunek Helvii do Cezara. W tym stanie, w jakim autor go utworzył, dramat polega na właściwém pojęciu uczucia Helvii. Jeżeli je uważać będziemy za miłość prawdziwą, to wówczas wyda się nam Helvia istotą nader płytką, zmieniającą uczucia w przeciągu kwadransa, chociaż kochanek wcale się nie zmienił, gdyż tylko dotykalniéj wystąpiły te rysy, jakie jéj poprzednio z opowiadań w rodzinie były znane, wówczas i rozwiązanie wyda się mniéj właściwém. Jeżeli zaś uczucie Helvii poczytamy za chwilowe olśnienie wyobraźni, to zmiana jego nietylko dziwić nas nie będzie, ale okaże się konieczną wobec zetknięcia się bliskiego z rzeczywistością, wobec poruszenia takich uczuć głębokich i prawdziwych jak godność osobista, miłość brata, narzeczonego i miłość kraju. Wtedy rozwiązanie harmonijnie zaokrągli całość—za grzech wyobraźni utrata złudzeń.

Jeżeli w ten sposób zapatrywać się będziemy na Helvią, jeżeli w dramacie nie zechcemy szukać rysów specyficznie rzymskich, to wówczas i styl jednostajny, złożony z antytez i świetnych przenośni, nie będzie nas raził. Wszak i w tragedyi greckiéj, gdzie występują nie jednostki ale typy, styl jest jednakowy. Najwięcéj cech indywidualnych ma w dramacie Okońskiego Scypion, on téż wiele ożywienia dodaje dyalogowi patetycznie wogóle nastrojonemu. Inne postaci są raczéj typowe niż jednostkowe. Całość sprawia podniosłe, prawdziwie piękne wrażenie; gwałtownych uczuć nie obudza, ale szlachetne struny serca porusza.

Wykonanie dostrojone było w ogóle do miary pięknie napisanego utworu. Wszyscy aktorowie, z wielkiém przejęciem się i zrozumieniem rzeczy, odtwarzali powierzone sobie role. P. Kotarbiński jako Licyniusz wykazał swoje niepospolite uzdolnienie do ról, w których poza i gesta klasyczne dopomagać tylko mają pięknie deklamowanym słowom. Ani jeden odcień myśli, ani jedna subtelność wyrażenia, nie została przezeń w dykcyi zatracona. Rola ta, jak dotąd

jest najlepszą jego kreacyą. Zrobiłbym tylko uwagę, że w scenie ostatniéj, kiedy Licyniusz każe Helvii iść po śladach wyznaczonych przez niego przekleństwami na zbrodnie Cezara, niewłaściwém jest długie wahanie się i pasowanie się z sobą, wyrażone przez aktora ruchami skóry na czole i głowy, gdyż pomijając już niezbyt udatne wykonanie tych ruchów, nie są one wyrazem stanowczości, z jaką Licyniusz przemawia. Pannie Derynżance, która miała chwile bardzo szczęśliwe i z widoczną miłością odtwarzała postać Helvii, możnaby nasunąć to spostrzeżenie, że kauczukowe wyginanie tułowia celem wyrażenia omdlewania, nie przyczynia się do nasunięcia widzowi wrażeń estetycznych. Panu Prażmowskiemu za żywe i swobodne oddanie roli dowcipnego satyryka, należy się nadzwyczajne a pani Rakiewiczowéj za piękną deklamacyą—zwykłe dobrze zasłużone uznanie.

Piotr Chmielowski.

ODCZYTY W RESURSIE KUPIECKIEJ.

Kółko naturalistów warszawskich młodszéj generacyi, powzięło bardzo szczęśliwą myśl urządzenia szeregu odczytów popularnych z nauk przyrodniczych, wewnętrznie z sobą połączonych. Nie miały one stanowić systematycznego wykładu pewnéj części nauki, rozdzielonego na kilka lekcyj godzinnych, lecz miały to być szkice naukowe, z których każdy stanowił sam w sobie jakąś całość a jednak swą treścią łączył się z poprzednim i następnym i dawał materyał, na który można się było powoływać. Zamiar uskuteczniono, a mimo łączności odczyty odznaczały się wielką rozmaitością: na temata ich złożyły się: meteorologia, fizyka, geologia, paleontologia, historya pierwotnego człowieka, że pominiemy już geografią fizyczną, ogrodnictwo i chemią, z których wzięto temata do trzech ostatnich odczytów, niepowiązanych już przewodnią nicią z poprzedniemi. Nadto, seryi pięcioodczytowéj nie wykładał jeden naturalista, lecz pięciu; więc z jednéj strony sposób traktowania rzeczy i temperament każdego z prelegentów przyczyniały się do urozmaicenia charakteru odczytów, a z drugiéj, możliwém było reprezentowanie każdéj nauki przez specyalistę. Powodzenie, jakiego te odczyty w Resursie Kupieckiéj doznały, każe się spodziewać, że metoda urządzenia całego cyklu odczytów pozyskała już sobie u nas prawo obywatelstwa.

Sesyą rozpoczął zarówno piękny jak i gruntowny obrazek obecnego stanu i celów meteorologii.

P. Jędrzejewicz określił w krótkości meteorologią, jako naukę, mającą za przedmiot badanie zjawisk w atmosferze się odbywających, a opowiedziawszy o skutkach wywołanych działaniem słońca w atmosferze, przeszedł do wykazania znaczenia, jakie mają badania meteorologiczne pod względem klimatu danego miejsca na ziemi. Tutaj zwrócił on główną uwagę na spostrzeżenia dotyczące temperatury powietrza; z takich bowiem spostrzeżeń, przez dłuższy czas prawidłowo wykonywanych, można wyśledzić zmiany, jakim ulega przebieg temperatury w ciągu całego roku. Dla dokładniejszego objaśnienia wspomniał p. Jędrzejewicz o kreśleniu linij, przedstawiających bieg temperatury. Tak nakreślone linie przedstawił prelegent na rysunku dla kilku miejsc, ażeby wykazać różnice, w przebiegu temperatury zachodzić mogące. Jakoż nakreślił on linią całorocznéj temperatury dla Londynu i Nerczyńska, które to miasta leżą prawie pod jednakowym stopniem szerokości geograficznéj, ale mają przebieg temperatury bardzo od siebie odmienny; bo gdy w Londynie zima jest łagodna i lato umiarkowanie ciepłe, w Nerczyńsku temperatura zimy jest daleko niższa, a lato znowu gorętsze, niż w Londynie. Oba miasta noszą na sobie cechy dwóch różnych klimatów, morskiego i lądowego. Na klimat Londynu wpływa sąsiedztwo mórz blizkich, których wody wprawdzie wolniéj się ogrzewają, aniżeli powierzchnie lądu, ale téż wolniéj pozbywają się raz nabytego ciepła; z tego powodu łagodzą one srogość zimy, i wielkie upały lata. Warszawa ma klimat przejściowy; zima i wiosna okazują u nas wielką niestateczność, co głównie przypisać należy téj okoliczności, że w niektórych latach ma przewagę klimat lądowy, a w innych morski; powód zaś tego tkwi w ogólnym przebiegu stosunków atmosferycznych, które na jednéni i téni saméni miejscu powierzchni ziemi z roku na rok rozmaicie się układają. Znajomość biegu temperatury jest szczególniéj ważna w miejscach kuracyjnych; przytoczył téż p. Jędrzejewicz jako przykład Zakopane w Tatrach, które przez swoje wzniesienie nad poziom morza i otoczenie lasami, ma niezaprzeczenie wszystkie warunki przyjemnéj i czystém powietrzem obdarzonéj miejscowości. Przebieg temperatury w miesiącach letnich jest tamże podobny do tego, jaki ma Warszawa; wielka różnica daje się dopiéro spostrzegać przy przejściu od lata do zimy. U nas odbywa się to przejście powolniéj, aniżeli w Zakopanem, gdzie po lecie następuje dosyć szybko znaczne obniżenie temperatury.

Następnie zwrócił się prelegent do tych przyczyn, które wpływają na ogół zjawisk atmosferycznych na całéj powierzchni ziemskiéj.

Oprócz ciepła słonecznego, téj najgłówniejszéj i przeważnéj przyczyny owych zjawisk, wymienił jeszcze ciepło wewnętrzne ziemi, które jednakże w nader małym stopniu wpływać może na atmosferę. Wspomniał także o tém, że wiele zjawisk meteorologicznych starano się przypisywać plamom słonecznym i księżycowi. Występowanie plam na tarczy słońca i protuberancyj (wyskoków) na jéj brzegach, świadczy niezawodnie o wielkiéj i czynnéj walce żywiołów w skład słońca wchodzących, ale skutki téj walki w zjawiskach atmosferycznych mogą zaledwie być drugorzędne i nie mają tego stanowczego wpływu, jaki im niekiedy przyznawano. Za to plamy słoneczne, mające okres jedenastoletni, stoją w związku z objawami magnetyzmu ziemskiego i z zorzami północnemi, których najwięcéj pojawia się prawie równocześnie z wielką liczbą plam na słońcu. Księżycowi przyznawał prelegent więcéj wpływu na zjawiska atmosferyczne, aniżeli plamom słonecznym; powołał się przy tém na spostrzeżenia p. Kajetana Kraszewskiego w Romanowie podlaskim, z których wpływ księżyca na przebieg wspomnianych zjawisk, a osobliwie na ich zmianę nie ulegałby zaprzeczeniu. Co do tego punktu można nie zgadzać się z prelegentem; bo chociaż księżyc zawsze był uważany za czarodzieja, ciekawie wglądającego we wszystkie sprawy ludzkie, przecież wpływ jego na zmianę pogody lub słoty nie dał się jeszcze tak udowodnić, iżby zaprzeczeniu nie ulegał. Wprawdzie księżyc wywołuje przypływ i odpływ morza, może téż wywoływać podobne zjawiska w atmosferze, ale baczyć należy na to, że przypływ morza jest zjawiskiem bardzo statecznie powracającém, gdy tymczasem ze słotą i pogodą ma się rzecz odmiennie. Jeżeli zatém księżyc zdoła na masy wód morskich wywrzéć tak prawidłowe działanie, dlaczegoż nie czyni tego samego w oceanie powietrznym, skoro ma mieć tak wielki wpływ na niego, jaki mu przypisują? Bieg księżyca jest dobrze znany, a więc gdyby działanie masy księżycowéj na zjawiska atmosferyczne było stanowcze i niezaprzeczone, już oddawna byłby wyśledzony ich wzajemny związek. W rzeczy saméj niejednokrotnie próbowano to uczynić, ale otrzymano wypadki niczego nie dowodzące.

Nadmienił przytém prelegent o teoryi Falba, który wpływowi ciał niebieskich, a głównie księżycowi i jego stanowisku względem ziemi, przypisuje trzęsienia tejże. Otóż Falb różnemi czasy różne stawiał przypuszczenia o wielu zjawiskach ziemskich i niebieskich, ale pomysły jego nie przekroczyły zwykłych hipotez, osobliwie pod względem trzęsienia ziemi, które w różny sposób starano się wytłómaczyć.

Bardzo jasno opowiedział prelegent o tworzeniu się cyklonów i antycyklonów, czyli o tych wirowych a gwałtownych ruchach powietrza, które jako orkany i w ogólności bardzo silne wichry, szerzą spustoszenie na lądzie i morzu; powstają zaś wtedy, kiedy ciśnienie atmosferyczne w różnych miejscach powierzchni ziemskiéj, jest bardzo rozmaite. Kiedy bowiem na jedném jakiém miejscu jest ciśnienie małe, a na innych wielkie, wtedy powietrze starając się przywrócić zwichniętą równowagę, podąża ze wszystkich stron z wielką szybkością ku punktowi, w którym ciśnienie jest najmniejsze; na około tegoż punktu jako środka, tworzą się prądy powietrza nazwane cyklonami. Znając ze spostrzeżeń, gdzie ciśnienie barometryczne jest najniższe, można także wskazać, jaki przebieg mieć będą cyklony na około niego powstające. Środek cyklonu przenosi się z jednego miejsca na drugie, a całe zjawisko ustaje wtedy, kiedy zniknie przyczyna, która je wywołała. Antycyklony tworzą się znowu na około takiego punktu, w którym ciśnienie powietrza jest największe; mają one kierunek przeciwny kierunkowi cyklonów. Chcąc wiedziéć, czy mogą powstać takie ruchy powietrza, potrzeba mieć przed sobą spostrzeżenia meteorologiczne z wielkiéj przestrzeni ziemi; z nich dopiéro można ocenić, gdzie jest najniższe, a gdzie najwyższe ciśnienie barometryczne, i według tego na przygotowanéj karcie nakreślić spodziewany przebieg cyklonów i antycyklonów. Okoliczność ta jest ważna dla każdego człowieka, a najbardziéj dla żeglarza, który ostrzeżony wcześnie o grożącém niebezpieczeństwie zdoła go nieraz uniknąć.

Pod koniec zajmującego swego odczytu mówił prelegent o ważności stacyj meteorologicznych, na których prawidłowo robią się spostrzeżenia nad wszelkiemi zjawiskami powietrznemi. Sieć takich stacyj, urządzonych na wielkiéj przestrzeni ziemi, ma wielkie znaczenie naukowe; może też przynieść gospodarstwu i przemysłowi nieocenione korzyści. Zrozumiały to już dobrze różne kraje, a najlepiéj Ameryka, która i pod tym względem, jak pod wielu innemi, prześcignęła starą Europę. Cała północna Ameryka pokryta jest gęstą siecią stacyj meteorologicznych tak na lądzie, jak na wybrzeżach morskich; z tych stacyj przesyłają się telegraficznie spostrzeżenia do centralnego zarządu, gdzie przenoszą się na przygotowane karty, zaopatrują się w prognostyk o stanie pogody i przesyłają jak najśpieszniéj do wszystkich zakątków kraju i stacyj morskich; w razie spodziewanego jakiego niebezpiecznego zjawiska, np. uraganu, rozsyłają się telegramy na wszystkie strony. Kosztuje to nie mało Stany Zjednoczone Ameryki północnéj, bo około miliona dolarów, ale praktyczni amerykanie nie wydawaliby takiéj sumy, gdyby się nie

spodziewali, że więcéj zyskają. Buletyny meteorologiczne rozchodzą się tam w bardzo wielkiéj liczbie, chętnie nabywa je kupiec, rolnik i każdy przemysłowiec. W Europie wydają się także podobne buletyny, ale jeszcze nie we wszystkich krajach; zresztą tutaj nie zyskały one tak ogólnego uznania, jak w Ameryce.

Chociaż meteorologia nie wszystko jeszcze zdołała ująć w naukowe prawidła, wszelako stanęła na dość wysokim stopniu rozwoju; potrafi téż zapewne wyśledzić prawa nawet takich atmosferycznych zjawisk, które dziś zdają się stanowić dla niéj zagadkę; w każdym razie jest ona nauką bardzo ważną dla człowieka, gdyż prowadzi do znajomości tego związku, w jakim zostają z sobą wszystkie zjawiska powietrzne.

Dla czytelników nie od rzeczy może będzie nadmienić, że p. Jędrzejewicz, lekarz w Płońsku, posiada własne obserwatoryum astronomiczne i stacyą meteorologiczną. Z własnych funduszów zaopatrzył swój naukowy zakład w potrzebne i dobre narzędzia, sam z największą gorliwością poświęca wolne od praktyki lekarskiéj chwile pracom astronomicznym i meteorologicznym, i niemałą ich część ogłosił już w czasopismach tak krajowych, jak i zagranicznych. Co się tyczy zdolności przemawiania do ogółu, to pierwszém swém wystąpieniem zajął odrazu miejsce wśród nielicznéj grupy pierwszorzędnych naszych prelegentów.

Temat drugiego odczytu wzięty był z fizyki. Znany już publiczności warszawskiéj z katedry p. Eugeniusz Dziewulski mówił „o lodzie i lodnikach.“ Punktem wyjścia była dla niego woda atmosferyczna, która dokonywa wielkich zmian na powierzchni ziemi już-to w postaci płynnéj już stałéj. Dla utworzenia przejścia do następnego odczytu mającego za przedmiot „Epokę lodową“ p. Dziewulski zajął się lodem. Przedewszystkiém więc była mowa o przechodzeniu wody w lód i topieniu się lodu. Przy téj przemianie cała masa zachowuje zawsze jednakową temperaturę = 0, bez względu na stopień ciepła, wśród którego się znajduje. Pochodzi to stąd, że lód pochłania znaczną ilość ciepła, a to „ciepło utajone,“ którego termometrem zmierzyć nie można, służy do przezwyciężenia spójności lodu, do rozsunięcia cząsteczek. Wynikałoby ztąd, że ciała topniejąc powinny przybierać większą objętość, i tak się dzieje w rzeczywistości. Lód jednak stanowi wyjątek i daje mniejszą od swojéj objętość cieczy. Ciśnienie wywarte na ciała stałe utrudnia ich stopienie, zmniejszenie ciśnienia ułatwia; z lodem zaś rzecz się ma przeciwnie, bo ciśnienie ułatwia mu przyjęcie objętości wody, zmniejszenie ciśnienia utrudnia. Pozorna ta niezgodność z naturą objaśnia się tém, że ogólna objętość kryształów stanowiących lód jest mniejszą od obję-

wody, grupa zaś ich, zawierająca przestwory powietrzne, czyli lód, taki, jakim go znamy, posiada objętość większą. Śnieg pomimo pozornéj odmienności od lodu, jest z nim w gruncie rzeczy identyczny, tylko, że objętość przestworów pustych jest w śniegu 12 razy większa niż w lodzie. Przez uciskanie można ją zmniejszyć, przyczém gwiazdki śniegu topnieją częściowo wskutek ciśnienia, po którego ustaniu, woda powstała marznie natychmiast i tworzy się jednolita warstwa lodu. Taki jest początek lodowców alpejskich. Śnieg ulegając prawu ogólnego ciążenia ku środkowi ziemi, zsuwa się na dół z wysokich szczytów, na massy niżéj się znajdujące i zamienia je na lód. Ponieważ osady atmosferyczne gromadzą ciągle zapasy śniegu na szczytach, więc lodowiec z góry przyrasta i miałby długość nieskończoną, gdyby skutkiem ciężkości nie musiał się posuwać ku niższym sferom, gdzie wyższa temperatura zamienia go na potok górski. Niegdyś lodowce zajmowały daleko większą przestrzeń w Europie i geologowie tłómaczą to zjawisko niższą temperaturą panującą za czasów „epoki lodowéj.“ Wniosek ten jednak nie zgadza się ze znanemi prawami fizycznemi. Przy niższéj temperaturze musiałoby się tworzyć mniéj pary z oceanów, mniéj śniegu musiałoby spadać na góry, a zatém lodowce mniej-by miały materyału. Przeciwnie fizyka wnosić każe, że za owego okresu temperatura była daleko wyższą niż teraz, że wskutek tego parowanie oceanów było obfitszém, że jednocześnie góry były o wiele wyższemi i obszerniejszemi i dlatego ogromne masy śniegu na swych wierzchołkach nagromadzały.

Wątek wykładu do tego miejsca doprowadzony, ujął inżynier górniczy p. Stanisław Kontkiewicz, i wplótł go w osnowę geologiczną.

Przedewszystkiém wspomniał, iż nie zawsze ziemia przedstawiała taką postać jak obecnie, że inny był niegdyś rozkład lądów i oceanów, wyniesień i nizin, inna postać świata zwierzęcego i roślinnego. O tém wszystkiém mówią nam kamienne słowa warstw skorupę ziemi składających, a czytać je usiłuje jedna z nauk najmłodszych — geologia.

Na całéj północno-europejskiéj równinie, od Holandyi aż do wschodniéj Rosyi, rozlegają się pokłady gliny i piasku, w których i na których rozsiane są t. zw. kamienie polne czyli głazy narzutowe (bloki erratyczne). Niektóre z nich są bardzo wielkie i mają po kilka metrów średnicy. Są to odłamki gnejsu, granitu, dyorytu i innych skał, które się bynajmniéj w okolicy nie napotykają. Zkąd więc się one wzięły? Badania petrograficzne wykazały, że materyał ich jest zupełnie identyczny ze skałami skandynawskiemi i fin-

landzkiemi. Lecz okoliczność ta jeszcze większą ciekawość wzbudziła i zmuszając uczonych do badań, doprowadziła do odkryć, na których opiera się obecna wiedza nasza o przedostatnim okresie dziejów skorupy ziemskiéj.

Od Calais aż do północnych kończyn Uralu przez Niemcy, Polskę i Rosyą rozciągało się morze, łączące się z oceanem północnym, morze dyluwialne. Europa była wtedy wązkim pasem ciągnącym się od wschodu ku zachodowi. Nad powierzchnią morza dyluwialnego wynosiła się tylko jedna wyspa, Skandynawia. Nie miała ona jednak obecnéj postaci. Pojęcie o niéj może nam dać teraźniejsza Grenlandya, cała lodowcami pokryta. Jak w Alpach doliny, po których pełzały lodowce mają ściany skał wyszlifowane jakby zwierciadła i porysowane kamieniami ostremi, tkwiącemi w lodniku, tak téż i w Skandynawii oraz Finlandyi napotykamy ogromną ilość dolin, z których już lodnik zniknął przed dziesiątkami wieków, ale świadczą o nim rezultaty jego działalności, wypolerowane i porysowane powierzchnie oraz zwały kamieni (moreny) podobne zupełnie do alpejskich.

Były więc w Skandynawii ogromne lodowce, które kąpały swe stopy jak Grenlandzkie w zimném morzu, a parcie wody odrywało od nich, zupełnie jak teraz, góry lodowe, które pędziły bałwany na południe. Na powierzchni tych lodów leżały rozmaitéj wielkości kamienie, spadłe ze szczytów i oderwane od boków gór; gdy lód stopniał w mniejszych szerokościach, kamienie spadały na dno morza dyluwialnego. Potém wskutek wiekowego podnoszenia się lądów, Europa coraz się bardziéj powiększała, utworzył się wał ochronny pomiędzy oceanem lodowatym a morzem Baltyckiem, zimne prądy i góry lodowe oceanu północnego nie mogły już przenikać do północnéj Europy, lodowce skandynawskie stopniały, a dno morza dyluwialnego stało się żyzną równiną, na któréj tylko kamienie polne przypominają, że kiedyś była dnem morza.

O zwierzętach zaludniających Europę, a w szczególności kraj nasz w peryodzie dyluwialnym, mówił p. Antoni Ślosarski, asystent przy kat. anatomii porównawczéj. Szczątki tych zwierząt pozostały w jaskiniach, w pokładach gliny, wreszcie w lodach syberyjskich, a ze szczątków uczy nas zoologia odtwarzać całość. Prelegent pokazał ząb dłutowato zakończony i przedstawił jak łatwo dójść można do wniosku, że zwierzę, do którego ząb ten należał, miało silne kły, pazury itd. W ten sam sposób, na podstawie kilku kości znalezionych, paleontologia odbudowuje całe szkielety i całe zwierzęta. W kraju naszym, w rozmaitych okolicach, a szczególniéj w jaskiniach ojcowskich poznajdywane czaszki lub pojedyńcze kości ma-

muta, niedźwiedzia jaskiniowego, lwa jaskiniowego, hijeny jaskiniowéj, jelenia olbrzymiorogiego itd. Z nich postać mamuta najłatwiejszą jest do odtwarzania we wszystkich szczegółach, gdyż w Syberyi znajdywano całkowite mamuty, tak dobrze zachowane w lodzie, że ich mięso jadły psy i wilki. Z analogii téj sądzić możemy, że olbrzymi słoń, zamieszkujący nasz kraj w przedostatnim okresie geologicznym, miał przeszło 5 metrów długości, przeszło 3 wysokości a nosił na grzbiecie wielką grzywę, może aż do kolan sięgającą; karmił się, jak to szczątki pozostałe w szczelinach jego zębów okazują, gałązkami roślin iglastych. Niedźwiedź nasz jaskiniowy, o ile wnosić wolno z jego czaszki, był dwa razy większy i silniejszy od współczesnego nam niedźwiedzia syberyjskiego. Podobnież wielkiemi rozmiarami odznaczał się jeleń ówczesny, tur, który według badań prof. Wrześniowskiego dotrwał aż XVI wieku, był, jak to jego czaszka okazuje, przynajmniéj 2 razy większy od naszego wołu. Oprócz wyliczonych, znaleziono jeszcze wielką liczbę innych zwierząt w jaskiniach i pokładach dyluwialnych, ale prelegent pominął je tylko wzmianką, gdyż niepodobna było rozwijać szczegółowego obrazu w ciasnych ramach jednogodzinnego odczytu.

Na tle kraju pokrytego tundrami lub gęstemi borami sosen, modrzewiów i brzóz, którego brzegi obmywały wody oceanu lodowatego, a widnokrąg otaczały lodowce, rysuje się postać *człowieka dyluwialnego*. Dr. Dudrewicz usiłował odtworzyć obraz *przodka naszego z okresu kamiennego* z nielicznych pamiątek które po nim pozostały. Nie ulega już wątpliwości, iż człowiek był współczesnym zwierzętom peryodu lodowego, albowiem w warstwach napływowych rozmaitych okolic napotykamy najprostsze wyroby gliniane i narzędzia kamienne, noszące na sobie niewątpliwe ślady ręki ludzkiéj, obok zębów mamuta, nosorożca z kostną przegrodą nosową, jelenia olbrzymiorogiego itd. Nadto w jaskiniach, a pomiędzy innemi Ojcowskiéj, rozkopanéj przez pp. Zawiszę i Ślósarskiego, pamiątki działalności ludzkiéj są tak pomięszane z kośćmi zwierzęcemi, że nawet niepodobna utworzyć sobie innéj hipotezy.

Drugim składem pamiątek po człowieku kopalnym są t. z. w Danii *Kjökkenmödings*, stanowiące wzgórza złożone z odpadków kuchennych człowieka pierwotnego. Wśród skorup ostryg i kości znajdujemy w nich mnóstwo narzędzi, świadczących, że nie siły natury lecz człowiek usypał te wzgórza. Ślady zębów na kościach dowodzą, że już wtedy pies był wiernym towarzyszem człowieka.

Oprócz szczątków i narzędzi pozostały po człowieku pierwotnym pomniki kamienne. *Menhiry*, ogromne monolity wkopane w ziemię, dowodzące już znacznego rozumu i energii człowieka, są po-

niekąd prototypami obelisków; *dolmeny*, kamienie przypominające swém ułożeniem stół olbrzymi, oraz *kromlechy* stanowiące wielką zagrodę kamienną, były albo pomnikami grobowemi, albo miejscami, w których składano ofiary. Zapewne także miały jakieś mistyczne znaczenie znalezione w wielu miejscach kamienie oscylujące, to jest tak ociosane, że stojąc na płaskiéj podstawie ulegają powiewom wiatru, a jednak nie przewracają się, podobnie jak słupek z podstawą półkulistą wypełnioną ołowiem. Dochowały się téż mieszkania człowieka pierwotnego, własną jego ręką wykonane. Są to budowy nawodne, z palów, wbitych w dno jeziora, złożone. Pierwszy taki *palafit* odkryto w jeziorze Zurichskiém, potém znaleziono je w wielu miejscowościach Europy, a pomiędzy innemi u nas w jeziorze Czeszewskiem. Prawdopodobnie zwyczaj budowania palafitów przetrwał aż do czasów historycznych, bo Herodot o nich wspomina z opowiadań i opisuje je tak, jak gdyby na nie patrzył własnemi oczyma.

Na człowieku pierwotnym skończył się cykl odczytów połączonych z sobą nicią przewodnią. Trzy ostatnie były już luźno zestawione.

Tematem pierwszego z nich była *wielkość i kształt ziemi*. Jakkolwiek kwestya ta jest bardzo zużytą—ponieważ dotyka jéj każdy elementarz geograficzny,—jednakże prelegent, p. Stanisław Kramsztyk potrafił nadać jéj tło tak zajmujące, wlać w swój wykład tyle zapału i pomieścić w nim tak ważne nowe odkrycia, że nawet bardzo wykształceni słuchacze nie żałowali swego przybycia do sali Resursy. Prelegent traktował rzecz historycznie, przeszedł od pojęć starożytnych o płaskości ziemi do Kopernika, który już wszystkich dowodów za jéj kulistością dostarczył, zaznaczył ważność w tym względzie podróży Kolumba i Magellana i wyłożył sposoby oraz rezultaty pomiarów południka ziemskiego. Prawdziwie nową była dla słuchaczy wiadomość, iż ziemia nie tylko pod biegunami jest spłaszczona, że na równiku są podobnież dwa miejsca zaklęśnięte, że równoleżniki nie stanowią kół doskonałych i wymagają ścisłych pomiarów, że powierzchnia oceanów uchodząca dotychczas za najregularniejszy odcinek sferoidy ziemskiéj, jest zapadłą we środku a wyniesioną przy brzegach—jedném słowem, że ziemia nie jest ani kulą doskonałą, jak myślano dawniéj, ani elipsoidą jak myślano dotychczas, ale posiada postać sobie tylko właściwą, którą nazwano *geoidą*, kształt ten znany tylko w głównych zarysach, a szczegóły poznają dopiero przyszłe pokolenia. Tak więc z poznawaniem przyrody coraz bardziéj zacieśnia się widnokrąg rzeczy nieznanych.

Również historycznie rozwinął p. Edmund Jankowski, inspektor ogrodu pomologicznego, swój temat „*O owocach*“. Nie był to bynajmniéj traktat botaniczny z systematyką owoców, na suche, pękające itd. ale bardzo zręczna i wdzięczna pogadanka o trzech ich gatunkach a mianowicie o jabłku, gruszce i winogronie. Przebiegłszy w krótkości część legendową, prelegent zajął się głównie kwestyą ulepszenia odmian owoców a w szczególności jabłka. Największy i pomnikowy postęp w tym względzie zawdzięczamy Van Monsowi, profesorowi uniwersytetu w Lowanium, który kierując się jakąś teoryą, czy téż ze względu na systematykę odmian jabłka, pozbierał drzewka z różnych okolic kraju i posadził je obok siebie w jednym ogrodzie. Rezultatem tego bliskiego obcowania drzewek, dawniéj wielkiemi przestrzeniami od siebie oddzielonych, było utworzenie się nowych odmian, pomiędzy któremi znalazło się wiele lepszych od dotychczas znanych. Z biegiem czasu i postępem botaniki spostrzeżono, że skutek ten był prostym wynikiem krzyżowania się różnych odmian. Dokonywały go wiatry i owady, a umożliwiało niewielkie oddalenie roślin przyjmujących w niém udział. Odkrycie to przedstawiło się w jaśniejszém świetle i niezmiernéj nabyło doniosłości, gdy prace Darwina nad krzyżowaniem istot organicznych, wykazały nietylko jego potrzebę ale konieczność, któréj nieuwzględnienie prowadzi do wyradzania się odmian. To dało teoretyczną podstawę i rozkwit sztucznemu krzyżowaniu roślin, dokonywanemu obecnie w ten sposób, że ogrodnik obcina pręciki jednego kwiatu i na bliznę jego słupka przenosi pędzelkiem pyłek z kwiatu drugiego. Nie mniej ważném odkryciem botaniczno-ogrodniczém jest przyśpieszanie wzrostu roślin i pobudzanie do rychlejszego wydawania owoców, za pomocą obcinania końca głównego korzonka, wtedy, gdy młoda roślina ma dopiéro 4 liście. W ten sposób we cztery lata otrzymuje się z ziarna dojrzałą, owocującą roślinę. Odkrycia tego dokonał Turasse, a właściwie mówiąc ogród pomologiczny warszawski, który używając téj metody na kilka lat przed Turasse'm dał się jednak ubiedz belgijczykowi. Szkoda iż prelegent nie powiedział nam dlaczego tak się stało. W zakończeniu p. J. zwrócił uwagę na praktyczne znaczenie otrzymywania nowych odmian, i zbijając zarzut, jakoby mnożenie odmian owoców do „nieskończoności“ było zbytecznem, zwrócił uwagę na fakt, że tylko te odmiany są dobrze zastosowane do pewnego klimatu, te tylko trwale istniéć w nim mogą, które w nim zostały wyprodukowane i które całym szeregiem pokoleń zastosowywały się do jego właściwości.

Ostatnim z szeregu był odczyt p. Bronisława Znatowicza, asystenta przy katedrze chemii w Uniw. Warsz. Prelegent mówił o *pło-*

mienu. Pominąwszy krótką wzmianką część legendową tematu, zwróciwszy uwagę na powszechność wywiązywania się ciepła przy procesach chemicznych i odróżniany płomień od żarzenia, się, przystąpił do szczegółowego opisu tego ostatniego zjawiska. Płomień powstaje tylko wtedy, gdy łączą się z sobą dwa gazy, wydając przytém wysoką temperaturę. W ciaśniejszém znaczeniu tego wyrazu, płomień formy pospolitéj pojawia się tylko wtedy, gdy jeden z gazów płynie strumieniem i powoli łączy się z drugim. Gdy zmieszanie obu gazów nastąpi odrazu w całéj masie, zjawisko jest chwilowém i płomień nie ma określonéj postaci. Płomień świecy, będącéj ciałem stałém, niczém się w zasadzie nie różni od płomienia gazu oświetlającego: stearyna czy łój rozkłada się tu na gaz węglowodorny; świeca czy lampa, według trafnego wyrażenia chemików, jest fabryką gazu na małą skalę. Świecący stożek unoszący się nad knotem składa się z trzech warstw: wewnętrznéj ciemnéj i dość chłodnéj, w któréj można pomieścić łepek zapałki lub proch bez obawy aby się zapaliły, środkowéj, żółtawéj, bardzo świetnéj i zewnętrznéj ledwie widzialnéj gorętszéj od poprzedniéj. Zjawisko to jest skutkiem rozmaitego stosunku powietrza do gazu oświetlającego; do części wewnętrznéj powietrze wcale nie ma przystępu, do środkowéj przypływa w ilości mniejszéj od potrzebnéj do całkowitego spalenia, zewnętrzna otrzymuje je w dostatecznéj obfitości. Nietylko materyały używane przez nas do oświetlania dają płomień, nietylko powietrze jest ośrodkiem podtrzymującym palenie, chemia zna wiele innych ciał tego rodzaju. Zjawisko to można odwrócić i palić powietrze w atmosferze wodoru lub gazu oświetlającego,—chodzi tu bowiem tylko o łączenie się dwóch ciał gazowych przy wysokiéj temperaturze. Świetność płomienia przypisywano już dawno obecności w nim cząstek stałych rozpalonych (*respective* węgla), gazy bowiem czyste, bez cząstek stałych, dają płomień prawie niedostrzegalny, który jednak można uczynić świecącym przez dodanie rozdrobnionego węgla lub innego jakiegoś ciała stałego. Tłómaczenie to napozór wydaje się bardzo jasném, ale wystąpili przeciwko niemu niektórzy chemicy, opierając się na téj zasadzie, że gazy w rurkach Gaislera mogą dawać widmo ciągłe i że ogrzewając lub oziębiając płomień gazu możemy powiększać lub zmniejszać jego świetność. Wreszcie ciśnienie ma tu znaczenie pierwszorzędne. Kwestya ta jednak nie jest dotąd ostatecznie rozstrzygniętą.

Wszystkie te odczyty były bardzo interesujące i doskonale zastosowane do poziomu naukowego naszéj publiczności. Urządzający je nie szczędzili żadnych środków naukowych, aby uczynić je zrozumiałemi i łatwo zapisującemi się w pamięci. Gdzie można było robić

doświadczenia, przedstawiano dziesiątki doświadczeń, gdzie wypadało objaśniać okazami, pokazywano mnóstwo egzemplarzy, pozbieranych z kolekcyj warszawskich; gdy wreszcie nie podobna było zastosować ani pierwszéj ani drugiéj metody, pokazywano rysunki lub rzucano obrazy niknące na zasłonę. Słowem, pomimo szczupłych środków materyalnych, jakiemi naturaliści nasi mogli rozporządzać, odczyty odbyły się bardzo świetnie.

Co się tyczy prelegentów, to każdy z nich wykazał głęboką znajomość przedmiotu, a choć nie wszystkim można przyznać talent krasomówczy, to jednak spodziewać się należy, iż nawet mniéj uposażeni pod tym względem, stanowić będą wielce pożądany nabytek dla pedagogii publicznéj, gdy obędą się ze wzrokiem licznych słuchaczy i gdy nowemi występami nieco wprawy osiągną. Prawie wszyscy poraz pierwszy występowali na katedrze publicznéj. Cieszymy się zapowiedzią kółka naturalistów, które przez usta p. Znatowicza oświadczyło, że serya obecna była tylko *początkiem*, sympatyczne bowiem przyjęcie, jakiego doznała od publiczności, zachęciło naturalistów do przygotowania nowego szeregu odczytów w jesieni r. b. Jeszcze bardziéj cieszylibyśmy się, gdyby te odczyty stały się peryodycznemi i zastąpiły dla ogółu naszego ową rozmaitość i pełność środków naukowych, jakie są przystępne niemal każdemu za granicą.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

List polaka do redakcyi „Nowego Wremeni.“—Profesor P. historykiem, politykiem, inżynierem i kandydatem na posiadacza dóbr ziemskich w Królestwie.—Napaści na Żydów.—Działalność Banków w Warszawie.—Gdzie szukać można kredytu krótkoterminowego dla ziemian? — Odezwa p. Bolesława Prusa.—Zakończenie odczytów na dochód Osad rolnych. — Konkurs na wiersz o Janie Kochanowskim.

Mój Boże, jak téż to niektórym publicystom gładko pióro po papierze sunie, gdy swym skalpelem krytycznym sprawy nasze obrabiać zaczną! Ile razy np. weźmiesz do ręki gazetę „Nowoje Wremia,“ musisz podziwiać tę obfitość słów, tę werwę stylową, tę śmiałość rozprawiania o przedmiotach, znanych zaledwie z nasłychu, a częstokroć z przesłyszenia. Z pod pióra redaktorów i spółpracowników téj gazety sypią się wyrazy, frazesy, wiersze i całe ustępy i wyrastają artykuły, które na łokcie zwykle mierzyć trzeba. A sens? *Sensus moralis* w nich to z pozoru katonowska diatryba przeciw Kartaginie: *delenda est*, w gruncie zaś rzeczy—to tylko tak znakomicie zdefiniowane przez Szczedryna „żrat'“, a *sensus communis* — tego częstokroć i prasa hydrauliczna nie wyciśnie.

Mają jednak te artykuły i pożyteczną dla nas stronę: z nich to dowiedzieć się tylko można, co pewni ludzie o nas myślą, czego nam życzą i czego dokonać próbowali-by bez wyrzutu sumienia, gdyby dziwactwo losu władzę w ich rękach kiedy złożyło. Nadto, w tych artykułach bywają wzmianki o faktach, których prasa nasza z różnych powodów nie tykała, a które, jakkolwiek wydawać się mogą niekiedy błahemi, rzucają pewne światło i na wypadki niedawnéj przeszłości i na obecne położenie.

W N-rze 1854 redakcya gazety „Nowoje Wremia“ powiada, że otrzymała niedawno od jakiegoś polaka list, dotyczący wzajemnego do siebie stosunku dwóch narodów. Listu tego redakcya nie drukuje nie dla tego aby napotkała przeszkodę, bo „Nowoje Wremia“ wychodzi

bez cenzury, ale że przeszkodę w liście owym wyszukać umiała. Korespondent, jak z przytoczonego w gazecie pierwszego frazesu wnioskować można, domaga się dla swych ziomków porównania w prawach z guberniami środkowemi, i oświadcza, że nie jest wrogiem Rosyi. Redakcya nie sprzyja, widać, téj „tendencyi,“ skoro nie drukując listu, na nią kładzie nacisk; dopatruje tu przytém sprzeczności, rozumiejąc, że przyjaźń zobowiązuje do lokajstwa dobrowolnego, że kto lokajem być nie chce, ten przyjacielem być nie może, że kto pragnie pozostać sobą, tém czém go stworzyła natura — ten jest koniecznie wrogiem. Odmówiwszy jednak korespondentowi miejsca w swych łamach, gazeta niemniéj wdaje się z nim w polemikę, i tylko dzięki temu taktownemu postąpieniu redakcyi dowiadujemy się, że autor niedrukowanego listu żąda „autonomii zabarwionéj, kolorytem narodowym,“ zniesienia służebności, prawa ustanowienia w swych dobrach ordynacyi, któreby służyło każdemu właścicielowi ziemskiemu, nadania samorządowi gminnemu „rzeczywistéj niezależności.“ Hola! wykrzykuje redakcya, na to nie ma zgody! Wiemy o jakiéj to niezależności gminy mowa, i właśnie w feljetonie dzisiejszym „pewien uczony rosjanin“ wykazuje, że wam się zachciało, aby gmina zależną była od obywatela. „My nie tak bardzo sprzeciwiamy się proponowanym przez autora szczegółom miejscowéj organizacyi, mianowicie prawu języka polskiego do pierwszego miejsca w początkowém nauczaniu ludowém, ani wprowadzeniu do Królestwa, bez ograniczeń, instytucyj ziemskich i sądowych, ani wolności słowa takiéj, jaką ma prasa rosyjska. Wszakże myśmy zawsze obstawali nawet za temi reformami. Ale na pretensye szlacheckie nie pozwolimy.“ Kronikarz „Ateneum“ nie ma zamiaru występowania w obronie pretensyi kastowych: myśl ustanawiania ordynacyj wcale mu się nie uśmiecha; myśl ta, sprzeczna i z dawném prawem polskiem i z obowiązującym u nas obecnie kodeksem francuskim, zrodzić się mogła wyjątkowo w głowie człowieka nieznającego dobrze, ani dziejów narodowych, ani dzisiejszych kierunków i potrzeb. Zresztą, sympatyę do ordynacyj łatwiej jeszcze pojąć—bo sympatye jak gusta bywają arcyrozmaite i o wartość ich względną daremnie byłoby się spierać; ale zamiar forytowania téj myśli wobec społeczeństwa rosyjskiego i to za pośrednictwem takiego organu, jak „Nowoje Wremia,“ jest, że się delikatnie wyrazimy, nad wszelką miarę dziwacznym i zdradza w naszym ziomku, korespondującym z tą gazetą, pewną... młodzieńczość umysłową.

Atoli rozbiór innych szczegółów listu, którego nie podano nam *in extenso*, byłby marną stratą czasu: nas zajmuje raczéj stanowisko, z którego „Nowoje Wremia“ zapatruje się na list ów i na nasze spra-

wy. Redakcya przyznaje, że autor listu jest szczerym, „ceni w nim głos otwarty, niejezuicki;“ zdawałoby się tedy, że zwalczając go, równéj broni użyje, z drogi prawdy i szczerości nie zboczy. Cóż jednak widzimy? Oto zacząwszy od tego, że „się nie tak bardzo sprzeciwia proponowanym przez korespondenta reformom,“ kończy oświadczeniem, że zawsze „obstawała za temi reformami.“ W jaki to sposób obstawała, czytelnik mógł się przekonać z ogłoszonego w N-rze 1829 téj gazety artykułu profesora P., który na samą myśl zwolnienia naszéj prasy wydał okrzyk zgrozy, artykułu, o którym w zeszycie majowym „Ateneum“ (str. 375—383) szczegółowo się rozwiedliśmy. Teraz znowu, aby tém lepiéj przekonać nas jak dalece obstaje za wprowadzeniem u nas reform, „Nowoje Wremia“ w N-rach 1854 i 1855 pomieszcza drugi artykuł „szanownego uczonego rosyjskiego,“ który lubo podpisuje się literą P., lubo w mieście K. mieszka, nie jest jednakże profesorem Pichno z Kijowa, jak nas gazeta uroczyście zapewnia.

Więc *revenons à notre mouton*, jakiekolwiek nosi on nazwisko, zgłąbmy tę studnię mądrości, a poznamy owe pożyteczne reformy, które z życzliwych nam głów tak pomyślnie się wykluwają. Będziemy, o ile można, trzymać się własnych słów profesora P. i porządku w jakim je wypowiada, aby nie uronić z nich właściwego im pieprzyku i aromatu. Czytelnik raczy nam dla tego mniéj udatną formę wybaczyć.

Rzecz zaczyna się od wstępu historycznego, obfitego w szczególiki anegdotycznego charakteru o hrabiach Bergu, Kotzebue i Tołstoju, o ks. Czerkaskim, o p. p. M. A. Milutynie i Sołowjewie. Samo się przez się rozumie, że powtarzając te szczególiki, nie ręczymy czytelnikowi za ich autentyczność: polegamy w tym względzie na poręczonéj przez „Nowoje Wremia“ „szanowności i uczoności“ profesora P. i zostawiamy mu nietykalnie i prawa autorskie i zaszczyt odpowiedzialności. Czytamy najprzód, że ks. Czerkaski, podając się do dymisyi z urzędu, który w Królestwie sprawował onego czasu, przytoczył jako pobudkę do tego rozpaczliwego kroku, że „z usunięciem się M. A. Milutyna od spraw polskich, uleciała z nich dusza.“ Profesor P. uznaje, że to motywowanie, zuchwałe pod względem formy, słusznem było co do treści. Nie naszą to jest rzeczą wdawać się w ocenę tego „zuchwalstwa“ formy, o duszy i jéj locie również mówić nie będziemy, metafizyka jéj bowiem nie należy do naszéj specyalności. Mniemamy, że czynnościami ludzkiemi kierują albo rozum, albo namiętności: czy, gdy namiętności stają u steru, wolno powiedzieć, że rozum abdykował i uleciał— o tém niech profesor P., jako znawca urzędowéj etykiety, rozstrzyga. Że do obowiązku wy-

ręczania złożonego chorobą p. Milutyna poczuwało się i poczuwa wielu—o tém niegrzecznie byłoby wątpić, a wszelką wątpliwość usunie przykład profesora P., który, lubo nie powołany, sprawując te obowiązki z amatorstwa—wprawdzie dotychczas w dziedzinie teoryi tylko,—radi gotów jest, jak widać ze wszystkiego, do roli czynnéj i na tę intencyę powziął wcale oryginalną myśl odebrania majoratów dzisiejszym donataryuszom,—projekt, który cokolwiek niżéj będziemy mieli przyjemność rozpatrzyć.

Według profesora P. „hrabia Berg z powodu i stanowiska swego i przywyknień i gustu najbardziéj zbliżał się do arystokracyi," był „siłą przeciwdziałającą, o ile można, Milutynowi, Czerkaskiemu, Sołowjewowi i wogóle komitetowi urządzającemu, siłą, z którą w ten lub ów sposób można się było porozumiéć." Ten antagonizm pan P. ilustruje tym ważnym faktem, że hr. Berg lubił mówić i „mówił po francusku," kiedy ks. Czerkaski „niepozwalał odzywać się do siebie innym językiem prócz rosyjskiego." Nam się zdaje, że profesor P. zbyt wiele wagi przywiązuje do tego kontrastu, był to zapewne wypływ tylko różnicy temperamentów: hrabia lubił, widać, przyjemności pożycia towarzyskiego, książę był raczéj skłonnym do samotności ascetycznéj i pozbywał się natrętów tym oryginalnym ale skutecznym w danych okolicznościach sposobem. Mowa jest cennym darem dla człowieka, ale i w milczeniu nie trudno dopatrzéć zalet.

Profesor P. przypuszcza, że „ks. Czerkaski, nie mając już poparcia ze strony p. Milutyna, byłby prawdopodobnie upadł w nierównéj walce z namiestnikiem, że przeto nie tylko uczucie własnéj godności i obowiązek żołnierza, ale prosty rozsądek skłaniały go do opuszczenia Warszawy." Nie może podlegać wątpliwości, że to był krok ze wszech miar rozsądny i chwalebny, ale i w pochwałach należy zachowywać pewną miarę: książe żołnierzem nigdy nie był, z bronią w ręku ani na polu bitwy nie walczył, ani na placu mustry się nie odznaczył. Jeżeli zaś wyraz „żołnierz," tyle niestosowny dla tak wysokiéj rangi dygnitarza, użyty został sposobem porównania retorycznego, to porównania nie nazwiemy trafném. Obowiązkiem żołnierza, o ile nam profanom się zdaje, jest stać na wskazaném stanowisku i raczéj zginąć aniżeli je opuścić: ani uczucie własnéj godności, ani wzgląd na nierówność walki, nie upoważniają żołnierza do opuszczenia pola bitwy, z tego powodu, że chory jego generał legł na łożu boleści. Rozsądek, poczucie godności należą do atrybucyi wodzów, od żołnierza domagają się tylko ślepego posłuszeństwa. Ale pominąwszy błąd retoryczny historyografa, powtarzamy, że usunięcie się ks. Czerkaskiego, który nie-żołnierskie spełniał funkcye, było krokiem i rozumnym i chwalebnym.

Już-to nawiasem wyznać trzeba, że profesor P. w retoryce nie zbyt jest szczęśliwym. Powiada np. że gdy komitet urządzający „na przedstawienie namiestnika został rozwiązany, arystokracya biła oklaski.“ Z tego frazesu wnioskując, mógłby kto posądzić „szanownego profesora,“ że jest demokratą radykalnym, że żywi tak mocne uprzedzenia i niechęć ku arystokracyi, iż jéj nie przyznaje nawet salonowéj ogłady. Któż kiedy słyszał, żeby bito oklaski przy zamknięciu jakiego komitetu. Można było powiedziéć, że arystokracya była z tego zamknięcia zadowolniona, można było dodać, że i demokracya wielkiego żalu przy téj okoliczności nie okazała, ale bić oklaski— to tylko uchodzi w teatrze, na koncercie, na wyścigach i t. p. My wprawdzie, znając profesora P. jako autora reformy majoratów, o któréj będzie niżéj, ani radykalizmu, ani nieznajomości form światowych nie zarzucamy mu, ale o przesadę, szkodliwą dla ścisłości historycznéj pomawiamy.

Kierunek spraw, nadany przez nieboszczyka Milutyna, najdłużéj, według zdania pana P., przetrwał w wydziale naukowym, i moglibyśmy słowom osoby tak kompetentnéj, bo słowom „zasłużonego i uczonego profesora“ zawierzyć, gdyby taż uczona osoba, kreśląc kilku wierszami niżéj zarys działalności hr. Tołstoja, sama nie przypomniała kilku robót tegoż ministra, które w rdzennéj stanęły sprzeczności z systematem Milutyna i wnet istotę onego złamały. Takiem są rozporządzenia z dnia 1 (13) maja r. 1869 i 2 (14) grudnia 1871 roku. Co o tém wszystkiem w kraju naszym myślano, profesor P. nie wie, ponieważ prasa warszawska nie tykała jeszcze tych materyj; przypuszcza jednak, jako rzecz „wielce podobną do prawdy, że przedstawiciele arystokracyi miejscowéj, otaczający hr. Berga, odzywali się nieżyczliwie o nowych rozporządzeniach, tem bardziéj, że one wydane zostały nie z jego inicyatywy. Zdaje się, że i hr. Berg nie chwalił ich; przynajmniéj był on aż do zgonu w chłodnych stosunkach z hr. Tołstojem. Można jednak mniemać, że nie zbyt się on wywnętrzał w téj mierze przed swemi przyjaciółmi polskiemi: rozporządzenie wyższéj władzy, skoro raz zapadło, było święte w oczach tego służbisty starego pokroju.“ Co do nas, to ponieważ nie mieliśmy honoru znać byłego namiestnika, nie możemy ani potwierdzać, ani zbijać dowolnych domysłów profesora P. Co zmarły hrabia myślał w głębi ducha—to pozostanie na zawsze tajemnicą, dość wreszcie obojętną dla historyi; co zaś namiestnik mówił i co do niego w zamku mówiono, o tém wiedzą ci, co byli obecni i słyszeli; niechże oni to powtarzają, rozprawiają o tém i piszą. Gdy profesor P. zacznie ich w tém wyręczać za pomocą swych, pełnych fantazyi, domysłów, może, zanim się ziszczą jego projekta majorackie, o których niżéj,

zjednać tylko sobie sławę myśliwego lub plotkarza, które to urzędy nie stosownie jest z obowiązkami profesorskiemi kumulować.

Rządy hrabiego Kotzebue zbyt są dni naszych bliskie, abyśmy mogli, wślad za profesorem P. roztrząsać je. „Uczony“ ten mąż przedstawia je niedokładnie, a z wyraźną niechęcią. Ani słówka nie wspomina o wybitnych faktach, które niedawno w poważnych organach rosyjskich były krytykowane, a natomiast rejestruje rzeczy albo drobiazgowe, albo takie, które się stały bez udziału byłego generał-gubernatora, albo wprost mylne, a wszystkie z lekka tak stronniczo zabarwia, że tworzą razem formalny akt oskarżenia przeciw hrabiemu. Jako przykład zaprzątania się błahostkami można wskazać, że profesor P. opowiada z całą powagą, jak „hr. Kotzebue wywarł bardzo przyjemne wrażenie na publiczność polską, tém mianowicie, że w pierwszych dniach po przyjeździe do Warszawy, chodził po mieście bez żadnego orszaku i konwoju, zaglądał do sklepów i względem polaków zachowywał prostotę. Z drugiéj strony nie podawał ręki nawet najbliższym swym spółpracownikom, takim-że generał-adjutantom, jak on sam, a w ich obecności przyjaźnie ściskał dłonie swych dawnych znajomych warszawskich.“ Z téj próbki ocenić łatwo właściwy sz. profesorowi takt i poczucie przyzwoitości; podziwiać tylko możemy, że mu to nie przyszło do głowy, iż bajdy rodzące się w przedpokojach, wśród lokajów, którzy swe nudy urozmaicają przykładaniem uszu do dziurki od klucza, nie należą do źródeł historyograficznych, i że to co od biedy uszłoby w gawędce, na cztery oczy, przy szklance herbaty lub ponczu, profesor uważa za godne swego pióra. Tu jeszcze dadzą się pomieścić trzy inne winy hr. Kotzebue: 1) „że w Warszawie zbudowaną została wspaniała synagoga, w któréj na ścianach błyszczą teksty biblijne w dwóch językach,“ 2) „że urządzono w Warszawie trzeci teatr,“ 3) „że język francuski jeszcze bardziéj zapanował w zamku, a raczéj w niesłużbowym jego pawilonie.“

Trudno wstrzymać się od uśmiechu, spotykając uczyniony hrabiemu zarzut, iż za jego rządów „senat (który jest władzą sądową, niezależną od generał-gubernatorów) przyznał polakom prawo podawania do sądów gminnych prośb w języku polskim,“ bez wzmianki o tém, że za tychże rządów i wbrew ogłoszonéj decyzyi senatu, prośby pisane po polsku zawsze niemal były odrzucane. Równie komicznego wrażenia doznajemy, czytając skargę, że za czasów hr. Kotzebue, „część prasy petersburskiéj stała się patronką interesów, polskich i z naciskiem zaczęła mówić o „*prymirenii*“ (nie wiemy jak ten wyraz przełożyć po polsku, i dlatego chyba „Nowoje Wremia“ utrzymuje, że ten termin „polubili publicyści polscy,“ lubo gazeta może nie bez racyi zapewnia, że on nic nie znaczy).

Do win hrabiego Kotzebue zaliczył profesor P., że prasa nie tylko warszawska ale i prowincyonalna „doszła do ogromnego rozwoju“ (Boże, zmiłuj się nad nami!); „że zyskały ogromny rozwój te towarzystwa, stowarzyszenia i assocyacye, które jakby siecią pokryły Królestwo Polskie“ (takie groźne objawy znane były i za rządów Paszkiewicza, istniały przecież wtedy spółki „Aquilino i Hordliczko,“ „Skwarcow i Kijewski“ i wiele innych); „że rozwinął się w całéj szerokości zdumiewający rozkwit ekonomiczny kraju.“ Jak pogodzić te twierdzenia z wyrażoną dawniéj przez profesora P. wątpliwością, czy siły podatkowe Królestwa wyrównywają kosztom, ponoszonym przez rząd na jego administracyą,—to tajemnica uczonego męża, który jéj zazdrośnie strzeże.

Jest-to miłém złudzeniem profesora P. i niektórych jego ziomków, jakoby przemysł Królestwa był w stanie niezmiernie kwitnącym i miliardowe robił obroty; że w tym przemyśle obracają się olbrzymie kapitały i kolosalne przynoszą dywidendy. Widząc u siebie fortuny istotnie imponujące, które przedtém na dzierżawie monopolów (odkupach), a następnie na budowie niektórych dróg żelaznych, na spekulacyach bankowych, jak grzyby po deszczu urosły, panowie ci mniemają, lub udają że w to wierzą, jakoby i u nas istniały takiejże wielkości fortuny i w podobny sposób wzrosły. Złudzeniu temu towarzyszy drugie, niemniéj mylne, że niby przemysł nasz urodził się dopiéro po r. 1864, że nasz rozwój ekonomiczny datuje się od roku 1864, że przed tą datą przemysł u nas nie istniał wcale. Kto nie wie, że nasz wyrób żelaza liczy już lat kilkaset życia, że przemysł tkacki równie dawno istniejący, przed 50 laty szczególnie rozwijać się począł, że już wtedy działały fabryki papieru, szkła, porcelany i fajansów, że piwowarstwo jest tak starém jak Warszawa, że cukier krajowy panował wyłącznie na naszym rynku dobrze wcześniéj przed r. 1864; kto nie wie, że przy pracy, oszczędności, przy wzrastającém z każdym rokiem doświadczeniu fachowém a nigdy niezachwianéj rzetelności rozwój był rzeczą konieczną, — kto nie wié o tém wszystkiém, ten tylko odpowiedzialność za nasz rozwój ekonomiczny może wkładać na niewinne barki hr. Kotrzebue. My to sami jesteśmy winowajcami tego skromnego rozwoju, któremu bardzo daleko jeszcze do tego, aby imponującym mógł być nazwany, któremu trzeba by pierwéj usunąć z drogi rozmaite przeszkody, aby w rzeczywistości przyjął takie rozmiary, jakich mu żywa wyobraźnia profesora P. pożycza.

Dla uzupełnienia kreślonéj w ten sposób lekkiem piórem i lekkim umysłem charakterystyki hrabiego Kotzebue, nadmieniono wreszcie, że on jakoby „wkrótce po objęciu władzy w Królestwie, zwie-

dząjąc jedno gimnazyum na prowincyi, otwarcie wyraził naganę za to, że religia wykładana była po rosyjsku"; że po roku 1875 w prasie warszawskiéj poczęła się w tym duchu agitacya. Profesor P. mniejby się bez wątpienia gorszył temi rzeczami, gdyby wiedział, że wykładanie religii po polsku nastąpiło z najwyższéj woli, a ta dla wzorowéj lojalności profesora P. jest zapewne wyższą nad wszelką krytykę. Kto umie tak chwalić hr. Berga za służbiste spełnianie otrzymanych rozkazów, choćby niezgodnych, z własnemi jego poglądami, ten, nie wątpiemy, potrafi sam w razie potrzeby złożyć na ołtarzu posłuszeństwa wszystkie swoje przekonania w ofierze, i wokamgnieniu przywdziać mundur nowego pokroju. Nie traćmy więc nadziei, że i „szanownego profesora" niebawem w nowéj barwie ujrzymy.

Finis coronat opus. Profesor P. wieńczy ten ustęp wyrażeniem domysłu prawdziwie śmiałego, że „rozdrażnienie polskiéj prasy było piérwotną przyczyną téj zaciętéj nieprzyjaźni, którą część prasy rosyjskiéj ku hr. Tołstojowi żywiła, i że to publicyści polscy zaszczepili to uczucie „Gołosowi." Z tego pazurka łatwo zgadnąć do jakiego obozu należy lew, który go nieostrożnie wysunął, rozprawianie się więc w téj materyi z profesorem P. możemy prasie rosyskiéj pozostawić.

Kiedy już o domysłach mowa, przytoczymy tu domysł profesorski, że M. A. Milutyn oprócz skreślonych przez się projektów miał i inne dalsze zamiary. Hipoteza ta w argumentacyi p. P. nie wiadomo jaką by grała rolę, bo nie została wprost zużytkowaną, ale dobrodusznemu czytelnikowi nasuwa mniemanie, że profesor wie wiele innych rzeczy, a jeszcze więcéj się domyśla, których wykrycie publiczne do stosowniejszéj chwili odkłada. Tymczasem stanowczo nas zapewnia, że myślą Milutyna było ustanowienie samorządu włościan, możliwe usunięcie ich z pod wpływu obywateli i duchowieństwa, i że w tym celu właśnie pozostawił on służebności na gruntach dworskich, niby w rodzaju zawłoki, fontaneli. Daléj, Milutyn zamierzał położyć za zasadę, aby gubernatorami zostawali wyłącznie członkowie komisyj, urządzających stosunki włościańskie. Jeśli do tego dodać urządzenie szkół i rozporządzenie co do klasztorów—to się już obejmie cały system Milutyna.

Nasz profesor jednak wcale się tém nie zadawalnia i twierdzi, że to nie wyczerpuje „całéj kwestyi polskiéj", bo na różne pytania jak np. o języku w stosunkach urzędowych, o udziale „elementu ziemskiego" w miejscowych sprawach, program Milutynowski nie dał żadnéj odpowiedzi. Co większa, profesor P. oświadcza, że w praktyce program ten „został podkopany ze wszystkich stron",

mianowicie co do języka w szkołach przez rozporządzenia 1869 i 1871 r., że władze interweniują w gospodarstwo szkolne i przekraczają granice, wskazane przez Milutyna; że z drugiéj strony, włościanie wybierają obywateli na wójtów i sędziów gminnych, i że—*horribile dictu*—„żaden z członków komisyj włościańskich nie został gubernatorem.“

Nie może być nic bardziéj rozrzewniającego jak ustęp, który poświęcił profesor P. rozpamiętywaniu pełnych „tragicznéj grozy losów Milutyna,“ jego pomocników i ludzi, którzy, na dane sobie hasło, stanęli do pracy „pod ochroną konwoju, nieomal pod kulami“, a stanęli bez obawy śmierci, „z dobrą głową, silném przekonaniem, wysoko nastrojoném sercem i czystemi rękami.“ Stanęli wokamgnieniu, nie dbając, że własne interesa ucierpią przez ich nieobecność, że zostawiają „rodziny we łzach i obawie, jakoby przeznaczeni byli prawie na śmierć pewną.“ W rzeczywistości wiemy, że żadnemu z nich śmierć nie groziła. Szanowny profesor zbyt się poddał wrażeniom, doznanym przy czytaniu pracy pana A. Leroy-Beaulieu, przez *Revue des deux Mondes* ogłoszonéj, któréj prasa rosyjska przesadę zarzucała. Dla uspokojenia swych nerwów, szanowny profesor, zamiast zażywać kropli laurowych, niech odczyta dzielnie napisany szkic Szczedryna o „Taszkientcach“: za zbawienny skutek ręczymy.

„A mimo to—woła profesor z żalem,—z całéj roboty nie wiele ocalało! Dla czego?“ Na to zapytanie odpowiada sam sobie długo i szeroko, czego, mimo wielkiéj ochoty, powtórzyć nam dosłownie nie byłoby może wolno. Treść jest taką: że nadzieja oparcia się na włościanach zawiodła; że „można i należy czynić dobro, lecz dlatego tylko, że jest dobrém, a na wdzięczność nie ma co liczyć“, boć oto włościanie wybierają obywateli na wójtów i sędziów. „A księża: jak usunąć ich wpływ na włościan?“ „Żywioł włościański jest w Polsce zbyt biernym, a i nietylko w Polsce“, skoro „przed stu laty chłopi francuscy niebyli zarażeni ani ateizmem, ani wyobrażeniami republikanckiemi, a nie przeszkodziło to jednak Francyi stać się rzecząpospolitą i skasować religię chrześciańską przez prosty dekret.“ „Milutyn uorganizował gminę wszechstanową, licząc na siłę żywiołu włościańskiego: „to było, niech mi będzie wolno powiedzieć,—wielkim błędem.“ Obecnie, obywatele z księżmi poprowadzą włościan, dokąd zechcą, „mianowicie, jeśli służebności zostaną zniesione.“

Wobec doznanego w ten sposób zawodu, profesor P. szuka innych gwarancyj. Stan materyalny kraju—powiada—i wytępienie lasów, „tych naturalnych fortec,“ dokonane przez obywateli polskich

i posiadaczy majoratów to jedyne rękojmie spokojności kraju. „Jedyna to korzyść, jaką przynieśli Rosyi“ ci posiadacze. (Niżéj autor, jak zobaczymy, zapomina o téj zasłudze donataryuszów i wywłaszczyć ich pragnie). „System Mirosławskiego pogrzebany, ale system Wielopolskiego żyje. Żywioł obywatelski wziął nieznacznie górę nad włościańskim:“ „naturalna siła rzeczy wysadziła precz kliny, wbite pomiędzy różne oddzielności etnograficzne.“

Tu łańcuch rozumowań profesorskich przerywa elegia, którąby streścić można w tych słowach: Czemuż nie możemy dorównać Prusom, czemuż nie mamy, jak Niemcy, nadmiaru ludności i kapitałów? „Zresztą wszak oczekuje naszéj kolonizacyi kaukaskie wybrzeże morza Czarnego, olbrzymia przestrzeń od morza Kaspijskiego do oceanu Wielkiego, a nawet w Rosyi europejskiéj są miliardy morgów ziemi, oczekujących pracy i kapitału. Cóż tedy począć?“ Autor słyszał taką odpowiedź: „niech rzeczy idą jak dotąd, a potém zobaczymy.“ Mądre to zdanie autor aprobuje zrazu. „W rzeczy saméj, nie zajmujmy się programatami, zbudowanemi na abstrakcyach teoretycznych“; niebawem jednak buduje pałace z kart i pisze program równie dowcipny jak ten, który przed miesiącem poznaliśmy, i który ma go uzupełniać.

Kiedy na scenie starożytnéj ukazać się mieli aktorowie, przedstawiający bogów, naśladowanie huku grzmotów przygotowywało widza do pojawienia się potęg nadziemskich. Za pomocą podobnéj metody stara się téż profesor P. uprzedzić czytelnika o niezmiernéj doniosłości swego projektu, i zanim istotę onego wyłuszczył, z góry już domaga się, „aby myśl jego, jeśli uznana będzie za słuszną, została ogłoszona w taki sposób, iżby ją usłyszeli wszyscy polacy kraju Zachodniego, Królestwa Polskiego i zagraniczni.“ Tymczasem, w zastępstwie huku gromów niebieskich lub grzmotu armat, otrębuje swój projekt przez donośną tubę gazety „Nowoje Wremia.“ Projekt polega na zagrożeniu nam wynarodowieniem przymusowem pasa kraju, przytykającego do Wisły z prawéj strony, w razie gdybyśmy okazali niezadowolnienie z etnograficznéj konfiskaty lewego brzegu Bugu, konfiskaty, którą już zadekretował, a obecnie szerzéj określa.

Myśl swoją nietylko objaśnia autor, ale i usprawiedliwia malowniczem porównaniem, chociaż powiadają, że *comparaison n'est pas raison*; ale o *raison* zwykle autor się nie kłopocze, wystarcza mu natomiast zwyczajny *rezon*, z jakim rozprawia o rzeczach, na których nie zna się dokładnie (1).

---

(1) Jako próbkę téj nieznajomości przytoczyć można niezręczną insynuacyę profesora przeciw działalności wydawniczéj którą się „pani Orżewska“ zajmuje w Wilnie:

„Przypuśćmy,—powiada—że mieszkamy na brzegu morza. Trafia się, iż to morze wzburzy się, występuje na brzeg nasz i zalewa, zatapia pola nasze na nizinach. Cóż powinniśmy czynić? Wezwać inżyniera i zbudować tamę.“ Tu porównanie staje się zrozumiałem. „Wezwać inżyniera“ to znaczy: wezwać profesora P., boć to on, nie zaś kto inny, jest owym inżynierem, on wpadł na gienialną myśl zbudowania tamy, on nakreślił jéj plan i kosztorys, on jedynie potrafi budowę jéj przeprowadzić, zapewne sposobem administracyjnym, czyli, według terminologii urzędowéj, tak zwanym „gospodarskim (choziajstwiennym).“

„Tama już ukończona“; „niech sobie poza nią morze szaleje, albo miękko ją muska—to mało nas obchodzi; jedyną naszą troską ochrona roślin na dziedzicznych nizinach naszych (?), roślin zasadzanych pracą i nakładem naszym (?) i naszych (?) przodków.“ Tu porównanie staje się niezrozumiałem. Profesor P. jest inżynierem, projektuje groble i tamy: to dobrze; ale żeby był agronomem czy ogrodnikiem, żeby lubił sadzić i ochraniać rośliny, trudno uwierzyć, wszakże tępienie lasów w Polsce uznaje wyraźnie za robotę wcale zbawienną, a posiadaczom majoratów przyznał tę jedyną zasługę, iż do wytrzebienia lasów, tych „naturalnych fortec,“ skutecznie się przyczynili. Profesor P. w kraju naszym nic nie zasadził, nakładów żadnych w tym celu nie podejmował, przodkom jego podobnież historya przeszłości nic podobnego nie zarzuca, a wszystko co w téj krainie istnieje, to owoc krwawéj pracy stałych jéj mieszkańców, którzy nic wspólnego z profesorem P. nie mają i do pokrewieństwa z nim nie roszczą pretensyi; przedwcześnie więc autor mniemane swe należności eskontuje, że nie powiemy, eskamotuje. Jego własnością są tylko plany na przyszłość, których chwila wykonania nadejdzie dopiéro wtedy, gdy po odebraniu, według jego projektu, majoratów dzisiejszym posiadaczom, zaświeci błogi dzień rozdawnictwa gruntów pomajorackich, gdy przy myśliwskiéj odprawie i jemu się mała posiadłość dostanie. Powtarzamy więc, że przedwcześnie chce likwidować swoją agronomiczną pracę i nakłady: dotychczas wykosztował się tylko na papier, pióro i atrament do kreślenia pomysłów inżynierskich. Samych pomysłów, w które profesor tak jest obfity, jak ów baranek w klechdzie ludowéj, co to za każdym krokiem zostawiał za sobą, jako ślad, dukata,—nie bierzemy w rachunek, ponieważ jego projekta nie zostały, dotąd ani wykonane, ani nawet przyjęte. Ale koszta na materyały piśmienne słusznie winny

---

miesza on nazwisko znanéj autorki Orzeszkowéj, przebywającéj w Grodnie, z nazwiskiem generała, w Warszawie mieszkającego.

być bonifikowane pieniężnie. Wydajemy mu więc niniejszém asygnacyę do naszéj kasy redakcyjnéj na złp. 6 gr. 20.

Jeśli metafora profesorska, apetytem plantatorskim na pole plantacyjne wprowadzona, poczęła chromać, to zwrócona na arenę inżynierską, wraca do swéj rzeźkości i zdrowia, i staje się znowu jasną. „Tama już gotowa. Ale pewne oznaki zmuszają nas do wątpienia, aby wytrzymała silną burzę, szczególnie zaciekły napór bałwanów.“ Cóż wtedy czynić? Naturalnie, znowu przedsięwziąć roboty dodatkowe, znowu wyasygnować na nie ze skarbu *certum quantum*, znowu powołać naszego gienialnego inżyniera: on wezwaniu pewnie nie odmówi. Jakoż nie odmawia. „Inżynier—czytamy tedy—przewidział to (napór fal), i korzystając z warunków miejscowych, nawalił w pewnéj odległości od tamy, przed nią, trzy góry wodotrwałego betonu. Cóż on uczyni, dostrzegłszy oznaki niebezpieczeństwa? Spiesznie zasypuje ziemią przestrzeń między niemi a tamą, i potém śmiało wyzywa do boju zuchwały element...“ Musimy tu czytelnika objaśnić, że trzy góry betonu oznaczają w téj przenośni: Modlin, cytadelę warszawską i Dęblin. „I wiecie co? pyta daléj profesor P. Jestem tego zdania, że raz się przekonawszy, iż z niém nie żartują, morze polskie cofnie się w swoje granice prawne.“ Geografia słowianofilska wzbogaca się tu wyrażeniem „morze polskie“; dotychczas w jéj terminologii znane było tylko „morze rosyjskie,“ do którego zlać się miały wszystkie „ruczaje słowiańskie.“ Zresztą, morze polskie raczéj na jeziorko wygląda, jeśli wspomniemy sobie o „jego granicach prawnych,“ skreślonych fantazyjnie przez pp. Ritticha, Zubrzyckiego v Zubrickiego, profesora P. i innych. W tych granicach nie będzie ani sandomierskiego Opatowa, gdzie p. Zubrzyckiemu v. Zubrickiemu podobało się znaleść ludność prawosławną, ani wsi Piątnicy pod Łomżą, bo ją p. Rittich przezwał Piatnica, ani wsi Czerwonki, bo jak dostrzega tenże uczony autor, nazwa jéj nie jest polską lecz rosyjską; ani Krakowa, gdzie w XV wieku drukowano książki słowiańskie; ani Kazimierza nad Wisłą, gdyż w nim znajdował się niegdyś jeden egzemplarz słowiańskiéj biblii; ani okolicy Pragi, bo ją pustoszyli najprzód Jadźwingowie, a późniéj kozacy, przy pomocy miejscowéj ludności rosyjskiéj, którą tam odkrył profesor P.; ani, co znowu jest naszym domysłem, Piotrkowa trybunalskiego, gdzie jedna ulica nazywa się od niedawna Dońską a druga Dnieprowską, z tego powodu, że po pierwszéj mogliby chodzić kozacy, a z drugiéj nie widać brzegów Dniepru; prawdziwy *lucus a non lucendo*; że nakoniec, i okolica Brzezin nie jest polską, przekonywa o tém wieś Moskule: nazwiska obu tych miejscowości, skombinowane z sobą, nie pozwalają na żadną wątpliwość. Koniec końców, ta

Polska, w któréj, wedle słów profesora P., „folwarki wiejskie sprzedają całe swoje zbiory intendenturze wojskowéj, któréj fabryki zbywają wszystkie swoje wyroby w cesarstwie, która sama swojego chleba nie jé, swoich wyrobów fabrycznych nie zużywa, która nie sprowadza z cesarstwa lnu, konopi, łoju, skór surowych, futer, wołów, koni, ryb, samowarów itd., ta Polska zaczyna się w „ogródkach" i „cukierniach" warszawskich, a kończy na ulicy Zakroczymskiéj, bo esplanada cytadeli znajduje się już poza jéj granicami, zakreślonemi przez profesora P.

Po długiéj wędrówce z „uczonym" profesorem zbliżamy się wreszcie do celu.

W poprzednim artykule, po zbudowaniu na zachodniéj stronie Bugu „nieprzystępnéj cytadeli," zajmował on w niéj „pozycyę wyczekującą;" teraz znudzony tą bierną rolą, wziął się do robienia grobli, tam, zasypywania brzegów morskich, a mówiąc jaśniéj, zamierza wschodni pas gubernii Lubelskiéj i Siedleckiéj kolonizować sztucznie za pomocą żywiołów sprowadzanych z wnętrza Rosyi; żeby zaś zyskać ziemie dla nowych osadników, proponuje odebranie wszystkich majoratów ich teraźniejszym posiadaczom. Otrzymane w ten sposób swobodne grunta będzie on zasiedlał siłami inteligentnemi i zwykłemi wieśniakami. Plan kolonizacyjny wymotywowany i opracowany jest szczegółowo, pobudki i korzyści jego moralne i materyalne wyjaśnione tak doskonale, że daremnie by ktoś skrupulizował, czy godzi się odbierać to, co raz zostało darowaném.

Autor powołuje się na jakąś tradycyą, według któréj, pierwotnie była myśl rozdawania ziemi wysłużonym urzędnikom rosyjskim zamiast emerytury. Urzeczywistnienie téj myśli obecnie zaleca szanowny profesor serdecznie, wykazując takie z niéj pożytki:

1) Jeśli to uczynione będzie na korzyść „drobnych i średnich urzędników, to zaledwie możnaby oczekiwać powtórzenia tych nadużyć, jakie czyniono przy obliczaniu dochodności dóbr, przeznaczanych na majoraty tuzom 1831 i 1864 r.—można spodziewać się, że skarb nie będzie pokrzywdzony." Jest to więc korzyść czysto moralna, obiecująca w perspektywie przekonanie się, czy też skarb może kiedy uniknąć pokrzywdzenia.

2) „Zasłużeni urzędnicy otrzymają odpowiednie wynagrodzenie za swą służbę, a dla ich zdolności odkryje się nowe pole, na którem przyniosą korzyść i swym rodzinom i ojczyźnie, zamiast tego, żeby zbijać bruki (*verba ipsissima* p. profesora), jak to teraz czynią." To znowu przedstawia korzyść materyalną: kasy miejskie mniéj wydatkować będą na remont bruków.

3) Do powyższych dwóch punktów, wyłożonych tak przekonywająco przez samego autora, pozwolimy sobie dołączyć z naszéj strony korzyść trzecią, niewymownie dla nas cenną. Ponieważ rozdawnictwo gruntów pomajorackich urzędnikom ma na celu ściągnienie do Królestwa sił inteligentnych rosyjskich, nie będzie to więc zbyt śmiałą hypotezą, gdy przypuścimy, że wydział naukowy, w którym siły inteligentne w dość znacznym procencie znajdowaćby powinny swe siedlisko,—nie będzie przy téj okoliczności pominięty. Wszelako, gdy o zakładach naukowych miejscowych nie może tu być mowy, autorowi bowiem chodzi i o ilość i o jakość, czyli o powiększenie liczebne żywiołu rosyjskiego i o wzmocnienie go elementem „świeżym“ (to jest niezwietrzałym w naszéj atmosferze), wprost z cesarstwa sprowadzonym, przeto ten nowy zasiłek winien być wzięty z zakładów naukowych z głębszych okolic państwa. Ztąd wyprowadzamy sobie miły i pożądany aspekt, że i profesor P. z miasta K. przy hurtownėm nadawaniu gruntów będzie do szeregu donataryuszów zaliczony i jaki folwarczek, odpowiedni swéj randze otrzyma. Należy się to mu jako wynalazcy projektu zamiast *brevet d' invention*, należy jako temu, który służył ojczyźnie i pracował nad jéj uszczęśliwieniem, należy wreszcie jako człowiekowi inteligentnemu.

Nazwaliśmy ten aspekt miłym i nie cofamy tego wyrażenia, bo przyjemnie jest każdemu zyskać dla siebie sąsiada tak inteligentnego, a krajowi tak gorliwego obywatela. Nazwaliśmy aspekt pożądanym, gdyż skoro profesor P. z miasta K. otrzyma, w miarę swych zasług, pewną przestrzeń gruntów, zapewne nie będzie już nastawał, aby to, co raz stało się czyjąś własnością, było mu przez skarb odbierane; owszem, zabierze się raczéj do ogłaszania memoryałów, równie jak dotąd wymownych i gruntownych, w których przekona każdego, że własność ziemska jest równie nietykalna jak wszelka inna własność i że państwo na jéj wzruszenie pozwalać nie może. Przyczyni się to nieochybnie do wzmocnienia téj idei, zachwianéj obecnie w niektórych inteligentnych i nieinteligentnych głowach.

Na wypogodzonym horyzoncie pomajorackich nadziei pozostała wszakże jedna mała chmurka. „Szanowny“ profesor nie wyjaśnił w projekcie jednéj rzeczy: czy grunta pomajorackie, które przy spodziewanėm rozdawnictwie otrzyma, pragnie posiadać na własność niczém nie ograniczoną, jak ją kodeks francuski pojmuje, czy téż życzy sobie utworzyć z nich majoracik? Kwestya to niemałego znaczenia, gdyż zaczepia o jądro samego projektu. Jeżeli bowiem ma to być własność zupełna i nieograniczona, nic nowym właścicielom nie stanie na przeszkodzie w sprzedawaniu darowanych gruntów nietylko osobom mniéj inteligentnym, ale co gorsza, mniéj zasługującym

na zaufanie pod względem politycznym. Gdyby to nastąpiło, wtedy przewidywane korzyści projektu profesorskiego zredukowałyby się do ceny sprzedażnéj, którąby od nowonabywcy do kieszeni profesorskiéj wpłynęła. Korzyści téj nie lekceważymy wcale. Atoli im mniéj ją lekceważymy, tém bardziéj żałujemy, że projekt w tym względzie zbyt jest lakoniczny. Gdyby zaś przeciwnie, grunta, które projektodawca pragnie odebrać teraźniejszym posiadaczom majoratów, miały być rozdane na prawie majorackiem, czyli, gdyby z majoratów miały być potworzone majoraciki na rzecz osób, zasłużonych w wydziale naukowym, zjawiłaby się nowa trudność. Trudność nie z naszéj strony, broń Boże, umiemy bowiem uszanować świętość maksymy prawnéj: *ote toi de là que je m'y mette*, ale ze strony redakcyi „Nowoje Wremia,“ która dotychczas tak serdeczną życzliwość okazuje dla profesora P. i tak gościnnie daje bezpłatny lokal jego projektom na dolném piętrze swego dziennika. Wiadomo, jak ta redakcya (w N-rze 1854) stanowczo wystąpiła przeciw ultraszlacheckim zamysłom owego polaka, który w liście do niéj pisanym domagał się ogólnego pozwolenia na zakładanie majoratów. Pozwolimy więc sobie ostrzedz profesora, aby się z sympatyą dla majoracików przed czasem nie zdradzał, gdyż redakcya wspomnionéj gazety mogłaby mu wymówić gościnność na dolném piętrze i przeniesienie do tylnéj oficyny płatnych anonsów na czwartéj stronie zaproponować.

Na zakończenie téj ramoty, któż nie uchyli wraz z nami czoła przed rzadkiego gatunku patryotyzmem profesora P.? Mąż ten lubo jeszcze nie zamieszkał w naszym kraju, poświęca mu już swe studya, myśli i uczucia; inny na jego miejscu możeby egoistycznie zwrócił uwagę raczéj na upadek rolnictwa w kraju czarnoziemnym, na zubożenie włościan w guberniach północnych, na głód w niektórych okolicach nad Wołgą, na groźbę stagnacyi przemysłowéj i handlowéj w całém niemal cesarstwie. Pan P. dalekim jest od tak ciasnego samolubstwa, woli on polować na żórawie, które na naszém niebie dopatrzył. Mówiąc poważnie, objaw to godzien dojrzałego zastanowienia. To, co drukują ludzie sumienni, ludzie świadomi rzeczy, jak pp. Pypin, Jurjew, Michniewicz i kilku innych, to nielicznych znajduje czytelników; przeciwnie, takie elukubracye profesora P., taką gazetę jak „Nowoje Wremia,“ odczytują codzień dziesiątki tysięcy. Czy siane, choćby tak niezdarnemi rękami, pokrzywy i inne chwasty nie zagłuszą roślinki, która skutkiem starania wspomnionych powyżéj pisarzów kiełkować dopiéro poczęła—któż na to odpowie?

Gwałty, dokonywające się na żydach w kilku guberniach cesarstwa, spowodowały, jak słychać, pewne zachwianie się obrotów handlowych i w naszym kraju, co na dobrobycie ogólnym szkodliwie z konieczności odbić się musi. Zmiejszenie zarobków a wzrost drożyzny—to pierwszy skutęk zaburzeń. Wobec téj klęski tém się przynajmniéj pocieszać możemy, że różne nasze warstwy społeczne okazały niekłamane poczucie wzajemnéj solidarności i dobre zrozumienie interesu wspólnego. Staraniem wszystkich ludzi uczciwych będzie, aby téj solidarności nigdy nic zachwiać nie zdołało, owszem, aby się gruntowała co raz mocniéj w umysłach i sercach zarówno.

W ciągu kilku ostatnich tygodni, cztery większe instytucye kredytowe Warszawy, odbywały swe doroczne zgromadzenia i publikowały sprawozdania z czynności swych za rok 1880. Główniejsze cyfry sprawozdań, ogłoszone już w pismach codziennych znane są publiczności, wykazują one że obroty kredytowe w Warszawie wzrastają z każdym rokiem. Skup weksli stanowi w każdym z tych banków główną gałęź operacyi, on téż dać może najbliższe wyobrażenie, o stanie obrotów handlowych i przedsiębiorstw przemysłowych prowadzonych w Warszawie i w kraju. Przed laty dziesięciu, w roku 1870 z pomiędzy czterech dzisiaj działających instytucyi istniał tylko jeden Bank polski, skupił on w ciągu tego roku weksli krajowych na sumę 13 milionów rubli. W roku 1880 cztery banki: polski, handlowy, dyskontowy, Wzajemnego kredytu skupiły weksli krajowych na ogólną sumę 101 mil. r. (1). W ostatnim dniu roku było w portfelach banków weksli na blisko 25 m. r. co znaczy, że mogą one, przy normalnym biegu rzeczy, mieć taką ilość gotówki na usługi handlu i przemysłu; w średniem przecięciu we wszystkich bankach razem skupowano weksli codziennie na sumę około 300.000 r. Do tych obliczeń nie wchodzą weksle na Cesarstwo i na zagranicę wystawiane, nie wchodzą téż cyfry kredytów udzielonych pod zastaw papierów publicznych, a tó dla tego, że sumowanie wszelkiego gatunku kredytowych operacyj w jedną ogólną cyfrę, nie może dać wyobrażenia o tém, kto i na co posługuje się kredytem, weksel zaś krajowy, a do tego krótko-terminowy, na dwa lub trzy miesiące wystawiony, z natury rzeczy najbliżéj przedstawiać może obrót handlowy lub przemysłowy wewnątrz kraju dokonany. Jakkolwiek i tutaj o ści-

---

(1) W cyfrze téj figurują: Bank Polski w Warsz. na 26,3 m. w 10-lu filiach 29,1 m., B. Handl. 24,7, B. Dysk. 11,1, W. T. Wz. Kr. 9,8.

słości nie może być mowy, i cyfry te nie mogą mieć pretensyi dokładnie wskazywać na co użyto kredytu, jednakże można na nich oprzéć wniosek ogólny, że przemysł, a więcéj jeszcze handel rozwija się a nie upada. Przynajmniéj nie upadał w ciągu roku 1880, bo co się w obecnych czasach dziać będzie, tego jeszcze przewidziéć nie można. Pewna część skupionych weksli wystawiona téż była niewątpliwie przez właścicieli ziemskich, a więc i udzielonego kredytu cząsteczka poszła w pomoc rolnictwu, na nieszczęście nikt nie potrafi oznaczyć stosunku téj części do całości udzielonych kredytów, i ci z pomiędzy publicystów co lubią specyalniéj zajmować się interesami ziemiaństwa, pozostaną i nadal przy swojém zdaniu, że spekulanci warszawscy wszystką rozporządzalną w kraju gotówkę obracają na swoją korzyść, zasilając nią jedynie handel i wielki przymysł, a nie dbając zgoła o interesa rolnictwa, nie chcą urządzać dla niego instytucyi kredytowych. Najszczerzéj pragniemy, aby rolnicy jak najtańszym kredytem posługiwać się mogli, i niedawno tutaj jeszcze wykazywaliśmy całą możność urządzenia wielkiego banku hipotecznego, jednakże nadmienić musimy, że potrzebujący kredytu ziemianie, sami powinniby szczerzéj i czynniéj zająć się sprawą jego urządzenia; bank hipoteczny jeżeli się uorganizuje, dawać będzie pożyczki długoterminowe, na hipotekę dóbr ziemskich, pożyczki te używane będą na melioracye gruntów albo na likwidowanie dzisiaj istniejących długów prywatnych, ale nagląca i dokuczliwa potrzeba kapitału obrotowego, na opłatę robotnika i bieżące rozchody gospodarskie, przeto się nie załatwi ani usunie. Żadna instytucya kredytowa centralna, na większą skalę urządzona, nie będzie wstanie zadość czynić potrzebom miejscowym, po wsiach co chwila się rodzącym, na to potrzeba instytucyi miejscowych, któreby niekoniecznie wymagały zabezpieczeń hipotecznych, a mogły udzielać kredytu na mocy znajomości osoby i stanu jéj interesów. Kredyta takie ani wielkich sum sięgać nie potrzebują, ani długich terminów nie wymagają; dlatego téż i kapitałów olbrzymich na ich otwarcie zgoła nie potrzeba, a zupełnie dostatecznie mogą być obsługiwane środkami miejscowemi, bez udziału kapitalistów i spekulantów i zarząd nimi może pozostać w ręku ludzi miejscowych.

Znana już jest powszechnie publiczności, z opisów i opowiadań przynajmniéj, forma instytucyj, zwanych kasami wkładowo-zaliczkowemi, na wzór niemieckich banków Schulce-Delitsch'a urządzonych, istnieją one nawet w kraju naszym, na nieszczęście dotąd tylko w kilku miasteczkach, kilkanaście zaś takich kass bardzo pomyślnie funkcyonuje w kilku guberniach litewskich. Na założenie kasy wkładowo-zaliczkowéj dosyć paru tysięcy rubli gotówki, tém bar-

dziéj że bank państwa nie odmawia im kredytu, i każdy z banków Warszawskich zapewne także kredyt w swych kasach im otworzy. Chodzi o to, aby ludzie dobréj woli, a czynnego temperamentu, zaczęli je urządzać, a wtedy jedna za drugą otwierać się i organizować się będą. Wszak kasa podobna w Konstantynowie w gub. Kowieńskiéj w r. 1874 założona, w r. 1880 wydała zaliczek na 227.213 r., a w Szemiotowszczyznie gub. Wileńskiéj otwarta w r. 1877 w ubiegłym r. 1880 wydała zaliczek 106.780 r. Mają téż one tę nieocenioną dogodność, że nie tylko mogą, ale muszą wciągać w obrót swych interesów, właścicieli drobnych, włościan i im téż ogromną pomoc okazują, ratując od lichwiarskich procentów.

Ogólnie wiadomo, że włościanie nasi pieniądze jakie uzbierają, chowają najskrzętniéj w monecie brzęczącéj czy w papierach, i chowają je albo do czasu uzbierania pewnéj znaczniejszéj sumy, któraby im pozwoliła zrobić jakiś korzystny interes, albo i bez celu i zamierzonego czasu poprostu dla tego, ażeby mieć schowane pieniądze. Wszystkie te drobne sumki leżą gdzieś w kryjówkach, i często giną w pożarach i innych nieszczęśliwych wypadkach; chodzi więc oto ażeby pozyskać zaufanie tych ludzi, i skłonić ich do tego, żeby tak zbierane grosze i ruble składali do kas zaliczkowo-wkładowych, tam zaś będą one od nieszczęśliwych wypadków zabezpieczone, właścicielom będą dawały dochody w procentach, a potrzebującym kredytu będą służyły jako gotówka na pożyczki. Wszak banki Warszawskie z takiego samego źródła czerpią swe środki, i pieniędzy składanych w swych kasach na bieżące rachunki, używają na wydawanie pożyczek. A jak w roku 1870, kiedy Bank polski skupował weksle na 13 mil. r., mało kto mógł przewidywać, że za lat dziesięć, w tejże saméj Warszawie można będzie zdyskontować weksli na 101 m. r., jak kasa szemiotowska w roku 1877 otwarta z 5.000 r. wpłaconych udziałów, we cztery lata mogła już wydać pożyczek na 106 tysięcy rubli, tak i my możemy marzyć o tém, że po latach dziesięciu, sto kas zaliczkowych, na przestrzeni Kr. Pol. uorganizowanych, będą w stanie przynajmniéj 50 mil. r. zaawansować na potrzeby bieżące mniejszych i większych właścicieli ziemskich.

D. 19 Maja p. Bolesław Prus odezwał się w „Kuryerze Warszawskim“ w „Imieniu klas pracujących“ wzywając ludzi dbałych o dobro społeczeństwa i o spokój domowy, ażeby czynnie przyszli w pomoc pracowitéj ludności Warszawy, i zechcieli: „założyć kamień węgielny pod instytucyą, któraby stopniowo, powoli wydobyła ją ze szpo-

nów lichwy“—ażeby: „zniemi i dla nich rozpoczęli wprawdzie spokojną, ale skuteczną walkę z lichwą.“ I ażeby w tym celu zasilali dobrowolnemi składkami istniejącą przy Warsz. Tow. Dobr. kasę pożyczkową, tak iżby ona była w stanie udzielać krótkoterminowe pożyczki wyrobnikom fabrycznym, czeladnikom, rzemieślnikom, ratowała ich w ten sposób od wpadania w pułapki wyzyskiwaczów, i pracowania potém Bóg wie jak długo na korzyść i dochód lichwiarzy. „Kasa ta będzie instytucyą publicznego użytku, więc na fundusze dla niéj powinni się złożyć w miarę sił bogaci i ubodzy, fabrykanci i robotnicy, majstrowie i czeladnicy, uczeni i prostaczkowie. Tym aktem wszyscy damy sobie żywy dowód solidarności i braterstwa, o którym tyle się mówi.“ Tak sympatyczna odezwa trafiła prosto do serc publiczności, jakoż w ciągu dni ostatnich mianowicie do d. 30 Maja złożono już na ten cel w redakcyi Kuryera Warszawskiego r. 6.392 kop. 70.

Odpowiadając wezwaniu wszyscy śpieszą składać co mogą. Chrześcianie i Żydzi, bankierowie i drobni handlarze, fabrykanci i wyrobnicy, zakłady rzemieślnicze i czeladnicy; w spisie składających ofiary znajdujemy cyfry 30 i 15 kop., znajdujemy téż i 1.000 rs., ulubiony kronikarz „Kuryera Warszawskiego“ słusznie twierdził, że „damy dowód solidarności i braterstwa.“

Pozostaje teraz zużytkować ofiarność publiczną, a tu ze sfery sentymentu, przechodzimy na pole praktycznego działania. Związanie nowego projektu z kasą pożyczkową Tow. Dobroczyn., miało w oczach wnioskodawcy ten cel niewątpliwie dobry, żeby się przez to unikło mnóstwa zachodów i kłopotów, a nadewszystko straty czasu przy urządzeniu nowéj instytucyi, przyszłoby się od razu do rzeczy gotowéj, dało możność rozwinięcia jéj działalności, uczynienia jéj skuteczniejszą. Jednakże Tow. Dobr. jest instytucyą miłosierdzia publicznego, przychodzi ono w pomoc nędzy, karmi głodnych, daje przytułek starcom i kalekom, opiekuje się ochronkami, ale szafując na to groszem publicznym, musi ściśle sprawdzać stopień nędzy i potrzeby tych ludzi, którym niesie pomoc; stąd mnóstwo formalności do spełnienia, które całą procedurę otrzymania wsparcia niesłychanie utrudniają a nadewszystko przewlekają. Pożyczka zaś ażeby była skuteczną, ażeby mogła ochronić potrzebującego od wyzyskiwania lichwiarzy, musi być dana prędko, bo tu nie chodzi o poratowanie nędzarza od znoszonego niedostatku, ale o danie człowiekowi możności pracować korzystnie. Jakoż znalazlo się już kółko ludzi dobréj woli, którzy zajęli się specyalniéj ułożeniem regulaminu dla kas pożyczkowych, mogących się tymczasowo przynajmniéj otworzyć przy Tow. Dobr. Za wzór ma być wzięta, wedle wniosku

p. A. Makowieckiego, kasa ś go Marcina, istniejąca przy parafii św. Andrzeja, i takich kas projektują urządzić podobno kilkanaście. Rzeczy więc idą prędko i prędko też ujrzymy już pewno kasy w działaniu. Zwracamy przytém uwagę układających regulamin na to, iż niewątpliwie korzystniéj jest mieć kilka kas z większym zasobem aniżeli kilkanaście uboższych i że przy udzielaniu pożyczek wartoby też dopuścić system lombardowy t. j. przyjmowanie zastawów, które zwrót pożyczki zabezpieczają, a nie wymagają szukania poręczycieli narażającego zawsze ludzi potrzebujących na starania nader niemiłe a często trudne, lub nawet bezskuteczne. Skoro zaś rzecz cała może w przyszłości przekształcić się na istytucyą samoistną, należałoby też obmyśléć środki zasilania kas ciągłym przypływem funduszu, związać je z kasami groszowemi, z kasą oszczędności, czy inną w tym rodzaju instytucyą, ażeby nie były one zawsze na łasce miłosierdzia publicznego, które może dostarczyć kapitału na początek, lecz nie tylko wiecznie, ale nawet długo nie będzie się mogło utrzymać w stanie dostatecznego podbudzenia, iżby ciągły rozwój kas podtrzymywało.

W ostatnich dniach kwietnia i pierwszego maja przemawiał z katedry w sali ratuszowéj na dochód Osad Rolnych hr. Wojciech Dzieduszycki o Sokratesie i Platonie. Nie po raz to pierwszy zajmował uwagę słuchaczów prelegent rzeczami filozoficznemi. Przed rokiem w czterech godzinach dał obraz czy obrazek dziejów filozofii, a mianowicie téj jéj części, którą Arystoteles ,,pierwszą" nazywał. Obecnie również w czterech godzinach rozpowiadał o małej cząstce tych dziejów, o jednym ich ustępie i uważał to sobie za szczęście, że mógł się rozszerzyć nad ulubionym przedmiotem, chociaż nie obiecywał słuchaczom, że go wyczerpnie. I całkiem słusznie. P. Dzieduszycki ma dar szczególny, sobie właściwy, wymowy niezmiernie obfitéj nie tyle w słowa i pojęcia, ile w zdania. Cała lawina zdań spadała z katedry i najmniéj nawet rozwiniętemu słuchaczowi dawała do poznania pewien, dosyć szczupły zresztą pod względem ilościowym i jakościowym, zasób pojęć. Przez trzy lekcye mówił prelegent o Sokratesie i Platonie razem nie chcąc i, jak sam wyznawał, nie umiejąc dwu tych osobistości pod względem zapatrywań filozoficznych rozdzielić. Zdaniem bowiem p. Dzieduszyckiego nie Ksenofont, jak twierdzi dziś wielu badaczów, ale Platon wierniéj nam przedstawił myśli Sokratesa. Otóż prelegent opowiedziawszy szczegóły życia mędrca ateńskiego i przedstawiwszy w barwnym, ale dla barwności jednostronnie jaskrawym,

obrazie sofistów jako pieczeniarzy-frazesowiczów, w poufałéj gawędce podawał treść kilku dyalogów platońskich (*Gorgiasz*, *Protagoras*, *Hippiasz*, *Fedrus*, *Fedon*) akcentując wszędzie nie tyle poglądy w nich przeprowadzone, ile raczéj metodę, jakiéj używał Sokrates do wymuszenia zeznania od rozmawiających zarozumialców, iż właściwie nic nie wiedzą. Wyznać należy, że tę stronę działalności Sokratesa przedstawił prelegent wybornie; umiał tak obrazowo, tak popularnie i z taką werwą streszczać rozmowy Sokratesowe, że chyba niewielu takichby się znalazło, coby po trzech odczytach nie mieli dość jasnego wyobrażenia o tém, jak to Sokrates swoją „sztuką położniczą“ i swoją „ironią“ przyciskał sofistów do muru... Natomiast to, co mistrz sądził o przeróżnych zagadnieniach życia praktycznego pozostawało w cieniu tak dalece, że mimowoli i wbrew niewątpliwie założeniu prelegenta niejednemu nasunąć się mogła ta myśl, że Sokrates walcząc z sofistami, stawał się i sam sofistą potrochu.

Czwarta dopiéro prelekcya poświęcona była wyłącznie Platonowi. P. Dzieduszycki zastanawiał się szeroko nad nauką o ideach a mimochodem tylko kreślił ideały polityczne filozofa. W odczycie tym było daleko więcéj treści aniżeli w trzech poprzednich, ale za to forma jego na popularności znacznie ucierpiała. Mówił wprawdzie prelegent i teraz swobodnie, panował nad swoim przedmiotem, ale nie nadawał wypowiadanym przez siebie poglądom formy gawędy, która, przez ciągłe powtarzanie i przez obrazowanie rozmaite tegoż samego tematu, dochodzi nie do subtelnéj wprawdzie dokładności, w każdym jednak razie do grubéj wyrazistości w oddaniu rysów pewnego przedmiotu.

P. Dzieduszycki czyni prawdziwą przysługę publiczności naszéj, przyzwyczajając ją do słuchania rzeczy poważnéj, dla któréj czytelników znaleść trudno. Zapewne ci, coby mieli ochotę, cierpliwość i naukowe przygotowanie do odczytania kilkunastu czy kilkudziesięciu kart w jakim podręczniku historyi filozofii, choćby np. Schweglera tłómaczonego na język polski, więcéj by się dowiedzieli o Sokratesie i Platonie, aniżeli z czterech odczytów w ratuszu. Ale czy podobna zachęcić tę publiczność, która do sali ratuszowéj przychodzi, ażeby się na taką lekturę zdecydowała. Dobrze więc, że dowie się mniéj, lecz się dowie czegoś, co zazwyczaj pozostaje po za sferą jéj myślenia.

Atoli obok czysto-informacyjnego odczyty p. Dzieduszyckiego miały jeszcze cel inny. Wysławiając Platona i Sokratesa czy téż Sokratesa i Platona, zasłaniając starannie strony słabe w ich poglądach, a natomiast obrzucając grubym cieniem postaci sofistów,

prelegent miał chyba na oku dzisiejsze prądy i kierunki filozoficzne, które zrywając z prawdą absolutną głoszą względność poznania ludzkiego, i chciał pośrednio wypowiedziéć swoję niechęć i oburzenie ze względu na nie. Przyczyniało się to bezwątpienia do nadania żywości inwektywom i nadawało jakiś cel masakrowania ludzi, który przed dobremi dwoma tysiącami lat pomarli, i w żaden sposób bronić się nie mogą; lecz natomiast zabarwiało tendencyjnie rzecz, któraby powinna już chyba rozważaną być spokojnie i bez uprzedzeń. Wszakże p. Dzieduszycki wie doskonale, że ludzie bardzo poważni, bardzo rozumni i bardzo praktyczni, ludzie tacy jak bankier i historyk angielski Grote, całkiem inaczéj patrzą na sofistów aniżeli ich prelegent przedstawić się starał. Gdyby mu tylko o prawdę dziejową a nie o tendencyą publicystyczną chodziło, zaznaczyłby przynajmniéj w odczycie swoim tę różnicę poglądów. Chyba nie potrzebujemy dodawać, że nie o obronę sofistów nam chodzi, ale o fakt, którego żaden historyk pominąć już dzisiaj nie może. Publicysta pominąć może, ani słowa; lecz niech się nie dziwi, jeżeli ktoś na to zwróci uwagę.

Komitet zajmujący się wydaniem dzieł Jana Kochanowskiego, podjętym w celu uczczenia trzechsetnéj rocznicy zgonu wieszcza narodowego, zamierzył po uzyskaniu właściwego pozwolenia urządzić w roku bieżącym w Warszawie widowisko sceniczne, z którego dochód będzie obrócony na powiększenie funduszu wydawnictwa.

Widowisko to ma się składać z *Odprawy posłów greckich* Kochanowskiego i komedyi *Z chłopa król* Piotra Baryki. Do programu wchodzi także deklamacya *poematu na cześć J. Kochanowskiego.* — W tym celu komitet odwołując się do wszystkich naszych poetów ogłasza konkurs na poemat odpowiedniéj treści. Nie ma to być wierszowana biografia poety Czarnoleskiego, ale uwydatnienie wszystkich głównych cech jego charakteru jako człowieka i twórcy, przedstawienie ważniejszych jego życia kolei w domu, w rodzinie, w kraju. Słowem poemat odsłonić winien dzisiejszemu pokoleniu duszę ojca poezyi polskiéj.

Poemat ten jako przeznaczony na deklamacyą nie może być rozciągły, ale do rozmiarów deklamacyi zastósowany, wystarczający mniéj więcéj na kwadrans do 20 minut czasu.

Utwór uznany za najlepszy pozostanie własnością komitetu wydawniczego, który zajmie się jego ogłoszeniem. Nagrodą będzie suma *rubli sto* wypłacalna niezwłocznie po przedstawieniu, oraz asygnacya na ozdobny egzemplarz wydawnictwa opatrzony imienną de-

dykacyą autorowi poematu. Utwór najlepszy po premiowanym otrzyma podobnież asygnacyą na egzemplarz wydania ozdobnego z dedykacyą imienną z pozostawieniem autorowi prawa własności, inne zaś utwory powrócone będą autorom po ogłoszeniu rezultatu.

Na sędziów konkursu zaproszeni zostali: pp. Jenike Ludwik, Kaszewski Kazimierz, Królikowski Jan, Pietkiewicz Antoni (Ad. Pług), Plenkiewicz Roman.

Utwory składać należy pod adresem profesora Józefa Przyborowskiego, Warszawa przy ulicy Żabiéj Nr. 4, w kopertach zapieczętowanych oznaczonych godłem, do czego dołączyć wypada inną kopertę z tym samym godłem i nazwiskiem autora. Termin ostateczny do złożenia utworów naznacza się na dzień 15 września r. b.

— Po wydrukowaniu 2-éj cz. artykułu „Kółka rolniczo-włościańskie,“ otrzymaliśmy od autora dr. Łebińskiego następny przypisek:

Naczelny prezes W. Ks. Poznańskiego ogłosił w tych dniach statystykę ludności włościańskiéj Księstwa, sporządzoną dla użytku komisyi sejmu prowincyonalnego, rozważającéj powody upadku posiadłości włościańskich. Statystyka ta wykazuje, że w r. 1880 w departamencie poznańskim było gospodarstw sprzężajnych 27.556 z obszarem 1.949.312 mr. mgd., w depart. bydgoskim 11.833 z obszarem 1.348.680 m. m. Gospodarstw niesprzężajnych było w dep. pozn. 30.080 z obszarem 360.548, w dep. bydg. 14.390 z obszarem 162.094 m. Razem więc jest gospodarstw włościańskich 83.859 w r. 1880, podczas gdy w r. 1859 było ich tylko 81.829. Postęp ten bardzo nieznaczny zamieni się jednak w upadek, jeżeli zważymy, że w r. 1859 było gospodarstw sprzężajnych 47.869 a dziś jest ich tylko 39.389, ubyło zatém 8.480 gospodarstw większych, bądź przez działy bądź przez skupno do dominiów. Ile gospodarstw jest jeszcze w ręku polskim, na to nie ma danych. Sami Niemcy jednakże przyznają, że jeszcze przeważna część ludności wiejskiéj jest polską, zatém pewnie i większa część obszaru roli jeszcze się znajduje w rę-

ku polskiém. Wedle najnowszych zestawień cały obszar własności ziemskiéj w Księstwie czyni 3.037.579 hektarów, z tych 1.626.954 przypada na posiadłości większe, a 1.400.625 na pasiadłości włościańskie. Z posiadłości większéj zaś już 894.719 hekt. jest w ręku niemieckiém a 732.235 w ręku polskiém. Odliczywszy jednak posiadłości skarbowe, królewskie, książęce, pozostaje w ręku prywatném niemieckiém tylko 573.061 hektarów.



Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor, **Piotr Chmielowski**.


BIBLIOTH. UNIW.
JAGELLONICAE

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu maja r. 1881.

---

1. **Z dziedziny praw kobiety.** O prawie assystencyi męża, napisał *Adolf Suligowski*. Warszawa, 1881. str. 51.
2. **F. A. Lange.** Historya filozofii materyalistycznéj, i jéj znaczenie w teraźniejszości. Z trzeciego niemieckiego wydania przełożył *Aleksander Świętochowski*. Zeszyt IV i V.
3. **Metody i Teorye** rozwiązywania zadań geometrycznych konstrukcyjnych zastosowane do przeszło 400 zadań p. Dr. Jul. Petersena, przetłómaczył *Dr. Karol Hertz*. Warszawa. 1881. (Cena kop. 60).
4. **O geograficznych błędach** na których opierają się historyozoficzne poglądy profesora Duchińskiego, napisał *Wacław Nałkowski*. Warszawa. 1881.
5. **Pisma Bolesława Prusa.** Tom I. Warszawa, 1881.
6. **Wykłady popularno-naukowe** wydawane p. Stanisława Wegnera:
   1. Pochód tryumfalny. Germanika p. *F. Fröhlicha*.
   2. Lat temu 2400 (Dzień z życia króla Daryusza) p. *F. Justi*.
   3. O legitymizmie praw narodowych p. *Ks. Krechowieckiego*.
   4. Pompeji historya i opis miasta p. *S. W.*
   5. Lutnia Jana Kochanowskiego p. prof. *Rymarkiewicza*.
   6. Fenicyanie, ich misya cywilizacyjna p. *A. de Chambrier*.
7. **Słownik geograficzny** Król. Pols. etc. Tom II, zeszyt 17.
8. **Historisch Statistisches** Bild der Stadt Posen (968—1793) v. Joseph Łukaszewicz, aus dem polnischen übersetzt v. L. König im Jahre 1846, revidirt und berichtigt v. Prof. *Dr. Tisler*. Posen, 1880. Verlag von Joseph Jolowicz. Bände 2.
9. **Czesław.** Poezye. II. Kraków, 1881. (str. 88).
10. **Dzieła Lucyana Siemieńskiego.** Portrety literackie. Tom IV-ty. Warszawa. 1881.
11. **Dr. Jan Scherr.** Historya literatury powszechnéj. przekład *Bronisława Zawadzkiego*. Tom I-y. zeszyt 1-y. Nakład Gebethnera i Wolfa. Warszawa, 1881.
12. **Dzieła Julijana Bartoszewicza.** Tom X-ty. Studya historyczne i literackie. Tom 3-ci. Kraków, 1881
13. **Komedye oryginalne** XIII i XIV. Pani Pułkownikowa. i Wykolejeni p. *Adolfa Mostowskiego*. Warszawa, 1881.
14. **Portugalia.** Listy z podróży *Adolfa Pawińskiego*. Warszawa, 1881.
15. **Gleichenberg w Styryi.** Podręcznik informacyjny dla gości kąpielowych. nakreślił *Dr. Edward Brühl*. Kraków. 1881.
16. **W sprawie pisowni polskiéj.** Odbitka z Tygodnika Illustrowanego. Warszawa. 1881.

Дозв. Цензурою. Варшава, 19 Мая 1881 г. Druk K. Kowalewskiego, Królewska 23.